Sławomir Łubiński

Ballada o Januszku

Państwowy
Instytut
Wydawniczy



Klienteli ciągle miałam sporo, w robocie byłam dokładna, ale już tu i tam pralki zaczęły się pojawiać. Myślałam nawet, jak by samej takie urządzenie zdobyć, bardzo by mi przecież ułatwiło pracę. Ale jeszcze nie dla psa kiełbasa, nie dla mnie wtedy takie wspaniałości, na które mogły sobie tylko bogate panie pozwolić. Gdybym przy tamtych moich latach miała ten rozum co dzisiaj, tobym się może i jakiego fachu nauczyła. Teraz, kiedy patrzę na ludzi, co uczyli się, kiedy była na to pora, to smutek mnie ogarnia i żal. Kalisiak, któremu też pewnie w oko wpadłam, mówił niejeden raz:

— Smoliwąsowa, ty sobie życia kuchnią nie zasłaniaj, patrz dalej, sięgaj wyżej. Jakbym się Kalisiaka usłuchała, tobym skończyła jako kierowniczka stołówki, a nie jako druga kucharka, chociaż i to przecież była poważna funkcja.

I Januszek też pewnie inaczej by się na mnie patrzył, bo co to za przyjemność dla chłopaka mieć matkę kucharkę i praczkę w jednej babie, kiedy naokoło coraz więcej dzieci inżynierów, lekarzy i takich, co pieniędzy mają, a mają, chociaż nikt nie wie skąd.

Łubiński
Ballada o Januszku

Państwowy
Instytut
Wydawniczy
Warszawa
1979

Sławomir Łubiński
Ballada o Januszku

Ilustracja na obwolucie
Janusz Stanny
Opracowanie graficzne
Andrzej Piekarski

Printed in Poland
Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa 1979
Wydanie pierwsze
Nakład 20 000+315 egz. Ark. wyd. 18,9. Ark. druk. 20,0
Papier druk. mat. kl. V, 71 g, 82 × 104/32
Oddano do składania w grudniu 1978
Podpisano do druku w maju 1979
Druk ukończono w czerwcu 1979
Wrocławskie Zakłady Graficzne, Zakład Główny
Wrocław, ul. Oławska 11
Nr zam. 1594/78 C-47
Cena zł 40.—

ISBN 83-06-00202-4

Jako człowiek jestem teraz bezpieczna, ale jako matka nie. Pan pewnie wyobraża sobie, że ja o nim nie myślę, jak on mi zrobił tyle złego. Nie ma nocy, żeby mi się nie śniły różności. Widzę, jak oni tam mojego Januszka krzywdzą, a może nawet biją. Budzę się, siadam na łóżku, a tu pusto, tylko zegar tyka. Potem mówię sobie, może to dobrze, że tak się stało, że nie ma czego się bać. Ale później znów to samo. Nawet nazwać tego nie umiem. Czasem myślę, że ten strach zaczął się już od tamtego dnia, kiedy mi męża zabrali do obozu. Ile to lat? Prawie tyle, co ma Januszek. Za co? Uśmieje się pan. Za głupi kawałek skórgumy, który mój wynosił z fabryki. Wszyscy wynosili. Trzeba było przecież z czegoś żyć. Jedni wynosili towar, a drudzy zelowali buty albo robili sandały dla kobiet czy dzieci.

Przyjechał wtedy jakiś gestapowiec z Warszawy i zarządził rewizję. Macali co dziesiątego. Trafiło na męża. Zaczął się stawiać i przepadł. Najpierw Oświęcim, potem Buchenwald, a później do komina. A co on miał wtedy? Dwadzieścia cztery lata. Nażył się, można powiedzieć, po same uszy. Innych też zatrzymano. Dali im po pięćdziesiąt na goły tyłek i puścili. Ktoś przecież musiał pracować w fabryce. Zostałam bez niczego. Januszek miał się dopiero urodzić. Z czego tu żyć? Fachu żadnego, tyle że te dwie ręce do roboty. Zaczęłam chodzić do zamożniejszych domów, do doktorów, do spekulantów i handlarzy, a nawet i foksów, i brać bieliznę do prania. Od rana do późnej nocy smród mydlin, para. Całe ściany przesiąkły tym smrodem, wilgocią. To było moje życie wtedy, później też niewiele lżejsze.

Po wyzwoleniu, kiedy już się miało na zimę, poszłam do fabryki za sprzątaczkę. Parę lat akumulatory i guma były razem. Później, jak zrobili dwie fabryki, to zostałam przy akumulatorach. Tam wszędzie ołów, praca niebezpieczna dla zdrowia. Człowiek musi dobrze jeść, wtedy mniej ołowiu łyka. Dlatego każdy, kto w akumulatorach

pracował, dostawał prowiant, tłuszcz, mleko. Dużo to dla mnie znaczyło. Potem skończył się przydział prowiantu i zamiast tego zaczęli dawać śniadania i obiady. Też darmo. Myślę sobie wtedy, Smoliwąsowa, skończ z tym sprzątaniem i staraj się do roboty na stołówce. A nie będzie już łamania głowy, czym tu nakarmić Januszka.

Kierownik nie chciał się zgodzić, nieużyty był człowiek z niego. To ja poszłam od razu do partii.

— Panowie — mówię — sama jestem, syn rośnie, muszę robotę na stołówce dostać.

— Panowie i pułkownicy — powiedział ten najważniejszy, Kalisiak, co pomarł dwa lata temu w tył — wyginęli w trzydziestym dziewiątym, a tych, co zostali, to my i tak weźmiem na muszkę. Mówcie mi zatem teraz, towarzyszko, co wam dolega i czemu wam na tą stołówkę pilno? Okradać chcecie państwo ludowe, nową władzę narażać na straty?

— Boże, uchowaj — mówię — żebym tak skonania nie doczekała, jak kłamię. Żadna taka myśl ani przez chwilę w głowie mi nie przystanęła. Toż ja z Januszkiem mogę się swoim własnym obiadem podzielić. A jak zupy sobie trochę do domu wezmę, to chyba grzech nie będzie, wdowa jestem.

Kalisiak popatrzył na mnie, nie powiedział ani słowa, a potem łap za telefon i dzwoni do kierownika:

— Coś tam u was, towarzyszu — mówi — z tą waszą świadomością nie za bardzo. Obok ludzkich potrzeb przechodzicie. Smoliwąsowa ma być przyjęta do roboty na stołówce, bo inaczej ja sam dla was, na osobności, osobiście masówkę zrobię.

Popatrzył na mnie.

— Załatwione — powiedział. — Bo niby komu mamy pomagać, jak nie takim jak wy, towarzyszko?

O głodzie już nie myślałam, co zarobiłam, szło na ubranie. Radio nawet kupiłam. „Pionier", w drewnianej skrzynce, na zagranicznych częściach. Gra tak, że niech się jeszcze te wszystkie nowoczesne, co to ich nosić można, schowają.

Ale co tam radio? Rzecz nabyta. A ja muszę panu mówić po kolei, tak jak to mniej więcej było, jak układały

się moje i Januszka losy, kiedy był jeszcze chłopaczkiem, chodził do szkoły i grał z kolegami w piłkę na łące.

Zarobki pomocy w kuchni, jak pan wie, niewielkie, trochę więcej co z pchły smalcu. Nadal więc brałam bieliznę do prania. Pralki to był wtedy zagraniczny rarytas. Kobiety zdzierały ręce na tarach, a o takich proszkach, jakie są teraz, to nikt jeszcze nie słyszał. Cieszyłam się, że synkowi na bazarze to jakieś paltko w dobrym stanie, to buty kupić mogę. Uczył się dobrze, czwórki przynosił, a czasem nawet piątkę. Martwiło mnie tylko, że ciągle chciał gdzieś wyjeżdżać, nawet jeszcze nim do pierwszej komunii poszedł.

— Mamusiu — mówił — ja się za Afrykańczyka zostanę, za Murzyna takiego czarnego jak kominiarz Balcerzak, co u nas kominy czyści. Tylko że ja żadnych kominów czyścić nie będę. Usiądę sobie pod baobabem i będę orzechy kokosowe zjadał.

Do komunii to mu taki granatowy materiał kupiłam, okazyjnie. Kobieta jedna po naszej ulicy chodziła, na oczy jej później nie widziałam. Powiedziała, że to angielski, z demobilu czy Unry. Resztka jej z kuponu została i musi sprzedać, na chleb dla dzieci, bo męża ma pijaka. Kupiłam więc tę resztkę i u znajomej krawcowej garniturek mu uszyłam. Materiału zostało jeszcze sporo i zamiarowałam uszyć sobie z tego spódnicę. Zadowolona byłam z siebie, bo to okazja taka jak rzadko, a Januszkowi też bardzo dobrze było w garniturku.

Dzień komunii — uroczystość wielka. Zaprosiłam parę osób, ludzi się przecież pozna, kiedy się tyle lat mieszka. Kalisiaka też, jako mojego dobroczyńcę, chciałam zaprosić, ale zezłościł się okropnie i mówi:

— To wy, Smoliwąsowa, na takie rzeczy mnie namawiacie? Że to niby ja mam iść do kościoła? Ja, komunista z dziada pradziada i sekretarz organizacji? Nic z tego. Nie ze mną takie numery odstawiać i banialuki. A w ogóle to ja wam powiem tak. Czas się za jakimś chłopem rozejrzeć. Inaczej wam z waszego chłopaka jakieś nic dobrego wyrośnie. Co to za chowanie dziecka, jak nie ma pod ręką chłopa, który by, jak trzeba, dzieciakowi dupsko zerżnął.

Zdenerwowałam się, bo zawsze nerwowa byłam i nerwy miałam na wierzchu.

— Nie, to nie, panie Kalisiak — mówię — bez łaski. Ja tam niczego złego w pierwszej komunii nie widzę. Dobrze wiem, co panu zawdzięczam, ale na komunię to nawet taki ważny urzędnik jak pan może przyjść.

— O Boże — westchnął Kalisiak — toż to z was, kobieto, element zupełnie nie uświadomiony, szkolenia wam brak.

Potem podniósł się zza biurka i jak nie krzyknie:

— Mówiłem wam już, Smoliwąsowa, że panów wymiotła żelazna ręka proletariatu i porwał wiatr historii. Towarzysz dla was jestem, komunista, a nie urzędnik, chociaż dziecko, ten największy skarb, chowacie, nie przymierzając, jak mysz kościelna.

— Chowam tak, jak chowała mnie moja matka, a Kalisiak chociaż teraz na stanowisku, takim samym jest robotnikiem jak ja czy świętej pamięci mój mąż.

Zaraz też trzasnęłam drzwiami i wyszłam.

Dzień komunii był pogodny, ładny i z rana nic nie zapowiadało deszczu. Wstałam jak zawsze o świcie, jeszcze ciasto, które od wczoraj rosło, zdążyłam upiec. Januszka pięknie ubrałam, białe skarpetki, biała wstążka, gałązka asparagusa w klapie marynarki. Brylantyną wysmarowałam mu włoski, uczesałam z przedziałkiem. Sama też włożyłam najlepszą suknię, trochę naftaliną zalatywała, chociaż wietrzyła się ze dwa dni, przejrzałam się dokładnie w lustrze. No, Gienia, pomyślałam, przy święcie to kobietka jeszcze z ciebie całkiem do rzeczy. Nie da się ukryć.

W kościele było wszystko tak, jak trzeba. Ludzi dużo, niektóre matki płakały, ja też, wcale się nie wstydzę, trochę łez popuściłam. Januszek był przejęty, cichy taki, jak jaki aniołeczek z Ogrodu Pańskiego. Cieszyłam się, bo to przecież chwila taka ważna, że człowiek powinien ją na całe życie zapamiętać. Obrazek dostał piękny, jak Pan Jezus wiernych swoją własną ręką błogosławi.

Wyszliśmy przed kościół, a wszystkie dzieci koło księdza jak pacholęta się zleciały. Każde obrazek trzyma w ręku, każde przecisnąć się chce do przodu, a fotograf naprzeciw już swój aparat na drewnianych nogach rozstawił i głowę czarną szmatą nakrył, żeby zdjęcie naszym

pociechom zrobić. Januszek w pierwszym rzędzie się znalazł, tuż przy księdzu. Dumna byłam wtedy z niego, że tak sobie umie w życiu radzić i byle komu wypchnąć się nie da. Ledwie fotograf pstryknął raz i drugi, a wiatr się zerwał okropny i zaraz potem deszcz lunął taki, jakby się chmura oberwała.

Zabrałam Januszkowi obrazek, wsadziłam do torebki, jego samego za rękę, gości zaproszonych na poczęstunek przed siebie i biegiem — jak ta kwoka, co pędzi przed sobą pisklęta — do domu. Głupia byłam, trzeba było w kościele się schować i deszcz przeczekać. Ale Polak zawsze mądry po szkodzie. Przeszliśmy może trochę więcej niż sto metrów, akurat do domu cukiernika, i schowaliśmy się pod balkonem. Sukienka mnie od tego deszczu oblepiła niczym druga skóra, a z moich gości — niedużo, dwie koleżanki, w tym jedna z mężem — też woda leje się jak z kranu, ale ciągle humory mamy, śmiać się nam chce, a pan Zdzisiek, jedyny chłop w naszym towarzystwie, powiada, że to Pan Bóg nam przy okazji chrzciny sporządził, bo on sam, dajmy na to, przypomnieć sobie nie może, czy był chrzczony. Zaraz też zerknęłam na Januszka, na jego nogi, na marynarkę i mimo że cała jakbym w wodzie była, obleciał mnie gorąc.

Boże kochany, myślę, czyżbyś nas czarnym deszczem pokarał? Za co, za jakie grzechy straszne, których żem spamiętać nie zdołała? Ale patrzę po sobie, po gościach, mnie ani gościom nic, po mnie i po nich biała woda płynie. Znaczy, że to nie deszcz jest czarny, ale że ubranko Januszka z najlepszej angielskiej wełny farbę zaczęło puszczać. Oszukała mnie ta handlara, jak jaką pierwszą lepszą, co to nigdy w życiu kolei nie widziała czy na książce się nie uczyła.

Nic nie mówię, tylko łzy mi zaczynają ciec i razem się z tym deszczem łączą. Skarpetki Januszka już ni to granatowe, ni to czarne, chusteczka w kieszonce marynarki taka sama, koszula na gorsie też, a wstążeczka, przy której tylko asparagus zielenił się jak gdyby nigdy nic, wygląda jak żałobna.

— Erzace teraz jakieś robią — powiedział oględnie pan Zdzisiek — szajs, pani Gieniu. Pamiętam jeszcze bielskie wełny, to było coś! Po pijanemu człowiek przespał

się w trawie i nic. Albo żeby kolor taki ancug stracił? Wprost nie do pomyślenia.

Januszek na nogi swoje popatrzył, na ręce, które wyglądały, jakby błoto miesił, a nie był u pierwszej komunii, i w bek. Stoimy ciągle pod tym balkonem, ulica pusta, deszcz leje, jakby plan zaległy wyrabiał, Januszek beczy, potem nogami zaczyna tupać i nagle odzywa się w te słowa:

— Coś ty mi za szmatę kupiła, garkotłuku jeden, to ty mamusia moja jesteś?

Zamurowało mnie. Nie wiedziałam, czy trzasnąć smarkacza, czy też udać, że nie słyszę. Przebiegła przeze mnie myśl, że on, jak dorośnie, jak w chłopa zacznie się zmieniać, będzie takimi to słowami, albo jeszcze gorszymi, już zawsze do mnie mówić. I jeszcze mnie większy niż przed chwilą gorąc obleciał. Chwyciłam go więc za kark — tak jak to matka chwycić powinna małoletniego smarkacza — i mówię:

— Januszku, synu mój, jeśli nie przestaniesz tymi nogami tupać, to w tym dniu tak uroczystym dla nas wszystkich w dupsko dostaniesz. Przecież nie twojej to matki wina, że ta wredna handlara nas oszukała.

— Dobra — odrzekł Januszek — ale muszę dostać na lody, na karuzelę i na strzelnicę, żebym sobie w wesołym miasteczku do koguta albo do pajaca z blachy strzelnął.

— Dostaniesz — powiedziałam — chociaż ciężko człowiekowi na głupstwa grosz z takim trudem zarobiony wydawać. — I zaraz zwróciłam się do gości: — Idziemy, drogie państwo, deszcz jakby mniejszy, Bóg widać nad sierotami swoimi się ulitował. A w domu bez pożytku i jedzenie, i coś mocniejszego stygnie, muchy aby srają na to, co lepsze niż co dzień. — Ale tak we własnym swoim środku myślałam, żeby jak najprędzej zejść z ludzkich oczu i żeby zdjąć ten garniturek z mojego Januszka, bo w tamtej chwili wyglądał w nim tak, jakby go małpa zrobiła, a nie człowiek, znaczy mój ukochany mąż, nieboszczyk Franciszek, co mi go Niemce przetopili na mydło.

I tak żeśmy doszli do domu. Deszcz przestał padać, ludzie zaczęli się pojawiać na ulicach. Do tej chwili prawie cały naród był w kościele albo poupychał się gdzieś

pod drzewami czy po innych kryjówkach i dopiero teraz ruszył biegiem do domów. Obejrzałam się za siebie, niezła już ferajna od szosy waliła. Mieli jeszcze daleko, a nam już tylko kawałek drogi został na skrót, przez pole, gdzie teraz bloki spółdzielni „Mazowszanka" stoją.

W domu gości raz-raz pousadzałam do stołu, potem Januszka obmyłam i przebrałam w suche ubranie. Dostał parę złotych na dwie porcje lodów, na karuzelę, a na strzelnicę już nie, bo pieniądze przecież same, jak chłopu w polu zboże, nie rosną. Słońce znowu zaczęło świecić, a ptaki zaśpiewały swoją pieśń w gałęziach jabłoni, co wtedy rosła za oknem pokoju i caluśka była w kwiatach. Januszek zaraz poweselał, goście też i mnie samej zrobiło się lepiej, bo już, jak by nie mówić, te cztery czy pięć kolejek pod zimną zakąskę zdążyliśmy przelecieć. Januszek trochę się jeszcze pokręcił po mieszkaniu i poszedł, a ja mu wcale nie broniłam, cieszyłam się, że zapomniał o tym zdjęciu od komunii w nowym garniturku, które mu jeszcze na osobności miałam u fotografa zrobić.

Zostaliśmy sami dorośli, trzy kobiety i jak skwarek w poście pan Zdzisiek, wtedy, trzeba powiedzieć, całkiem udany chłop i do tego jeszcze wcale nie taki stary, chociaż w średnim wieku. Szybko zapomniałam o smutkach i zmartwieniach, a wódka to mi jeszcze nigdy tak nie szła jak tamtego dnia. Wcale nie do głowy, tylko w samą radość i humor. Pod wieczór włączyłam radio, akurat grał Cajmer. Szarówka już niedługo, gdzieś daleko kumkają żaby, spokój, czasem tylko jakiś pijak, jak to przy niedzieli, się odezwie, a tu muzyka taka, że same nogi rwą się do tańca.

Nie wiem, jak to się stało, ale popatrzyłam na pana Zdziśka raz i drugi, a pan Zdzisiek też mi się wzrokiem ciężkim odwzajemnił i zrobiło mi się tak jak wtedy, kiedy pierwszy raz popatrzyłam na świętej pamięci Franciszka, mojego ślubnego męża. Pan Zdzisiek najpierw obtańczył Krysię, swoją żonę, a moją koleżankę z fabryki, pracującą już na innym zakładzie, potem Jadźkę, koleżankę ze stołówki i dopiero później, do trzeciego kawałka, poprosił mnie. Zagrali tę *Marynikę*, co to lubiła długo spać, i zaczęliśmy tańczyć tak, jakbyśmy tańczyli już

całe życie ze sobą. Minęło parę chwil, a kiedy znaleźliśmy się dalej od stołu, pan Zdzisiek powiedział:

— Urodę to ma jeszcze pani filmową, pani Gieniu. — Potem przycisnął mnie mocno i dodał: — Ja tam wzdychać do księżyca nie lubię, od razu mówię, jak jest. Mam życzenie poznać cię bliżej, serce mi to dyktuje. Powiedz mi tak, bo namiętność jak morze wielka zapaliła się we mnie.

— Panie Zdziśku — odrzekłam — czy pan wie, jakie to słowa pan teraz do mnie wymówił? Jestem poważna i szanująca się kobieta. Trzydzieści dwa mi na Matkę Boską Zielną stuknie.

— No to więc — odrzekł pan Zdzisiek — co niby ja w tym danym momencie mam odpowiedzieć, jak mnie już w styczniu zaraz po Trzech Królach trzydzieści osiem minęło? Że co? Emeryt jestem, Dziadek Mróz? I że od życia pod względem tego, co najlepsze, nic mi się już nie należy?

Skończył się ten kawałek o Marynice, znów zasiedliśmy do stołu, żeby posilić się trochę i wypić, bo wódki została jeszcze jedna cała butelka i w drugiej trochę. Zakąszamy, zerkam na pana Zdziśka, a on żonie co lepsze podsuwa, grucha do niej czule, jakby dopiero się z nią zapoznał, a mnie, co podniosę kieliszek do ust, szkło o zęby dzwoni, jakby było żywe albo jakbym febrę miała. Wtedy Jadźka zwraca się w te słowa do mnie:

— Co z tobą, Gieniu, czemu tak latasz cała, trzęsionki żeś się najadła czy jak?

— Nie trzęsionki, Jadziu — mówię — tylko zimno tu jakoś.

— Powiadasz, że żaba ma wąsy — mówi Jadźka — powiadasz, że łysy grzebienia szuka? Ja tę trzęsionkę znam, mnie ty dymu w oczy nie puszczaj.

A w radiu cisza, żadnej muzyki, tylko dziennik nadają. Dobrze, myślę sobie, że już tanga przytulanga nie będzie, bo moje serce chyba by pękło. Pan Zdzisiek musi być lepszy kozak, swojego nie da, a na sąsiednią parcelę się pcha. Najpierw mi krew w żyłach rozpalił, potem z żoną w najlepsze wymienia czułe słówka. A cóż to Krysia, kim ona jest przy mnie? Chuda, pierś jej zwisa,

worki pod oczami, włosy rudawe i rzadkie jak u wyliniałej wiewiórki.

Tymczasem się już ściemniło na dobre, wódka wypita, w radiu przy takiej ładnej niedzieli o Planie Sześcioletnim mówią, więc i goście zaczynają się zbierać, bo i po co im siedzieć, jak tu już nawet zakąski nie ma, tylko trochę boczku i mizerii zostało na talerzach. Januszek wrócił z rajzy brudny, jak nie wiem co, jakby z wieprzkami za przeproszeniem w chlewie się ganiał, mówiąc, że z chłopakami na łąkach za kościołem na zmagi się brał, kto lepszy.

— Ja ci zaraz te zmagi dam — odzywam się do niego i rękami o stół muszę się oprzeć, tak mnie ta wódka zmogła — sakramenckie ty nasienie jedne! Niczego już uszanować nie chcesz, ani dnia tego świętego, ani pracy swojej matki. Umyj się, niech moje oczy cię wśród tego brudu nie oglądają.

Goście się także zza stołu podnieśli, patrzę, moja Jadźka zalana nieźle, pan Zdzisiek również, a tylko Krysia, jak gdyby nigdy nic, nawet uśmiechnięta, oczami czujnie łypie, jakby tu u mnie gdzieś złoto było schowane.

No, myślę sobie, żmijo ty jedna, tak Zdzisia swojego pilnujesz. A mnie się już nawet spojrzeć na niego nie chce. Najpierw czule zagadał, wolę Bożą rozbudził, a potem buch pod skrzydełko ślubnej żony i głowę w piasek wtyka jak jakiś struś albo inny ptak zamorski.

Żegnamy się więc, Jadźkę ściskam serdecznie, a nawet całuję się z Krysią, niech sobie nie myśli, że to mnie coś obeszło, ale jemu rękę podaję ozięble, jakby był nie na poczęstunku, ale w urzędowej sprawie. Ale on jakoś tak wykombinował, że oddzieliła nas od Krysi Jadźka, i mówi mi w ucho:

— Gieniu, bez ciebie już życia nie mam. Serce moje całe jest twoje. Jutro nad wieczorem jestem. — A potem głośno, tak żeby jego żona słyszała, powiada: — Długo żeśmy tu byli, ze stołu wszystko zjedli i wypili, lecz bynajmniej, co złego, to nie my.

A mnie znów się słabo w nogach robi i pulsy mi jak młotki biją. Ale jak tu się dziwić żyjącej kobiecie, która

tak dawno chłopa nie miała, bo tego, co od czasu do czasu, w pośpiechu i bez prawdziwej przyjemności, nie liczę.

Na drugi dzień w robocie dla mnie ciągle była niedziela. Gary mi z rąk leciały, zapominałam, co mi kierowniczka w danym momencie kazała robić. Pić nam się z Jadźką poza tym chciało, więc tośmy lemoniadę z octu i sody robiły, tośmy wodę albo sok kapuściany popijały.

Przed południem przyszedł na stołówkę Kalisiak z rulonem jakichś papierów pod pachą. Pokręcił się trochę, a potem mówi:

— Chodźcie no tu, Smoliwąsowa, mam do was słów parę.

Kroiłyśmy akurat ziemniaki na zupę, ale odłożyłam nóż i idę. Nic, pomyślałam, tylko ten stary też poczuł wolę Bożą i to względem mojej osoby. A on patrzy na mnie i powiada:

— A gdzie to ten wasz rzymski katolik wakacje będzie spędzać? Pewnie z łobuzami przy grze w pieniądze albo szajbę?

— Co to was, Kalisiak, niby obchodzi — mówię. — Moje dziecko, moja sprawa.

— Właśnie, że nie — odpowiada Kalisiak — dziecko to sprawa społeczna. Dziecko rośnie na przyszłego obywatela swojej ojczyzny, aby ją budować, kiedy nas już nie będzie. I wy to, Smoliwąsowa, powinniście wiedzieć. A przyszedłem do was dlatego, że są wolne miejsca na koloniach i wasz chłopak jako półsierota może tam jechać za darmo.

— Jeszcze czego — mówię — żeby mi go ktoś utopił albo i przeinaczył.

— Co ty gadasz, Smoliwąsowa — odpowiada Kalisiak — tam mu nawet marcepanów brakować nie będzie. Całkowita opieka zapewniona.

A wtedy myśl mnie naszła nagła i oprzeć się jej już nie mogłam. Jak Januszek pojedzie, my ze Zdzisiem wolni będziemy jak dwa ptaki spragnione siebie przez te wszystkie letnie wieczory gorące, a potem niech się dzieje, co chce. Pytam więc jeszcze raz, czy mu się tam aby na pewno nic złego nie stanie.

— Czyś ty się, kobieto, szaleju napiła — powiada Kalisiak — czyś swój rozum w domu zostawiła, przecież na koloniach opieka jak w raju, wychowawcy, pielęg-

niarki, lekarz, rada zakładowa, a nawet i sama partia czuwa nad młodym pokoleniem.

— No to — mówię — niech tam będzie, do kogo mam teraz iść pod względem zapisu?

— Już go sam zapisałem — odrzeknie mi na to Kalisiak. — Podajcie mi tylko dokładną datę urodzenia i imię ojca.

— Piętnasty styczeń — mówię — czterdziesty piąty rok, a nieboszczykowi było Franciszek.

— Wyjazd — poinformowuje mnie Kalisiak — trzydziestego czerwca ósma rano, zbiórka w zakładzie. — A potem wyciąga ten rulon, co go trzymał pod pachą, rozwija i powiada: — Rozwieście to sobie w widocznych miejscach, towarzyszki.

Patrzymy, a to takie afisze, coś tam niby proporczyk i napis drukowanym: „Pracujemy metodą Korabielnikowej."

— Czym? — pyta Jadźka. — A co to znów za Korabielnikowa?

— Metoda ta to praca na wielu stanowiskach jednocześnie. A Korabielnikowa to taka radziecka przodownica pracy.

— Z jakiejś stołówki, kucharka? — pytam.

— Nie — odpowiada Kalisiak — z zakładów tkackich.

No to my wszystkie w śmiech. Co taki zakład ma do kuchni, co ma piernik do wiatraka?

— Cisza — powiada Kalisiak — kobiety z was jeszcze nie uświadomione i ciemne jak noc w piwnicy. Socjalizm tym różni się od kapitalizmu, że da się stosować i w szczególności, i w ogólności. Rozumiecie mnie teraz? A te plakaty zaraz mi porozwieszać, bo jutro przyjdę na kontrol.

Poszedł. Wtedy my znowu w śmiech, jeszcze większy, takie to nam się wesołe wydało. A te plakaty rozwiesiłyśmy, i owszem. Jeden przy samej kuchni, żeby kucharka też mogła pracować po nowemu, jeden tam, gdzie się obierało ziemniaki, a jeszcze jeden tuż przy okienku, gdzie były wydawane obiady, żeby i inni mogli się uświadomić. W tej wesołości aż do południa odsunęła się ode mnie myśl o panu Zdzisku. Suszyć mnie już po tej wczorajszej wódce przestało, więc zaczęłam wyśpiewywać różne piosenki, jakie znałam. Wtedy to Jadźka mówi:

— Chyba dla Zdzisia, Gieniu, tak śpiewasz, te trele pod niebo wyciągasz? Słabość cię naszła na niego.

— Też — powiedziałam — albo to jednemu psu jest Burek, albo to ich mało, tych moczymordów, po świecie chodzi?

Ale od tej chwili doczekać się już nie mogłam fajrantu, bo widać mnie już sam Pan Bóg na ten raz do grzechu przeznaczył.

Nie myślałam wtedy, że robię źle, że może to jego rodzinie szkodzić, a na mnie ludzkie języki wyostrzyć. Wiedziałam od razu, że z niego jest łajdak, że tylko po babach go nosi. Nie przeszkadzało mi to, a nawet jeszcze bardziej mnie do niego ciągnęło, jeszcze bardziej chciałam, żeby był mój i niczyj więcej. Ale na razie dni nam się dłużyły i tylko żeśmy oczy wypatrywali na siebie. Udawałam, kiedy niby do roboty po fajrancie przychodził do mnie, że nie wiem, o co mu idzie, i nawet kiedy Januszek biegł bawić się z kolegami, nie pozwalałam mu a nic, tylko jeszcze bardziej przejmowałam się pracą. Iiałam do wykończenia duże pranie, a i Januszka trzeba ,yło przygotować do wyjazdu. Ale tak naprawdę to we mnie od ochoty na niego aż wszystko się gotowało, chciałam go tak rozpalić, żeby leciał na mnie jak ta motylica do lampy. Tak nadszedł koniec roku szkolnego, potem przeszło jeszcze kilka dni i Januszek z dworca Warszawa Główna razem z innymi dziećmi pojechał na kolonie pod miasto Kłodzko na Zachód.

Odwiozłam go do Warszawy, a kiedy przed wieczorem wróciłam do domu, Zdzisiek już czekał, chociaż wcale nie mówiłam, żeby przyszedł. Postawiłam na stół butelkę słodkiej wódki, zrobiłam coś do zjedzenia. Ale myśmy nawet tej wódki nie wypili i jedzenia nie dotknęli. Poszliśmy do łóżka jeszcze za widna, nim słonko zdążyło zgasnąć na niebie. I zaraz tej pierwszej nocy, która nadeszła, było tak, jak dużo kobiet może tylko zamarzyć, kiedy myśli o szczęściu.

Wszystkie te dni mijały nam teraz szybciej niż myśli. Zdzisiek miał dom, miał rodzinę, a ja chciałam, żeby miał tylko mnie i nikogo więcej. Chciałam, żeby każdej nocy

zostawał ze mną do białego ranka. Ale on musiał wracać do swojej ślubnej, chociaż — jak mi to zaraz powiedział — byłam jego żoną najlepszą, bo z miłości. W pracy chodziłam jak błędna, nie słyszałam, o czym mówiono do mnie. Czułam, jak mnie dotyka, słyszałam jego oddech. Kiedy myłam gary, wycierałam posadzkę czy skrobałam kartofle, wydawało mi się, że jest obok, a ja to wszystko robię tylko dla niego. Jadźka przestała się już o tym temacie wyrażać, tylko czekała, co z tego będzie i co wyniknie. Ale mnie i tak było wszystko jedno. Przekreśliłam swój los i cały rozum dla jednej mojej miłości. Bo cały świat to był teraz on, jego ciało i serce.

O Januszku w tamtych to dniach prawie że zapomniałam. Pan pewnie pomyśli, że ze mnie jest zła matka, że byłam z tych lepszych, co to najpierw sobie dogodzą, a później dopiero dziecku. Przyszedł list od niego, w którym to upraszał mnie o pieniądze na lody i na ciupagę. Pomyślałam, że tu coś nie tak, że obowiązków swoich nie pamiętam. Upiekłam placek, nazajutrz zrobiłam paczkę, do paczki wsadziłam parę złotych i wysłałam do Januszka.

Ale kiedy tylko wróciłam z poczty do domu, znów zaczęłam wypatrywać Zdzisia, który w tym dniu nie mógł przyjść, bo dziecko mu zachorowało na koklusz. Nie przemawiało to do mnie, zupełnie jakbym się duru najadła albo rozum do reszty zaprzepaściła. Siadłam przy oknie i patrzyłam na ulicę, czy aby Zdzisio nie idzie. Przeczekałam szarówkę, przeczekałam cały długi wieczór, czekałam w nocy i dopiero jak gwiazdy zaczęły blednąć na niebie, poszłam spać. Wstałam, jak zawsze, przed piątą rano po krótkim śnie i już przez cały dzień było mi tak, jakbym miała za chwilę umrzeć. A przecież nie było to z mojej ani z jego winy, tylko za przyczyną choroby, która jest ponad ludźmi.

Lato wciąż było piękne. Jabłonka stała teraz za oknem oblepiona owocami. Ani się obejrzałam, jak zadzwoniły na polach kosy i jak już niebawem było po żniwach. Przypomniało mi to wieś, robotę w polu i nieboszczyka Franciszka, który najpierw przyjeżdżał rowerem za szmuglem, a potem zaczął się starać o mnie u moich ojców.

Czy ty, Franiu, myślałam, na tym lepszym świecie

czasem chociaż wspominasz swoją żoneczkę i czy wybaczysz to jej miłosne zamroczenie ze Zdziśkiem? Przecież żeście razem chodzili kiedyś do szkoły, tylko Zdzisiek został się później za elektryka, a ty żeś poszedł do fabryki robić na odlewni. Młoda jestem jeszcze, Franiu, i tyle lat byłam jak ta ziemia, co leży odłogiem i tylko chwast na niej rośnie i kąkol. Gdyby cię Niemce nie zabili, nigdy by do takiej okoliczności nie doszło. Ale powiem ci jeszcze, mężu mój, że gdybyś nawet mnie przeklął, a i do samego Pana Boga chodził na skargę, i tak Zdzisia się nie wyrzeknę, bo jest mi z nim tak, jak nawet z tobą nie było.

Miesiąc minął jak piękny sen, jak upojny taniec w ukochanych ramionach. Wrócił Januszek, opalony, z porozbijanymi kolanami, usta mu się nie zamykały, tyle opowiadał. Przywiózł całą torbę kamieni, na niektórych jakby złote żyłki było widać. Tłukł je na podwórzu młotkiem, złota w nich szukał. — Mamusiu — mówił — będziemy teraz bogaci, kupimy sobie dom i nie będziesz już musiała robić w fabryce. — A ja tego gadania słuchałam piąte przez dziesiąte, bo nasza miłość ze Zdziśkiem z takiej to przyczyny, że nie mamy gdzie pójść, zaczęła umierać bez nadziei. Mówiłam z nim delikatnie względem rozwodu, że dla jego dzieci gotowa jestem być rodzoną matką, ale on uśmiechał się tylko i wykręcające dawał odpowiedzi.

Owszem, mówił, że mnie kocha, że beze mnie jego życie wartości swojej nie przedstawia, ale ma żonę, a z Krysią tak łatwo nam nie pójdzie. A i dzieci też, dla których jest ojcem, na poniewierkę nie zostawi.

Z robotą się zaniedbałam, klientki po pranie przychodziły, a u mnie sterta brudów leżała odłożona na nie wiem kiedy. Trzeba było zakasać rękawy i wszystko poprać, bo nie ma nic gorszego jak zostać się przed zimą bez pieniędzy. Znów przyniosłam balię, zaczęłam grzać całe kotły wody, a potem na tarze czyjeś brudy wewte i wewte smyrgać. Zdzisio jeszcze przychodził, Januszkowi cukierki dawał, żeby poszedł gdzieś z chłopakami pobiegać. Cuchnęło mydlinami, gorąc od pieca bił straszny,

ale kiedy tylko Januszek z mieszkania albo z podwórza precz szedł, myśmy garnęli się do siebie w pośpiechu, jakby mój ukochany był w wojsku i za godzinę mu się przepustka kończyła.

Ale to było już co innego. Czułam strach, że zaraz Januszek zacznie walić do drzwi albo podejrzy nas przez okno. I chyba już coś zmiarkował, bo wcale nie chciał wychodzić z domu, chociaż mu Zdzisio najlepsze łakocie dawał. Kupiłam mu więc futbol do gry w piłkę nożną. Ucieszył się, ale grał tylko na podwórku. Sprowadzał chłopaków i do nocy kopali piłkę waląc o ścianę domu, aż deski trzeszczały. Z tego wszystkiego zrobiłam się jeszcze bardziej nerwowa, byle co mnie denerwowało. Zdzisio siedział przy stole, piwo albo oranżadę popijał i patrzył w okno. Bałam się, że przestanie przychodzić albo że znajdzie sobie inną kobietę, która ma wolne mieszkanie i czas, co zresztą szło na jedno.

I tak uciekała nam reszta lata obok pragnień i tęsknot. Dni zrobiły się mniejsze, szybciej przychodziła szarówka. Januszek przestał kopać futbol, naumyślnie chyba przedziurawił pęcherz, bo piłka leżała w kącie, jak szmata. Takiś ty mądry, pomyślałam, tak swoją mamusię pilnujesz i szczęścia tego jednego, co jej jeszcze w życiu zostało, odmawiasz? Już ja znajdę na ciebie sposób. Bo jak to ma być, żeby taki niewyrośnięty smarkacz dwoje dorosłych za nos wodził.

— Na ksiuty — mówię do Zdzisia — będziemy się, póki co, gdzie indziej udawać, nie do mojego mieszkania.

— Jakbyś mi pozwoleństwo dała — odpowiada mi w te słowa Zdzisio — to ja bym mu dobrze w tyłek nakładł. Co to jest, żeby taki mały ciągle w domu siedział jak jakiś kaleka? Mizerak z niego wyrośnie, chuchro.

— To jest mój własny syn — odpowiedziałam — a względem tego, kto ma mu w tyłek nakładać, nie ty, Zdzisiu, masz ostatnie słowo. A o resztę się nie martw. Już ja tak wymyślę, że znów będziemy się mogli chociaż trochę sobą nacieszyć.

Na drugi dzień nagrzałam wody, nalałam do balii i dalej szorować Januszka, aż mydliny pryskają.

— Co to — mówi on do mnie — na jakie to konto mamusia mnie tak myje?

— Nie na żadne konto — odpowiadam — ani z żadnej to innej przyczyny, synu, tylko do kościoła pójdziemy, Pana naszego o odpuszczenie grzechów prosić.

— Ja nie muszę — powiada Januszek — ja tam nijakich grzechów nie narobiłem.

— Nie narobiłeś? A kto to ciurkiem, jak na pokucie, w domu siedzi? Ja? Coś zmalować musiałeś i teraz się boisz wyjść na powietrze. Powiedz mi, co się stało, szyb gdzie natłukłeś albo co wziąłeś komu?

Januszek spojrzał na mnie, oczy mu się okrągłe jak u ryby zrobiły.

— Mamusia żartuje — mówi — lipę mi wstawia. Ja też mogę sobie w domu posiedzieć i radia, jak pan Zdzisio, jeżeli mam życzenie, posłuchać. To chyba mnie wolno?

— Nie pyskuj — mówię — jak ty się do matki swojej wyrażasz? Wyłaź z tej balii, dosyć już mycia.

Wytarłam go do sucha, założyłam mu czyste ubranko. Sama też ogarnęłam się szybko i po niedzielnemu.

— Idziemy — mówię — bo zaraz zacznie się nabożeństwo.

— A co pan Zdzisiek — pyta Januszek — dzisiaj nie przyjdzie?

— Co on jest, nasz? — odpowiadam. — Ma życzenie, to przychodzi. Tak jak twoi koledzy, co z nimi futbol kopiesz.

Wzięłam go mocno za rękę i w drogę. Kawałek za domem, gdzie łąki się zaczynały, z dziesięciu chłopaczków gania się w berka zaklepywanego, aż miło. Zatrzymałam się na chwilę, Januszka jeszcze mocniej za rękę wzięłam i wołam do najbliższego, którym był Henio, syn milicjanta, przezwiskiem Piegus.

— Dosyć tej zabawy, lepiej byście swoje grzeszne łby przeżegnali. Heniu, chodź z nami do kościoła, bo tam akurat z Januszkiem idę.

Henio zatrzymał się, gdzie zaraz też został zaklepany, i woła:

— Co pani! Żeby mnie fatrowski krzywdę zrobił za taką przeszkodę w karierze?

— Jak dorośniesz, jak ci rozumu przybędzie, to jeszcze pożałujesz — mówię, a drugą ręką łapię Januszka za koł-

nierz, gdyż czuję, że zaraz mi się szarpnie i będzie chciał uciec.

Postałam chwilę, przez ten czas chłopaczyska się zbiegli i patrzą na nas jak na jakichś rarogów. Nie ma co, myślę, trzeba Januszka holować dalej, bo tutaj nie dam mu rady.

W kościele zaraz żeśmy podeszli pod sam ołtarz, żeby nas ksiądz i ministranci widzieli. Tu już spokojna byłam i mogłam dać rękom odpocząć, bo drżały mi nie przymierzając tak, jakbym jakieś duże ciężary nosiła. Januszek nic, nawet grzeczny się zrobił, klęka, kiedy trzeba, żegna się, modli, ale przy tym wzdycha, rozgląda się wokół, jakby na cud czekał, taki, żeby mu się furtka w murze zrobiła, prosto na wolność. Dobrze ci tak, myślę, cierp, ciało, kiedyś takie głupie. Mnie też ciężko, każda jedna minuta ciągnie się, jakby z klajstru była, ja też całkiem co innego mam w głowie niż modły, bo na to, gdyby wszystko szło za koleją, jeszcze czas.

I tak całe nabożeństwo oboje żeśmy się przemęczyli. Co się memu Januszkowi przedstawiało, tego powiedzieć nie mogę, ale ja ciągle żem Zdzisia widziała, raz za księdza, że niby teraz jest pod ołtarzem i odprawia, a potem znów za wojskowego majora z piersią w medalach, ale kiedy zaczęło mi się przedstawiać, że jesteśmy w ciepłych krajach, gdzie w pięknym hotelu leżę ze Zdzisiem na tapczanie, jedząca banany i pomarańcze, to mi się tak zrobiło, jak to nieraz jest zimą, kiedy wiatr mroźny gdzieś na polach osaczy człowieka, i strach mnie przebił na wylot. Padłam na kolana, Januszka do tego samego zmusiłam. Boże, pomyślałam, ze mnie jest przecież ciężko pracująca kobieta, która to żadnej radości od lat w życiu nie miała. Nawet snu sobie żałowałam, nie mówiąc o łakociach czy jakiejś lepszej sukience. Popatrz na nasz grzech jak ojciec, który dzieciom wybacza w sercu swoim. Amen.

— Mamusiu — powiedział wtedy Januszek — kolana mnie o podłogę gnietą, jeszcze mi się jaka woda w kościach zalęgnie, mogę wstać?

— Wstań, synu — odrzekłam — a jutro znowuż tutaj przyjdziemy.

Za trzecim razem Januszek miał już całkiem dosyć.

— Inne chłopaki — mówi do mnie przy kolacji — do

kościoła wcale nie chodzą, nawet w niedzielę. Biegają sobie po łąkach, różne bąki zbijają i figle stroją. U innych chłopaków w domu wcale nie ma tak, żeby za byle co iść do kościoła.

Oho, myślę sobie, to już dobrze, to my ze Zdzisiem chociaż trochę tej swobody dla serc spragnionych znajdziemy. I mówię:

— Inne chłopaki to swojej matce rodzonej mówią, co i gdzie zmalowali. Nie tak jak ty. Po nocach już spać nie mogę, tak się tym gryzę.

— Mamusiu kochana — mówi Januszek — żebym tak już nigdy futbola nie kopał, żeby mnie ogień wiekuisty spalił w czarnej smole, jak kłamię. Nigdzie żem nic nie zrobił, nawet na jabłka prawie nie chodziłem, tylko ten pan Zdzisiek do nerwów mnie doprowadził. Co jemu do mojej mamusi, zapytywałem własną osobę, po co on stale tu siedzi i do domu nie idzie? Chłopaki śmieli się ze mnie, że ten wąchaty na ksiuty do ciebie chodzi.

— Który to — pytam groźnie — który to tak wrednie › mnie się wypowiedział?

— Najwięcej Heniek Piegus — powiada Januszek — on przeważnie.

— Pan Zdzisiek — mówię — przychodzi tu jako twojego świętej pamięci tatusia i twojej mamusi kolega. Posiedzi trochę, pogada, żeby mamusia do tych czterech gołych ścian i do tych brudów, co pierze, gadać nie musiała, a potem do własnego domu, do żony i do dzieci wraca. Rozumiesz teraz?

— Mamusiu kochana — odzywa się w te słowa Januszek — ja zupełnie co innego myślałem, mnie się całkiem inne rzeczy przedstawiały. Ja mamusię przepraszam bardzo i już więcej nie będę. Mogę iść? W chowanego się z chłopakami poganiać albo w co innego.

— Idź — powiedziałam — i nie ganiaj za długo, bo się spocisz i choroba gotowa. Mamusia pójdzie do kościoła, pomodli się trochę i przyjdzie.

I tak nie patrząc na nic, ani na rozsądek, ani na to, żem przecież nie była już smarkulą, zaczęłam z ukocha-

nym moim spotykać się w komnacie gwiezdnej, chodzić za miasto, daleko w łąki i pola puste już i szare, jak to zawsze przy końcu lata. Wieczory nadchodziły wcześniej, były coraz zimniejsze. Leżeliśmy na Zdzisiowym płaszczu, który szybko od rosy robił się wilgotny. Widziałam, że nasza miłość już się kończy, że tak być nie może. Rozum powiadał mi, żebym wszystko zostawiła sama, zanim on to zrobi. Zdzisio mi już takich, co przed miesiącem, czułych słówek nie prawił, o dwojgu serc, co biją jak jedno, nie mówił. Kiedy byłam na robocie w fabryce, a potem w domu nosiłam kubły wody i nad balią własne zdrowie psułam, mówiłam sobie, że to już koniec, bo gdzie takiej kobiecie jak ja do grzesznej miłości z żonatym mężczyzną. Jadźka mnie już nawet o nic nie pytała, wystarczyło popatrzeć. Schudłam dobre pięć kilo, wszystkie sukienki wisiały na mnie, jakbym w Oświęcimiu, za przeproszeniem, na wypasie była. Ale kiedy nadchodził wieczór, w który znowu miałam ze Zdzisiem iść do naszej gwiezdnej komnaty — chociaż teraz i pół godziny, i dłużej wyczekiwałam na niego w bocznej uliczce za kościołem — rozum uciekał ze mnie jak powietrze z przekłutej dętki. Ale ile może trwać szczęście człowieka, dzień, miesiąc, rok czy tylko chwilkę? Szczęście przylatuje jak ptak z zamorskich ciepłych krajów i zaraz tam, zanim się człowiek zdąży nim nacieszyć, wraca.

Szczęście nasze sieroce trwało do pierwszych deszczów jesiennych, do pierwszej ulewy, która pola zmieniła w bajora. Nic już z naszej gwiezdnej komnaty, nic ze spacerów pod bladym obliczem księżyca. Zwróciłam się zatem do Jadzi, która męża jeszcze nie miała, a tylko próby mężowskie robiła, żeby pokoju zechciała mi użyczyć na pożegnanie ze Zdzisiem.

— Dobrze — powiedziała — ale czy to aby na pewno koniec, Gieniu?

— Na pewno, Jadziu — odparłam — jak to, że po nocy przychodzi dzień, a po jesieni zima. Z braku odpowiednich warunków i sytuacji miłość nasza umiera.

Januszek już ze trzy tygodnie chodził do szkoły, ale nie zainteresowałam się jeszcze tym, czy ma książki, czy zeszyty kupił takie, jak trzeba. Nie powiem, żebym o niego nie dbała, jedzenie miał na czas, był czysty i o-

prany, ale myślami byłam gdzie indziej, jak ten więzień, co krat swoich nie widzi, chociaż je ma przed nosem. Januszek zmiarkował już, że go z tym kościołem i ze Zdzisiem oszukałam. Dostrzegłam to, a niedobrze jest matce mieć względem syna taką ciężką myśl o kłamstwie. Gryzło mnie to i bolało, ale zaraz mówiłam sobie, niech się dzieje, co chce, jak jestem zła, niech będę jeszcze gorsza. Wilczymi oczami patrzeliśmy na siebie, mało co mówiąc. Deszcz padał ciurkiem utrudniając mi moją ciężką pracę, bowiem bielizny na powietrzu nie mogłam już suszyć.

Był akurat początek tygodnia, wtorek, może środa, mieszkanie u Jadźki miałam zamówione na sobotę, o którym to dniu z powodu mojego postanowienia myślałam jak o dniu pogrzebu. Wylewałam brudy, przynosiłam kubły czystej wody, jakbym była ślepa, nie widząc zupełnie roboty. Januszek siedział przy oknie, bo dopiero co wrócił z dworu zmarznięty. I wtedy to odezwał się do mnie w te słowa:

— Co to, już mamusia do tego kościoła, co go nie ma, nie chodzi? Do tego kościoła, co jest na łąkach za rowem, a go nie widać? Zapytuję, bo mnie różne sztuki magiki obchodzą. Cyrk lubię.

Zatkało mnie.

— Królestwo Boże, synu — odpowiadam — może być wszędzie, w każdym miejscu.

Wziął pogrzebacz, zaczął nim smyrgać w palenisku.

— Panią Krysię spotkałem — powiedział — porozmawialiśmy sobie.

— O czym? — spytałam prędko. — Chyba niczego złego na swoją mamusię albo na pana Zdzisia nie powiedziałeś?

— Ja pana Zdzisia mam głęboko — wyrzekł i znowu smyrgnął pogrzebaczem, aż kawałek żaru wypadł na blachę przy kuchni. — Żołnierzy ołowianych, takich dużych — pokazał na palcu — widziałem w sklepie przy stacji. Piechota i konnica. Nawet zaraz mógłbym iść po nich.

Weszłam do pokoju i wyjęłam z szafy torebkę.

— Po ile to wojsko? — spytałam.

— Półtorej dychy pudełko, ale mnie potrzeba po dwa.

— Nie dam — odparłam — za drogo.

Januszek podniósł się ze stołka.

— Jak mamusia uważa — powiedział. — To ja już sobie pójdę i polatam po świeżym powietrzu.

Złapałam go za kołnierz.

— Dokąd to idziesz, szczochu jeden, co ciężkiej pracy swojej mamusi nie chcesz uszanować?

— W oleandry — mówi — tam, gdzie jest taki kościół, co go nie ma, i pani Krysi pokażę, co się w nim odprawia.

Nogi mi się od słabizny ugięły. Gdybym pod ręką co miała, to pewnie bym mu krzywdę ciężką zrobiła. A tak tylko otworzyłam torebkę i przedostatnie sto złotych wyjęłam.

— Masz! — krzyknęłam. — I nie pokazuj mi się na oczy, bo jeszcze jakieś nieszczęście będzie.

— Czekoladę też sobie kupię — powiedział Januszek i popatrzył na mnie tak, jakby patrzył na obcą kobietę.

I tak minęły nam te dni do soboty. Mnie, jakbym syna nie miała, a Januszkowi, jakby nie miał rodzonej matki. Dosyć już, mówiłam sobie, tej męki, tego kochania bez nadziei z żonatym mężczyzną. Niech raz na zawsze się skończy, bo dłużej już nie wytrzymam.

W sobotę ubrałam się tak pięknie jak w dniu komunii. Włosy nakręciłam na gorąco i uczesałam w loki. Januszek żołnierzy porozstawiał na podłodze i udawał, że mnie nie widzi. Zezłościć mnie nie mógł, chociaż to wojsko tyle mnie pieniędzy kosztowało, bo moje nerwy tego dnia zwrócone były w inną stronę i na inną osobę.

Do Jadźki przyszłam wcześniej, niż było umówione. Chciałam wódki słodkiej kupić na rozstanie z ukochanym, ale pieniędzy mi zabrakło, akurat o tę stówkę, którą Januszkowi dałam. Jadźka zaraz płaszcz naciągnęła, po mieszkaniu popatrzyła, czy gdzieś bałagan nie czeka na gościa, i powiada:

— Wiesz, Gienka, co robisz, rozum ci już chyba do głowy wrócił? Jakby to był kawaler, to ja bym wam sama jeszcze łóżko słała. A tak musisz się z nim albo z szacunkiem u ludzi i własną przyszłością pożegnać.

— Będzie tak, Jadziu — odrzekłam — jak powiedziałam, bo inaczej być nie może.

A kiedy to mówiłam, myśl mnie naszła taka, o której ty, Jadziu, nic wiedzieć nie mogłaś, o której ty, Jadziu, nigdy też się nie dowiedziałaś. Bo kiedy później wyjechałaś z miasta i wyszłaś za mąż, twoje małżeństwo okazało się szczęśliwe, dlatego że nikt ci twojego męża nie mógł do gazu zabrać, twój mąż żył tak jak inni. Ten wieczór, Jadziu, to nie tylko pożegnanie ze Zdzisiem, ale także rozstanie z moją kobiecą młodością. Dzisiaj moje szczęście własne musi zostać pożegnane, bo nie ma już dla niego miejsca. I ja to, Jadziu, wiem, chociaż mnie w szkołach za dużo nie uczono, na książkach nie kształcono.

Była godzina piąta, jak Jadzia poszła do koleżanki, z którą miała pojechać do Warszawy, do kina. Pamiętam ten fakt dobrze, zegarek przecież założyłam na pozłacanej bransolecie, który nosiłam tylko od święta. Była godzina piąta, jak zaczęłam czekać, żeby nacieszyć się Zdzisiem po raz ostatni. Siedziałam sama w pustym mieszkaniu, za ścianą u sąsiadów grało radio. Minęła godzina, potem jeszcze jedna. O dziewiętnastej położyłam się na łóżku i zdjęłam buty. Zrobiło się ciemno, deszcz tłukł o szyby. Może Zdzisio zapomniał, może dni mu się pochmajtały? Ale nie, sam przecież upraszał, żeby pokoik jakiś wynaleźć, bo na polach już błoto i zawierucha. Przyjdzie pewnie. Tylko że czasu coraz mniej, nie starczy i na kochanie, i na rozmowę. Czego zatem ma tu nie być? Kochania czy rozmowy? A tam Januszek sam. Kolację mu uszykowałam, ale może chłopaczek się boi? Dom jest stary, cara pamięta, wieczorami i nocą skrzypi i postukuje, jakby deski żywe były i do siebie w ciemnościach wołały.

I tak, raz odczuwając to, co matka czuje, kiedy się boi o dziecko, a raz znów to, co kobieta przeżywa oczekując na ukochanego, który nią wzgardził, przesiedziałam samotnie u Jadźki prawie do nocy. Zdzisio nie przyszedł i żadnej wiadomości, żadnego nawet liściku nie przysłał. Pomyślałam, że może mu się coś stało, zachorował albo mu pilna robota wypadła po fajrant, ale w sam raz wróciła Jadźka, od której to dowiedziałam się, że widziała Zdzisia w Warszawie, jak z taką jedną, o której nawet słowa nie warto powiedzieć, wchodził do kawiarni. I to już wszystko. Już tutaj niczego dodać nie można. Taki to

był koniec mojej miłości, która od początku czekała na śmierć. Bo czym może wygodzić ciężko pracująca kobieta, bez mieszkania, zaganiana od świtu do nocy, mężczyźnie o dużej miłosnej potrzebie.

...Czy to mnie się tylko wydawało, czy ktoś puka? Niech pan przesiądzie się trochę dalej, nie siedzi tak na widoku. Mogą pomyśleć, że u mnie jest tajniak, że milicja tu pana nasłała. Zaraz, zaraz, już idę! Tak jest, dobrze. Mówiłam przecież, że idę. Pcha się, cholera jakaś, jak do miodu, jak do darmowych pieniędzy...

O czym to ja mówiłam? Już wiem. O tym, jak w moim życiu skończyło się święto i wszystko znów stało się szare i zwykłe. Przyszła jesień, potem po porządku zima, śnieżna i mroźna, nie taka jak te zimy teraźniejsze, w których więcej jest deszczu niż śniegu. Ja do pracy. Januszek do szkoły. Januszek ze szkoły, ja abarotno do pracy. Silna byłam wtedy jak koń i wszystko mi się w rękach paliło. Postanowiłam, dopóki mi sił starczy, kupić do domu, co trzeba, ogarnąć siebie i Januszka. Chciałam też zapomnieć, że jestem jeszcze nie taka stara, że dla mnie też by mogło słońce świecić. Synowi nie mogłam za wiele czasu poświęcić czy przypilnować przy lekcjach. Uważałam tylko, żeby po szkole więcej w domu przebywał, niż z chłopakami na łąkach biegał, bo z takiego biegania tylko coś złego może się przydarzyć. W tym czasie i może ten rok czy dwa później on jeszcze był usłuchany, jeszcze mi w pracy pomagał, zakupy w sklepie zrobił. Ale później, jak się z chłopca w chłopaka przemieniał, coraz mniej chciał mnie słuchać. A nie żałowałam mu przecież ani serca matczynego, ani troski i opieki. Z jedzeniem też było dobrze, bo tym, co przynosiłam z fabryki, można było wykarmić nie tylko nas, ale jeszcze ze dwie osoby albo nawet i wieprza.

Klienteli ciągle miałam sporo, w robocie byłam dokładna, ale już tu i tam pralki zaczęły się pojawiać. Myślałam nawet, jak by samej takie urządzenie zdobyć, bardzo by mi przecież ułatwiło pracę. Ale jeszcze nie dla psa kiełbasa, nie dla mnie wtedy takie wspaniałości, na które mogły sobie tylko bogate panie pozwolić. Gdybym

przy tamtych moich latach miała ten rozum co dzisiaj, tobym się może i jakiegoś fachu nauczyła. Teraz, kiedy patrzę na ludzi, co uczyli się, kiedy była na to pora, to smutek mnie ogarnia i żal. Kalisiak, któremu też pewnie w oko wpadłam, mówił mi niejeden raz:

— Smoliwąsowa, ty sobie życia kuchnią nie zasłaniaj, patrz dalej, sięgaj wyżej.

Jego samego prosto z sekretarza posłali na kurs dyrektorów. Ludzie żałowali. Takiego sekretarza ani przedtem, ani już później nie było. Każdą sprawę można było załatwić. Jakbym się Kalisiaka usłuchała, tobym skończyła jako kierowniczka stołówki, a nie jako druga kucharka, chociaż i to przecież była poważna funkcja. I Januszek też pewnie inaczej by się na mnie patrzył, bo co to za przyjemność dla chłopca mieć matkę kucharkę i praczkę w jednej babie, kiedy naokoło coraz więcej dzieci inżynierów, lekarzy i takich, co pieniędzy mają a mają, chociaż nikt nie wie skąd.

A w ogóle to mało uświadomiona byłam zawsze. Czytać, czytam, ale nie za szybko i najlepiej drukowane. Łatwiej mi już rachowanie idzie. Musiałam przecież nauczyć się rachować każdy grosz bardziej niż kto inny. Inaczej by nie było ani tych mebli na wysoki połysk, ani telewizora, ani nic. Żylibyśmy w brudzie, ubóstwie i bez żadnego osiągnięcia.

Polityka mnie też nie interesuje. Dla kobiety ważny jest dom i rodzina. O śmierci prezydenta Bieruta dowiedziałam się na ten przykład dwa dni później. Niewiele to mnie zresztą obeszło. Nie będzie ten, to będzie inny. A ja i tak co rano będę musiała iść do roboty, a później prać brudy tych, co mają czas na politykę i na życie wygodniejsze. Źle myślałam, bo i ja mogłam mieć życie wygodniejsze, gdybym inaczej nim pokierowała i gdybym inaczej mogła pokierować życiem mojego Januszka. A może on już nie mógł być inny, tylko taki, jaki jest teraz? Może za człowiekiem idzie jego los, jak za psem ogon? Może człowiek rodzi się od razu z takim przeznaczeniem, a nie innym i nic już na to poradzić nie potrafi?

Od czasu kiedy zgrzeszyłam wobec Boga i zapomniałam o obowiązkach matki, minęło ze dwa lata. Nie chcę już do tego wracać. Powiem tylko, że zgadałam się niejeden

raz z Krysią, Zdziśkową żoną, która powiedziała mi, że wie wszystko i żadnych pretensji do mnie nie wnosi, tylko do męża, który posiada taki charakter, że zawsze musi mieć nowe ciało, a kiedy już sobie użyje, zawraca do innej kobiety. Byłam dla niego jedną z wielu, którą to usidlił i opętał.

Januszek póki co rósł i rozwijał się dobrze. Z początku myślałam, że mi to moje zapomnienie wybaczył, ale on nie zapomniał mi nigdy, nawet teraz. W szóstej klasie przestał się uczyć, wagarował i zaczął różne psikusy wymyślać. Zawsze miał takich koleżków, co go od nauki odciągali. Kiedyś kotka białego całego na czarno sadzą pobrudzili i na dużej przerwie przez okno cisnęli do pokoju nauczycielskiego. Profesorowie sobie tam siedzieli, kawę pili, dzienniki lekcyjne przeglądali — czy aby tam komu jeszcze dwójkę wstawić — a tu kotek pac na podłogę, jak z nieba.

Jedna młoda profesorka od razu go na kolana i głaszcze. Kotek mruczy, bo z rąk swoich katów się wyrwał, a na kolanach kobiecych mu ciepło i dobrze. Ale co to? Ręka pani do manikiurów nawykła od głaskania robi się czarna, a jasna, wiosenna suknia wygląda, jakby się diabeł zesrał. Zrobił się krzyk, profesorowie rozbiegli się po szkole i dalej go, winowajcy tego przestępstwa, szukać. Może by się nie wydało, bo chłopaki jeden za drugim trzymają, ale pewna dziewczyna, która ich podejrzała, mówi:

— Te łobuzy to jeden Smoliwąs, a drugi Wątroba. Wątroba przytrzymał, a Smoliwąs smarował.

I zaraz Januszka i jego koleżkę do samego dyrektora prowadzą.

— To wy — pyta dyrektor — tak tego kotka namaściliście, że zrobił się czarny?

— Tak — powiada śmiało mój Januszek — bo był za biały, oczy nas od patrzenia boleli.

— Brać za teczki — krzyczy dyrektor — i jazda do domu. Bez rodziców w szkole mnie się nie pokazywać.

A czy ja miałam czas włóczyć się po szkołach? Toż to cała Sodoma i Gomora była z wyjściem z roboty w czasie pracy. Gadania i bieganiny, żeby dyscypliny nie naruszyć. Najpierw do kierowniczki stołówki, potem do kie-

rownika administracyjno-gospodarczego, gdzie całą sprawę trzeba było wypowiedzieć, a potem jeszcze, jak kierownik swoją zgodę wyraził, obowiązkowo trzeba do specjalnej księgi się wpisać. Dopiero wtedy można było iść na przepustkę. Najgorzej z wpisywaniem. Ja nie piszę, ja kulfony stawiam, tak jak kura, co po świeżym piachu łazi. Gorąco mi się robiło, pot oczy zalewał, ręka pióra się brzydzi, a tu uważaj, żeby za linię nie wyjechać albo kleksa nie postawić.

— Pani syn — mówi do mnie dyrektor — na łobuza wrednego rośnie, na pasożyta aspołecznego. Cały naród idzie do lepszej przyszłości, a Smoliwąs koty sadzą smaruje, zwierzęta niewinne męczy. Nauczycielce od polskiego sukienkę na durch zabrudził i tego drugiego, jak mu tam, Wątroba, też na manowiec sprowadził.

— Tą sukienkę — mówię — to ja wezmę, wypiorę i odprasuję, jak się należy. Mogę też i co innego pani profesor przy okazji poprać.

— Tutaj — powiada dyrektor — inna przepierka jest potrzebna, dorosłej kobiety nie będę uczyć jaka.

— Słuszna racja, panie dyrektorze — mówię — mnie tam dwa razy, jak jakiej przygłupiej, tego samego tłumaczyć nie trzeba.

Wracałam z roboty cały czas myśląc, jak by tu się ustrzec od takich rzeczy i niepowodzeń. Zbić to ja go mogę, nawet kości połamać, ale co z tego, jaka korzyść się za tym kryje i pożytek? Żaden. Przecież to już chłopak duży i na tyle myślący, że dobre od złego tak jak dzień po nocy potrafi odróżnić. Przez całe poobiedzie nie mówiłam nic, dopiero wieczorem, jak żeśmy usiedli do kolacji, na którą to kopytka fabryczne odsmażyłam na rumiano i dałam zsiadłe mleko, powiadam:

— Januszku, synu mój! Bóg miłosierny i ludzie inteligentni patrzą na ciebie, popraw się, przyfolguj, bo kto to myślał, żeby z kotka odmieńca robić. Popatrz tylko na matkę, która bez dania racji uprać musi sukienkę tej nauczycielki, której to, jakby główek dziecinnych, jasnych nie było, kota zachciało się głaskać. Tak to już dłużej nie może być — mówię, biorąc za pas, który mi

jeszcze po nieboszczyku mężu został, żeby mu mowę moją od innej strony wytłumaczyć — bo dubeltowo to zawsze pewniej.

A Januszek ręce przede mną jak do modlitwy składa i odzywa się następująco:

— Mamusiu ukochana, już takich głupot nie zrobię, już ani kotom, ani psom, ani dziewczynom siupów robić nie będę. Tak mi dopomóż Bóg.

— Dobra — odrzekłam, pas odkładając na bok — ale mi tutaj zaraz przysięgaj.

— Przysięgam — odpowiedział syn mój i łzy mu gęste pociekły.

Ale niedługo cieszyłam się tą spokojnością, na którą przysięga wskazywała. Niedługo miałam sny spokojne i szczere spojrzenie dla ludzi. Wiosna już była na całego, maj piękny, na brzozach pierwsze liście, kiedy Januszek z tym samym Wątrobą wymyślił zabawę w piegi.

Za tamtych lat, obrośnięta drzewami, stała za szkołą ubikacja. Wielka jak mały dom, malowana na zielono. Z jednej strony wejście dla dziewczyn, z drugiej dla chłopaków. Za ubikacją klapa, a pod klapą szambo głębokie na dobrego chłopa. Januszek koleżków swoich zebrał i rozkazuje: — Robim, chłopaki, dziewczynom piegi na dupskach, tylko kamieni nanośta.

Jak powiedział, tak było wykonane. Na dużej pauzie, kiedy dziewczyn do ubikacji napchało się jak do kina objazdowego, drągiem po cichu klapę podnieśli i kamieniami łubudu do środka.

Krzyk zrobił się straszny, jedne płaczą, drugie znów — co jeszcze nad dziurami nie kucły — gazety im znoszą, żeby się oporządziły, zanim wrócą do szkoły.

Lekcje przerwano, nauczyciele zeszli się i mówią z mety: To Smoliwąs. To Smoliwąsa i jego drużyny sprawka.

Ledwie minęły dwa dni, a ja znowu do kierowniczki, do kierownika administracyjno-gospodarczego, do księgi wychodów garbatymi jak mój los kulfonami się wpisać i wreszcie na biuro przepustek, gdzie mnie na osobność strażnik zaprowadził, a portierka dokładnie łapami obmacała. Nie wierzyli już, bo kto z powodu dziecka co parę dni do szkoły lata? Wariat albo pomylony, albo taki, co ma w tym jakiś interes boczny.

Dyrektor już za tym razem zaczął krzyczeć: — Pani syn na bandytę wyrośnie! Pani chociaż wie, co on zrobił? Mały, a już zboczeniec.

I dalej mi opowiadać, a mnie włos się jeży i taka krew zalewa, że na oczy patrzeć nie mogę, tylko mgłę widzę i ręce dyrektora, jak w tej mgle latają z miejsca na miejsce.

— Z cenzurą do siódmej klasy to niech się pożegna — krzyczy — prędzej mi włosy tutaj wyrosną!

I jego ręka zatrzymuje się przede mną i sterczy w tej mgle rozczapierzona jak indyczy ogon.

W domu pas sobie uszykowałam, a później po namyśleniu sznur od żelazka upletłam w grubą pytę i czekam. Obiad minął, kolacja też, noc już w świergotaniu słowików nadchodzi, a Januszka nie ma. Cwany jesteś, myślę, ale mamusia twoja też wie, co zrobić, kiedy prośby i przysięgi żyją krócej niż splunąć. Póki co, piorę, aż tara jęczy, z wiadrami chodzę biegiem, mówię sobie — nic to, pewnie gdzieś spod krzaka patrzy, kombinuje, jak do domu wejść, ale mnie już na litość nie weźmie. Późno się zrobiło, fabryka na dziesiątą w nocy zagwizdała, o robocie już nie myślę, kolory z białym mieszam jak przygłupia i wreszcie rzucam wszystko i do sąsiadów Karolaków, co przez ścianę mieszkają, biegnę. Spać się już kładli, Karolak na łóżku w gaciach siedział, odciski w miednicy moczył, a obok niego radio wiadomości nadawało na przyciszonym głosie z Londynu. Dzieciaki Karolaków, dwie dziewczynki wtedy jeszcze zupełnie małoletnie, spały, tylko Karolakowa coś szykowała przy kuchni na jutro.

— Panie Karolak — powiedziałam — Januszek zginął, tylko pan może mi pomóc szukać, bo nikogo w nocy nie znajdę.

— Od szukania jest milicja — odpowiedział Karolak — albo też może być jamnik. Ja nigdzie nie idę. Przed robotą muszę się wyspać.

— Januszek jej zginął — rzekła Karolakowa — widział kto? Na miłość ci się zebrało po nocy, myślisz, że nie wiem, co tu się wyrabiało? Ty od mojego chłopa się odczep, bo jeszcze cię krzywda spotka.

— Żałuję, że przyszłam — powiedziałam — żałuję, żem

usta swoje otworzyła o pomoc się zwracając. Ale może i wy czegoś od ludzi potrzebować będziecie, może i na was taka chwila przyjdzie.

Poszłam. O co oni źli tacy, myślałam, co im takiego zrobiłam? Pewnie o to, że my z Januszkiem cały pokój i kuchnię zajmujemy dla siebie, a oni w jednym mieszkaniu z dziećmi się gnieżdżą. Ale czy to moja wina, czy to ja z roli do miasta przyjechałam pieniądze robić?

Stanęłam przed drzwiami, cicho już wszędzie, światła w domach jedne po drugich gasną, a Januszka ani śladu.

— Januszku — zawołałam — wróć, nie uderzę cię już nawet, słyszysz?

Poczekałam chwilę, ale cisza wciąż była, tylko w oddali pociąg jechał i lokomotywa gwizdała. Weszłam do mieszkania, popatrzyłam na fotografię nieboszczyka męża i płacz mnie chwycił.

Franiu, powiedziałam, za co ja się tak męczę? Dlaczego nasz Januszek taki nieusłuchany i taki byle co się zapowiada?

Popłakałam trochę, wyżaliłam się cała ze środka. Potem łzy otarłam, latarkę wzięłam, bateryjka mocno zużyta była, i myślę. Już ja tego mojego szczęścia poszukam, już ja mu wytłumaczę, że matce się drugiego zmartwienia nie robi, jeśli się jedno zrobiło.

Parę godzin szukałam go koło domu i po okolicy. Latarka zaraz się wypaliła, noc ciemna, bo na moje nieszczęście nawet Pan Bóg gwiazd pożałował, a ja jak ta dusza pokutująca chodzę i Januszka wołam. Już niebo pobielało, już świat się zaczął z nocy wyłaniać jak z morza, kiedy do domu wróciłam z pustką w sercu.

Usiadłam w kuchni i siły mnie wszystkie odeszły. Pranie rozbabrane, ziąb nadranny przez otwarte drzwi z dworu ciągnie. Nie wiem, czy spać, czy siedzieć, czy zrobić sobie coś do zjedzenia, bo już niedługo i tak trzeba będzie do roboty się zbierać. Ale w tej chwili coś mnie tknęło, głos jakiś cicho zawołał:

Idź do komórki, zobacz, może tam twoje szczęście przed gniewem matczynym się chroni?

Łapię kluczyk, biorę na wszelki wypadek pytę i biegnę. Od razu widzę, że skobel ruszony, że wystarczy tylko pociągnąć, a drzwi staną otworem. Szarpię, wbie-

gam, chłód i światło do środka wpuszczam. Za beczką na kapustę, na kupie łachów, łachami okryty śpi mój robaczek, jak gdyby nigdy nic. Nie wytrzymałam, ściągnęłam go pytą przez bosą nogę, którą wystawił spod starej kapoty. Zerwał się. To ja go jeszcze raz przez grzbiet i po tyłku, nie za mocno, ale tak, żeby poczuł, żeby zapamiętał swoją winę.

— Mamusiu — zawołał wtedy — to nie ja, to chłopaki mnie do tego wybryku namówiły, ja sam nigdy bym ci takiego żalu i krzywdy nie zrobił.

— Chodź do domu — powiedziałam — brudny jesteś, jakbyś z komina wylazł, a jak masz matkę swoją oszukiwać, to lepiej nic nie mów.

Jak żeśmy wrócili do mieszkania, od razu napaliłam w piecu, nagrzałam wody na kąpiel. Potem zjedliśmy śniadanie i ja do roboty, a on spać, bo jakże dziecko po takich przeżyciach posyłać do szkoły?

Smutno mi było, ciężko godziny mijały w udręce. Tak mi się syn odwdzięczał za miłość i poświęcenie w staraniach. Wszystko żem już oddawała dla niego, moje nie stare jeszcze lata i siłę.

Mówić mi teraz trudno, a jeszcze trudniej pamięcią dokładnie się cofnąć. Od tamtego roku, co mnie Kalisiak na kolonie wpisał, Januszek co lato wyjeżdżał. Wtedy też gdzieś wyjechał, nad morze albo w góry. Wcześniej go stamtąd nie wypisali, wrócił z innymi dziećmi. Może więc się uspokoił, myślałam, może mu rozumu wreszcie przybyło?

Uskładałam na nowy stół, na krzesła, jak Januszek dorośnie i zacznie zapraszać kolegów i koleżanki, przyjemniej im będzie siedzieć przy nowym stole niż przy starym gruchocie. Szła już jesień, kupiłam na zimę kartofli, wozakom podsunęłam parę złotych z dobrej woli, więc ładny mi węgiel przywieźli. Januszkowi nie w głowie jeszcze było coś takiego jak nowe meble czy urządzenie mieszkania. Później to i owszem, tym bardziej, jakby dało się co zastawić albo sprzedać za parę groszy. Ale jak na razie, tamtej jesieni i zimy, kiedy drugi raz zaczął chodzić do szóstej klasy, zauważyłam tylko, że mi

drobne z torebki giną. Z początku myśląc, że oszukano mnie w sklepie, tego najgorszego posądzenia na własnego syna nie dopuszczałam do siebie. Później wiedziałam już, że to on, chociaż ani razu nie złapałam go za rękę. Zbiłam go strasznie, bo przyznać mi się do tych kradzieży nie chciał. Łzy mi ciekły ciurkiem, serce z bólu krwawiło jak jedna rana, a moja ręka nie przestawała bić własnego dziecka sznurem od żelazka. Januszek schował się w kąt między kredens a kuchnię i tam go znów dopadłam. Zasłonił się rękami, nie wydał ani jednego jęku czy płaczu, a ja go tłukłam dalej bez opamiętania, choć chłopak z niego był już duży.

Przestałam, jak ręka mi się zmęczyła, i wtedy zobaczyłam jego wzrok wpatrzony we mnie. Te oczy patrzały spojrzeniem zaciętym na własną matkę.

— Nie kradnij — powiedziałam, a głos z trudnością przeciskał mi się przez gardło. — Nie bierz, co nie zarobiłeś sam z siebie, bo to jest wtedy nie twoje.

Kiedy to wypowiedziałam, zobaczyłam już mojego syna złodziejem na zawsze. Oparłam się o kredens, a nogi to mi się tak trzęsły, jakbym ze dwie godziny nie odchodziła od balii. Poszłam więc do pokoju i na nic nie patrząc upadłam na łóżko w tym brudnym ubraniu do roboty, co go miałam na sobie.

Na świecie wiele się zmieniało. Kto był bogatszy, jakieś morgi miał na wsi u ojców albo się za inżyniera wyuczył, to mu te zmiany coraz bardziej na lepsze wychodziły. Spółdzielnia „Mazowszanka" pierwsze bloki zaczęła stawiać. Byli już tacy, co sobie własne telewizory kupili i mieli kino w domu. Ja szarpnęłam się też i wzięłam pralkę na raty. Trudno, pomyślałam, ale jak mają mi na starość kości od roboty trzeszczeć, to lepiej pieniędzy odżałować i maszynę, co zawsze mocniejsza niż człowiek, kupić.

Ale wtedy, jak mi maszyna dała wyrękę i mogłam zarobić więcej, to i zarobki zaczęły się powoli kończyć. Bogaci wcale nie musieli prać u Smoliwąsowej, mogli wozić brudy do państwowej pralni, a inni sami sobie pralki pokupowali.

W pracy za wysługę lat i za robotę dali mi podwyżkę, dwieście złotych na miesiąc i jednorazowo też dwieście złotych i jeden goździk z okazji Święta Kobiet. Ale to wszystko było mało i przy takich zarobkach nie mogłam spokojnie spoglądać w przyszłość. Zmuszona więc byłam w życiu swoim dokonać zmiany. Zaczęłam chodzić do sprzątania. Nie było to dobrze, bo w domu bywałam coraz krócej, tyle co Januszkowi jedzenie zrobić, ogarnąć trochę i się przespać.

Jakoś wtedy, kiedy się w obowiązki względem nowej pracy po fajrant wprowadzałam, spotkałam Kalisiaka, jak szedł na piechotę. Był teraz dyrektorem Fabryki Spinaczy Biurowych i Kleju Roślinnego. Inaczej „Spinpolu". Blisko. Jeden przystanek kolejką od nas. Poznał mnie, sam podszedł i spytał o moje życie. Nie wstydził się, chociaż ze mnie tylko kucharka, a jego taksówką do roboty i z roboty wożą.

— Wy, Smoliwąsowa — spytał — ciągle przy tych garach?

— Tak — odrzekłam — a bo co?

— Nic — odpowiedział dyrektor Kalisiak — ale żeby przy garach być całe życie, takiego musu nie ma.

— A więc co mam robić — pytam — żeby się od garów oderwać, kiedy ja akurat tyle samo umiem co moje ręce?

— W takim razie w porządku, towarzyszko Smoliwąs, do maszyny będziecie w sam raz. Naciskacie sobie taki pedał albo ruszacie wajchą i sztuka za sztuką leci, a pieniążki rosną jak grzyby po deszczu. Zgłoście się do mnie na biurowiec, a ja już wam coś wynajdę.

Odkładałam to z dnia na dzień, potem z tygodnia na tydzień, a jak już coś się odwlecze, to uciecze. Przecież musiałam tam pojechać, ale żeby to zrobić, trzeba było najpierw się zwolnić. A jak tu się zwolnić, kiedy ja i tak stale się zwalniałam za przyczyną Januszka. Kiedy pomyślałam, że Kalisiak przyjąłby mnie do roboty, to znów zwolnienia, na które stale syn mnie narażał, przyszły mi do głowy. W tym nowym miejscu, między nowymi ludźmi i Kalisiakiem — dopóki się nie przyzwyczają — będę musiała oczami świecić, jak ta głupia. To już lepiej niech będzie tak, jak jest.

Wokół, gdzie nie spojrzeć, naród się budował. Domów jeszcze więcej wyrastało niż zaraz po wojnie, kiedy to cegłę szabrowano z naszej zburzonej stolicy. Skąd ludzie pieniądze mieli, czy to im Pan Bóg manną złotodajną sypnął, czy też za inną niezwyczajną przyczyną, tego powiedzieć nie mogę, jako że jestem z pracy własnych rąk żyjąca. Na Sowińskiego, znaczy na mojej ulicy, gdzie dawniej rzadko, jak zęby w gębie starego dziada, stał jakiś dom okazalszy, przeważnie chałupy z drewna, najwyżej byle jak obrzucone wapnem, zaczęły się prawdziwe pałace wznosić za siatkowymi płotami. Milicja nieraz przyjeżdżała, wpadali na którąś budowę, cegły i deski rachowali, potem pędzili dalej, u innego nowego pana kontrol robić. Bywało też, że i budować zakazali, że ten czy tamten urlop dłuższy, bezpłatny otrzymał. Dom stał później nie wykończony, pusty i wiatr tylko w nim hulał, a także pijacy i dzieci. Ale to chyba nie wiatr i chyba nie pijacy i małoletnie dzieci wynosili z budowy okna, drzwi, a nawet i mur kawałek po kawałku rozbierali. Bo tak już pewnie świat jest ułożony, że kiedy jeden zbiera, to drugi oczy na niego wypatruje, żeby coś z tego skorzystać i braki swoje wynagrodzić.

Ale ja nigdy w czyjeś nie patrzałam i bogactw nikomu nie zazdrościłam. Co moje, to moje, a co czyjeś, to niech Pan Bóg broni, żeby ruszyć. Taki już mam charakter i tak też mnie chowano od maleńkości. Zły to charakter, nie służący do wzbogacenia i poprawy losu. Chociaż nie powiem, mnie też przecież lepiej zaczynało być o tych całych dwieście złotych na miesiąc z państwowej ręki, a także i przez to, że nie byłam już pomocą kuchenną, co to jarzyny skrobie i ścierkę po mokrej posadzce na kolanach gania, ale drugą kucharką, która głos swój ma i prawo, żeby, jak trzeba, krzyknąć.

Jadźka już nie pracowała, po długich szukaniach zakrzątnęła się za tym, co było najbliżej pod ręką, i wyszła za mąż za traktorzystę z fabryki. Na ślubie byłam, a jakże, cywilny tylko brali, żeby taniej, żeby nie trzeba było wielkiej ferajny spraszać na ucztę. Było z piętnaście osób, popiliśmy, potańczyliśmy trochę, a po uczcie, ledwie się ranek zdążył rozgościć, państwo młodzi pojechali na urlop. Kiedy wrócili, długo już miejsca w na-

szym mieście nie zagrzewali. Wyjechali znów, już na dobre, na ziemię zachodnią, pod miasto Ełk na Mazurach.

— Będziemy tam mieli dom i ogródek — ostatni raz mówiąc do mnie, powiedziała Jadzia. — Rysiek — jej mąż takie imię nosi — wziął robotę traktorzysty w pegeerze. Ja lubię las i wodę, a Rysiek jeszcze bardziej wodę jest lubiący. Można powiedzieć, że gdybym mu żonką nie była, toby sypiał z wędką i spławiki przez sen głaskał.

Powiedziała jeszcze, kiedy ich do kolei odprowadzałam, że jakby co, że jakby mi się noga zaczęła podwijać, mam rzucić wszystko, pracę, dom — który tak naprawdę to tylko kupa grzyba — i jechać do nich. W tym domu, który Rysiek od pegeeru na zamieszkanie otrzymał, dwa pokoje z kuchnią, spiżarnia i weranda są na dole, a trzeci pokój na górze, więc miejsca dla wszystkich dosyć. — Ale jakbyś — mówiła — nie chciała się ruszyć ze swego obecnego bytu lub byś też coś solidnego znalazła względem męża, to na urlopy, Gienia, przyjeżdżaj, wczasy masz za darmo. Polubiłam cię — dodała, kiedy już pociąg buchając parą w perony wjeżdżał — będąc razem na fabrycznym, jak mało kogo.

— Ja też ciebie, Jadziu — powiedziałam — bardzo lubię. Mnie też będzie bez ciebie przykro i nieprzyjemnie.

— Do zobaczenia, Gieniu — dorzucił Rysiek. — Adresu naszego nie zgub. A gdybyś zamiarowała sama albo też z synem czy, dajmy na to, z kimś innym przyjechać, przyślij słówko. Ryb wtedy nałapię w jeziorze. Jadźka ptaka jakiegoś zarżnie i bal sobie zrobimy.

Pojechali, a ja wróciłam do domu. Od tego czasu nie widziałam ich, a wiem, że powodzi im się i ich dzieciom — pobłogosławił im Pan Bóg synem i córką — zupełnie nie najgorzej. Zawsze mnie też proszą, ile razy od nich słowo pisane dostaję. Nie pojechałam ani razu, bo gdzie mi się tłuc taki kawał świata. A po drugie, skąd brać ten czas do wypoczynku i wyjazdu? Januszek rósł, potrzeby i wymagania tak samo. A urlop to wprost okazja, żeby zaległe odrobić, przy sobie samej się zakrzątnąć. Ale Januszkowi, myślałam nieraz, byłoby dobrze posiedzieć u Jadźki nad jeziorem. Tylko skąd wziąć tą pewność, że on ludziom odzwyczajonym od nerwów nie wykręci

czegoś takiego, że odejmie im spokój i rozum? Lepiej więc niech już wyjeżdża na kolonie. Tam przynajmniej kawały odwalać będzie obcym osobom.

Rozmyślając o zarobkach, o tym, jakim pieniądz może być kwiatem życia, nadmienię o Elżbiecie, dziewczynie, która przyszła do roboty na miejsce Jadźki. Była nawet niebrzydka, tylko jak na mój gust za tęga. Taka z tych silnych, wiejskich kobiet pędzonych na kartoflach i mleku. Ale była grzeczna, dała się lubić, o nic nie trzeba było jej dwa razy prosić. Żeby mój Januszek, myślałam czasem, miał taki charakter zgodny i sympatyczny. Ale często widać było, że Elżbietka jest zmęczona, oczy ma podsinione i lekki alkohol od niej bucha. No cóż, mówiłam do innych koleżanek, kiedy mi o tym wspominały, młodość ma swoje prawa i wyszumieć się musi w swoim czasie.

Polubiłam Elżbietkę i nieraz rozmawiałyśmy sobie o sprawach, które to kobiece serce mogą nadwerężać, o tym, jakie życie powinno być, żeby było jaśniejsze, o strojach także, bo podziw mnie brał na to, jak Elżbietka umie się rządzić, że tak pięknie na co dzień się nosi, że starcza jej na tyle ubrań ładnych i drogich. Opowiedziałam jej, jak szyłam Januszkowi ubranko do pierwszej komunii i jak mnie ta handlara oszukała.

Uśmiała się Elżbietka do łez, a potem powiada, że takie coś albo inna podobna sprawa, musi każdego spotkać, bo od takich spraw człowiekowi rozumu przybywa.

— Rozumu — mówię — może i przybywa, ale nie pieniędzy. Ja, dajmy na to, haruję tutaj, a później po domach zamożnych sprzątam i ciągle mi mało.

Elżbietka obrzuciła mnie dokładnym spojrzeniem i powiada:

— Wygląd ma pani jeszcze niczego i w wieku jest w sam raz. Oświadczyłabym pani coś, ale pod takim słowem, że mnie pani nie wyda ani nikomu nie piśnie.

— Masz takie słowo, Elżbietko — odpowiadam — u mnie tajemnica jak w grobie leży.

— Zarobić można — mówi Elżbietka — całkiem sporo i to bez większego naharowania tym, co kobieta ma od

urodzenia do samej śmierci. Każdy chłop jest głupi, a jak sobie popije, na babę leci jak wariat. Ja, pani Smoliwąsowa — mówi dalej, słoninę w tym czasie na zaskwarzenie zupy krojąc — przed panią tajemnicy mieć nie będę. Wieczorami lubię pojechać do Warszawy. Chodzimy sobie grzecznie z koleżanką w Alejach i wystawy oglądamy. A chłopy tymczasem krążą koło nas jak ćmy i coraz to któryś podchodzi i propozycję i za ile robi. Żadna z nas niżej trzystu nie schodzi. Bo są tacy, co by chcieli za sto złotych mieć całą noc z figurami i jak dusza zapragnie. Takim, jak również całkiem trzeźwym, trzeba od razu odbój dawać. Trzeźwy — powiada dalej Elżbietka — jest najgorszy już przez to samo, że bez wódki śmiałość ma podejść. Taki, co wódki nie tyka, posiada wredny charakter i chciałby dupę nie swoją za drobne pieniądze wyobracać, żeby mu do następnej wypłaty starczyło.

— Dość już — mówię. — Nauki mi tu będziesz dawać kurewskie? Zaraz nóż odkładaj, a z tą słoniną, co żeś nakroiła, won do kubła i jazda z roboty, żebyś chorób paskudnych i innego plugastwa ludziom uczciwie pracującym nie przyniosła.

— To tak — powiada Elżbietka — to tak, to takie jest słowo w tej gębie krzywej?

— Jazda stąd — krzyczę do niej — bo ściery złapię albo i chochlą po grzbiecie przyłożę.

— Przykładać to możesz co innego i całkiem komu innemu — odpowiada Elżbieta. — Myślisz, że nie wiem, jak cię do chłopów goni, jak cię ten kawałek, co między nogami byle garbus nosi, ciągnie i spać nie daje?

W oczach mi pociemniało na te słowa. Nie pamiętam, kiedy chochlę chwyciłam, kiedy do niej podbiegłam. Elżbieta uciec chciała, ale na mokrej posadzce poślizgnęła się i upadła. Zaczęłam ją tłuc po grzbiecie i po tym dupsku nie opodatkowanym, aż chochla się wygięła, a potem całkiem złamała.

— Słowo ci dałam — mówię — że nie powiem, ale takiego, że nie przyleję, w żadnym wypadku nie wypowiedziałam.

Kierowniczka krzyki usłyszała i ze swojego kantorku

wybiegła. Kobieta z niej była prędka, więc w jednej chwili za ręce mnie chwyciła i od Elżbiety odepchnęła.

— Co to jest — zawołała — co to za hałas i rozgłosy? Samosądy się tu odbywają, bitwy jakieś między personelem?

— Już ona dobrze wie — mówię — za co ten masaż otrzymała. Bez większej potrzeby na nikogo ręki nie podniosę, nikogo nie uderzę. Ale i nie pozwolę, żeby na stołówce, gdzie ludzi chmarę się karmi, była taka, co różne choróbska, najgorsze, może przynieść.

— Pani Kwiatek — zwróciła się po nazwisku kierowniczka do Elżbiety — niech pani wstanie z tej posadzki, to nie siano, żeby tak długo leżeć, i idzie ze mną do kantorku, a wy, Smoliwąsowa, i reszta — bo wszystkie kobiety ze stołówki na tą awanturę się zbiegły — do roboty! Smoliwąsową poproszę do siebie za parę minut.

Po takich to wydarzeniach Elżbieta Kwiatek przestała pracować w naszej kuchni. Odeszła z miejsca i kierowniczce ani słowa nie chciała powiedzieć dlaczego. Zdjęła roboczy fartuch, założyła swoje amerykańskie ciuchy i udała się za bramę zakładu, uwalniając mnie od danego jej słowa i tajemnicy. Kiedy więc zapytana zostałam, z jakiej to przyczyny wzięło się pobicie Elżbiety i co to za wydarzenie było na początku, powiedziałam:

— Z takich ona jest, co to na kurewstwo do Warszawy jeżdżą na własnym tyłku zarabiać. Stąd te jej ciuchy kolorowe i zagraniczne. Namawiała mnie ta dziwa, żebym tak samo jak ona robiła, skoro mi w życiu ciężko, pieniędzy brak i czasu dla siebie.

— No tak — mówi kierowniczka — ale żeby zaraz rękę podnosić, młodą dziewczynę bić? Jasne jest, że przy takim to zajęciu pozaetatowym nie ma dla niej miejsca przy zbiorowym wyżywieniu. Trzeba było jednak z nią porozmawiać, ze złej drogi zawrócić, przekonać, że kobieta ma tylko jedno ciało, które to nie jest wytworzone do handlu, tylko do macierzyństwa.

— Takiej powiedzieć — odrzekłam — to jakby wodę w garści chcieć utrzymać albo powietrze w talarki niby seler do zupy kroić. Kto raz już wszedł na kurewską dro-

gę i zasmakował, ten nie zawróci, tylko dalej i dalej iść będzie.

— Złość z was jeszcze, moja droga — odezwała się w te słowa kierowniczka — i nienawiść wychodzi. Myślę ciągle, że może ona nie jest taka zepsuta, może dałoby się wyprostować jej życie młode.

Bałam się, że powiem coś nie tak, jak to w pracy trzeba się wypowiadać, bo skąd to w kierowniczce taka litość dla byle śmiecia, skoro nad nami, które to już tyle lat w kuchni uczciwie robimy, żadnej litości niezwykłej nie ma i ciągle nowe zatrudnienie wymyśla, więc podniosłam się z krzesła i mówię:

— Powiedziałam, co wiedziałam, a co do reszty, moja głowa za słaba. Iść muszę, bo mięso już trzeba na porcje dzielić, surówkę robić, a kartofle i kompot jeszcze są nie wstawione.

— Idźcie — odrzekła kierowniczka i popatrzyła w okno, za którym to znów jeszcze jedno lato piękne i gorące kwitnąć zaczynało.

Po wyjeździe Jadzi i awanturze z Elżbietą życie powolutku zaczynało iść zwykłym torem. Poczułam się spokojna i opanowana, jak nigdy dotąd. Januszek na półrocze miał tylko cztery dwójki, a na trzeci okres jedną z polskiego. Dawno już nie było tak dobrze, dawno nie miałam tej nadziei, że jednak szkołę ukończy, a potem już będzie można myśleć o przyszłości. Nie zauważyłam też od tego lania, które mu sprawiłam ubiegłego roku, żeby mi w torebce grzebał. Owszem, jak parę złotych położyłam na wierzchu, to zginęło. Ale nie winiłam go tu za bardzo, no bo kto kotowi sadło na wierzchu kładzie? Zresztą na grubsze pieniądze znalazłam już sobie skrytkę, za belką na strychu. Cieszyłam się więc, że jest tak, jak jest, to znaczy bardzo dobrze. Uderzyć chybabym go już nie mogła, bo wyrósł tego roku bardzo, głos mu zgrubiał, nad górną wargą wąs zaczął się sypać ciemny, prawie czarny. Może więc zmądrzał, może matka po ten ostatni środek, po którym zawsze jej serce pęka, sięgać nie będzie musiała? Pewnie tak, bo i w szkole, kiedy chodziłam na wywiadówki i na inne zebrania, profesorowie krzyczeli na mnie już nie tak, bardziej z przyzwyczajenia i żeby coś powiedzieć niż z potrzeby. Dwa

razy tylko poszłam ekstra do szkoły, raz, kiedy profesorce od geografii zapałki wymieniono na takie, w których żywa myszka zamknięta była w środku, a drugi, kiedy jednej dziewczynie świński rysunek, na którym widać było męski interes, przypięto do pleców.

Winowajcą okazał się tutaj niejaki Arkadiusz, syn doktora Żurka, u którego pół miasta się leczyło, a ja raz w tygodniu chodziłam robić grubsze porządki. Sprawę więc szybko zapomniano, bo syn doktorski to przecież nie to samo co syn kucharki czy sprzątaczki, czy też zwykłego robotnika.

No to, mówię sobie, Januszek już od psich figlów odszedł i poważne myślenie zaczął. Chwała Ci za to, Panie na wysokościach, bo na tą chwilę czekałam długo w udręce i niepokoju. Z profesorką od polskiego, która za nic tamtego wybryku z kotkiem ani pochlapania dziewczyn przez szambo, ani innych mniejszych wydarzeń z przyczyny Januszka zapomnieć nie chciała, też żeśmy w końcu jakoś doszły do wzajemnego porozumienia. A te porozumienie to było dla mnie takie. Chodzić pani profesorce za darmo pokoik sprzątać, do kultury doprowadzać. Pani profesor przyobiecała mi za to parę lekcji dodatkowych dać Januszkowi i uważanie mieć łaskawsze na niego. Syn mój, pomyślałam, już ze szkołą sobie poradzi, jak amen w pacierzu. Bo nie może teraz zły los wyleźć z ciemnego kąta, kiedy ja u pani profesor brudy, o jakich ucho nie słyszało, jakich oko nie widziało, sprzątam i wyrzucam.

Kurzu tam było, że palcem pisz, a doły ryj, w garnkach pleśń zakisła, mchem jak futrem okryta. Smród, firanki od dymu papierosianego żółte, butelek po wódkach różnych chyba ze sto, kiedy za pierwszym razem przyszłam, w kącie stało. Książki byle jak porozrzucane na stole, zeszyty rozłożone do poprawienia, a na nich lepiąca do palców, cała brązowa od esencji, szklanka po herbacie. Łóżko rozgrzebane, byle jak zarzucone kocem w żółtą i czarną kratę.

No, myślę, ładnie to pani profesor jest do porządków przyuczona. I taka dzieci ma kształcić, do akuratności przymuszać? Jak mi się teraz do tych brudów zabrać, od jakiego końca rozpocząć? Żeby do całkowitej kultury

to mieszkanie doprowadzić, z pięć takich potrzeba jak ja. Ale jak już się słowo dało, jak się w ciemno obiecało, trzeba rękawy zakasać i brać się do roboty. Pani profesor przed wieczorem wróci i chciałaby pewnie mieszkanko zastać w lepszym porządku, niż było.

Zaczęłam tak, żeby było w tym trochę planu i ładu. Książki na jedną stertę, zeszyty na drugą. Brudne ciuchy pani profesor wsadziłam do zawleczki od poduszki, którą wyciągnęłam zza tapczanu. Gary i talerze do miednicy, w którą zaraz wody nalałam, żeby się odmoczyły. Okno otworzyłam na całą szerokość, firanki zdjęłam do prania. I jakby mało było tego, co już znalazłam, ciągle na jakieś dziwy trafiałam. Tapczanu nie miałam siły odsunąć, więc kijem od szczotki za nim smyrgając wywlokłam ze dwadzieścia pustych pudełek od papierosów, stertę petów i męskie gatki całe w pajęczynie i kłakach, co robią się z brudu. Na nocnej szafce takie małe pudełeczko znalazłam, w którym był kondom. Nie żałuje sobie pani profesor uciech życiowych, czasu po próżnicy nie traci. Za jakieś dwie godziny czułam się tak, jakbym węgiel przez cały dzień nosiła do głębokiej piwnicy. Usiadłam przy oknie odsapnąć ździebko, popatrzyłam na świat boży.

Drzewa w ogrodzie kwitną, jabłonie stoją jakby w pianie białej od kwiatów. Ładny jest ogród przy domu, gdzie pani profesor ma pokoik, prawie taki jak u doktora Żurka. Można wyjść, posiedzieć na ławce pod drzewem, pomyśleć o ludziach i świecie. Nie to co u mnie. Jedna krzywa jabłonka, dwie lubaszki, co same się zasiały, parę krzaków porzeczek, morwa, płot rozwalony, z którego już tylko trochę desek i słupków zostało, a za ścianą potrzebni jak pypeć na języku Karolakowie. I znowuż żal mnie ogarnął, że los się ze mną po macoszemu obchodzi, z rzadka się tylko uśmiechając. Ale zaraz powiedziałam sobie: Babo, daj spokój, teraz nie czas na żale i na myślenie osobiste z serca. Zaraz pani profesor przyjdzie, a wszystko w lesie, jeszcze porządki nie zrobione, tylko ład jaki taki zaprowadzony przed najgłówniejszą robotą.

Zostawiłam więc to patrzenie, zostawiłam chwilę marzeń i rozmyślań. Chwyciłam szczotkę, szmaty, przynio-

słam wody, studnia była tu poręczna, z pompą, i dalej drzeć podłogę, aż do białego. Bez czystej podłogi największe nawet porządki nie przedstawiają swojej wartości. Nie zauważyłam nawet, tak się zajęłam robotą, kiedy przyszedł wieczór, a razem z wieczorem wróciła do domu pani profesor.

— Co to — zwróciła się do mnie — jeszcze nie gotowe? Byłam pewna, że już pani nie zastanę, a tylko klucz w umówionym miejscu. Co więc ja teraz biedna zrobię? Zaprosiłam przyjaciół, mieliśmy razem popracować, napić się herbaty. Nie odwołam zaproszenia, bo niby jak, u nas w Polsce telefon to ciągle taki rarytas, że wprost nie do pomyślenia.

Ty mi tu, powiedziałam w duchu, bałaganiaro, na Polskę nie jedź, co ci tu Polska winna, że brudne męskie gacie za tapczanem leżą, a butelki po wódce turlają się po podłodze? I odezwałam się w te słowa:

— Gości można już przyjąć, tak jak jest. Przyjdę za tydzień, to wysprzątam wszystko do czysta. Nie znałam sytuacji względem tych porządków, ale mieszkanie było zapuszczone bardziej, niż myślałam. Bóg mi świadkiem, że nie siedziałam z założonymi rękami, tylko urobiłam je sobie po łokcie.

— Też — odezwała się pani profesor — nie wydaje mi się, żeby był tutaj taki bałagan, o jakim pani opowiada, owszem, nie sprzątałam dosyć długo, ale pracy miałam ostatnio bardzo dużo, dnia mi wprost nie starczało, musiałam siedzieć długo w nocy. Moja praca jest inna niż praca pani. Ja uczę, ja wychowuję trudne, powojenne pokolenie. Muszę czytać, myśleć, planować.

Gadać to ty umiesz, pomyślałam znów, gadasz tak dobrze, jakby budzik dzwonił. A ten kondom to co, a te inne puste paczki od kondomów to pestka? Więc jak jest z tym myśleniem, jak z tą pracą nocną? Prędzej jest to gimnastyka damsko-męska niż praca, bo na zeszytach, co na stole leżały, kurzu było na palec, a ich kartki zdążyły już od słońca pożółknąć. Ale co innego się myśli, a co innego mówi.

— Proszę mi wybaczyć — wyrzekłam więc do niej — to puste gadanie nieuświadomionej kobiety. Dla nas, ludzi prostych, taki, co nie musi pracować rękami, ma

lepiej niż dobrze. Ale widzę, że jest inaczej. Pani profesor na ten przykład pracować musi nie tylko w szkole, później także w domu się męczy.

— Dobrze już, dobrze — odrzekła profesorka — ja tam nie mam za co urazy chować, najważniejsze, żeśmy się porozumiały, jak dwie ciężko zapracowane kobiety. Przyznam jednak, że trochę mnie pani zmartwiła. Czekać tydzień na dokończenie porządków to za długo.

— Zrobię, co będę mogła — odpowiedziałam. — Może jakiś czas wolny wynajdę, chociaż każdy dzień mam już w tym tygodniu zajęty. Zawiadomię panią profesor przez Januszka, jakby mi się udało wpaść do pani wcześniej.

— Załatwione — odrzekła i po chwili dodała: — Janusz bardzo się zmienił, spoważniał, lekcji mniej opuszcza. A w ogóle to ładny chłopak się z niego robi.

— Dziękuję, pani profesor — powiedziałam i poczułam, jak się czerwienię ze szczęścia i zadowolenia.

Ale już za jedną niedużą chwilę zastanowienie we mnie zrodziło się takie. Nic, tylko ta latawica profesorka żarciki sobie stroi i kobietę nieoświeconą, żeby śmiechu mieć trochę, pociesza. Zaraz po tym inna myśl przyszła do mnie. Dlaczego to ja ludziom wierzyć nie chcę i wszędzie tylko oszukaństwo i wyzyskiwanie widzę? Januszek mógł przecież spoważnieć i rozumu z życia własnego i innych, bliskich mu osób jak wody ze źródła zaczerpnąć. Bo z człowiekiem tak już jest, że najpierw rady żadnej nie posłucha, a potem, jak mu lat zaczyna przybywać, robi wszystko tak samo, jak mu już kiedyś matka mówiła. A kiedy tak pomyślałam, powiedziałam sobie zaraz wewnętrznie: Babo, przestań, bo jak nie, to znaczy, żeś już całkowitej zaćmy umysłu od tej ciągłej roboty dostała i niczego zrozumieć nie możesz. Przecież pani profesor wszystkie papiery ma w porządku, jak jej władza uczyć w szkole pozwala, a więc co cię obchodzi, że do akuratności nie jest nawykła i że po nocach lubi sobie trochę z chłopami używać. Ludzka to rzecz, także samo jak chęć do wypicia, bo życie wcale — nawet jak ma ktoś więcej rozumu od innych — nie jest usłane różami.

A jak już sobie to w głowie ułożyłam, sprawy po swojemu wyjaśniłam, zwróciłam się z zapytaniem do pani

profesor, kiedy Januszek ma te lekcje dodatkowe otrzymać i jak będzie względem zapłaty.

— Pani Smoliwąs — odrzekła mi w te słowa profesorka — za kogo mnie pani uważa, że to niby ja sumienie bym miała pieniądze brać, jak pani wzięła na siebie ten trudny obowiązek doprowadzenia do kultury mojego mieszkania? Musiałabym wstydu za grosz nie mieć i w oczy bym sobie spojrzeć nie mogła.

— To niby — spytałam znów — syn ma tutaj przychodzić czy też tych parę wykładów na osobności zrobi mu pani w szkole?

— W szkole mi nieporęcznie — powiedziała pani profesor — sama pani wie, jaki ten naród jest zazdrosny, jak jeden drugiemu na ręce patrzy i do kieszeni zagląda. Pani syn posiada odpowiednią bystrość i inteligencję na dobrego ucznia i wielu wykładów mu nie trzeba. Umówmy się więc, że Janusz będzie przychodził do mnie. Powiedzmy we wtorki i piątki, o czwartej po południu.

— To ja już — wyrzekłam — zadbam o pani mieszkanko jak o własne, względem przepierki też niech się pani profesor nie martwi, a i ugotować czasem też coś mogę, znam się na tym, bo od lat jestem przy zbiorowym wyżywieniu.

— Dziękuję — powiedziała pani profesor — generalnie rzecz biorąc jadam w szkole.

Wtedy mój wzrok, jakby ktoś naumyślnie oczy mi nakierował, wpadł prosto do kubła ze śmieciami, gdzie na samym wierzchu leżała paczuszka z kondomem. I zaraz, jak tylko tam popatrzyłam, nowe podejrzenie mnie naszło. Ujrzałam, jak ta kobieta, która pokolenie najnowsze ma wykształcić, kształci Januszka, ale w całkiem czym innym, i chłopa w nim za wcześnie jak na jego młode lata budzi.

Żegnałyśmy się już, ja w drzwiach stałam trzymająca wielką torbę, w której to obiad i kolację dla Januszka, i trochę smalcu na zapas niosłam, pani profesor naprzeciwko mnie przystanęła i tak przez chwilę nic nie mówiące byłyśmy, jeżeli nie liczyć serca, które w piersiach mych swój straszny lęk wypowiadało. Wreszcie pani profesor dziękować mi zaczęła, a w jej głosie taka to szczerość i prawda była, że pomyślałam sobie znowu:

Smoliwąsowa, czy ty za bardzo na zimne nie dmuchasz, czy ty przypadkiem wody przetakiem nie nabierasz? Przecież pani profesor to kobieta w samej rzeczy, która lata ma swoje wcale już nie najmłodsze, a Januszek to szczoch jeszcze, dopiero co pryszczaty na gębie. Więc i ja, jak mogłam, podziękowałam pani profesor za dobre chęci w staraniach o mego syna. Po czym poszłam uspokojona i nie spiesząca do domu.

Szłam wolno, bo taki spacer to całe moje wytchnienie, cały odpoczynek po ciężkim dniu pracy. Koło kościoła przysiadłam na ławce, wieczór był piękny i pora roku najładniejsza ze wszystkich, kiedy na drzewach dopiero co wyrośnie młoda zieleń i kwiecie się porozchyla. Pomyślałam o Januszku, że gdy już na inżyniera się wykształci albo na innego uczonego człowieka, wtedy chyba nie zapomni o swojej starej matce, która tyle starań własnych w niego włożyła, tyle swoich lat kobiecych oddała. A kiedy do domu wróciłam, wszystko wydawało się biec za moimi myślami. Januszek siedział w pokoju pochylony nad książką i jej kartki, pracowicie śliniąc palec, przewracał.

— Słuszna racja, synu — powiedziałam — ucz się, a nie będziesz musiał tak jak twoja matka rąk swoich w ciężkiej robocie zdzierać. — To wyrzekłszy, zaczęłam mu szykować spóźniony obiad, pełna zadowolenia, że nareszcie najlepszą ze wszystkich przyjaciółkę wybrał, która to ani nie zdradza, ani w złej chwili nie zostawia człowieka. Odgrzewając mu zupę, zanuciłam *Tango Milonga,* jak zawsze, kiedy życie szło po mojej myśli, bo skąd mogłam wiedzieć, że ta książka to książka doktorska, a na jej kartkach pełno jest odmalowanych gołych kobiet i mężczyzn, ze wszystkim, co im Pan Bóg stworzył, na wierzchu.

Wtedy jeszcze nie wiedziałam, jakiego mi niedługo los figla wypłata i jak srogo się ze mną obejdzie. Nie podejrzewając niczego, śmiałym okiem wpatrzona w dni, co nadchodziły, a potem wypełnione pracą mijały, chodziłam od obowiązku do obowiązku, od zajęcia do zajęcia, coraz to nową klientelę, coraz to nowe panie poznając.

Jedna szepnęła do drugiej, a druga znowuż trzeciej i tak się wiadomość niosła, że jest taka Smoliwąsowa, co za parę groszy białe rączki pań inżynierowych czy innych szlachetnych urzędniczek od napracowania może ocalić. Mnie w to mi graj było, ale co sobie pomyślałam, to pomyślałam, tego nikt mi nie mógł odebrać ani zabronić. Napatrzyłam się też niemało i różnych państwa poznawałam, takich prawdziwych z dawien dawna i takich, co to im jeszcze buty skrzypiały i gnój od zelówek za przeproszeniem odpadał. Ci, którzy dopiero co w tłuszcz poobrastali, którzy zamiast prąd „prund" mówili albo „elekstryka", byli najgorsi i o nich to wypowiadać się mogę długo i bez zająknięcia. Jakie to landszafty były u niektórych, a jakie kryształy! Ścian wprost nie wystarczało dla tych ram pozłocistych, pośród których jelenie i inne dzikie zwierzęta biegały albo i na obrazę Boską goły babsztyl wyjedzony i tłusty ściskał się z łabędziem. Kryształy i inne szkła ozdobnicze w kredensach się nie mieściły i coraz czegoś nowego tam przybywało i przybywało. A ja patrząca na to wszystko myślałam sobie, że też skarania Boskiego na takich nie ma i gdzie jest ta równość dla wszystkich względem majątku i korzyści życiowej. Potem mówiłam sobie: zastanów się, Smoliwąsowa, z takim niedzisiejszym myśleniem i przypuszczeniami. Przecież, kto więcej oleju nosi w głowie od ciebie, ten powie, że rozum ci uszami wyciekł i myszy się w to miejsce zalęgły. Gdzie ty równości szukasz i po co? Czego ci się w tym życiu zachciewa? A bo to raj, Ogrójec Pański, gdzie duszyczki grzecznie jak owieczki po niebieskiej łące chodzą? Życie to puszcza, to lasy ogromne, w których to wilcy wyją i każdy kawałek strawy sobie wydzierają. Jednym Pan Bóg daje teraz, drugim wynadgrodzi później, jak już u jego tronu staną i ręce swoje pełne benzli i nagniotków pokażą. Chodź ino tutaj, duszo człowiecza sprawiedliwa, powie wtedy Pan Bóg, chodź i odpoczywaj sobie, a leż, ile tylko zapragniesz, bo tam żeś się zdarła jak stary but i tylko marne słowo słyszałaś i nędzną zapłatę otrzymywałaś.

Takie to pocieszenie znajdowałam, kiedym jak w kieracie chodziła z piętra na piętro, od domu do domu, od jednych państwa do drugich. I tak mi się w końcu robota

ułożyła, że klientek swoich znalazłam najwięcej w tych wielkich blokach, które dopiero co wymurowano obok kolejowych domów. Takie mieszkanie mieć jak tam to było szczęście prawdziwe, tylko że nie dla wszystkich, bo kwaterunek też swoim okiem każdej ludzkiej potrzeby nie widzi, a już najprędzej spogląda na tych, którym i tak się w życiu darzy, którzy i tak mają więcej niż inni. Pomarzyć więc tylko mogłam o tych pokojach widnych i ciepłych z klepkową podłogą, gdzie w każdym piec piękny stał z brązowego kafla, o łazienkach też, a jakże, z osobistymi piecami, o kuchniach z baniakami na ciepłą wodę. Więc nieraz, jak żem już do domu sterana wróciła, przemyśliwałam sobie, może i ty, Smoliwąsowa, jakie podanie, gdzie trzeba, napiszesz i sytuację swoją moralną i życiową przedstawisz? Januszka przecież masz pod ręką, który pisownię ładną zna na takim poziomie, że może by przy twojej pomocy takie podanie ułożył. Ale gdzie tam, dodawałam sobie po dłuższej chwili, czy ty nie widzisz, do kogo przychodzisz? Naród zwykły, owszem, też jest, rzadko jak rodzynek w cieście poupychany, ale po największej części to doktorzy, inżynierowie, sekretarze, a i przewodniczących też by się niemało znalazło. Jasne jest, że nie każdemu to samo, że nie każdemu taki sam kwiat pod nosem rośnie. Więc po co ty sprawiedliwość wieczną naruszasz i niepotrzebny ból do swojej słabej głowy sprowadzasz? Zabastuj i przyfolguj, to może i do ciebie się coś uśmiechnie, kiedy sobie dobrobyt poprawisz, lepiej się ubierzesz i będziesz miała na to, żeby w tą rękę, co trzeba, wsunąć parę papierków.

Duże uważanie miałam u lekarzy. Czterech ich było lub może więcej. W tym jeden we własnym domu, doktór Żurek. Inżynierskich mieszkań też się przewinęło kilka, jak również urzędniczych i innych. Podłogę wywiórkuj i zapastuj, dywany wytrzep, kurze pościeraj. Roboty co niemiara, a każda w biegu, każda w ustawnym pędzie, bo już na Smoliwąsową ktoś drugi czeka. Nazywano mnie różnie, jedni powiadali: „pani", drudzy: „wy", mi mówili, a nawet jak się zapomnieli per „towarzyszko", a jeszcze inni niby we dworze do służby wołali: „niech Smoliwąsowa to, niech Smoliwąsowa tamto". A wszystko na duś, bo jak kto do służby, żeby była koło niego, nie przyzwy-

czajony, to zaraz takie posądzenie ma, że to nie człowieka na wyzysk wziął, ale że maszynę, która jest nie do zdarcia. Ze mnie jednak nie gapa i tak zaraz krzyku się nie przestraszę. Nie podoba się, to Smoliwąsowa już idzie gdzie indziej, bo coraz więcej wkoło jest takich, których ręce roboty fizycznej się brzydzą. Oczywiście, wolałam już być gdzieś na stałe i w te czy inne dni tygodnia przychodzić. Wtedy i pracę w danym domu bardziej ułożoną miałam, a i sami państwo więcej wiedzieli, co można ode mnie chcieć i w jaki sposób.

Tutaj powiem, że u doktora Żurka było mi najlepiej. Nie dlatego bynajmniej, że nasze dzieci do jednej szkoły i do jednej klasy chodziły albo żebym tam mniej roboty miała niż u innych, ale że doktorowa uważanie na mnie miała, jako na człowieka i na matkę. Ja też ją lubiłam i też takie uważanie miałam dla niej, chociaż jej moralnego prowadzenia i osobistości wcale nie pochwalałam. Bo jak można pochwalać takie zajęcie zdrowej i młodej kobiety, które polega na tym, że śpi się do godziny dziesiątej albo i jedenastej w południe, a potem chodzi w szlafroku chińskim w kwiaty włożonym prosto na gołe ciało, papierosy w dulawce bursztynowej pali, kawę pije i taką wódkę, co bimbrem śmierdzi i pluskwami zalatuje, którą ja na ten przykład przełykałam gorzej niż lekarstwo. Pani doktorowa głowy wielkiej do porządków i do kuchni nie miała i dlatego oprócz mnie była tam jedna kobieta na stałe, niejaka Antosiowa, bezdzietna wdowa po jednym dekarzu, który zaraz po pierwszej wojnie z dachu kościelnego spadł i się zabił. Ona to po większej części domem zarządzała, sobie samej w kuchni dyspozycje dając.

Nie lubiłyśmy się specjalnie ani większej sympatii do siebie nie czuły. Co innego doktorowa. Ta nieraz, kiedy żem z dywanem albo z kurzem wojowała, przyszła do mnie i mówi:

— Ja, droga pani Smoliwąs, sama jestem i opuszczona. Mąż mój dobry w samej rzeczy człowiek, wyobraźni takiej nie ma, żeby zrozumieć kobietę z duszą artystyczną, która w akademii sztuk przepięknych była i obrazy maluje. Dla niego tylko kariera i pieniądze. Czasem myślę, że on wcale mnie nie widzi. I gdybym sobie dzisiaj gło-

wę do gołej skóry ogoliła, to ja nie wiem, czy on w ogóle by coś zauważył.

Nieraz też prowadziła mnie na strych, gdzie pokój z dużym oknem był wyrychtowany i stał piecyk z rurą. Ten strych, którego nikomu sprzątać nie było wolno, trzeba było nazywać pracownią, bo inaczej pani doktorowa się obrażała, mówiąc na człowieka, że jest taka sama bestia jak reszta narodu, a już w szczególności jej mąż i Antosiowa, albo też płakać nie wiedzieć czemu zaczynała i znów tą wódkę, co śmierdzi pluskwami, piła. Szybko się przekonałam, że sprzeciwiać się jej względem pracowni i malarstwa nie można, gdyż zaraz nerwy w niej występują. Musiałam więc mówić, że wszystko mi się podoba, chociaż w pracowni bałagan był większy niż nie przymierzając na śmietniku. A o landszaftach, co to poniewierały się wszędzie — na szafach, stole, pod ścianami, lepiej wcale nie wspominać. Dobry, z poczuciem prawdziwego artysty odmalowany obraz powinien przedstawiać jakiś ładny widok albo też postawną kobietę czy mężczyznę o twarzy poważnie zapatrzonej w życie. Taki obraz może coś powiedzieć człowiekowi, ozdobić ściany mieszkania, jak jest na nich trochę miejsca. Obrazy doktorowej mogły się przyśnić albo i nawet przestraszyć za widna. Jeden taki pamiętam do dzisiaj i będę pamiętać do dnia sądu ostatecznego. Widać tam było drzewo grube i łyse, jakby je liszki z liści do czysta objadły, gdzie z jednych gałęzi białe ptaszki w górę wzlatywały, a na drugich wisielcy bez żadnego przyodziewku na długich sznurach się huśtali. Obraz nazywał się: *Drzewo wiadomości dobrych i złych*, i wielki był lepiej niż na dwa metry. W samą porę ugryzłam się w język i nie wyraziłam się głośno na ten temat, żeby wyrzucić to szkaradzieństwo.

— To jest obraz mojego życia — wypowiedziała się do mnie pani Żurek — już bym mogła więcej pędzla nie brać do swojej ręki i umrzeć.

Żeby pędzla nie brać, pomyślałam, to słuszna racja, ale żeby zaraz umierać, to już bynajmniej inna para kaloszy. Żyj sobie, sieroto, na chwałę Bożą, bo i tak ludzie żadnej pociechy z ciebie nie mają. Komu ty wadzisz, komuś ty potrzebna, jak nawet własny mąż krzyżyk na

tobie niby na książce parafialnej postawił. I powiedziałam do niej:

— Jeszcze niejeden raz pani doktorowa ten pędzel do ręki weźmie, jeszcze niejeden raz taki obraz, a nawet większy, sobie wymaluje.

— Pani Smoliwąs — odrzekła mi doktorowa — jest dla mnie bardzo dobra i choć o sztuce nie ma większego pojęcia, to jednak rozumie mnie lepiej od innych.

Co tu rozumieć, pomyślałam, jak wszystko jest jasne, co tu rozumieć, jak pani Żurek ma hysia sporego i w oderwaniu od świata i ludzi żyje. Dobrze mieć męża doktora i żadnego zmartwienia na głowie. Żyć po pańsku nie sztuka i po różnych wyobraźniach chodzić. I powiedziałam do doktorowej:

— Dobra to ja wcale nie jestem, jestem tylko kobieta życiowa, co rozum jaki taki ma w głowie, a nie trocinę więc widzę, jak rzecz ma się i przedstawia.

Tak to żeśmy sobie rozmawiały, kiedy się chwila wolna nadarzyła dla mnie, bo ona przecież na wolny czas nigdy — że go niby brakuje — nie narzekała. I chociaż ją polubiłam, nie wiedziałam, co ona naprawdę myśli i czuje. Sądziłam, że u niej, jak u kobiety wykształconej, będę mogła się coś poradzić względem mojego syna. Ale gdzie tam. Kiedy jej powiedziałam o swoich zmartwieniach, odrzekła mi, że tak, jak jest, jest bardzo dobrze, że dziecko powinno rosnąć swobodnie, bez żadnego przymuszenia i cywilizacji.

Ładnie by to było, pomyślałam, gdybym Januszka samopas jak jakiego psa bezdomnego puściła. Dopiero by mi figlów nastroił. Dopiero bym się za głowę co pięć minut łapała. Dziecko to jest dziecko i trzeba je krótko trzymać, żeby mores znało i prawdziwe posłuszeństwo, które już sam Pan Bóg człowiekowi wyznaczył. Swojego Arkadiusza tak chowaj, tobie wolno. Ty sypiasz na mężowskich pieniądzach i pieniędzmi popędzasz. Ale dla mnie, zwykłej kobiety i wdowy, za drogie jest takie nowoczesne wychowanie dziecka.

I powiedziałam jej, że wcale nie muszę się z nią zgadzać i bynajmniej sobie nie życzę, żeby Januszek dostawał od Arka książki doktorskie z nagimi kobietami.

— Ależ, droga pani Smoliwąs — zaśmiała się dokto-

rowa — ja osobiście nie widzę w tym niczego złego. Każdy chłopiec w tym wieku chce nagą kobietę ujrzeć i odmiennie jest zainteresowany, to zupełnie normalne.

Normalne to dla ciebie, pomyślałam, ale nie dla mnie. Nie pozwolę, żeby mój syn na jakiegoś bisurmana lub też, uchowaj nas od tego Boże, na pedała wyrósł. Co to, to nie.

— Ja tam jestem zdania przeciwnego — powiedziałam do doktorowej. — A jeśli się już o nagą kobietę rozchodzi, to będzie ją sobie do syta oglądał we własnej swojej żonie.

— Nie zrozumiałyśmy się — odpowiedziała mi pani Żurek — ja po prostu traktuję to jako coś zwykłego, nie robiąc z tego tragedii.

— A dla mnie — odrzekłam — wcale nie jest zwykła rzecz, jak młody chłopak samca w sobie poczuje. To go tylko na złą drogę może sprowadzić. — Po czym wyjęłam z torby tą grubą książkę lekarską, co ją Januszek dostał od Arka. — Proszę — powiedziałam — żeby to nie była książka potrzebna panu doktorowi do medycyny i mniej wartościowa, tobym ją dawno w piecu na szary popiół spaliła.

Pani Żurek zaśmiała się tylko w odpowiedzi, rozmowa nasza za miejsce miała pokój stołowy, i przez otwarte okno wołać zaczęła do syna, który w ogrodzie swój rower kolarski reperował. A kiedy Arek od roweru się oderwał i wszedł do mieszkania, podała mu książkę mówiąc do niego w te słowa:

— Upraszam cię, abyś takich książek Januszkowi nie pożyczał bez mojego pozwoleństwa. Janusz jeszcze nie jest na tyle rozwinięty i matka jego jest temu przeciwna. Książkę zaraz zanieś do biblioteki ojca i połóż na właściwym dla niej miejscu.

Po czym, nie mówiąc już nic do mnie, sama wyszła do ogrodu i paląc papierosa usiadła pod płaczącą wierzbą na kamiennej ławce, na którą to kamień pan doktór przywieźć kazał aż spod gór kieleckich. Za małą chwilę przyszedł tam również Arek, a kiedy usiadł koło matki, zaczęli oboje rozmawiać i chichotać na całego bez żadnej krępacji.

Pomyślałam wtedy, że z panią Żurek już słowa nie

wymienię, ale do następnego sprzątania mi przeszło. Niezwyczajna jestem długo urazy chować, tym bardziej że do takich niedużych wariatów jak ona, jako do osób nieszczęśliwych, mam słabość. Wszystko więc wróciło do swojej normy, tyle tylko, żeśmy już o naszych synach więcej nie rozmawiały. Nie było zresztą o czym i kiedy. Podług mnie w ostatnim czasie Januszek osiągnął rozum chłopca w swoim wieku. A gdy mu awanturę zrobiłam w zamian za czytanie książki niedozwolonej, wysłuchał mnie z takim poważaniem, że aż się zadziwiłam.

— Popełniłem duży błąd — odpowiedział — teraz już rozumiem, że takie książki mogą tylko mojemu młodemu organizmowi zaszkodzić. Kiedy Arek mi ją dał, myślałem, że będzie to książka o Indianach, o jaką go parę dni przedtem prosiłem. A potem już ciekawości swojej nie mogłem zatrzymać.

— Dobrze, synu — odpowiedziałam — nie będę ci już dzisiaj rozgaworów robić. Takich książek zwykły człowiek powinien się wystrzegać, a już najbardziej, kiedy jest młody. Co innego doktór, który ma uświadomienie na całkowicie innym poziomie i ze sprawą wstydliwej nagości ludzkiej spotyka się na co dzień. Innym mogą tylko niepotrzebne myśli i inne świństwa wejść do głowy. A takie myślenie w pracy i w nauce, jak również i w życiu uczciwym przeszkadza.

— Niech mamusia będzie całkowicie spokojna — powiedział mi na zakończenie mój syn — ja też dosyć już miałem zmartwień i kłopotów, ja też chcę wyrosnąć na uczciwego człowieka i Polaka.

— Cieszę się — odrzekłam całując go w czoło i dając mu dwadzieścia złotych.

Kiedy już tyle mówię, opowiem jeszcze o jednym nowoczesnym prezesie, u którego też stałe zajęcie otrzymałam.

Prezes z rodziną, w której mieściła się żona i jeszcze córeczka, zajmował piękne trzy pokoje z kuchnią na drugim piętrze największego bloku. Dawniej nazywał się Sylwester Gnat, więc nazwisko przerobił sobie na Gnatkowski, żeby bardziej pasowało do niego, jako do człowieka,

który innymi ludźmi rozporządza. Prezes był dyrektorem takiego zakładu, w którym pracowali inwalidzi. Robili szczotki, pędzle, wieszaki i inne drobiazgi potrzebne człowiekowi do życia. Prezesowi nic specjalnie nie dokuczało, chyba że za bardzo się przejadł lub za dużo wypił napoju alkoholowego. Wtedy albo do południa spał i dopiero taksówka po niego przyjeżdżała, albo też wołał przez telefon takich samych zdrowych jak on urzędników do siebie. W mieszkaniu nie było żadnego krzyża ani nawet małego obrazka, który by mówił, że i tutaj Pan Bóg czasami mieszka. W pokoju prezesa, gdzie stało biurko i leżał dywan puszysty jak kudły na wielkim psie, zamiast obrazu świętego wisiał na ścianie Władysław Gomułka. Obok Gomułki widać było dyplomy uznaniowe w liczbie pięciu, a także spore zdjęcie dużej gromady mężczyzn, to siedzących, to stojących, a nawet i leżących, pomiędzy którymi zaznaczona była czarnym krzyżykiem postać prezesa o znacznie szczuplejszym wyrazie twarzy i większych włosach.

Dopóki przyzwyczajenia nie nabrałam, nie czułam się w gabinecie najlepiej. Gomułka spoglądał na mnie ciężkim wzrokiem człowieka na najważniejszym stanowisku, dyplomy też, szkłem okryte i w czarne ramy oprawione, chociaż żem do nich nie zaglądała, tylko te największe litery wyczytała, do nieśmiałości mnie doprowadzały.

To jest pan, myślałam o prezesie Gnatkowskim, takiemu to lepiej niż pączkowi pod lukrem. A jaki to pomimo niestarego wieku zasłużony i jakie poważanie ma u wszelkiej władzy! Żeby to Januszek mógł sobie kiedyś taki gabinet i biurko zafundować, a także i czarny telefon we własnym domu, jak każda osobistość na stanowisku. Przecież prezes też musi być ze zwykłych ludzi, wystarczy na tę twarz jego popatrzeć, żeby ujrzeć, że prosto z pola, z lasów i łąk do miasta przyszedł i szkoły potrzebne ukończył. Nie ma co, myślałam, przechodząca do pokoju stołowego, gdzie w następnej kolejności za porządki się brałam, najważniejsza dla człowieka jest nauka i odpowiednia znajomość, chociaż żeby tak żyć całkiem bez Boga, to ja wcale nie pochwalam. Nad każdym człowiekiem musi być bicz Pański, bo inaczej żadne prawo albo też i więzienie czy milicja nic nie pomoże.

Prezes odzywał się do mnie grzecznie, a już najwięcej był grzeczny, kiedy sam na sam byliśmy w danej chwili.

— To towarzyszka tak sama — pytał — od rana do nocy bez żadnej rozrywki pracuje? Nie może tak być, żeby człowiek, a zwłaszcza kobieta zupełnie do rzeczy, tylko pracy się poświęcała. Ja też zapracowany jestem — mówił — i mało rozrywek mam. To wobec tego może byśmy na jakąś kolację skoczyli albo na przejażdżkę plenerową odetchnąć świeżym powietrzem?

Tak mówił i przysuwał się sapiąc jak byk, co krowę latującą się poczuł. Ledwie opędzić się mogłam od jego rąk, które mnie za pośladek i piersi chwytały. Nieraz już chciałam trzasnąć w tą czerwoną gębę, przejechać ścierą po tych oczach błyszczących jak kotowi do myszy.

— Panie prezesie — mówiłam — co żona powie? Jest pan poważnym ojcem rodziny, a przy tym dyrektorem na dużym stanowisku. Tak nie można.

— Towarzyszko, Gieniu — sapał prezes — pończochy ci kupię, biusthalter ci kupię z zagranicznego komisu, na suknię dam. Nikt się nie dowie, a co mamy sobie tej radości odmawiać.

I znów jego ręce jak dwa psy zębiaste moje ciało chwytać zaczynały. Wyrywałam się i dalej uciekać po tym obszernym mieszkaniu, pośród tych mebli o wysokim połysku, a prezes Gnatkowski niby jakiś smok cały czas za mną pogoni nie chcący zaprzestać.

— Co to się tatuś z panią gosposią w berka po mieszkaniu bawi? — zawołała jednego razu córeczka prezesa, Violetka, która jako pierwszoklasistka ze szkoły właśnie nadeszła.

— Lata sobie przypominamy młode — odpowiedział prezes — jak to się różne hece wyprawiało, w czasie wolnym od odrabiania lekcji.

— Rozumiem — powiedziała Violetka — a mnie mamusia nie daje z chłopakami ganiać, bo od długiego biegania żylaki się na nogach robią i można też rozdymania płuc dostać. Jak mamusi powiem, że tatuś się gania, to może i mnie będzie wolno?

— Broń Boże — krzyknął prezes — co też wygadujesz? Wtedy już nigdy mamusia nie da ci się w berka za-

bawić, a i tatusiowi dostanie się za to, że wspomniał wiek swój młody.

Ja stałam obok, flanelę do wycierania kurzu trzymając w ręku, i aż dusiłam się od śmiechu.

— Więc jak, Violetko — mówił prezes — teraz już chyba całkowita tajemnica będzie między nami? Pani Smoliwąs tutaj obecna jest nam świadkiem, jej zresztą też by się oberwało, jakby ją mamusia na swój język wzięła.

Ledwie to prezes wymówił, drzwi się wejściowe otwarły i żona jego do mieszkania weszła. Zaraz jej oko złym blaskiem zajaśniało, spoczywając na mojej osobie.

— Widzę, że sobie konferencję prywatną ucinacie — powiedziała — w takiej to pewnie sprawie, jak by tu nic nie robić? Violetka do lekcji, a pani Smoliwąs chyba nie za stanie ze ścierą w ręku płacę, tylko za robotę jak się patrzy.

— To tylko taki mały relaks, Janeczko — odrzekł prezes. — A jeśli się już o mnie rozchodzi, rzeczywiście muszę niebawem pojechać na doniosłą konferencję w sprawie użytkowego wykorzystania nieużytkowych odpadów bezprodukcyjnych, która to w trybie dodatkowym odbędzie się w godzinach wieczornych. Pozwól, że teraz udam się do gabinetu, żeby przygotować poważne materiały.

— Już ja te twoje konferencje znam — odrzekła Gnatkowska — wóda później z ciebie bucha na kilometr.

Prezes podniósł swą rękę i spojrzał na zegarek. — Wybacz — powiedział — ale to nie takie miejsce, żeby o tym mówić, poza tym czasu mi już niedużo pozostało na przygotowanie — i oko robi do mnie.

— No dobra — wyrzekła prezesowa — a gabinet chociaż uprzątnięty?

— Na glans — powiedziałam — na całkowity połysk.

— Smoliwąsowa nieźle umie się chwalić. Jak tylko mąż wyjdzie, osobiście sprawdzę, a teraz niech pójdzie ze mną do kuchni.

Myślałam, że znów będzie coś względem porządków, a ona — wierzyć aż mi się nie chciało — herbaty sobie i mnie nalewa, ciastka dopiero co od cukiernika przyniesione na talerzyku kładzie i częstować się każe. Z początku gadamy o tym, o tamtym, że ona w kolejce po mięso

stać nie musi, bo mąż tą sprawę przez innego znajomego prezesa załatwia, później o tym, że Violetka chodzi na lekcje tańca rytmicznego i uczy się artystycznych rysunków, bowiem przejawia odpowiednie zdolności, potem znów, że gorąc tego lata chyba będzie straszny, bo chmur na niebie już całkiem nie widać, a jak widać, to są nie takie jak dawniej, kiedy jeszcze atomów nie było. I tak od słowa do słowa, od jednej myśli do drugiej, doszłyśmy do tego, o co się prezesowej rozchodziło, a ja już wiedziałam od początku.

— Najlepiej jest — usłyszałam od niej — kobiecie bezzamężnej albo też wdowie, jak to ma miejsce w wypadku pani, pani Smoliwąs.

— Nie rozumiem — odpowiedziałam, biorąc jeszcze jedno ciastko — w jakim to kierunku pani zamierza?

— W takim to — odrzekła prezesowa Gnatkowska — że niby to mam męża, a nie mam. Nie pamiętam już dnia, żeby mnie przytulił albo lepsze słowo powiedział. A względem stosunku seksualnego, to nie więcej jak raz, a czasem dwa razy w miesiącu. I to taki mężczyzna jak on, z taką siłą męską, jaką jeszcze posiada.

Ja też bym na miejscu prezesa, pomyślałam patrząc na nią, z inną osobą swoją siłę męską wykorzystywała. Zamiast wyżalać się teraz do obcej kobiety, stań, babo, przed lustrem, zrzuć z siebie kieckę i popatrz. Czym ty chcesz chłopa swojego zanęcić? Sadłem? Tymi kudłami byle jak przyczesanymi? Jak ja bym twoje pieniądze miała, tobym jak laleczka chodziła i każdy by mi mniejsze, niż posiadam, lata dawał, ale wymówiłam całkiem co innego.

— Może mąż jest zmęczony przepracowaniem — rzekłam — i czasu mu nie wystarcza na wszystko?

— Wiem, co mówię — powiedziała prezesowa — wiem, co mi serce, które żadnej kobiecie nie skłamie, teraz dopowiada. Mąż mój posiada kochankę i po dwunastu latach wzorowego pożycia małżeńskiego zdradza mnie z pierwszą lepszą.

— Człowieka — powiedziałam — łatwo jest posądzić, ale jak udowodnienia nie ma, na gorącym uczynku złapania, to jeszcze nic nie wiadomo.

— Już ja ją złapię — powiedziała Gnatkowska — już

ja sposób wymyślę, żeby jej wyjaśnić, że uczciwej kobiecie krzywdy się nie robi.

A wtedy głośno zadzwonił dzwonek u drzwi i wszedł kierowca prezesa, zameldowując, że taksówka jest już gotowa i czeka przed domem. Zaraz też prezes ubrany elegancko i w białą koszulę prędkim krokiem wyszedł ze swego gabinetu i z mieszkania.

Po jego wyjściu dłuższą chwilę żeśmy pomilczały, ale w myślach chyba jednakowe były, a mianowicie, że ta konferencja w stu procentach sukienkę nosi i płciowości jest odmiennej. Gnatkowska popłakała sobie skromnie do chustki, potem nos głośno wytarła i rzekła:

— Na śmierć bym zapomniała przez tą dziwkę zapowietrzoną o takiej sprawie, że dyrektorowa Kalisiakowa, następny blok, trzecie piętro, drzwi po prawo, potrzebuje solidnej kobiety do zrobienia porządków, bo sama nie może, gdyż choruje na serce, a już za parę dni będzie dwudziestopięciolecie jej ślubu z mężem.

W piewszej chwili chciałam odrzec, że nie, że czas mam już mocno zaplanowany i napięty, ale później pomyślałam, czemu to nie zobaczyć, jak Kalisiak sobie mieszka i jak mu się powodzi na dyrektorskim stołku?

Z Kalisiakową umówiłam się na przyszły tydzień, w środę. Znałam ją już wcześniej z kolejek po mięso, jak również z fabryki, gdzie na początku, jak tylko tam poszłam, pracowała jako roznosząca różne papiery po biurach i listy z poczty. Teraz trochę się odmieniła, bardziej zadbana była koło siebie i lepiej ubrana. Nie widziałam jej już kawał czasu, bo bloki miały teraz swój osobisty sklep mięsny, w którym bardzo rzadko coś kupowałam. Cenę żeśmy uzgodniły według mojej normalnej stawki, chociaż Kalisiakowi tobym i za darmo sprzątnęła, bo człowiek był z niego przyzwoity i dobry.

Do środy czas minął mi zwyczajnie, bez większych utrudnień i kłopotów. Rozpoczął się już czerwiec, pierwsze dni, zieleń wkoło aż kipi, aż oczy bolą patrzeć. Ptaki się drą, latają zapracowane, szukając piórek, gałązek, kawałeczków trawy na gniazda. Ludzie też jakby zrobili się inni, uśmiechają się częściej, lepszymi słowami mówią

do siebie. Bo kiedy słońce wczesnym rankiem wstaje i zaczyna złotą nogą iść po zielonej trawie, to i człowiekowi jakby jest lżej, jakby się serce też w nim ozłociło.

Wstawałam więc prawie że ze słońcem, od pierwszych chwil śpiewając, od pierwszej chwili czując w sobie chęć do pracy. Januszek też zrobił się inny, poważniejszy, językiem mniej bez pożytku klepiący. Nie dziwota zresztą, siódma klasa to już nie żarty, to już i uczyć się trzeba, żeby egzaminy zdać i otrzymać świadectwo ukończenia szkoły. Rano, kiedy jeszcze spał, pilnie przeglądałam obrazki w książkach, czy znów czegoś nieodpowiedniego tam nie ma dla jego piętnastoletniego wieku. Ale nie, wszystko było w najlepszym porządku, a nawet niektóre zeszyty obłożone w czysty papier. Co tam Arek Żurek, myślałam, ze swoją psychicznie dotkniętą matką, co tam wszystkie nasze dawne z Januszkiem sprawy, skoro syn mój w odpowiednim czasie do rozumu doszedł. To jest najważniejsze i to się teraz jedynie liczy. Będę już tylko, myślałam, pracować dla niego, żeby miał w życiu dobrze i dalsze szkoły mógł ukończyć, a potem pracę opłacalną dostać. Pomyślałam, że najlepiej będzie, jak pójdzie do technikum mechanicznego. Nauczy się tam dobrego fachu, będzie mógł naprawiać maszyny albo co innego. A jak mu się rąk własnych nie będzie chciało brudzić, usiądzie sobie w biurze, papierów różnych narozkłada i co i raz spoglądać zacznie na zegarek, czy aby jeszcze do fajrantu daleko. A gdyby się dodatkowo tam, gdzie potrzeba, zapisał, gdyby na kursy odpowiednie poszedł, to w przyszłości mógłby i dyrektorem zostać czy innym ważnym człowiekiem. Kto by mu wtedy pamiętał, że dziewczynom kamienie do szamba wrzucał lub też inne hece wyprawiał? Grzechy zwyczajnych ludzi się pamięta, ale jak już ktoś jest ważniejszy, wtedy dla niego i pamięć jest inna, nie tak akuratna. Bo zwykły człowiek musi komuś wierzyć i na kimś jak na słowie Bożym polegać. Gdyby wierzył i polegał na takich jak on sam, do niczego by w życiu nie doszedł, żadnego uznania i dobrobytu nie osiągnął. Jakim przykładem mógłby być dla Januszka taki sam Januszek z matką sprzątaczką, drugą kucharką, a przedtem praczką. Żadnym. Chyba że dla śmiechu, dla większej zabawy z życia ludzkiego nieudanego, które nie miało tych możliwości, co pozwalają wyjść na lepsze.

I tak zapędziłam się z moim gadaniem, że nie wiadomo kiedy wieczór się zbliżył. Trzeci raz odwiedza pan starą kobietę, której życie już przeminęło. Dzisiaj dzień jest mniej przykry, choć pora roku wredna, listopad, ziąb i deszcz, świat mały, nisko przykryty czarnymi chmurami. W taką porę wspominać łatwiej, chętniej się pamięć cofa, ale ja i tak całe moje życie widzę wyraźnie, jak teraz pana.

Stanęło na tym, że Januszek do egzaminów się przygotowywał, a ja miałam iść do Kalisiaków na sprzątanie. Wyglądałam nadal młodo, dopiero mi się pierwsze żylaki pokazywać zaczęły i do zapalenia żył w nogach i całym organizmie było jeszcze daleko. A jak człowiek zdrowy, to wszystko mu ładniej wygląda, każda sprawa wydaje się do pokonania i postawienia na swoim. I chociaż wtedy nie było mi obce myślenie o tym, żeby z kimś szlachetnym losy swoje połączyć, najważniejszy był dla mnie Januszek, jego tamtejsze i przyszłe życie. Widziałam, że się uczy, że z domu z książkami do koleżanek i kolegów wychodzi. Bolała mnie trochę ambicja, że to nie koleżanki i koledzy przychodzą do niego, no, ale cóż, mieszkanie nasze skromne, niewiele było do pokazania, nic do pochwalenia. Ale skoro mu uczyć się lepiej w obcym, nie we własnym domu, to trudno. Niech robi tak, myślałam, żeby później na własną matkę bez potrzeby nie musiał narzekać.

Tak i wtedy, pamiętam, przez tych parę dni Januszek czas spędzał na pilnej nauce w obcych domach, a ja na swojej codziennej, ciężkiej pracy w celu poprawienia naszego dobrobytu. Wieczorami rozmawialiśmy sobie o tym, co się od rana wydarzyło, i o tym, co nastąpi, jak już szkołę skończy. Słuchał uważnie tego, co mówiłam, wyrażając chęć pójścia do technikum mechanicznego. Gotowa wtedy byłam ubrać go w najpiękniejsze na świecie szaty. W jego spojrzeniu też widziałam miłość do matki i całkowite zrozumienie dla mojej ciężkiej pracy. A to już mi starczyło za wszystko, było dla mnie najlepszą zapłatą.

Pośród tych dni szczęśliwych nadszedł dzień, kiedy udałam się do Kalisiaków. Ich dom zupełnie inny przedstawiał widok niż domy, do których zwykle chodziłam.

Od razu widać było, że jest to mieszkanie robotnika, któremu kariera w głowie nie zdążyła przewrócić. Żadnych nadzwyczajnych mebli, tylko jeszcze te przedwojenne, porządne, zrobione z grubych desek, nie dla wyglądu, ale dla wygody. Wiadomo przecież, że mebel ma się raz na całe życie jak żonę, a skoro tak, to musi mieć odpowiednią wartość i dobrze służyć człowiekowi. Tak też było u Kalisiaków, chociaż i on też mógłby sobie teraz kupić te nowoczesne straszydła, co to, kiedy kichnąć, bujają się i trzęsą, jakby za oknem, na podwórzu bomby spadały.

Pokoi było tam dwa, do tego korytarz, kuchnia i łazienka. Podłogę na korytarzu i w kuchni, żeby było poręczniej, pociągnął Kalisiak farbą koloru ciemny orzech. Mniejszy pokój był dla córki, która już na lekarza się uczyła, a w większym mieszkali starzy. Dywan był również, ale skromny, w sam raz dla zwykłego człowieka, który w życiu majątków nie dorobił się i nie dorobi.

Kiedy tylko przyszłam, robota już czekała przygotowana. Co do trzepania, leżało na korytarzu, co do oczyszczenia z kurzu — w tym portret ślubny w dużym rozmiarze — też stało pod ścianą. Łazienkę trzeba było wyszorować, podłogę w korytarzu i kuchni zmyć, a w pokojach na świeżo zapastować. Nie było to znów tak wiele, więcej już robiłam przez jedno poobiedzie, ale Kalisiakowa, ledwie do ich domu weszłam, do lekkich nerwów mnie doprowadziła. Ja nie lubię, jak ktoś jaśniepaństwo udaje, a tym jaśniepaństwem nie jest, bo na jasnego pana trzeba się urodzić, mieć to we krwi, z dziada pradziada. A ta mi prosto od drzwi melduje:

— Co to, Smoliwąsowa, tak późno, przecież chyba wcześniej żeśmy się umawiały? Dobre pół godziny spóźnienia widzę według mojego zegarka.

— Ja tam, pani Kalisiakowa — odrzekłam — po zegarkach nie patrzę, nie stać mnie na to, żeby na co dzień z zegarkiem chodzić, starczy mi, jak fabryka te trzy razy w ciągu dnia zagwiżdże. A względem tych paru minut opóźnienia, to bardzo przepraszam, ale mam dziecko, któremu trzeba w odpowiedniej porze obiad podać, tym bardziej że teraz właśnie syn bardzo jest zajęty nauką w ostatniej klasie szkoły podstawowej i zaraz się będzie do

nauki w technikum szykował.

— To są wasze osobiste sprawy — odrzekła mi na to Kalisiakowa — a robota to jest robota. Mój mąż nigdy by do takiego stanowiska ani uważania u ludzi nie doszedł, gdyby się w robocie zaniedbywał i odpowiedniej punktualności nie przestrzegał. A i córka nasza Ania też by się na medycynę nie dostała, jakby się w ojca swojego i we mnie, która również bardzo akuratna jestem względem każdej pracy, nie wrodziła.

— Dobra jest — powiedziałam, chociaż chciałam się zaraz do domu cofnąć i tak bym pewnie zrobiła, jakby to nie był Kalisiak — więc trzeba brać się za robotę, czasu bez potrzeby nie tracić. Ja w pracy też jestem akuratna i solidna, każdy to pani powie.

— Narodowi teraz — odzywa się Kalisiakowa — już całkiem się w głowach poprzewracało. Kiedyś za byle robotą kolejka ze sto osób stała i nie było, broń Boże, dziury w niebie, jak się do służby trochę ostrzej wyraziło ze strony człowieka zamożniejszego albo na lepszym stanowisku.

— Pani daje mi zaraz trzepaczkę — przerwałam jej ostro wypowiedź — bo jak z nerwów wyjdę, to zaraz się całkiem do domu udam. I niech pani dywan zwinie, żebym go mogła wynieść, a ja przez ten czas chodniki na trzepaku obrobię.

— Ale też pani Smoliwąs jest wrażliwa — odrzekła mi na to Kalisiakowa, a na jej twarzy strach się wymalował. — To już mnie, żonie poważnego człowieka, nic powiedzieć nie można? Dywan, rzecz jasna, zwinę, bo go, tak jak leży, wynosić byłoby za trudno i niewygodnie.

— Nareszcie żeśmy się zrozumiały — powiedziałam i z rąk dyrektorowej wzięłam trzepaczkę, potem chwyciłam pozwijane w rulon chodniki pod jedną pachę, a pod drugą narzuty i kapy z łóżek i biegiem na dwór, do kazionnego trzepaka, na którym akurat z dziesięcioro dzieci hokusy-pokusy i wywijanki wyprawiało. Popędziłam zaraz te dzieciaki, a jednemu chłopaczkowi nawet trzepaczką nie za mocno poniżej krzyża przywaliłam, bo się stawiał i tatusiem swoim, co jest za wojskowego, straszył, i dalej za robotę, aż cały trzepak zaczął się bujać. Patrzę, a tu Kalisiakowa z dywanem z klatki schodowej wycho-

dzi i, co wytrzepane, zabiera. Nastraszyłaś się, zołzo, pomyślałam, nastraszyłaś się, że Smoliwąsowa na twoje pieniądze kichnie i wróci do domu posiedzieć sobie spokojnie pod lubaszką, na której tamtego roku śliweczek więcej było niż liści. Ale ja Kalisiakowi żony nie wybierałam, to jego szczęście albo nieszczęście. Za duże poważanie mam dla tego człowieka, żeby mu takie coś, jak niedotrzymanie słowa, zrobić. Ze wstydu bym się pod ziemię zapadła, jakby mnie kiedyś spotkał i w oczy spojrzał. Przecież to jego srebrne gody? A w życiu ludzkim co się może liczyć jak nie rodzina? Władze i stanowiska przemijają, ulatują jak dmuchawiec, aby wyrosnąć w innych miejscach i ludziach, a życie rodzinne zostaje nawet wtedy, kiedy niezgoda zamiast zgody panuje. Ten człowiek nikomu świństwa nie zrobił, na obcą złotówkę się nie połaszczył, korzyści dla siebie nie szukał. A że partyjny, to co? To jego własna sprawa, a nie kogo innego. Rozejrzałam się uważnie wokół, bo kurz z dywanu coraz bardziej mnie w nosie kręcił. Ludzi nie było, tylko w dwóch oknach dwie stare baby na Boży świat patrzyły, czy cud się jakiś nie zdarzy albo chociaż bójka między pijakami. Ale ani cudu, ani pijaków, ani też innych ludzi nie było widać. Więc wysmarkałam się zwyczajnie, po robotniczemu i po wiejsku, tak jak to chłopy robią przy ciężkiej i brudnej robocie, jedną dziurkę od nosa przytykając palcem, i biorąc wytrzepany dywan poszłam na górę.

Najpierw sprzątnęłam duży pokój, żeby Kalisiak, jak wróci — a nigdy podobno wcześniej niż przed wieczorem nie wracał — miał gdzie po swojej odpowiedzialnej pracy odpocząć. Potem sprzątnęłam pokój ich córki Ani, gdzie książek do nauki wszędzie leżało pełno, niektóre otwarte, niektóre nie, więc ostrożnie, żeby czego nie pomylić, układałam je w tych samych miejscach, na których przed porządkami leżały. Najwięcej zeszło mi się w łazience, woda tu u nas wszędzie, nawet w blokach państwowych, żelazista i żółta, więc wyszorować wannę i sedes — żeby białe spod żółtego wyjrzało — choć nie było tam widać śladów większego zapuszczenia, wcale nie było łatwo. Potem bez jednej chwili odpoczynku załatwiłam

się z kuchnią, nie przejmując się wcale tym, że dyrektorowa koło garów lata i takimi to słowami zaczyna mówić do mnie, żeby w zbytnio duży pośpiech nie wpadać, bo za wielkim pośpiechem zawsze partanina i niedbalstwo idzie.

— Ja, pani Kalisiakowa — wypowiedziałam się na to — żadnej partaniny, za którą mieliby mnie ludzie palcami wytykać, nie zrobiłam i nie zrobię. Od maleńkości nauczona jestem pracować szybko, bo życie jest jak zając i ucieka nie wiadomo kiedy.

— O Jezu Nazareński — zawołała dyrektorowa, ręce jak do modlitwy składając. — Co to za czasy nastały, że nikomu już słowa powiedzieć nie można? Kiedyś od różnych sług i kobiet do sprzątania opędzić się było trudno, drzwi się nie zamykały, a teraz co jedna to lepsza, co jedna to większa w gębie. Umawiałam się z wami na robotę, tak czy nie? A jak umawiałam, to chyba mam prawo o waszej pracy się wypowiedzieć ze swoim zdaniem. A w ogóle to cały dzień jestem sama i do tych czterech ścian mówię albo do radia. Mąż, ważny dyrektor, zmęczony, ale się nie położy wcześniej, nie odpocznie, tylko w papierach się zagrzebuje i siedzi do późna. Córka też zaraz za naukę się bierze, ledwie z uczelni wróci.

Żal mi się Kalisiakowej zrobiło, więc mówię: — Przecież może pani znów do fabryki wrócić, jakąś pracę wziąć.

— Głupie gadanie — powiada Kalisiakowa — przecież jestem już inna, niż byłam za czasów, kiedy mój tylko był majstrem, a ja jak ta wariatka po biurach i kantorkach z różnymi papierami biegałam.

Zmierzchać się już zaczynało i wieczór ciepły, letni przez otwarte okna napływał. Może i masz rację, babo, pomyślałam, może człowiek, jak mu się byt i stanowisko na lepsze zmieni, cofnąć się już nie może do dawnego życia, bo życie to będzie dla niego smutne i ciasne jak ubranie z młodszego brata. To myśląc, wzięłam się za korytarz, szybko zmywając go ciepłą wodą z proszkiem. Potem, nie czekając, aż wyschnie, raz-raz wyfroterowałam w pokojach podłogę. Kalisiakowa nic już nie mówiła, tylko mi na ręce patrzała, jakbym jakim flejtuchem albo i czym gorszym była. Ale koniec roboty był już blisko, za chwilę będę mogła wrócić do domu, gdzie Januszek też już powinien być, po dniu pracowicie spędzonym na

nauce. Zaraz też o nim od nowa myśleć zaczęłam, jakie to mi dobre i pożyteczne dziecko z niego wyrasta. Człowiek przecież to nie maszyna, którą można, jak się chce, nastawiać. Człowiek też ma te swoje skłonności do złej drogi i niedobrego towarzystwa, ale jak się do rozumu potrafi odwołać, to prędzej czy później zechce być pożyteczny. Inne sprawy i wydarzenia też się odpowiednio ułożą, już w tym moja głowa. A jak ktoś ma swoje zmartwienia, to niech się martwi o nie sam, bo mnie w moich poważnych kłopotach nikt nie pomagał i nie pomaga.

Kiedy żem już z robotą na całkowitym wykończeniu była, przyszedł Kalisiak. Przebrał się w domowe łapcie i pyta po przywitaniu, co niby ja tu robię i dlaczego na klęczkach na podłodze siedzę, a nie na krześle w dużym pokoju, jeżeli mam interes do niego. Odrzekłam, że na klęczkach siedzę dlatego, bo drzwi do odpowiedniej czystości i połysku doprowadzam, i że nie przyszłam tu za interesem, tylko się do roboty zgodziłam.

— Ach, to tak — powiedział Kalisiak — to już w naszym domu, gdzie raptem trzy osoby jest na krzyż, służba musi być jak u jakichś hrabiów czy fabrykantów? Twoja to, Helka, sprawa, ale ja nie będę krył tego, że jestem niezadowolony, znasz dobrze moje poglądy na życie i na ludzi i wiesz, że ja poglądów swoich nie zmieniam.

— Ty, Jasiu — odrzekła Kalisiakowa — też wiesz dobrze, że jestem już trochę sercowa i coraz częściej w boku mnie kłuje, a siła już nie ta co dawniej. Siadaj do stołu, zaraz ci obiad podaję.

Skończyłam pucowanie drzwi, odniosłam szmaty do łazienki i mówię do siebie: Umyj sobie teraz, kobieto, ręce, ogarnij trochę i leć do domu. Puściłam wodę, a tu słychać na całe mieszkanie głos Kalisiaka:

— Co to jest? Dlaczego ja tu trzeciego talerza nie widzę? Kobieta napracowała się, więc chyba należy się jej obiad, nie uważasz?

I zaraz potem cichszy głos Kalisiakowej:

— Jesteś, Jasiu, mądrzejszy ode mnie i zawsze w tym domu twoje uważanie ma rację, ale czy to wypada, żeby dyrektor dużej fabryki jadł razem ze zwykłą kobietą od sprzątania?

— Ejże! — krzyknął Kalisiak — nie denerwuj mnie. Zapomniałaś już chyba, jakżeś przed wojną sama do fabrykanta Millera chodziła na posługi?

— Nie robiłam tego dla siebie, tylko wtedy, jak cię, Jasiu, za twoje gadanie z roboty zwolnili. Potem znów cię przyjęli, pamiętasz? Dyrektor osobiście do nas do domu woźnego przysłał. A jak myślisz, dlaczego tak się stało? Może fabryka bez ciebie obejść się nie mogła? Wstawiłam się za tobą do Millera, mówiłam o naszej małej Ani, do nóg mu padłam.

— Dosyć już! — krzyknął Kalisiak i pewnie pięścią w stół rąbnął, bo huk rozległ się głośny — nie będziemy teraz przy obcych naszych spraw rodzinnych wytrząsać. Poproś do stołu panią Gienię, to bardzo uczciwa i odważna kobieta.

Jeść mi się chciało, to fakt, ale też i w domu chciałam być jak najprędzej. Wyszłam więc szybko z łazienki i mówię:

— No to ja już bardzo szanownemu państwu dziękuję, robota, która mi dzisiaj od pani dyrektor była przeznaczona, chyba, jak sądzę, została wykonana, więc sobie już pójdę, syn bez kolacji czeka na mnie w domu.

— Ty tu nam, Smoliwąsowa — powiada Kalisiak — z tytułami nie wyjeżdżaj, u nas dom zwyczajny, jak u zwykłych ludzi. Wcześniej cię nie puszczę, dopóki nie zjesz z nami obiadu, narobiłaś się, to i zjeść potrzeba. Kto pracuje na dwóch etatach, ten i za dwóch jeść musi.

— Bardzo panu dziękuję, panie Kalisiak — powiedziałam — ale w domu Januszek sam jest, chłopaczyna.

— Mówię, siadaj — wyrzekł Kalisiak, a Kalisiakowa już szła z pełnym talerzem. — Januszek nie z cukru, nie rozpuści się.

Co miałam robić, usiadłam razem z nimi, po prawej ręce dyrektora, w tych moich brudnych ciuchach od roboty. Starałam się jeść inteligentnie, łokcie trzymając przy sobie, a zupy, żeby nie siorbnąć, ledwie nabierając końcem łyżki. Kalisiak zerknął na mnie raz i drugi i pyta:

— Co to, nie smakuje ci, moja żona źle gotuje?

— Smakuje — wyrzekłam szybko — zupę jarzynową bardzo lubię, a pani Kalisiakowej względem gotowania też nic zarzucić nie można.

— No to jedz jak człowiek — powiada Kalisiak — i bierz chleb, co to za jedzenie bez chleba.

Zaśmiałam się i od razu oparłam łokciami o stół, a talerz odsunęłam dalej od siebie, żeby było wygodniej.

— Tak to rozumiem — powiedział Kalisiak — teraz jesz, jak się należy jeść po robocie, a nie jak zdegradowany posiadacz ziemski.

— Chcecie, Smoliwąsowa, dolewkę? — spytała dyrektorowa. — A jego to nie słuchajcie, on tu nas wszystkich musztruje jak w wojsku.

— Chorego się pytaj — powiedział Kalisiak. — I mnie też dolej, jeść mi się dzisiaj chce, chociaż taki upał.

Po drugim daniu, na które była pieczeń wieprzowa, co już przedtem wiedziałam, jako że nos mam dobry i dużą praktykę zawodową, Kalisiak kazał podać do stołu nalewkę na wiśniach własnej roboty. Wypiłam z dyrektorem parę kieliszków, Kalisiakowa tylko udawała, że pije, z jej zdrowiem faktycznie nie było najlepiej, i Kalisiak zaczął mnie wypytywać o moje sprawy, co u mnie i u Januszka słychać.

Odrzekłam mu, że u mnie jak zwykle praca na okrągło, ale pieniędzy już trochę zdołałam uciułać i tego czy tamtego do domu kupić. A z Januszkiem też już całkiem inna sprawa niż dawniej. Zaczął się uczyć, spoważniał i chociaż w szóstej klasie zimował, w tym roku już szkołę ukończy.

— To najważniejsze — powiedział Kalisiak — a bałem się już, że chłopak się wykolei, odejdzie na manowiec. Dzisiaj bez szkoły to tak jak bez rąk.

— Chcę — powiedziałam — żeby ukończył technikum mechaniczne, to dla chłopaka chyba będzie najlepsze.

— A ja akurat — wyrzekł Kalisiak — dobrze znam dyrektora tego technikum, razem w egzekutywie jesteśmy. Jeśli więc będą jakieś kłopoty, chętnie pomogę, ale egzamin Janusz musi zdać, żeby żadnej lipy nie było.

Chciałam mu podziękować jako dyrektorowi, ale zaraz — bo znowu by coś źle powiedział do mnie — ugryzłam się w język i wyrzekłam:

— Bardzo dziękuję panu, panie Kalisiak, pan zawsze dobrze wiedział, co komu dolega i jaką ma człowiek zadrę w sobie.

— To by się całkowicie zgadzało — dorzuciła Kalisiakowa — bo on sam o sobie nic a nic nie pamięta. Ile to razy mówimy z córką, żeby przebadał się u lekarza, bo to już nie to zdrowie na karku i nie te latka, albo żeby chociaż swój urlop w należytej całości wykorzystał. Ale pożytek z tego gadania taki jak z garbatego w ułanach. Krzyczy na nas tylko i awanturuje się na całe mieszkanie.

— Dosyć, Hela — powiedział Kalisiak — są tutaj inne sprawy i tematy ważniejsze od osobistych, ja jeszcze Smoliwąsowej mam coś do powiedzenia, bo kobieta ma słabe rozeznanie ogólne i zamęcza się pracą od rana do nocy.

— Tak, Jasiu — wyrzekła Kalisiakowa — lecz mówić mi chyba wolno, chociaż ty jesteś w tym domu najważniejsza osoba.

Nie wytrzymałam i dorzuciłam tych parę groszy.

— Słuszną rację ma żona, panie Kalisiak, w człowieku zdrowie jest tylko jedno, jak je zmarnuje, to żegnaj, dzionku biały, a witaj, nocko.

— Łatwo wam mówić — powiedział Kalisiak po papierosa „Sporta" sięgając. — A ja mam plany, sprawozdania, sprawy partyjne i ludzkie na głowie.

— Na mój rozum — wtrąciła mu zaraz Kalisiakowa — potrzebne ci to wszystko jak okulary ślepemu. Naszarpiesz się tylko, namęczysz, a pieniądze znowu nie takie wielkie.

— To nie moja ani też zwłaszcza nie twoja sprawa — wyrzekł Kalisiak. — Idę tam, gdzie mnie stawia partia, gdzie się uważa, że jestem potrzebny. Niedługo przyjdą młodzi i wtedy my będziemy mogli odpocząć.

— Czekaj, mój mężu, tatka latka, od kiedy ja już o tym słyszę.

— Dobrze, że chociaż Anki nie ma, wtedy by już były trzy baby na mnie jednego.

— Do teatru poszła, chyba dziewczyna też czasem musi się rozerwać?

— Czy ja coś mówię, czy ja tu stawiam jakiś swój ojcowski protest — rzekł Kalisiak — poszła, to poszła. Kobieta już z niej dorosła i chyba wie, co robi. — Sięgnął po karafkę i nalał do kieliszków. — Czas ucieka, a ja jeszcze mam ci, Smoliwąsowa, nie jako dyrektor,

ale jako zwykły Kalisiak i człowiek, parę słów do powiedzenia. A mianowicie, kiedy już sobie wszystko ułożysz i Januszka do technikum mechanicznego wyprawisz, przyjdź, jak ci to już raz mówiłem, do mnie na zakład do roboty. Zarobisz tyle, że nie będziesz musiała chodzić na posługi, tłuc się po obcych domach. To wstyd, żeby taka młoda jeszcze kobieta nie miała przyzwoitego fachu.

— Drugą kucharką, panie Kalisiak, jestem — odrzekłam — a i zarobki z państwowej ręki też mi urosły o dwieście złotych na miesiąc.

— Kucharką to bądź u siebie w domu. Janusz też więcej matkę powinien oglądać, a nie dopiero wieczorem, kiedy wraca skonana na ostatnich nogach.

— Ale ja szkoły mam akurat tyle, panie Kalisiak, co w locie popuści wróbel, i to nieduży. U ojców moich się nie przelewało, komu tam w głowie była nauka.

— Jedno drugiemu nie przeszkadza — odezwał się w te słowa Kalisiak — w takim jak twój wieku można jeszcze przynajmniej podstawówkę ukończyć. We wrześniu masz do mnie przyjść za robotą, a i wcześniej też, jakby Januszowi ze szkołą się nie układało.

— Dobrze, panie Kalisiak — powiedziałam, a ta wódka do takiej mnie pewności doprowadziła, że już żadnej przeszkody nie widziałam dla naszego życia.

Pieniędzy za sprzątanie mieszkania nie chciałam wziąć, ale oni dali mi sto złotych, więc prawie dwa razy tyle, co mi się należało.

Pożegnałam się i wyszłam jak od prawdziwych przyjaciół, którzy człowieka podeprą w biedzie, i nawet już złości nie miałam do Kalisiakowej — bo to też dobra kobieta — że taka ważna była dzisiaj, w pierwszych początkach sprzątania.

Ostatnia już szarówka przed nadejściem ciemnego wieczoru była na niebie, kiedy wracałam do domu. Powietrze pachniało jaśminami, a gdzieś, z jakiegoś ogrodu, słychać było piękny głos dziewcząt, które śpiewały *Bajo bongo*. Przy stacji mantykowali w większej gromadzie pijacy, machając rękami i wymawiając grube słowa.

Czy to wam życia nie szkoda, pomyślałam, czy ta wódka musi wam wszystko utopić i zabrać? Ja też wypiłam, humor wewnętrzny mam — bo niby do kogo tu mówić, jak człowiek sam idzie — ale miary swojej nigdy nie przekroczyłam i nie przekroczę. Co to za przyjemność upić się, walać po rowach i własnej rodzinie wstyd — od którego tylko kraść jest gorzej — przynosić. Dobrze, że Januszek do napoju alkoholowego nie ma większej skłonności. Chłopcy w jego wieku też piją, sama widziałam takich szczeniaków w parku.

Minęłam stację i za tunelem zaczęłam iść szybciej. Lampy powytłukiwane kamieniami świeciły się rzadko, gdzieniegdzie tylko. A czy mój chłopak, pomyślałam, strudzony po całym dniu nauką, wziął sobie kolację i zjadł, jak należy? Słuszną ma rację Kalisiak, że jako matka powinnam więcej czasu poświęcać swojemu synowi. Ale tu i zarobić trzeba, pieniążki też są potrzebne. Skręciłam w łąki, na których jeszcze wtedy kwiecie polne rosło, a nie bloki spółdzielni „Mazowszanka", a lekki wiatr niósł ich wieczorowy zapach.

Przypomniało mi to łąki na wsi, kiedy wyglądały jak wielki dywan o różnych kolorach. Pomyślałam o ojcu, pomyślałam o matce, którzy ledwie córce swojej ślub zwykły, prawie biedny zdążyli wyprawić, a już musieli się z tym światem rozstać, nie z własnej woli — bo nikomu się nie chce umierać, choćby najmniejszym był stworzonkiem — ale poszli do Pana Boga zgładzeni niemiecką ręką, pośród ognia i zgliszcz palących się w wiosce domów. Brata, co niedużo był starszy niż teraz Januszek, zastrzelili hitlerowscy okupanci pod samym lasem, kiedy już jednym okiem na wolność patrzył. Rozleciała się moja najbliższa rodzina, a w ślad na nimi poszedł wkrótce nieboszczyk Franciszek. Tak już widać było w Boskim kalendarzu zapisane, żeby od Niemca zginąć niewinnie. Jak to dobrze, pomyślałam, że bez wojny żyjemy, że już jest piętnaście lat wszechświatowego pokoju. Januszek mój urodził się w samą porę, bo zaraz później zadeptano niemieckich faszystów i hitlerowców.

Ale gdy na ulicy swojej się znalazłam, kiedy okna domów spomiędzy listowia drzew i krzaków mrugać do mnie światłami elektrycznymi zaczęły, na bok odrzuci-

łam to, co najgorsze, co jedynie sen burzy i mąci, i powróciłam do dnia obecnego.

Z ulgą w sercu, myśląca już tylko o przyszłości, szybkim krokiem wbiegłam na własne podwórko. Patrzę, a tu w obydwu oknach, w pokoju i od kuchni, pali się światło, a okno od pokoju dodatkowo jeszcze na całą szerokość jest otwarte.

Co to jest, powiedziałam do siebie głośno, czyżby Januszek przed snem wietrzył się na cały regulator, nie zwracając zupełnie uwagi na to, że tyle komarów, much i innego świństwa lata? Zajrzałam, a tam pusto. Tylko jakby był lekki bałagan i nieład na stole, a obrus trochę na jedną stronę ściągnięty. Pewnie przyparło go, pomyślałam, i poszedł smarkacz na skróty do ustępu? Podchodzę szybko do drugiego okna, patrzę, a tam w środku jakiś babsztyl siedzi i gazetę czyta.

— Co pani tu robi? — zawołałam, jednym skokiem wbiegając do kuchni. — Dlaczego bez dania racji weszła pani do mojego domu?

Na te słowa obca kobieta, której twarz wydała mi się znajoma, wstała z krzesła i wyrzekła:

— Pani syn razem z młodym Żurkiem zwabił podstępnie do tego mieszkania moją córkę, którą w następnej kolejności za pomocą nadużycia siły i gwałtu popsuł. Córka teraz już nigdy przyzwoitego człowieka nie będzie mogła mieć za męża, a kto wie, czy to nie zakończy się jeszcze gorszymi komplikacjami. O tym wypowie się lekarz, który na jutro pisemnie opisze obdukcję dla milicji i sądu.

— To niemożliwe — krzyknęłam — pani mi tu kłamstwa wciska i oszczerstwa najgorsze! Mój syn, chociaż dobrze wyrośnięty, nigdy by się na takie coś nie zdobył. Gdzie tam mu w głowie — wołałam — w jego wieku kobieta, on teraz jest całkowicie pilną nauką zajęty i myślą o własnej przyszłości. Młody Żurek to co innego, ten pewnie już od kołyski za ciałem kobiecym się rozglądał. Ja najlepiej o tym wiem, sprzątam u nich. Nieraz, kiedy podłogę szorowałam i sukienkę przy tej robocie zadarłam, to patrzył się na mnie spojrzeniem dorosłego chłopa, któremu mocno się chce kobiety. Żeby Januszek kawał jakiś wykręcił, to i owszem, ale żeby do dziewczyn się za-

lecać i jeszcze do takiej strasznej tragedii doprowadzić, to niemożliwe, za nic nie mogę dać temu wiary. Przekona się pani o tym, kiedy tylko wróci. Pewnie mu jakiejś książki zabrakło do nauki — mówiłam — więc poszedł pożyczyć od któregoś z kolegów i przez to nie miał głowy, żeby zamknąć mieszkanie.

— Uciekł przez okno — powiedziała ta kobieta — kiedy mnie tylko zobaczył, zatem postanowiłam posiedzieć w kuchni i poczekać. Chciałam bliżej zapoznać się z panią, zobaczyć, co to za matka tego gagatka wychowała, pewnie sama jest lepsza. Ale nie, widzę coś całkiem przeciwnego, niż myślałam. Widzę, że ten podły chwast wyrósł na dobrej glebie. Tak też się zdarza w życiu człowieka. Szkoda mi pani, ale co już się stało, to się nie odstanie. Będę swoich praw i godności mojej córki przez odpowiednie władze dochodzić. Teraz już pójdę do doktora Żurka, niech i on z moich ust dowie się przykrej prawdy o swoim synie. Żegnam panią.

Wyszła, a ja stałam jak zamurowana, jakbym się gipsu do samego spodu najadła, i tylko jedna myśl nieustająca w mózgu mi się tłukła jak ćma przy lampie. Jeżeli to prawda, to zrób coś, żeby nie było sądu i rozgłosu między ludźmi. Dlaczego więc jej nie zatrzymałaś, nie uprosiłaś w imię Boże o wybaczenie? A może tu tylko straszna pomyłka zaszła?

Nie namyślając się, w jednej chwili, wszystko, tak jak było, zostawiając otwarte, wybiegłam z domu. Nie wiedziałam przecież nawet, jak się ta kobieta nazywa, gdzie mieszka, miałam tylko jej twarz zapamiętaną z jakiegoś zebrania rodzicielskiego.

Biegłam ulicą jak nieprzytomna. Którędy ona mogła pójść, na skrót czy prosto ulicą? Skrót trzeba znać, a ona przecież nie z tych stron, nie z tej dzielnicy. Puściłam się prosto. Ludzie szli od pociągu, wracali z roboty, z fabryki. Widać minęło już trochę czasu, jak gwizdali na dziesiątą, czego ja nie słyszałam zupełnie. Ktoś mnie pozdrowił, ktoś zawołał za mną, ale nie spojrzałam się na niego, nie zwróciłam na wołanie najmniejszej uwagi. Potem ulica znowu zrobiła się pusta. Lamp parę akurat na słupach świeciło, więc mogłam się rozejrzeć. Nikogo ani przed sobą, ani koło siebie nie zobaczyłam. Zahamowało

mnie straszne zmęczenie. Oparłam się o słup, żeby nie upaść. A kiedy mi już płuca do spokojności wróciły i serce przestało trzepotać jak ryba rzucona na piasek, rozum mój także powoli zaczął wracać do spokojniejszego myślenia. Do doktora Żurka jeszcze kawałek drogi, a kogo ty teraz, pomyślałam, w tych ciemnościach znajdziesz, oczami swoimi rozpoznasz? I w tej samej chwili strach mnie obleciał, aż mi ciarki po kościach przeszły. Przecież tam mieszkanie stoi puste, otwarte na oścież i prosi się o złodzieja.

Na uginających się ze zmęczenia nogach znowu puściłam się biegiem. Może złodziej jeszcze nie wie, że tam na niego okazja czeka? Ulicą nikt już nie szedł, każdy w swoim domu siedział. Jeszcze palą się światła, myślałam, jeszcze gdzieniegdzie słychać radia, ludzie po dobrze spędzonym dniu kładą się do łóżek, tylko mnie w jednej chwili wszystko wali się na głowę jak woda z kubła. Czy mój syn już nie wie, co czyni, czy on naprawdę jest już taki zły, że nic go nie odmieni?

Tak myślałam, pełna lęku zbliżając się do domu, cała rozdygotana, jakbym tylko z samych nerwów była, a nie z mięsa i kości. Ale Bóg widać w ostatniej chwili powiedział: dosyć tego nieszczęścia jak na jedną spracowaną kobietę, i złodzieja, co pewnie już węszył i ślad znajdował, do mego mieszkania nie dopuścił. Weszłam do ku chni, potem w pokoju zamknęłam okno i zgasiłam świa tło i padłam na tapczan, żeby chociaż na parę minut do spokojności zupełnej się doprowadzić. Ale ani jednej myśli nie mogłam na dłużej utrzymać w głowie. Zaraz szła następna, po niej znów następna, a później wszystkie zaczęły wirować wokół mnie jak kawki przy strąconym gnieździe.

Zerwałam się więc, ogień pod blachą napaliłam, postawiłam czajnik. Może mój ancymonek wróci i przestanie się bać, jeśli dzisiaj w takim małoletnim wieku w chłopa się prawdziwego przemienił. Ale gdzie tam! U Karolaków coś tam tylko puknęło za ścianą, jakiś się głos niewyraźny rozległ. I znów spokój nocny zapanował, co gorszy jest czasem na umęczone nerwy niż największy hałas. Napiłam się herbaty, ugryzłam kawałek czerstwej bułki, potem sięgnęłam do kredensu — gdzie stało jeszcze dobre pół

butelki spirytusu używanego do bólu w kościach. Nalałam sobie sporo do szklanki, dobrałam na oko wody, wymieszałam i taki ciepły, nie czekając, aż się przegryzie, wypiłam.

Zaraz przyszła ulga, zaraz myśli zaczęły się jaśniej układać. Na początku przedstawiło mi się to jako zły sen, że to sam szatan chciał mnie wystawić na próbę i czarownicę mi swoją przysłał. Zaraz przecież za nią wybiegłam, rozglądałam się na wszystkie strony — a oko mam bystre jak jastrząb — lecz nigdzie jej nie było, zniknęła, jakby ją wiatr wymiótł. Tylko czemu Januszka nie ma, czemu uciekł przez okno jak złodziej? Może zawieruszył się gdzieś z kolegami, zasiedział dłużej niż zwykle?

Tak mi się przedstawiało, ale dobrze wiedziałam, że cudów na świecie tym nie ma, że co najwyżej bywały, ale w bardzo dawnych, jak bajki, czasach. Co zatem zrobić, jak go uchronić od kary — akurat teraz, kiedy lada dzień zaczną się egzaminy w szkole? Gdybym chociaż wiedziała, gdzie on jest i czy innych głupot nie robi, uciekając od matczynej opieki?

Co stało się, to już nie odstanie. Cóż więc z tego, że moje serce skrwawione broczy jak jedna rana, a głowa wyjścia z sytuacji nie widzi? Tak czy inaczej, wszystko jest sprawką Arka Żurka, to on go do tego niecnego czynu namówił. Ach, jak przeklinałam ten dzień, kiedy Januszkowi osobiste klucze do domu wydałam. Gdyby tej swobody z mieszkaniem nie miał, to może by do tego faktu nie doszło? Puknęłam się w głowę. Co ja za głupoty zmyślam, kiedy tyle jest wkoło krzaków gęstych od zieleni i tyle łąk pod miastem? A do Żurków nie tylko jedną dziewczynę, ale i całą klasę można przyprowadzić. Ale Arek jest mądry, Arek wie, co się robi u siebie, a co u obcych. A wszystko przez te książki. Kto to widział, żeby takiego gówniarza dopuszczać do książek lekarskich? Naczytał się, naoglądał różnych obrazków, kobietę nagą tak silnie sobie przedstawił, że już od tego widoku opędzić się nie mógł. A Januszek wpływowy. Ledwie lada co usłyszy, ledwie mu jakąś sprawę ktoś, co lepiej jest uświadomiony, przedstawi, już za nim pójdzie bez większego zastanowienia. Tak to było przecież z jego kolegą Wątrobą, kiedy te wszystkie kawały nauczycielkom i dzie-

wczynkom robili. Sam z siebie nie wymyślił, żeby kotka sadzą smarować. Musiał mu Wątroba taki pomysł nasunąć. A jak Wątroby zabrakło, jak Wątroba parę miesięcy temu za okradzenie kiosku z gazetami i papierosami przez milicję wzięty został i zamknięty w domu poprawczym, Arek zaczął Januszka sprowadzać na najgorszą drogę.

Synu mój, krzyknęłam w ciemność nocną, dlaczego nie poradziłeś się matki, dlaczego przed nią serca swego nie otworzyłeś? Już ja bym ci powiedziała, kogo trzeba jak morowego powietrza unikać, a kogo za swojego prawdziwego kolegę przyjąć. Tylko jak miałeś rozmawiać z taką matką, która nigdy przed wieczorem do domu nie wraca, która zawsze ma czas dla innych ludzi, a własnego syna nie widzi.

Podniosłam się z krzesła i źdźiebko nalałam sobie do szklanki. Pomieszałam łyżeczką i znów ten spirytus ciepły, nie przegryziony, jak najpaskudniejsze lekarstwo, wypiłam. Potem podeszłam do drzwi, otwarłam je szeroko. Niebo mrugało gwiazdami, jakby miało kilka tysięcy oczu. Gdzie teraz jest mój syn, myślałam, może śpi w kopce siana? Noce już ciepłe, czerwcowe, ale nad ranem chłód jeszcze ciągnie od nie nagrzanej dobrze ziemi. Siano świeże też jest złe dla organizmu ludzkiego. Pachnie mocno jak zioła, można zasnąć i więcej się nie obudzić. A może jakiś koleżka go przenocował, dał mu na tę noc schronienie przed gniewem matki? Tylko po co on się matki boi? Przyszedłby jak człowiek, położył do łóżka. Co najwyżej zobaczyłby, jaki mi ból sprawił, w jaki smutek wpędził.

Dreszcz mnie przebiegł od stania w otwartych drzwiach, bo tylko cienką sukienkę miałam na sobie z dużym dekoltem i krótkim rękawem. Zamknęłam więc drzwi, przestałam wpatrywać w noc ciemną. W kuchni dla odmiany było bardzo ciepło, ogień rozbuzował się pod blachą. Usiadłam przy stole, głowę rękami, jak to przy największej trosce, podparłam. A zmęczenie zaraz całe mi czucie odjęło. Nie chciało mi się nawet wstać, żeby odsunąć na zimniejsze miejsce czajnik, na którym aż pokrywka skakała. I w takiej to siedzącej pozycji mojego ciała, wśród najgorszego rozmyślania, zasnęłam.

Obudziłam się, kiedy słońce już pukało w okna, a ptaki

rosę z gałązek strząsały. Zegar wskazywał godzinę piątą. Może syn mój wrócił, może śpi teraz na swoim łóżku? Zerwałam się, wpadłam do pokoju. Łóżko Januszka stało nietknięte. No, pomyślałam sobie, przywidzenia cię męczą, wyobraźnia twoja spokoju ci nie daje. A może był, może pokazał się na chwilę, biorąc coś do jedzenia? Gdyby przyszedł, chybaby matkę swoją zbudził? Zresztą drzwi były zamknięte, przypomniałam sobie, a klucz siedział w zamku. Nic, tylko trzęsie się gdzieś teraz z zimna i z głodu po całonocnej partyzantce. Ale dość już tego biadolenia i załamywania rąk bez pożytku. Trzeba ogarnąć się i posilić trochę. Dzisiejszy dzień będę miała ciężki, najcięższy, jaki pamiętam.

Pod blachą jeszcze żarzył się węgiel, jeszcze w czajniku ciepła woda była. Rozpaliłam więc w piecu szybko do dużego ognia i wody zagrzałam, żeby się umyć przed pracą. Potem założyłam czystą bieliznę, czystą sukienkę, uczesałam się i umalowałam. Wypłoszyło to trochę moje zmęczenie po wczorajszych przeżyciach i spaniu w nienaturalnej pozycji. Wzięłam torebkę i już miałam wyjść z domu, gdy nagle coś we mnie — hola!, stop! — zawołało. Jak ja wyjdę w biały dzień z domu, jak ja pójdę ulicą, gdzie każdy człowiek znajomy albo mieszkający po sąsiedzku patrzyć będzie na mnie jako na matkę gwałciciela. Kroku nie będę mogła zrobić i wstyd mnie całkiem spali. Trzeba iść polami, pomyślałam, byle dalej od domów i od ludzi znajomych. Tylko gdzie ich nie ma, gdzie w takim mieście jak nasze są ludzie zupełnie obcy? W pracy też już pewnie wiedzą, bo niby jak taka wiadomość, taka okazja do pogadania i obsmarowania bliźniego, mogłaby utrzymać się w tajemnicy? W żaden sposób. Mniejsze wydarzenia, zwykłe nic, a i to rozchodziły się między ludźmi nie wiadomo kiedy.

Usiadłam więc znów i zamyśliłam się głęboko. Pracy bez powodu nie opuszczałam nigdy, minęło już dobre dwa lata, jak ostatni raz byłam na chorobie. Może mi więc wybaczą, jeśli dzisiaj nie przyjdę, może podania nie każą pisać? Bo jak mi teraz opuścić dom, jak pójść do roboty na tyle godzin? Januszek może przecież pomocy potrzebować czy chociaż zwykłego, ludzkiego słowa. Zaplanowałam więc pozostać w domu, zresztą i tak byłabym już

spóźniona. Żeby czymś się zająć, żeby myślenie utrzymać na mniej rozlatanym poziomie, zaczęłam kartofle obierać na zalewajkę. Gdyby bowiem Januszek się zjawił, będzie przecież głodny jak zgoniony pies, a i mnie samą po wczorajszym wzięła ochota na coś kwaśnego do jedzenia.

Obierki śmigając wpadały do wiadra, a ja myślałam, czy mi syna po tym fakcie wyrzucą ze szkoły. Kierownik jest mocno nerwowy, ale ma chyba na tyle rozumu, orientacji i znajomości ludzkiej, że od razu będzie wiedział, czyja jest w tym wina. Nie Januszka, ale Arka Żurka, jako syna doktora i człowieka na bardzo wysokim poziomie uświadomienia. Przecież nie może tak być, żeby chłopca przez kogo innego sprowadzonego na manowiec wyrzucać ze szkoły na dwa tygodnie przed skończeniem roku. To Arek będzie wyrzucony, jeśli jest jeszcze trochę sprawiedliwości na świecie. Dziewczynie pewnie, jak jest bardziej rozwinięta, nic się nie stało. Czy to w ogóle chłop może w taki sposób zrobić kobiecie krzywdę? A że cnotę straciła, no to co? Kto teraz cnotliwych szuka, gdzie one są, w jakim powiecie czy kraju? Rozumiem, ile jej matka musiała przeżyć, ile jej serce matczyne na tym ucierpiało. Ale czy ja nie przeżywam, czy mnie lęk o mego syna prawie że do wariacji nie doprowadza?

Wody już w kubłach nie było, poszłam więc do studni, chwytam za korbę, kręcę, a tu Karolakowa jak duch albo i zjawa niedobra przy mnie wyrasta.

— Co to — mówi — pani nie w pracy?

— Na chorobie jestem — odpowiadam — w kościach mnie łamie i stawy od roboty puchną.

— No, to szkoda — powiada Karolakowa — że pani wczoraj albo też w inne dni na chorobie nie była. Jakie to bale i jakie randki Janusz i jeszcze jeden z dziewczynami sobie urządzał.

— Uczyli się, pani Karolakowa — mówię — do egzaminów kończących szkołę przygotowywali. Syn ma już nawet ze znajomym mi dyrektorem sprawę w technikum nagraną.

— Uczyli — powiada Karolakowa — ale chyba nie z książek i chyba nie tego, co na książce się czyta. Wczoraj była tu taka kobieta, co ledwie weszła na podwórko, od razu do mnie z buzią. Że mój syn to, że mój syn tam-

to, że z jej dziewuchą niekulturalnie i na duś się obszedł. Mąż może poświadczyć, z pracy akurat przyszedł. „Niech no pani przestanie — odzywam się — bo od śmiechu mnie całkiem pokręci. Ja mam dwie córki i to małoletnie, ale syna ani jednego. Pani pewnie zamiarowała do sąsiadów, tam jest chłopak w sam raz do tego." Patrzymy, a tu okno się z trzaskiem otwiera, Janusz jednym skokiem wypada na podwórko i biegiem ucieka.

— Dosyć już — powiedziałam do Karolakowej — nie musi mi pani nic mówić. Widziałam się z matką tej dziewczyny i dłuższą chwilę żeśmy rozmawiały. I to nie Janusz, pani Karolakowa, jest winowajcą, on bynajmniej by nigdy się na taki okropny czyn nie zdobył, ale syn doktora Żurka, który żadnego przyhamowania dla swojej moralności i niegodziwości nie ma. Ale czemu się tutaj dziwić? Ojciec od rana do nocy zajęty jest medycyną, a matka po całych dniach obrazy maluje i maluje. Książek do medycyny pełno w całym domu. Gdzie się nie ruszysz, to książka, gdzie nie siądziesz, książka. Sama pani wie, że nie każda książka może być dobra na taki świeży mózg dopiero co wyrośniętego chłopca.

Tak jej mówię, tłumaczę, widząc i słysząc, jak cała ulica za moimi plecami patrzy i szepce, że ta kobieta, co idzie, nazwisko ma Smoliwąs, a imię Genowefa, a jej syn dziewczynę zgwałcił.

Przyniosłam kubły z wodą i jak nieżywa usiadłam na krześle. Jeśli Karolakowa wie, to wiedzą już wszyscy w bliższym i dalszym sąsiedztwie. Więc jak tu zatem wyjść z domu, udać się do pracy albo chociaż do sklepu? Ludzie tutaj są dobrzy, mający zrozumienie dla różnych spraw, ale też — bo życie ich zwykłymi torami się toczy, bez większych wypadków i wydarzeń — lubią wsadzać nos w czyjeś garnki, popatrzeć, jak ktoś inny żyje. Od rana już się pewnie tylko o tym po sklepach i po domach mówi, ręce nad moim losem załamuje. Już widzę te warczące w babskich gębach jęzory, te twarze uradowane poruszonym tematem. Ale co bym nie myślała, jakim strachem nie zadręczała, ani fabryka nie przyjdzie do mnie, ani żaden sklep, tylko ja tam muszę pójść, bo innego sposobu nie ma. A skoro sobie tak to wykalkulowałem i wyliczyłam, zaczęłam zbierać się do wyjścia. Było parę mi-

nut po godzinie ósmej, akurat żeby iść do pani Żurek nie naruszając dobrego wychowania. Sprzątanie u nich wypadało mi dopiero jutro, ale ja tak długo z moim zdenerwowaniem nie mogłam czekać. Ona też pewnie, myślałam, zatopiona jest w bólu i ciężkie wyrzuty sobie robi, że się więcej malarstwem zajmowała niż synem.

Ale od postanowienia do wyruszenia droga czasem jest długa i kręta. Zanim więc za sobą klucz w zamku przekręciłam, jeszcze tysiąc rzeczy znalazłam do zrobienia i poprawienia. Dopiero parę minut po dziewiątej wyszłam i nie patrząc zupełnie na boki ruszyłam przed siebie. Ale nie ulicą, tylko polami, chociaż tamtędy było bliżej.

U doktorowej było cicho i spokojnie, cały ogród tonął w jaśminach i innych ładnych kwiatach. Otworzyła mi Antosiowa tak jak zawsze z wykrzywionym od noszonej w sobie złości wyrazem twarzy.

— Co to, dziś piątek — spytała — że Smoliwąsowa przyszła? Chyba mi się kalendarz nie pokręcił?

— Doktorową muszę zobaczyć — powiedziałam — jestem tu w ważnej, osobistej sprawie.

— Też — wyrzekła Antosiowa — jaka to niby osobista sprawa? — Ale poszła po panią Żurek, podreptała schodami na górę do pracowni.

Takie się nieszczęście wydarzyło, pomyślałam, taki wstyd przed innymi ludźmi, a ta nic, ta maluje, od samego już rana trzyma w ręce pędzel. Ale już usłyszałam szybkie kroki, już ukazał się na schodach kolorowy szlafrok zbiegającej do mnie pani Żurek. Ręce jej powalane były farbą, a twarz wyrażała zadowolenie.

— Jakże się cieszę — wykrzyknęła — jakże się cieszę, kochana pani Smoliwąs, że panią widzę w tym dniu tak uroczystym i doniosłym. Chyba i pani też dołączy się do mej radości z takiego powodu, że nasi chłopcy z brzydkich i pryszczatych kaczorków poprzemieniali się w cudowne pawie, poznając bardzo niezwykły smak fizycznej miłości. Ta dziewczyna też powinna być szczęśliwa, że została się kobietą i że jej organizm wkroczył na właściwą drogę. Starałam się to wczoraj wytłumaczyć jej matce, doprowadzić do odpowiedniego zrozumienia tego faktu. Ale nie powiodło mi się, ta kobieta bowiem pozbawiona jest podstawowej inteligencji.

Myślałam, że śnię, myślałam, że to nie doktorowa mówi do mnie, ale że sam Lucyfer przez jej usta nawołuje z piekła. A może to ja wcale z domu nie wyszłam i dalej siedzę na krześle, i to wszystko przedstawia mi się tylko jak w kinie? Lecz pani Żurek podeszła do mnie i tak zapytała z zaniepokojeniem w swej twarzy:

— Co pani jest, droga pani Smoliwąs, źle pani się czuje, samopoczucie niedobre panią gryzie?

A ja ciągle jeszcze słowa nie mogłam wymówić, ciągle mi coś w gardle siedziało jak korek w butelce.

— Niech pani usiądzie — powiedziała — niech pani przez chwilę spocznie, a ja herbaty każę podać albo czegoś mocniejszego do napicia.

W tym momencie niemoc do mówienia mi przeszła i to najgłówniejsze pytanie z ust się wyrwało:

— Co z Januszkiem — krzyknęłam — gdzie on teraz, w tej danej chwili, się znajduje?

— Zatrzymałam go na noc — odpowiedziała doktorowa — kiedy już dowiedziałam się, o co tu idzie i jaka jest tego przyczyna. Za bardzo był zdenerwowany i roztrzęsiony, żeby go puszczać samego do domu późnym wieczorem.

— A czy teraz — zawołałam — poszedł do szkoły, czy też pani go gdzieś schowała, zeszyty przecież i książki są w domu.

— Po takich przeżyciach — wyrzekła doktorowa — nie mogłam ich puścić do szkoły, zanim sprawy związane z tym wydarzeniem nie ułożą się, jak należy. Pojechali do Warszawy do kina i do kawiarni na ciastka, żeby się trochę rozerwać po pilnej nauce i niecodziennych dla nich wrażeniach.

— Aha — powiedziałam, do coraz głośniejszej wymowy przechodząc — to pani doktor dodatkowo wzięła się za wychowanie mojego syna. Arek już do rozpusty za całkowitym pozwoleństwem swojej matki jest przyuczony, to teraz Januszka chce się wziąć na warsztat. Rozumiem to w zupełności, bez żadnych faktorów i tłumaczenia. Dlatego więc dziwię się, że jeszcze święta ziemia takie pokraki, takie pomylone na rozumie, co tylko głupie obrazy potrafią malować, nosi i nie pochłonie. Ale w sądzie wszystko wyjdzie na wierzch, okaże się, kto jest

głównym oskarżonym, bo przecież nie Janusz. Sąd sprawiedliwość prawdziwą zna i nie będzie miał najmniejszego kłopotu, żeby winowajcę odszukać.

— Czy ja dobrze słyszę — zawołała doktorowa — czy ja dobrze słyszę, co Smoliwąsowa mówi do mnie? To jest jawna bezczelność takie mi winy zarzucać. Niech Antosiowa — krzyknęła na sługę — zaraz tu przyjdzie i posłucha, co tutaj się w zamian za to, żeśmy tacy dobrzy dla tych ludzi byli, wygaduje i zarzuca. Niesłychane rzeczy, wprost nie do pojęcia i do zrozumienia.

Ale ja też jestem nerwowa, moich odcisków też deptać nie można.

— Jak tacy uczeni na piśmie i na książkach rozum mają za słaby — krzyknęłam — to ja im mogę, co potrzeba, jasno przedstawić! W tym domu kurewstwo jest tylko i zgnilizna przy całkowitym braku moralności. Jeżeli jeszcze raz się dowiem, że Janusz tu był, chociaż przez jedną minutę, to podpalę, z dymem puszczę to rozpustne gniazdo!

Chwyciłam wielki, gliniany gar, co stał z jaśminami, podniosłam do góry i jak nie walnę o parkiet, aż woda prysnęła i skorupy z brzękiem się potoczyły.

— Mówiłam, żeby jej nie brać — zawołała Antosiowa — żeby nie godzić na sprzątanie kobiety, co byle chłopu w okolicy usługę wyświadczy za kiwnięcie palcem — i podbiegła do mnie z wymierzoną ręką.

Od tego okropnego posądzenia pociemniało mi w oczach, chwyciłam więc Antosiową i pchnęłam tak, że wyciągnęła się jak długa w kałuży wody, wśród skorup i kwiatów jaśminu.

— Z rękami to wara — wyrzekłam — sama pójdę. — Bez pośpiechu udałam się do drzwi. Trzymając już rękę na klamce odwróciłam się i powiedziałam:

— Noga moja w tym domu więcej nie stanie, lecz jeżeli Januszek dzisiaj nie wróci, to taką Sodomę i Gomorę zrobię, jakiej jeszcze świat nie widział i ludzie nie słyszeli!

O tym, jakie przeżycia miałam w następnych dniach, jakie mnie cierpienia dotknęły jako matkę, długo by panu mówić i opowiadać. Jeszcze tego samego dnia, co wymó-

wiłam pracę u pani Żurek, poszłam do szkoły. Tam też spotkało mnie dużo nieprzyjemności, których musiałam od kierownika wysłuchać. Ale trzeba powiedzieć, że tym razem nie krzyczał na mnie, był całkowicie spokojny.

— W danej sytuacji — powiedział na zakończenie, kiedy prosiłam go o wzgląd i uważanie na syna — niewiele już mogę zrobić. Gdyby jeszcze sprawa nie nabrała takiego rozgłosu, może by się ją dało jakoś zatuszować i ukryć. Dzisiaj zbiera się rada pedagogiczna, żeby o tym wydarzeniu rozmawiać. W tej chwili bowiem Smoliwąs i Żurek są zawieszeni w prawach uczniów.

— Przecież to już koniec szkoły — powiedziałam — za parę dni syn mój uda się swoją drogą. Pan chyba dobrze wie, że Żurek miał złe oddziaływanie, jeśli rozchodzi się o niemoralność, a nie Janusz. Panie kierowniku — prosiłam — pan jest dobrym i wyrozumiałym człowiekiem, więc niech pan wejdzie w moją sytuację, samotnej kobiety o trudnych warunkach materialnych.

— Wiem — odpowiedział kierownik — że pani życie nie po różach się słało, ale ja w tej sprawie nie mam już ostatecznego głosu, jest rada pedagogiczna, komitet rodzicielski, milicja. Tutaj każdy będzie miał coś do powiedzenia, te swoje pięć groszy wtrąci.

— Panie kierowniku — powiedziałam znów — Arka jego własna matka do rozpusty przywiodła i przy mnie dzisiaj za ten czyn pochwaliła. Tam cały dom jest pomylony i psychicznie nienormalny. Pani Żurek, zamiast wziąć się do garów, takie obrazy maluje, że jak człowiek spojrzy, obrzydzenie całe jego ciało ogarnia, nie tylko oczy.

— Rozumiem — wyrzekł kierownik — zatem i to też trzeba będzie rozpatrzyć. A teraz żegnam panią. Obowiązki nauczyciela wzywają mnie do klasy na lekcję.

Poszłam zatem, gdyż już więcej ani powiedzieć, ani zrobić nie mogłam. Było już koło południa, upał taki, jakby się ze wszystkich stron piece chlebowe otwierały, sukienka lepi się do ciała, własny pot w nosie nieprzyjemnym zapachem kręci. Stanęłam przed szkołą, zatrzymałam się na chwilę w cieniu drzew, a mój wzrok jakby specjalnie prowadzony skierował się na kościół widniejący po drugiej stronie ulicy. Wstyd powiedzieć, ale w

kościele nie byłam już ładnych parę miesięcy — a u spowiedzi jeszcze dłużej — tak długo, że moja pamięć nie mogła tego z większą dokładnością wyznaczyć. Wejdę, pomyślałam, pomodlę się, może On, Stwórca najwyższy, coś temu złu i niesprawiedliwości zaradzi.

W kościele był chłód i całkowita pustka, jeżeli nie liczyć paru starych kobiet, które pod samym ołtarzem uklękły. Ja tam tak dobrze z Panem Bogiem nie jestem, żeby zaraz iść pod główny ołtarz, mnie wystarczy, jak klęknę z tyłu i poproszę Go o zmiłowanie. Powiedziałam wszystkie modlitwy, jakie pamiętam z dzieciństwa i z lat moich młodych, kiedy człowiek ma jeszcze taki charakter, że potrafi modlić się bez wyraźniejszej przyczyny. Ale nie trwało to długo, parę minut zaledwie. Strach mnie więc ogarnął, że przychodzę prosić Boga o łaskę, a słów odpowiednich dla niego nie mam. Zatem własnych słów zaczęłam używać, ale brzmiały one koślawo i nie tak, jak bym chciała. Popatrzyłam na figurę Pana Jezusa, na Jego twarz dobrotliwą, na której farba pożółkła i popękała, na Jego ręce całemu światu błogosławiące. I nie wiem, czy mi się przywidziało, czy to fakt był taki, że Pan Jezus osobiście mi ręką pobłogosławił. Wstałam więc z klęczek pokrzepiona i wydawało mi się, że od tej chwili znów się wszystko na dobre obróci, ale niestety w bliższej i dalszej przyszłości stało się inaczej, okrutniejszymi jeszcze cierpieniami Bóg nas pokarał.

Koło domu czekał na mnie milicjant w stopniu sierżanta nazwiskiem Owocny, który zamieszkiwał na tej samej ulicy i miał syna Henia, młodszego kolegę Januszka. Nie nudziło mu się, bo Karolakowa już na całego, jako pierwszy świadek, zeznawała w nie swojej sprawie. Podziękowałam jej i powiedziałam grzecznym, ale stanowczym słowem, żeby nosa między drzwi nie pchała, i poprosiłam Owocnego do mieszkania. Owocny zdjął czapkę, podrapał się w mocno wyłysiałą głowę i powiedział:

— Niedobra to sprawa, pani Smoliwąs, bardzo niedobra. Poszkodowana i jej matka złożyły zeznania i załączyły obdukcję lekarską, która dane wykroczenie potwierdza. Świadkowie podobno też są. A ta dziewucha, mówię to

pani prywatnie i na marginesie, zdrowa i wielka jak dorosła baba. Tylko niestety nic już zrobić nie można, w żaden sposób sprawy ukręcić.

— Ja się nie boję, panie Owocny — powiedziałam — z takiego powodu, że tu najwięcej zawinił młody Żurek, jako bardziej uświadomiony. Każdy mi taką rację przyzna, że jak ktoś młody za bardzo się książkami lekarskimi przejmuje, ten prędzej czy później wytnie coś takiego, że innym oko zbieleje. Chodziłam do nich, to widziałam. Arek ciągle oglądał takie książki, w których były nagie kobiety we wszystkich pozycjach. To on syna do tego występku i grzechu namówił. A mój Januszek bardzo wpływowy, nim zastanowi się, już idzie za obcym podszeptem.

— Ja mogę w to uwierzyć — odrzekł mi w te słowa Owocny — ale jak sprawa stanie przed sądem dla nieletnich, nie wiem, jaki obrót to wykroczenie przyjmie i kto będzie uznany za bardziej winnego. O ile wiem, to Janusz od Żurka jest starszy i pani już niejeden raz miała z nim spore kłopoty pedagogiczne i wychowawcze.

— Jakie tam kłopoty, panie Owocny, tyle co z każdym chłopakiem w jego wieku.

— No dobra — wypowiedział się Owocny, wydobywając gruby zeszyt i niklowy długopis. — Spiszemy zeznanie, bo przecież nie przyszedłem tutaj, żeby sobie pogadać, tylko urzędowo. Gdzie zatem teraz jest obwiniony i gdzie go pani jako matka ostatni raz widziała?

— Jest w Warszawie, a ostatni raz rozmawiałam z nim wczoraj rano wychodząc do pracy.

— No, no — powiedział Owocny — taki młody, a już na noc nie wraca?

— To doktorowa zatrzymała go z bliżej nie znajomych mi przyczyn, to ona go naraża na dalsze uświadomienie w tym kierunku, wysyłając Janusza ze swoim synem do Warszawy. To przez nią i jej naukę syn mój w tą wstydliwą sprawę się zaplątał. A ona po tym fakcie radość swą objawiła, żadnego żalu ani skruchy nie wyrażając z takiego powodu, że chłopcy w chłopów się poprzemieniali.

— Znaczy — powiedział Owocny — że doktorowa Żurek mogła ich jeszcze namawiać?

— Tego nie wymówiłam — odrzekłam — ja tylko takie mam posądzenie.

— Niech pani pomyśli — powiedział Owocny — to bardzo ważne, jeżeli są osoby trzecie w posądzeniu o czyn nierządny.

— Jeżeli o namawianie się rozchodzi — powiedziałam — to ja na własne uszy nie słyszałam, ale że radość swą objawiła, to widziałam i słyszałam, tak jak tu przed panem stoję. I dlatego posądzać ją mogę o inne jej wykroczenie z powodu namowy.

— Tak — odrzekł mi Owocny — lepszy obrót by miała sprawa, jakby sąd dał temu wiarę, od razu inne rzucałaby światło na zagadnienie.

— A bez sądu — mówię — obyć się nie może? Czy to już innych ważniejszych przestępstw czy złodziejstwa nie ma?

— W jednym tylko wypadku — rzekł Owocny — jeśli uwiedziona odwoła zeznania, a jej matka wycofa oskarżenie. Wieczorem wpadnę jeszcze — dodał zakładając czapkę — spisać zeznania Janusza i pogadać z nim jako ojciec Henia i bliski sąsiad.

Wyszedł, a ja przez dobrych parę minut albo i dłużej stałam w nieruchomej pozycji. Ocknęłam się dopiero i wróciłam do siebie, kiedy fabryka zagwizdała na godzinę drugą. Głowa mnie bolała, głód wiercił dziurę w brzuchu. Rozejrzałam się po garnkach. Obiad, który wczoraj przygotowałam dla Januszka, jeszcze nie skisł, jeszcze był do jedzenia. Zjem, co jest, pomyślałam, a jemu przygotuję coś na świeżo, i zaczęłam rozpalać ogień pod blachą. Zjadłam, pokręciłam się trochę po domu, mając to na uwadze, że trzeba wyjść do sklepu, żeby chociaż chleb kupić. Ale pomimo tego położyłam się do łóżka i w szybkim tempie zasnęłam.

Obudziłam się, kiedy już słońce poza domem się kryło. Do wieczora było jeszcze daleko, bo dzień był przecież, jak to w czerwcu, długi. Dobrze tak spać, myślałam nie budząc się, nie widząc i nie słysząc, tylko sny przyjemne odczuwając. Klnąc na swój los zlazłam z łóżka, przyczesałam trochę i, chcąc nie chcąc, wzięłam torbę na zakupy i udałam się do sklepu. Najbliżej był prywatny sklep Jeżewskiej, gdzie o tej porze najwięcej było ludzi,

a w szczególności pijaków, co stali sobie pod drzwiami pijąc piwo. Głośno tu było zawsze, gwar jak na bazarze, męskie śmiechy i klątwy latały w powietrzu. Przecisnęłam się energicznym krokiem przez pijaków, weszłam do sklepu i nie wiem, czy mi się przywidziało, czy tak było naprawdę, ale gwar i gadanie jakby trochę ucichło. Chleb jeszcze był, przedostatni bochenek, i to było moje szczęście, inaczej bym musiała chyba kluski gotować albo placki kartoflane na kolację smażyć. Jeżewska spojrzała na mnie, przez chwilę w jej chytrym oku pokazał się wyraz ciekawości, potem jak gdyby nigdy nic spytała:

— Co dobrego słychać, pani Smoliwąs, dawno żeśmy się nie widziały.

Ładnie mi dawno, pomyślałam, nie dalej jak dwa dni temu kupowałam kartofle i kwaterkę śmietany, a chleba to sobie wtedy przyniosłam z pracy.

— Co niby ma być słychać — powiedziałam — nic specjalnego, harówka od rana do nocy i tyle.

— Pytała się tu wczoraj o panią jakaś kobieta, powiedziałam, jak ma iść.

— A i owszem — mówię — była u mnie taka względem roboty po fajrant, że niby potrzebny jest ktoś do sprzątania, ale odmówiłam.

Po czym złapałam chleb, zapłaciłam szybko i wyszłam. Mężczyźni przed sklepem trochę się rozsunęli, ale ja, chociaż nie patrzyłam na boki, kątem oka zobaczyłam Mundka Karuzelę, ptaka Bożego, który to nic nie robi, a żyje bardzo dużo pijąc, i usłyszałam jego głos odzywający się do mnie z zapytaniem:

— Pani Smoliwąs, co to, już pani syna żeni, w takim małoletnim wieku na zatracenie babie oddaje?

Wstyd mnie okropny uderzył mocniej od bata. Nie oglądając się za siebie, nie odzywając do nikogo, prawie że biegiem uciekłam do domu.

Tutaj znowu na łóżko upadłam. Poleżałam z rękami na piersiach złożonymi, z oczami zamkniętymi, jak w ludzkim śnie ostatnim w tym jego doczesnym życiu. Najsampierw nic do mnie nie docierało, tylko to Mundka pytanie i gruby śmiech mężczyzn przy piwie. Ale potem, powoli zaczęłam słyszeć przedwieczorny śpiew ptaków, much bzykanie, co pod sufitem krążyły jak wściekłe,

brzęk łańcucha w studni i przeraźliwy głos Karolakowej nawołującej swe dzieci. I znów mi wrócił straszny i rzeczywisty obraz mojego życia. Wstałam więc, wygasły ogień pod blachą rozpaliłam i dalej go, jakąś zupinę dla Januszka szykować.

Gar już perkotał, para przyjemnym zapachem kuchnię wypełniła, kiedy usłyszałam głośne stukanie i w drzwiach stanął milicjant Owocny. Przebrany był już po cywilnemu w piaskową koszulę z zerówki, w sandały na nogach, tylko spodnie miał milicyjne.

— No cóż — powiedział — lampy na słupach się palą, chociaż jeszcze widno, szarówka dopiero, a Januszka jak nie ma, tak nie ma.

— A pan, panie Owocny — odrzekłam mu na to — spieszyłby się po takim czymś do własnego domu i swojej matki? Też by pan pewnie różne zajęcia i tysiąc dróg znajdował, żeby wcześniej jak późnym wieczorem nie wrócić.

— To już się samo przez siebie rozumie — odpowiedział mi Owocny — przecież każdy ten swój wstyd ma kiedy pomyśli, co zrobił. A czym się człowiek w młodszym wieku znajduje, tym wstyd w nim większy, więcej dokucza i sumienie gryzie. — Potem nosem jak koń przed żłobem poruszył i powiada: — Jak się nie mylę, pani Smoliwąs, to pani tutaj coś dobrego gotuje!

— Zalewajkę, panie Owocny — odrzekłam — gotowałam wczoraj, to i gotuję dziś. To najlepsza zupa na świecie na duży głód albo na przejedzenie czekoladą i cukierkami, co Januszka również może spotkać przy widzeniu się z Arkiem. Ale też widzę, że przyszedł mi pan tutaj trele-morele upychać, zamiast wypowiedzieć te słowa, na które czekam już od samego rana.

— A zatem dobrze — powiedział Owocny — przystąpmy więc do tej sprawy według porządku. Myślałem, że Janusz już jest i coś nowego wniesie. Całkiem wesoło to nie wygląda według zeznania poszkodowanej i wypowiedzi doktorowej. Poszkodowana Kwiecińska Zofia wyraźnie niedobrze nastawiona jest do Janusza, co również wynika z zeznania jej matki Kwiecińskiej Leokadii, jako że już dawno zabroniła się córce widywać z Januszem, uznając w nim zły dla niej element. Doktorowa już

mniejszą swą radość objawiła, wypowiadając się tylko, że dobrze jest, jak młodzież wcześnie w życie wstępuje, bowiem teraz wszystko jest wcześniej dojrzałe. Względem jednak ogólnego rozeznania i rozwinięcia, to ona bez dyskusji stawia Janusza na pierwszym miejscu, przed jej synem Arkiem.

— To jest najwredniejsze kłamstwo w żywe oczy, jakie słyszałam — krzyknęłam. — Jak Janusz może być na pierwszym miejscu, kiedy Arek ma wszystkie książki do medycyny w domu i wolno mu je oglądać i czytać. W takim młodym wieku każdy obraz nagiej kobiety zaraz się jak żywy przedstawia i młodą krew burzy.

— Jako człowiek — odrzekł Owocny — pani przyznaję słuszną rację, ale jako funkcjonariusz muszę się z wypowiedzią zatrzymać. Dowodów potrzeba, że młody Żurek na książkach do medycyny przeprowadzał demoralizację Janusza i tym go do czynu nierządnego namówił na poszkodowanej Kwiecińskiej Zofii.

— To znaczy — wyrzekłam z lękiem w sercu — że będziemy w sądzie przegrani, chociaż cała sprawiedliwość jest przy nas?

— Tego jeszcze nie powiedziałem — wyrzekł Owocny — bo to by znaczyło, że człowieka we mnie już nie ma, tylko całkowicie jest funkcjonariusz milicji. Do sądu jeszcze daleko, sprawa tak od razu na wokandę nie wejdzie. Mnie osobiście dobrze jest znana jedna sędzina z wydziału spraw nieletnich. Dużo też będzie miała tu do powiedzenia opinia Milicji Obywatelskiej z miejsca zamieszkania. Sąd musi sprawę rozpatrzeć w najpoważniejszym tego słowa pojęciu. Więc opinia milicji zaważy tu w znacznym stopniu. Słyszę już nawet, jak komendant wyraża się do mnie: „Napiszcie, Owocny, odpowiedni meldunek w sprawie nieletniego Janusza Smoliwąsa, znacie go przecież jako dzielnicowy z jego ulicy." „Tak jest, panie poruczniku" — mówię i już chwytam za papier i pióro. Nie wszystko więc, pani Gieniu, ma jeszcze te czarne kolory, na jakie oskarżenie może wskazywać.

— Widzę, panie Owocny — wyrzekłam te słowa do niego — że jeszcze bardzo wiele jest w pańskich rękach i dużo od pana zależy.

— Właśnie — mówi Owocny — już głowę swoją łamię, jak ten problem na odpowiedni tor nakierować.

— Człowiek z pana ludzki, chociaż na państwowej funkcji — odzywam się do niego — jak ja się panu odwdzięczę za taką dobroć okazaną w nieprzyjemnej chwili?

— Proponuję więc — mówi Owocny — sprawę wykroczenia odłożyć na późniejszą godzinę.

— Nie całkiem pana rozumiem, co tutaj ma pan na myśli?

— Kiedy kobieta sam na sam znajdzie się z mężczyzną, to co tu jeszcze rozumieć?

Czułam, jak nerwy mnie ogarniają i że za małą chwilę zrobię coś takiego, czego już potem naprawić nie będę mogła. Uniosłam się więc z krzesła i mówię:

— Panie Owocny, jest pan ojcem dzieciom i żonę ma pan w samej rzeczy jeszcze na niezłym chodzie.

— Obrzydła mi już ona — odrzekł — pociągu żadnego do niej nie czuję, tak jakbym z żabą do łóżka się układał. A jak to potrafi wrzeszczeć, jazgotać, jakby między nami nigdy miłości nie było.

— Przecież ja także — mówię — do pana pociągu nie odczuwam, a i do tych, którym to wszystko jedno gdzie i z kim, jak na razie jeszcze nie należę.

— Znaczy, że nie da rady — mówi Owocny. — Więc trudno. Za stary już jestem, żeby wyuczyć się lepszego podejścia. Ja nie z tych, co to słodko gadają, a później, hop, na inny kwiatek. I czasu nie mam, żeby romanse odstawiać. Idę już, gdyż narzucać się w tej osobistej sprawie nie będę i nie muszę.

Popatrzyłam na niego, na jego twarz poczerwieniałą, na której pot w świetle elektrycznym błyszczał, i chociaż mi się wtedy nie podobał, odczułam litość dla jego osoby.

— Panie Owocny — powiedziałam do niego — ostatecznie to pan może jeszcze te trochę posiedzieć, mnie również nie jest lekko być samej w tej trudnej sytuacji życiowej. A w domu, jak mi to pan zaznaczył w swojej wypowiedzi, też pana raj nie oczekuje.

I Owocny pozostał. I sama już nie wiem, kiedy chwyciły mnie jego silne ręce i zrobiły ze mną, co chciały.

I co tu panu dalej mówić, język strzępić, jak pan i tak już wszystko wie, czym się ta sprawa dla takiej kobiety jak ja i dla takiego chłopca jak mój Januszek skończyła. Oczywiście syna mi ze szkoły usunięto, Żurka dla pozoracji też i w wielkiej tajemnicy przede mną zaraz go do innej szkoły skierowano, żeby tam sobie egzaminy pozdawał, co też bez większego kłopotu, jako syn doktora, uczynił. Rozprawy w sądzie ciągle nie było, a ja — ponieważ jeszcze wtedy głupia w tym zagadnieniu byłam — myślałam, że to Owocny swoją znajomość we władzach wykorzystał i do sądu już nas nie pociągną. Całkiem mi on tego nie potwierdzał, ale też i zaprzeczenia nie stawiał, nadal przychodzący do mnie, kiedy mu się ochota nazbierała. Dziwiło mnie tylko i do podejrzenia często doprowadzało, że żadnych pieniędzy, których okrągłą sumkę przygotowałam dla tej sędziny od spraw nieletnich, wziąć nie chciał. A każda sprawa, dopóki nie opłacona, to nie załatwiona, panu to też chyba, jako człowiekowi o dużej znajomości życia, wiadomo.

Na zakładzie za ten dzień, w którym to nieobecna byłam, zrozumienie ogólne było, kierowniczka po wypowiedzeniu kilku ostrych słów sama mi oświadczenie o tej abstynencji napisała, każąc mi tylko na dole swój własny podpis położyć. Tak zrobiłam, a oni mi, jako pracownikowi wzorowemu, nawet dniówki nie potrącili. A co się tyczy Januszka, to w tamten wieczór, co niby Owocny chciał z nim porozmawiać, do domu jeszcze nie powrócił, tylko po polach do rana jak ta ćma nocna krążył. Wrócił dopiero, kiedym się do roboty z duszą i sercem na ramieniu wybierała.

Przez parę dni, zanim jeszcze szkoła orzeczenia otatecznego nie wydała, prawie z nim nie mówiłam, on też się nie odzywał, tylko w łóżku przeważnie do późnego dnia, bo nawet do południa, leżał. Raporty mi o tym Karolakowa zdawała, jako dokładnie wiedząca, kiedy i o jakiej godzinie Januszek do miasta wychodzi. Pomyślałam, żeby mu jakąś robotę zadać, bo to zawsze jest lepiej człowiekowi, kiedy przy dużym kłopocie ma dużo pracy. Ale muszę się tutaj sama przyznać, że już nie miałam do niego takiej śmiałości jak przed tym wydarzeniem z Kwieciń-

ską Zofią. Inny mi się teraz wydawał, jakiś oddalony ode mnie i obcy.

Tamtego roku jak zawsze, jak nawet teraz, chociaż chodzić mi coraz trudniej, wzięłam sobie źdźiebko ziemi pod uprawę. Ot, żeby zasiać trochę marchwi, pietruszki, kopru, zasadzić parę krzaków pomidorów czy kapusty. Jak jest własne, to człowiek nigdzie nie musi się iść prosić, urwie u siebie i już ma w garnku. Przy domu jest trochę placu, to ja dla siebie brałam zagonik, dużo większą część zostawiając do uprawy Karolakowej. Miała sporo czasu, do roboty przecież nie chodziła, a dwoje dzieci zabawić, trochę uprać czy obiad ugotować to żadna praca dla zdrowej kobiety. Poza tym był przecież Karolak, który to, jako nigdzie po robocie nie chodzący, żeby grosza jak najwięcej przyoszczędzić i utrzymać w domu, miał również chęć na obrabianie ogródka i trzeba powiedzieć, że pięknie się im w nim darzyło.

Mówię więc do Januszka: — Synku mój, nie będę obecnie już wnikać, dlaczego teraz akurat na takim luzie jesteś. Co się stało, to się nie odstanie. Mam tylko nadzieję, że sprawiedliwość jest na świecie i że ciebie ani mnie nie ominie. Proszę cię zatem teraz, żebyś nasz ogródek trochę opielił, bo już niedługo nie będzie wiadomo, gdzie jest marchew, a gdzie zielsko. — Pomidory też wymagały większej opieki, ale nie śmiałam go już prosić, żeby wziął wiadro i poszedł na łąki za krowim łajnem. Takie łajno rozrobione z wodą to dla pomidorów najlepszy nawóz.

— Dobra — powiada Januszek — opielę, ale co będzie, jak nie poznam, co jest zielsko, a co pożyteczna roślina?

— Nie rób już matce tej przykrości — mówię do niego — i nie udawaj głupszego, niż jesteś. To, co rośnie z pożytkiem dla człowieka, od zielska potrafi odróżnić nawet dziecko. — I wyszłam, bo już czas i tak był późny, zostawiając mu tylko dyspozycje, co i gdzie ma do jedzenia.

Wróciłam późno, ale jeszcze za widna, przy przyjemnych promieniach zachodzącego na niebie słońca. Bo chociaż u Żurków pracy porządkowej się wyrzekłam, nadal przecież sprzątałam u Gnatkowskich i jeszcze u innych osób. Wróciłam i od razu kroki swoje skierowałam do ogródka, żeby zobaczyć, jaką to przyjemność syn mi zro-

bił. Patrzę, a tu cała grządka marchwi łysa jest jak babski zad, a inne grządki podeptane bez żadnej litości.

Weszłam do mieszkania, w którym to wesoło grało radio, a Januszek leżał rozwalony na łóżku. Nawet butów nie zrzucił, tylko trzymał je razem z nogami na narzucie, którą całkiem niedawno uprałam. Nie powiem, jak go wtedy nazwałam, ale nie były to słowa lekkie i dla każdych uszu.

A on mi na to, nie zmieniając wcale swojej pozycji, powiada, żebym takich słów na niego nie używała, bo on też ma swój język i też może go użyć względem mojej osoby.

Na stole stała cukiernica, a obok kubek po herbacie. Najpierw chciałam za cukiernicę złapać, ale mi się jej żal zrobiło, złapałam więc kubek i z całej siły rzuciłam w mojego syna. Boże, coś w tej samej chwili zawołało we mnie, żeby mu żadnej krzywdy nie zrobić. Kubek przeleciał obok jego głowy, prasnął w ścianę i chociaż był z fajansu, rozleciał się na kawałki, a w ścianie dziura zrobiła. Januszek zbladł, zlazł z łóżka i wyrzekł takie słowa, że aż mi ciarki po kościach przeszły.

— Dosyć już — powiedział — tych mamusinych rządów nad moją osobą. A rączek to lepiej nie podnosić na mnie, bo jeszcze mogę wziąć siekierkę, rączki uciąć i wrzucić do ustępu. Taki już jestem, a takiemu to wszystko jedno.

A kiedy to wypowiedział, znowuż położył się do łóżka razem z butami.

Trzęsłam się cała, dygotałam i żadnego to, a żadnego słowa na języku znaleźć nie mogłam. Wyszłam więc, żeby sobie w kuchni w spokoju posiedzieć i nad tym faktem pomyśleć. Usiadłam, a w głowie pusto, a w głowie tylko jedna myśl taka, że to nie człowieka żem własną piersią matczyną wykarmiła, ale wilcze szczenię zawzięte. Bo gdyby on ludzki miał charakter, toby do matki swojej tak się nie odezwał. Płakać mi się chciało nad samą sobą, nad własnym losem przeklętym.

A kiedy tak myślałam i rozpaczałam, skrzypnęły drzwi i cichym krokiem wszedł do mieszkania Owocny.

— Co to jest — wyrzekł — czemu to moja żabuchna się martwi?

Zerwałam się natychmiast i powiedziałam głośnym głosem:

— Syn jest w domu, panie Owocny, i sprawdzać go tak często nie trzeba. Po całych dniach nigdzie nie wychodzi, a w wolnej chwili ogródkiem mi się zajmuje.

Owocny bystrością odpowiednią się wykazał i od razu wszedł w temat.

— Takie mam polecenie — powiedział — jako dzielnicowy tej dzielnicy. Gdybym pani i jej syna nie znał, Janusz by co dzień musiał do mnie na Komendę przychodzić i sprawozdanie zdawać, co w danym dniu robił. Tylko przez uważanie na panią mam taki wzgląd na niego. A po reszcie, to kolega mojego Henia, chociaż o trudniejszym charakterze. Ale gdyby się nudził i czasu mu na zbytki zbywało, mogę mu zatrudnienie na posterunku znaleźć. Zawsze trzeba coś sprzątnąć, kawę aresztowanym z gospody przynieść.

— O takie coś jak zbytki — powiedziałam — to nie ma zmartwienia, panie Owocny. Przecież, jak nadmieniłam, on mi w ogródku pomaga, dba, żeby warzywa dobrze rosły. Dzisiaj to mi nawet dwie grządki opielił.

— Akuratnie mu to poszło — powiedział Owocny — opielił do czysta, razem z marchwią i pietruszką.

Karolakowa, pomyślałam, nic, tylko ona meldunek mu złożyła.

— A bo to dziwne — odezwałam się — przez tyle lat nauce się poświęcał, zanim go ta niesprawiedliwość spotkała, więc i na roślinie się nie zna, nie wie, która jest dobra, a która zła.

Januszek usłyszał te słowa, które mówiliśmy o nim, wszedł do kuchni i powiada: — Mamusia kazała mi, żeby grządki były czyste, no to zostawiłem czyste.

— Wiesz co, bracie — powiedział Owocny — powinieneś parę Zdrowaś Maria odmówić za to, że nie jestem twoim ojcem. Inną byśmy wtedy rozmowę mieli. Dupsko by ci w spodnie po tej rozmowie nie wlazło. No, ale to wasza sprawa, my przejdźmy do ważniejszych zagadnień. Widujesz ty się z młodym Żurkiem, chodzicie gdzieś o wspólnych siłach zaprowadzać demoralizację?

— Nie — mówi Januszek — po większej części siedzę w domu.

— A to niby dlaczego, co, już się wam stara przyjaźń urwała, wspólne dążenia nie ciekawią?

— On nie przychodzi do mnie, to i ja nie chodzę. Zresztą nie ma go w domu, mieszka teraz u ciotki w Warszawie.

— Rozumiem — powiedział Owocny — całkowicie rozumiem tą sprawę. Na marginesie dodam tylko, że młody Żurek na krok się z domu nie ruszał i że trochę więcej niż przed godziną, wykonując swoją powinność służbową, wymieniłem z nim parę słów, nadmieniając, że nie wolno mu na dłużej miejsca zamieszkania opuszczać, dopóki sąd się nie odbędzie, i że ja takiej tolerancji mieć nie mogę, żeby się na takie coś, jak zmiana miejsca pobytu, przez palce patrzeć. Ja również — dodał, zwracając się do mnie — ze względu na poważny brak kuratorów mam się zająć stroną pedagogiczną. Tak więc będę miał Janusza i młodego Żurka na oku i rękę trzymał na pulsie. A teraz to bym się herbaty napił, bo gorąc dziś straszny, a na taki gorąc herbata najlepsza.

Nalałam herbaty do największego kubka, jaki był w domu, wkroiłam cytryny i postawiłam przed nim. Wypił duży łyk zupełnie temperatury nie odczuwając, otarł wilgoć ze swojej dużej łysiny i w takie słowa znów zwrócił się do Januszka:

— A teraz mam życzenie, żebyś zostawił nas samych, gdyż muszę na osobności zamienić z twoją matką trzy słowa.

Januszek okręcił się na pięcie i bez najmniejszej uwagi wyszedł z pokoju, drzwi nawet zamykając za sobą.

Ach, pomyślałam sobie wtedy, żeby nieboszczyk Franciszek żył i żeby jeszcze był milicjantem, jakie by mogły być wtedy kłopoty wychowawcze, jaka trudność z powodu Januszka? Żadna. Jedno by słowo ojcowskie starczyło za wszystko.

Owocny podsunął się do mnie z krzesłem, położył mi rękę na kolanie i mówi:

— W prokuraturze powiatowej byłem dziś w jednej istotnej sprawie i sędzinę, o której nadmieniłem, spotkałem na korytarzu, kiedy to wychodziła z wokandy na przerwę w czasie rozprawy. Mówię jej, jak i co, a ona na to: „Panie Owocny, dziś dla pana większego czasu mieć

nie mogę, ale w przyszłym tygodniu będę wolniejsza, więc niech pan wpadnie w dniach urzędowych, kiedy mam swoje godziny dla interesantów." „Dobrze, pani sędzino — odrzekłem — przyjdę do pani z największą przyjemnością." Bo ja też — mówię ci to osobiście — bardzo boję się o Janusza. To z gruntu swojego dobry chłopak, ale żeby na złą drogę nie wkroczył, do wykolejenia się nie nakierował. Od rzemyczka, jak powiadają, do koniczka. Od małego naruszenia porządku do przestępstwa.

— Więc co, Marian — zwracam się do niego — może i ty już takie uważanie masz, że sprawiedliwości na świecie nie ma, że już umarła i tylko większy pieniądz się liczy i lepsze stanowisko? Przecież w dawnych czasach, kiedy Pan częściej z niebios na ziemię umęczoną spoglądał, a Chrystus do zwykłych domów jako człowiek wchodził, ludzie musieli patrzeć na siebie innymi oczami, a nie jak wściekłe psy.

— Po co tu Boga mieszać — powiedział Owocny — co do którego nie wiadomo, czy jest w ogóle. Bóg może być dobry, kiedy nie ma zwady między ludźmi albo jak jakiejś babie zrobi się smutno i chce sobie na osobności popłakać. Między ludźmi, niestety, uważanie jest na lepsze stanowisko, chociaż równość zapisana jest w konstytucji.

— To znaczy — powiedziałam znów — że sędzinę będzie można podkupić, żeby się lepiej do Januszka odniosła niż do młodego Żurka, chociaż to już samo powinno wynikać ze sprawy?

— Tego wcale nie powiedziałem — odrzekł mi Owocny — a po drugie, jeszcze nie wiadomo, czy sędzina weźmie ich na warsztat.

— Tak czy inaczej — mówię — musisz mnie z nią zapoznać, żebym sobie z nią jak kobieta z kobietą porozmawiała.

— O tym samym myślałem, ale zapoznać was jeszcze w tym terminie nie mogę, tylko w dalszym, kiedy sam się z nią spotkam.

W tym momencie usłyszałam jakby szelest za drzwiami do pokoju, jakby czyjeś kroki lekkie i podstępne. Nic, myślę, tylko mój Januszek ucho do drzwi przykłada, pragnąc wiedzieć, o czym się tutaj rozmawia. O nic in-

nego się nie bałam, bo dziurkę od klucza dawno już mocno zatkałam watą, żeby mnie przy myciu syn mój nie podglądał. A mając już tę pewność o podsłuchiwaniu, wypowiedziałam się głośno do Owocnego:

— Dobrze, panie Owocny, że pan takie uważanie ma na syna i w ogólności moje poglądy popiera. — Owocny gały robi, ogląda się w lewo, ogląda w prawo. A ja znowu: — Parę pałek to by mu się należało, ale pan dobrze wie, komu zawdzięczać trzeba wypaczenie jego charakteru.

Tu Owocny do orientacji doszedł i mówi:

— Jak zaistnieje taka nieodwołalna konieczność, to pałki, rzecz jasna, użyję we właściwym celu. — Potem nachylił się, aż mnie gęsta woń papierosów i czegoś mocniejszego zaleciała z bliskiej odległości, i zaszeptał: — Gienia, jak widzisz, ja dla was wszystko, więc mi się chyba od ciebie jeszcze jakieś wynadgrodzenie należy jako mężczyźnie.

— Dostałeś już, co chciałeś — odpowiedziałam szybko, bowiem pociągu do niego w dalszym ciągu nie czułam absolutnie.

— To zaliczka dopiero była, a ja o wypłacie myślę, o tym, jak mi się krew w żyłach na twój widok burzy. Kobieta moja na wczasy jutro jedzie z Heniem, więc cały dom wolny będzie do dyspozycji naszej miłości w dojrzałym wieku.

Myślałam, co tu zrobić, jak się odczepić od niego i jak sprawy nasze załatwić. — A sędzina — spytałam więc szybko — czy będziesz pamiętał o niej?

— Będę — odparł — tylko że, jak ci już powiedziałem, muszę się z nią zobaczyć. Więc przyjdziesz? Już jutro wieczorem będę cię czekał i tęsknił. Domek stoi na osobności, krzaki gęste dookoła i żywopłot, o szarówce żadne cię ludzkie oko nie wypatrzy. Zresztą zawsze ci wolno do mnie przyjść po linii służbowej.

— Zobaczę — odparłam, szukając sposobu, żeby mu odmówić.

— Nie ma „zobaczę” — powiedział Owocny — bo pojutrze mam służbę w nocy. A teraz zawołaj Janusza, niech przyjdzie tutaj.

— Januszku — krzyknęłam — pan Owocny chce z tobą pomówić.

— Jutro, punkt dwunasta — powiedział zwracając się do syna — widzę cię na Komendzie. Dostaniesz nasiona ładnych kwiatów i zasiejesz je tam, gdzie dzisiaj narobiłeś takiego zniszczenia swojej matce.

Januszek stał i patrzył wzrokiem skupionym w podłogę, jakby tam gwoździe liczył. — A jak nie przyjdę — spytał po dłuższej chwili — to co?

— Spróbuj — wyrzekł mu na to Owocny — a będziesz miał doświadczenie, co to znaczy nie słuchać władzy.

A kiedy tylko poszedł, kiedy drzwi się za nim zamknęły, Januszek zawołał do mnie z wielkim oburzeniem:

— Do gliny donos robisz, kapujesz na mnie!

— Twoja matka — odpowiedziałam mu — nigdy jeszcze nikogo nie zakapowała. Tutaj najwyżej możesz mieć pretensję do Karolakowej.

— No, to już jutro — krzyknął — takie jej porządki w ogrodzie zrobię, że oko babie zbieleje!

— Głupi jesteś — powiedziałam — nie minie parę minut, a Karolakowa poleci na Komendę. A przecież jeszcze sprawa cię czeka, jeszcze jest sąd przed nami.

Dobrze, że dziś pan znowu przyszedł wcześniej, że w większym spokoju mogę przed panem nadal serce swoje otwierać i opowiadać o własnym dziecku, które to za przyczyną złych ludzi i niedobrego towarzystwa uległo wykolejeniu. Czasu mam dużo, chodzę tyle, co do sklepu, kupić coś do jedzenia. Sklepy na szczęście blisko, bo gdyby były dalej, tobym kogoś o pomoc musiała prosić. Nogi moje nie potrafią mnie już daleko zanieść, takie są felerne i chore. Wszystkich tu znam, rzeźnika też, więc mi zawsze jakiś kawałek lepszej wędliny odłoży, a nawet i przez sąsiadkę przyśle. Tu każdy ze starego budownictwa zna się między sobą, jeden o drugim wie wszystko. Ludzie powrastali w swoje domy, w swoje ogródki, obrośli tym życiem jednakowym jak mchem. Wiadomo, kto jest na chorobie, kto w tangu, a kto nigdy już do roboty nie pójdzie, bo do tanga ma silniejszy przymus. Pod Jeżewską od rana tłum, od szóstej już mantyczą,

wypatrują zbawcy. Na piwo nie ma, ręce chodzą, jakby każda od innego ojca była albo jakby już miała przydział do Tworek. Papierosów też brak, a tu plucha, deszcz, ziąb całe ciało przenika. Nie zazdroszczę im takiej doli, chociaż niejeden z nich mógłby jeszcze do ludzi wrócić, za robotą się rozejrzeć, własną żonę i dzieci uszanować.

Wieczorami, kiedy już się myśli moje zmęczą, włączam telewizor i różne ruchome obrazki oglądam. Dobra to rzecz telewizja, zwłaszcza jesienią i w zimie. Co ja bym bez niej zrobiła, jak by moje życie obecne wyglądało? Nic, tylko wyć do tych czterech ścian, do wspomnień moich smutnych i strasznych. A tak wieczór minie, przeleci nie wiedzieć kiedy i znów jest noc, a za nią nowy dzień. Człowiekowi się wydaje, że od nowego dnia zacznie coś nowego, jakaś odmiana na lepsze przyjdzie. Ale co tu się może zmienić, chyba już tylko to, że Pan Bóg wezwie mnie do siebie i wynagrodzi za ciężkie życie. Ale wieku przecież nie mam dużego, lat do pożycia zostało mi jeszcze sporo. A co by Januszek zrobił, gdybym odeszła, samego go bardziej na złe niż na dobre zostawiając.

Zatrzymaliśmy się na tym, jak Owocny mnie wykorzystywał. Po tym, co widziałam przedtem, a także po tym, co widziałam później, wstydzić się nie ma czego. Ile teraz dziewczyn, a ile kobiet robi to samo, i to dla mniejszej przyczyny.

Nie byłam już młoda, miałam prawie czterdzieści lat. Co Owocny we mnie zobaczył jako w kobiecie, tego pamiętać nawet nie chciałam, bo nie wierzyłam w żadne jego słowo, które mi mówił o miłości. Ja chciałam tylko widzenia z tą sędziną, jego znajomą, żeby jej sprawiedliwie sprawę Januszka przedstawić. Owocny odkładał to z dnia na dzień, prosząc, bym przychodziła do niego, jako że żona jego i Henio ciągle byli na wczasach rodzinnych w ośrodku nad morzem. W końcu jednak przyparłam go tak, że wymienił go ktoś na służbie, ja zwolniłam się na parę godzin z roboty i pojechaliśmy do Warszawy.

Gmaszysko sądu ogromne, korytarze długie jak ludzkie nieszczęście, wszędzie kupa narodu, jedni twarze mają smutne, drudzy śmieją się i kawały sobie opowiadają, jakby kłopot wielki z serca zrzucili. Od tego wszystkiego

w głowie mi się mieszać zaczęło i poczułam, że słów mi odpowiednich zabraknie, kiedy pójdę już na widzenie z sędziną. Owocny przebrany był po cywilnemu, w stary garnitur, granatowy tenis o za krótkich spodniach.

Tak myślałam, całą swoją złość i lęk przed sądem na niego wylewając. On też, prowadząc mnie po tych długich korytarzach i na wysokie piętra, musiał być zdenerwowany, bo ręce co chwila, jakby mu zmarzły, zacierał, paląc papierosa jednego po drugim. Na koniec znalazł jakieś miejsce bardziej puste, kazał mi usiąść na ławce, na której tylko jedna osoba, kobieta w starszym wieku, siedziała i poszedł mówiąc, że wybada sędzinę, czy będzie nas mogła przyjąć w swoim gabinecie, czy też na parę krótkich chwil przybędzie do nas. Długo go nie było, w końcu przyszedł z kłopotliwym wyrazem na twarzy. Usiadł pomiędzy mną a tą starszą osobą, przysunął sobie popielniczkę, znów zapalił i patrząc na zegarek powiedział:

— Będziemy musieli poczekać do jedenastej, wtedy zapewne sędzina znajdzie dla nas trochę czasu, bo teraz sprawa leci po sprawie.

Była dopiero dziewiąta, dwie godziny czekania przed nami. Czekać to nic, pomyślałam, w sądzie chłodno, ławki szerokie i wygodne. Tylko żeby czekać z pożytkiem, a nie bez nadziei, jak w kolejce po mięso, kiedy w danym dniu nie ma żadnych dostaw.

— Może więc — wyrzekłam do niego — podasz mi nazwisko sędziny, a ja już sama trafię do niej, mówiąc, że to ty mnie przysłałeś.

— Chcesz popsuć wszystko — odrzekł — przecież to ja muszę parę tych pierwszych słów wypowiedzieć, żeby prośbę twoją i sprawę nakreślić.

— Ale nazwisko — mówię znów — chyba możesz mi podać, chyba to nie jest tajemnica państwowa?

— Wiesz dobrze, Gieniu, co dla mnie stanowisz i jak cię lubię i szanuję, ale w tym wypadku ja się bardziej na tych sprawach wyznaję od ciebie.

I znów w zdenerwowaniu papierosa zapalił trzęsącą się ręką.

Przesiedzieliśmy już prawie te dwie godziny, i to cał-

kowicie na próżno. Potem Owocny poszedł do ustępu, a następnie po papierosy i gazetę. Później ja spytałam, gdzie tutaj są ustępy, i też się tam udałam. Wróciłam, patrzę, Owocny trzyma nos w gazecie, a na zegarze, co wisi wysoko u sufitu, dochodzi już godzina jedenasta.

— No, Marian — mówię — teraz czasu na głupoty nie ma, idziemy.

Podeszliśmy kawałek korytarzem, skręciliśmy w następny. Wszędzie ludzie, tłok, drzwi obok drzwi. Owocny rozejrzał się dookoła, kazał mi się zatrzymać i czekać. Nie było go jakiś czas, wreszcie pokazał się i powiada:

— Niestety sędzina jest zajęta i dla nas dzisiaj czasu nie ma. W takiej to sytuacji trzeba nam iść, bo nie ma co bez pożytku wysiadywać na ławkach.

— Chwileczkę — zawołałam — dlaczego to zaraz mamy iść, z jakiego niby to powodu mam chociaż nie zobaczyć, jak sędzina wygląda?

— Kiedy ona ma teraz — powiada Owocny — sprawę całkowicie zamkniętą i żadna postronna osoba tam nie wejdzie.

— Mogę poczekać — mówię — jak już tu przyjechałam, to mogę jeszcze trochę posiedzieć. Powiedz mi tylko nazwisko sędziny, a sam idź sobie, gdzie ci się podoba.

— Tego zrobić nie mogę — powiada Owocny — albowiem sędzina prosiła mnie osobiście, żebym nigdzie jej nazwiska nie podawał.

Wróciliśmy więc znów na swoje miejsce, siadamy, a ja tak się odzywam do niego:

— To takie buty, to ty mi, Marian, tylko kit między szyby wciskasz. Poużywałeś, ile się dało, a teraz nawet odwagi nie masz, ażeby do prawdy się przyznać? Sam wiesz, że dla mnie jest to sprawa najpoważniejszej wagi i ty, tak mówiąc do mnie, honor swój męski poplamiłeś.

— Cicho bądź, wariatko jedna — odezwał się Owocny — ludzie przecież słuchają. Myślisz, że co ja jestem, pierwszy lepszy? Że można mi takie zarzuty przy osobach postronnych robić i w moje życie osobiste nogą wchodzić?

Miał słuszną rację, bo ta starsza kobieta, która przy nas siedziała na ławce, tylko ślipia wybałuszyła i usta jak bardzo głodny do żarcia otwarła. Trochę się więc opa-

nowałam, a Owocny wtedy znów cap mnie za rękę i zaczyna prowadzić korytarzem pod jakieś drzwi, pod którymi stało parę osób paląc papierosy, a jeszcze inne chodziły tam i z powrotem.

Niewiele myśląc te drzwi otwiera i głowę wsadza.

— To nie tu — mówi — to w jakimś innym musi być miejscu.

Tak żeśmy przeszli tych drzwi ze czworo, a może i więcej. Wreszcie Owocny jedne z nich otworzył.

— Jest! — krzyknął i kobietę na czarno ubraną wskazał mi za długim sędziowskim stołem.

Chciałam wejść na salę, gdzie była spora gromada ludzi, a z boku też widać było milicjantów i jakiegoś osobnika pomiędzy nimi, ale mężczyzna w mundurze woźnego sądu stanowczo i grzecznie wypchnął nas, pytając, czy mamy pozwolenie do wejścia.

— Myśmy tylko salę zmylili — powiada Owocny i odciąga mnie na bok, bo znów na nas patrzeć zaczęto. — No, to już chyba więcej mi takich pretensji robić nie będziesz? Pokazałem ci sędzinę, wiedz zatem, że się kłamstwem wobec ciebie nie splamiłem.

— Maniuś — mówię — cała w nerwach żyję, poczekajmy zatem, aż się tam to posiedzenie skończy, żeby zaraz, od ręki całą sprawę załatwić.

— Ty wiesz, ile to potrwa? — mówi Owocny. — To potrwa więcej niż trzy godziny albo i dłużej.

— No to co — mówię — to ja dla swojego syna takie trochę czasu nie mogę poświęcić? Jaka w danym wypadku matka byłaby ze mnie? Zwierz dziki, nie człowiek.

— Ja ci powiem, Gienia — odzywa się na to Owocny — że twój syn nie będzie miał ani trochę takiego poświęcenia dla ciebie. A bardziej tylko śmiech i urągowisko, jak z tą marchwią w ogródku.

— Młody jest — odpowiadam — więc i jego charakter ulec może zasadniczej odmianie.

— Aha — mówi Owocny — toby cud musiał się zrobić, Kana Galilejska.

Zezłościłam się. — Tobie też na tym powinno zależeć, bo byłeś ze mną jak z własną żoną.

Ludzie, co niedaleko od nas w tym sądzie stali, myśleć pewnie zaczęli, że tu o nie wiem jakie ważne przestępstwo chodzi. Owocny czerwony zrobił się na twarzy i zaczął odciągać mnie na bok, ale ja odeszłam tylko parę kroków, żeby sali, w której była sędzina, z oczu nie zgubić.

— Opanowania w tobie bynajmniej nie ma — powiedział — tylko babski impet bez żadnego rozumu. Jak o takich rzeczach przy innych ludziach można mówić? Wstydu trzeba nie mieć. A zostać nie mogę, bo służba mi wypada i kolega mnie tylko na tych parę chwil zastępuje.

— Jeżeli zastępuje na parę chwil — powiedziałam — to na tych parę jeszcze też by zastąpił. Przez telefon, co to ich na korytarzach pełno, możesz mu o tym nadmienić. Ale jak nie chcesz, to idź, nie mam życzenia cię zatrzymywać.

— Pójdę — powiedział — służba nie drużba, żartów nie ma. A przez ciebie, Gienia, tylko złość i zazdrość kobieca mówi.

Poszedł, a ja znów się wróciłam bliżej sali i takie miejsce sobie znalazłam w kątku, gdzie było chłodno, żaden promień słoneczny przez okno nie docierał. Ławka też na całej swojej przestrzeni była pusta, więc mogłam sobie spokojnie usiąść i żadnych przeszkód nie mieć do myślenia z powodu obcej obecności. Tak siedząc i zastanawiając się, co powiedzieć, kiedy już sędzina z tamtej sali, gdzie jeszcze ciągle toczyła się sprawa, wyjdzie, postanowiłam, że powiem jej tak, jak jedna matka powinna mówić do drugiej matki albo do innej kobiety.

Teraz już nerwy miałam trochę uspokojone, więc rozsiadłam się wygodniej, żeby dać wypoczynek wymęczonym kościom i jeszcze lepszą mieć obserwację na salę. Siedząc i w skupieniu myśląc, nie wiadomo kiedy zasnęłam. W tym śnie spotkałam się z sędziną w jakimś dużym pokoju, gdzie stało tylko jedno biurko i parę krzeseł czarnego koloru. Sędzina uprzejmie mnie poprosiła, żebym usiadła, zapytując, jaka to przyczyna mnie do niej przyprowadziła.

Taka to przyczyna, powiadam, że niejaki Arek Żurek, syn bardzo bogatego doktora i matki, która jest trochę

psychiczna, syna mojego Janusza do popsucia koleżanki z klasy namówił.

Inaczej mówiąc, odzywa się sędzina, jak to dobrze rozumiem, rozchodzi się tutaj o gwałt, czyli uczynek nierządny.

Gwałtu, mówię, to tam, pani sędzino, za dużego nie było, tylko matka tej Kwiecińskiej Zofii krzyku okropnego na milicji narobiła, że córka już porządnego człowieka nie będzie mieć za męża.

To znaczy, że poszkodowana w częściowym stopniu wyraziła zgodę na ten fakt.

Całkowicie tego nie powiedziałam, odezwałam się w te słowa, ale w dużym sensie tak było.

A ile syn pani liczy sobie lat, pyta sędzina, i czy to jest pierwsze jego wykroczenie w takim kierunku?

Piętnaście, mówię, skończył piętnastego stycznia i nigdy za dziewczynami nawet się nie oglądał. Ja też nie miałam z nim przez ten czas większego kłopotu pedagogicznego. Zawsze był usłuchany i nawet mi dużej pomocy udzielał w domu, jako że jestem samotna, bo mi Niemcy mego męża Franciszka zamordowali w lagrze.

Ach tak, powiada sędzina, to mi nowego światła dodaje w tej sprawie. A pani, przepraszam, czym się zajmuje, w jakim fachu fundusze na życie czerpie?

Drugą kucharką jestem, mówię, na stołówce przyzakładowej, a po pracy do posług się wynajmuję przy sprzątaniu mieszkań.

Więc ma pani życie wcale nie łatwe, do tego jest sama?

Niestety, kochana pani sędzino. Dlatego taki lęk odczuwam, że wina może być rozłożona po równo na młodego Żurka i mojego syna. Przecież matka jego, doktorowa Żurek, gdzie też do sprzątania chodziłam, wyraźnie radość swą objawiała z faktu zepsucia Kwiecińskiej Zofii, mówiąc do mnie, że nasi synowie ulegli przemianie na mężczyzn.

To tak, powiedziała znowuż sędzina, to taki jest tam stosunek do najważniejszej sprawy w życiu człowieka. Przecież to głęboka niemoralność i całkowity brak właściwej opieki.

Doktorowa, mówię, jest psychicznie nienormalna, po

całych dniach tylko obrazy maluje, wcale nie patrząc, że syn jej Arek książki lekarskie ogląda z nagimi kobietami, które również Januszkowi do domu wypożyczał, na pokuszenie go sprowadzając.

Więcej mi już pani mówić nie musi, wypowiedziała się w te słowa sędzina, ja już to wszystko widzę tak wyraźnie, jakbym tam była. Sprawa już zapewne do sądu wpłynęła, tylko nie do mojej ręki dotarła. Uczynię wszystko, aby ją osobiście rozpatrywać, bo ja też jestem za tym, aby sprawiedliwość zapanowała na całym świecie.

Wzruszenie mi napłynęło do gardła i radość mnie przeniknęła. Zaczęłam szukać odpowiednich słów, żeby jej podziękować za tyle okazanej dobroci i zrozumienia, ale ich znaleźć nie mogłam. Wielka niemota mnie ogarnęła, więc tylko ustami na pusto coraz szybciej ruszałam. Wtedy sala z sędziną zniknęła, a ja znalazłam się w jakimś innym pokoju, o gołych ścianach. Z jednej ściany wysunęła się do mnie wielka ręka o zakrzywionych paluchach i zanim krzyknąć zdążyłam, chwyciła mnie mocno za ramię i całą moją osobą zaczęła potrząsać. Wyrywałam się jakiś czas, zwijałam w tych paluchach ogromnych, ale wszystko na nic, ręka silniejsza była ode mnie. A wtedy oczy otworzyłam i dłuższy moment widząc wszystko dookoła, siedziałam obok własnego rozumu, niczego nie pojmując. Dopiero później doszło mi do wyobraźni, że to nie potwór nadludzki jest przy mnie, ale że woźny sądowy szarpie moje ramię i że ja dalej siedzę na ławce w sądowym korytarzu.

— Gdzie sędzina — krzyknęłam, jeszcze niezupełnie do orientacji wracając — w którą stronę poszła?

— Jaka znowuż sędzina — odpowiedział woźny — sąd już dawno nieczynny, a pani spała na ławce.

Udałam się więc na dworzec, idąc smutna po ulicach Warszawy. W sklepach był tłok, przed niektórymi stały kolejki. Na wózkach sprzedawano truskawki i pierwsze czereśnie. Kupiłam pół kilo truskawek i usiadłam na ławce pod Pałacem Kultury. Byłam tam kiedyś z Januszkiem w teatrze dla dzieci. Teatr był o sierotce i krasnoludkach. Dobrze to było wszystko przedstawione. Mógł człowiek pośmiać się i popłakać. Po co nam, myślałam, pracującym matkom polskim, tak szybko dzieci rosną

i tak szybko zamieniają się w chłopów, zanim jeszcze na to metryka pokaże. Przecież i kobieta sama jest zdrowsza i poczuwa się na młodszą, kiedy jej dziecko jeszcze, jako niedorozwinięte, większej potrzebuje opieki. Potem kobieta się starzeje, obowiązki rosną i dziecko wcale nie myśli o należnej matce odpłacie za poniesione starania, pomoc i wydatki finansowe.

Co działo się w najbliższych dniach, chyba nietrudno się panu domyślić. Owocny przyniósł wezwanie do sądu i taki był prędki tamtego wieczoru, tak mu się śpieszyło, że nie chciał chwili posiedzieć ze mną, papierosa przy mojej obecności zapalić.

— Marian, dlaczego chcesz już iść — spytałam — i dlaczego zostawiasz mnie samą w najtrudniejszym momencie naszego życia?

— Ślubna wróciła z tygodniowym przyspieszeniem — powiada — i Henio też, jako że ma silną anginę. W domu huk, baba biega, jakby miała motor w sobie, wrzeszczy, chociaż Henio z powodu choroby wymaga ciszy i spokoju, bo nie znalazła bałaganu jak zawsze, kiedy wyjeżdża, ale ład i porządek. Wobec tego muszę już iść, zanim mnie jakaś większa nieprzyjemność obleci. Mówiłem ci, nie sprzątaj, do kultury mojego mieszkania nie doprowadzaj, bo baba moja też ma dwie ręce i tylko patrzy, czy gdzieś tam się jeszcze trochę kurzu nie ukryło, czy buty albo inna rzecz stoją równo, gdzie stać powinny.

— A co myślisz — mówię — że miałam spokojnie patrzeć, jak brudne skarpetki poniewierają się na stole obok salcesonu i musztardy? Jaka prawdziwa kobieta takie coś by mogła wytrzymać? Nie posądzasz mnie chyba, że bałaganiarą jestem, hrabiną nie rusz mnie i nie dotykaj?

— Wcale tego nie miałem na myśli — powiada Owocny — wyraziłem się tylko na marginesie, kiedy wypowiadałem się o mojej ślubnej, co to z białego umie zrobić czarne, a z człowieka wariata, kiedy się jej tylko spodoba.

O Boże, pomyślałam, tu zbliża się sąd, tu już powiastka na stole leży, a ja z Owocnym opowiadam głupoty.

— Słuchaj, Marian — odzywam się więc — przestań

mi tu o swojej babie gadać, tylko mów od razu. Pojedziesz jeszcze ze mną do sędziny czy nie? Bo jak sam widzisz, sprawa jest napięta całkowicie. Ja wywiązałam się wobec ciebie, to ty się teraz wywiąż wobec mnie. To ci powinien sam powiedzieć twój honor męski i odczucie sprawiedliwości.

Owocny głowę zwiesił, nogami w miejscu podreptał, w łysinę się podrapał i mówi:

— Łatwiej bym chyba słonia urodził, niż chwilę czasu w bieżącym tygodniu znalazł. Dwóch funkcjonariuszy jest na chorobie, a jeden na kursie przywódców psów milicyjnych. Na dodatek jeszcze posterunek się w tym czasie odnawia, więc trzeba mieć oko uważniejsze niż zwykle, żeby kto obcy do papierów sposobem niepowołanym nie zajrzał.

— Ach tak — mówię — powiedz mi nareszcie taką jedną rzecz. Nazwisko twojej znajomej sędziny. A sama już wszystko załatwię, bez twojej łaski.

— Gieniu, za kogo ty mnie masz — mówi Owocny — za tego, co wykręty stosuje nie licujące z człowiekiem?

— Dosyć tego — przerywam mu — podaj mi nazwisko sędziny i idź do swojej ślubnej, bo jeszcze wałkiem oberwiesz na powitanie.

— Nazwiska ci raczej podać nie mogę — odzywa się Owocny — bo sam nie wiem. Sędzinę znam tylko po linii służbowej i z tych paru zdań, cośmy ze sobą w sprawie Janusza zamienili.

— A zatem — mówię — sprawa z sędziną to oszukaństwo, o jakim świat nie słyszał? Chciało ci się kobiety, więc jej farmazon zalałeś?

— Głupie gadanie — mówi Owocny — a bo to tylko ja przyjemność z tego miałem, a bo to tylko ja Bożą wolę odczuwam, przecież ty też jesteś żyjąca, a zatem i potrzebująca.

Gniew mnie ogarnął, czułam, że mu się poważnie mogę narazić. Z wielkim więc trudem gniew swój powstrzymałam i mówię:

— Daj mi teraz słowo własne, że ta sędzina jest i wie o Januszu.

— Jest — odezwał się Owocny — i to ci na pewno zaręczyć mogę, tak jak tu przed tobą stoję.

— A więc idź już stąd — powiedziałam — i po linii prywatnej więcej nie przychodź. Sama odszukam sędzinę, bez twej pomocy.

— Gienia — wyrzekł jeszcze wychodzący z mieszkania Owocny — przecież ja tego całkowicie nie powiedziałem, że już czasu zupełnie w tygodniu dla was nie znajdę. Może mnie komendant wysłać do sądu, może się jeszcze nie wiem co wydarzyć.

— Idź, Marian — powiedziałam — bo tylko mi wstyd za ciebie, jako za mężczyznę.

Wzięłam w pracy urlop, chociaż podług planu wypadał mi na miesiąc sierpień. Sprawa miała odbyć się za dwa tygodnie, czasu więc było nie za dużo i strach ogarniał mnie już na samą myśl, co zrobię, jeśli sędziny nie będę mogła znaleźć. Przecież na sprawie Żurkowie na tapetę wejdą, jeśli zaczną po książkowemu mówić, słowami, do których prosty człowiek nie jest nawykły. Wtedy sąd tylko na nich uwagę zatrzyma i co moje słowa znaczyć będą wobec bogatej wymowy państwa Żurków? Januszek też ma wygląd bardziej męski, pomimo że wzrostu jest podobnego do Arka. A jak obie Kwiecińskie sypną, co wiedzą i co nie wiedzą, jak Januszkowi wyciągną zabawę w piegi i podglądanie dziewczyn w ubikacji, Arek będzie czysty jak łza, chociaż to on miał dostęp do książek medycznych.

Ze sprzątaniem po obcych domach bardzo się mocno wtedy zaniedbałam, na czym wyraźnie ucierpiały moje zarobki pozaetatowe. Bo to i czasu nie było, a po drugie, głowy nie starczało, żeby się wszystkimi po równo zajmować. Gnatkowskich, rzecz jasna, zostawiłam, bo co prezes, to prezes, co pan prawdziwy, to pan, chociaż z wyglądu podobny do chama. Zostawiłam też jedno młode małżeństwo, jednego inżyniera z żoną, urzędniczką biurową. Nazywał się Aureli Śledź i chociaż był młody, był już całkiem łysy. On to uważał, że w nowoczesnym małżeństwie żona największą uwagę ma zwracać na to, żeby rozwinął się jej umysł, a nie na to, aby w garnkach było zawsze coś do jedzenia. Jedli zupy z torebek, a już najwięcej chleb z margaryną, salceson i kaszankę, bo jego

żona zajęta rozwijaniem umysłu nie bardzo wiedziała, kiedy wydaje pieniądze i na co. Miałam też dwie stare panny, siostry, nazwiskiem Burakowskie, obie jeszcze w takim wieku, że spokojnie mogły pójść do jakiejś roboty, ale im się nie chciało, wolały po całych dniach oglądać stare albumy ze zdjęciami i chichotać, i uśmiechać się do siebie, jakby się uśmiechały do chłopów. Mieszkały we własnym domu, gdzie oprócz nich mieszkało jeszcze trzech lokatorów. Żyły z emerytur inwalidzkich i z tego drobnego grosza, który szedł z komornego.

Przychodziłam do nich raz na dwa tygodnie, podobnie jak do inżyniera Śledzia, a roboty miałam tam mało, góra na dwie godziny czasu. U Śledzia było tak samo, choć jego żona, zajęta robotą umysłową, zaprowadzała bałagan taki, że święty, gdyby tam przyszedł, zzieleniałby ze złości.

Do Gnatkowskich chodziłam nadal raz w tygodniu i muszę powiedzieć, że podobało mi się u nich coraz bardziej. Gnatkowskiego jego miłość do kobiet, napoju alkoholowego i wesołego życia, przy bardzo nerwowym zajęciu w pracy, doprowadziła do choroby sercowej, więc musiał się trochę uspokoić i w domu więcej teraz przebywał niż na posiedzeniach i zebraniach. O Januszku, Arku oraz o Kwiecińskiej Zofii, pomimo że zależało mi na utrzymaniu tajemnicy, dowiedzieli się Gnatkowscy szybko, jeszcze w tym samym tygodniu, w którym ten fakt miał swoje miejsce. Pomyślałam, że dadzą mi odmowę, popatrzą jak na niemoralną z powodu własnego syna matkę, ale nic z tego, a Gnatkowska nawet wyraziła mi współczucie, dodając przy tym, że łatwo jej teraz tak mówić, ale nie wie, co to by było, gdyby Violetka była już w sam raz i Januszek wziąłby ją na warsztat. Gnatkowski ze swojej strony nadmienił, że nie rozumie, po co tyle krzyku. Chłopaki przymierzyli się do baby, dziewczyna też zobaczyć chciała, jak to smakuje, i to wszystko. Dawniej nie zwróciłby nikt na to uwagi, ale teraz widać ludzie za dużo czasu mają i żadnych poważnych spraw na głowie.

— Ja tam, pani Gieniu, też dziewczyny obracałem będąc w Janusza latach, no i co? Prezesem jestem i inne

poważne stanowiska państwowe piastuję. Pani da sobie spokój ze zmartwieniem i wstydzić się też nie ma czego.

— Panie Gnatkowski — powiedziałam — chociaż by pan nie mówił tego przy własnej żonie.

— Moja Janeczka — odpowiedział Gnatkowski — zna mnie i rozumie, i w grzechy mojej młodości zagłębiać się nie będzie.

Gdyby taki Gnatkowski był w sądzie, pomyślałam, gdyby on mógł los Januszka w świetle prawa państwowego ustalić, wtedy sen mój byłby spokojny, a nadzieja jak wesoły ptaszek w oknie naszego mieszkania śpiewała.

Przez cały ten czas, który dzielił nas od dnia sądu, postanowiłam jednak nie chodzić do sprzątania, chociaż, biorąc urlop z pracy, mogłam to z łatwością wykonywać. Ale przyszłość Januszka i obawa o fałszywe oskarżenie była dla mnie ważniejsza.

I tak, dzień po dniu, zaczęłam jeździć do gmachu sądowego szukać sędziny, którą Owocny mi pokazał. Wkrótce poznałam z dużą dokładnością wszystkie korytarze i wszystkie piętra w sądowym budynku. Chodziłam tam wewte i wewte, zaglądałam do różnych sal i różnych ludzi zaczepiałam. Na drugi czy trzeci dzień ustaliłam już, w którym to miejscu odbywają się sądy nieletnich. I wcale nie było to tam, gdzie mi Owocny sędzinę pokazał, tylko na innym piętrze i w całkiem innym skrzydle sądowego budynku. Pomyślałam więc, bo tonący nawet brzytwy się złapie, że była tam tylko na podmiance za kogoś i że swoje zwykłe miejsce pracy ma jednak w sądzie dla nieletnich.

Wiele godzin tam przesiedziałam od rana do nocy, wiele matek widziałam zapłakanych i smutnych i wielu ojców w złości na dzieci swe pięści zaciskających. Zaglądałam do różnych sal, siadałam pod różnymi drzwiami, a nawet udałam się do bufetu, gdzie sędziowie i adwokaci w swoich długich czarnych ubraniach siedzieli, kawę pijąc i omawiając ważniejsze szczegóły.

Wzięłam i ja kawę dla siebie i chociaż bufetowa patrząc na moje zniszczone pracą ręce pomyślała pewnie, że ja-

kaś znajda tu przyszła pod nie takim, co trzeba, adresem, usiadłam przy pustym stoliku uważając, czy sędzina na salę wejdzie. Ale i tu jej nie ujrzałam, i tu moja nadzieja w puste się obróciła.

Przemijały dni, nie wiedzieć kiedy uciekające, i coraz mnie większe nerwy ogarniały. W domu czekała mnie zwykła kobieca robota nad ogarnięciem mieszkania i przygotowanięm obiadu. Januszek był więcej milczący, jakby zamyślony, ale też i nie zauważyłam, żeby występowały w nim takie nerwy jak we mnie. Karolakowa meldowała, że po większej części siedzi w domu, co najwyżej tylko skoczy na glinki, które zostały po starej cegielni, przekąpie się trochę i wraca.

Choć mogłam dłużej spać, budziłam się wcześnie rano. I ledwie oko otworzyłam, zaraz różne myśli zaczynały mi do głowy napływać. Co będzie po tym sądzie i czy los się do nas uśmiechnie, czy też odwróci się tyłem? Ale o tym wie już tylko Bóg i ta sędzina czy sędzia, co się do sprawy Januszka weźmie.

Robiłam śniadanie, a potem w te dyrdy do Warszawy, dalej trzymać moją służbę matczyną w sądowym budynku. I znów dzień mijał, znów żadnych rezultatów, które by nadzieją mi zaświtały, nie osiągałam. Aż nadszedł ostatni już dzień przed dniem sądu. Byłam tam prawie do wieczora, uciekałam przed woźnymi, wypatrując mojej sędziny. Widziałam wiele kobiet takich, co to papierki noszą z pokoju do pokoju, a także i takich, które o ludzkich losach stanowią. Ale sędzina, którą mi Owocny pokazał, nie pojawiła się przed moimi oczami. Z ciężkim sercem, ledwie włócząc nogami, wróciłam do domu. Januszek ze swoim dawnym koleżką Wątrobą, który już poprawczak za włamanie do kiosku odsiedział, grał na stole kuchennym w cymbergaja. Przepędziłam ich na świeże powietrze i pełna niedobrych przeczuć zabrałam się do spóźnionego obiadu.

Sprawa rozpocząć się miała o godzinie dziesiątej. Dzień był ładny, świeciło słońce, a na twarzach ludzi nawet w takim poważnym miejscu jak sąd widać było uśmiechy. Niedługo po nas pojawili się doktorostwo Żurkowie

z Arkiem, potem obie Kwiecińskie, kilka dziewczynek, koleżanek Januszka z klasy, a nawet i Karolakowa, która — co okazało się niedługo później — miała być za świadka. Patrzałam na doktorową i nie mogłam wcale jej poznać. Ubrana na czarno, z bardzo poważnym wyrazem twarzy, rozmawiała z mężem i bladym, chudym blondynem w czarnym płaszczu adwokata. Arek za to wyglądał, jakby skończył nie więcej niż dwanaście lat, tylko za bardzo wyrósł. Uczesany na chłopca, z grzywką ułożoną do przodu, oczy miał spuszczone i smutne. Spojrzałam na Januszka i lęk mnie w jednej chwili ogarnął. Januszek przy Arku miał wygląd kogoś bardziej starszego i poważnego. Nawet krawat mu przecież zawiązałam i koszulę białą sztywno wykrochmaliłam. Ale teraz już za późno, teraz nic się nie poradzi. Bo już do sali wzywają, już proszą, żeby zajmować miejsca.

Co tam mówiła doktorowa Żurek i co tam na sali mógł mówić adwokat Arka, to pan, jako osoba z sądem na co dzień obznajmiona, sam chyba wie najlepiej. Ale ja czułam, jak mi włos siwieje i jak serce w gardle staje, kiedy słuchałam, czego nie wygadywano na mojego syna. To Arek wychodził na osobę niewinną i przymuszoną przez Januszka do wykrzywienia. To Arek był chłopcem sprowadzonym na manowiec, który przedtem żadnych grzesznych pociągów nie odczuwał.

Bo gdzie by on miał czas, mówiła doktorowa, spoglądać na kobietę czy ciałem kobiecym myśli swoje zaprzątać? Arek książek bardzo dużo czyta, mając bogate zainteresowanie pozalekcyjne. A taki Smoliwąs, jakież on może mieć głębsze potrzeby? Poza tym tylko, żeby iść na wagary albo dziewczęta w ubikacji podglądać. Bywał u nas, kolegował się z synem, próbowaliśmy wpłynąć na niego, podsunąć dobrą książkę. Żal było nam jego matki, którą zatrudnialiśmy jako pomoc domową na przychodne. Ale o niej też samego dobrego powiedzieć nie można, ona też nie cieszy się najlepszą opinią.

Tego już wytrzymać nie mogłam i jak nie krzyknę:

— Sama ich do tego popchnęłaś, a teraz wszystko na Janusza, mego syna, zwalasz. Faryzeuszu ty jeden, żmijo w ludzkiej skórze!

Chciałam powiedzieć o wszystkim, a najwięcej o jej zajęciu domowym i o tym, jakie to książki Januszek otrzymywał i co było w nich wyrysowane, ale sąd w osobie grubej kobiety, brunetki, o badającym spojrzeniu, ale całkiem niepodobnej do tej, którą mi Owocny pokazał, uderzył czymś głośno w ten wielki stół, za którym siedział, i odezwał się w takie słowa:

— Przywołuje się świadka do porządku. Używanie grubych wyrażeń w sądzie jest niedozwolone. W przeciwnym razie świadek skazany zostanie na zapłacenie grzywny. Odpowiadać można tylko wtedy, kiedy sąd sam zada swoje pytanie.

Zagotowało się wszystko we mnie. Raz krew uderzała mi do głowy, a raz głowa krwi pozbawiona patrzała pustymi oczami. Zniosłam już tyle, że sama siebie nie mogłam zrozumieć. Nie odzywałam się nic, kiedy w charakterze poszkodowanej zeznawała Kwiecińska Zofia, niby małoletnia, a bardziej na babę wyglądająca niż wszystkie kobiety, co były na sądowej sali. Milczałam jak grób, kiedy zeznanie składał młody Żurek, wyraźnie takie przypuszczenie robiąc, że to Januszek go do tego czynu namówił, zastosowując groźbę, że gdyby nie chciał, to się z nim później policzy. Byłam jak niemowa, kiedy żal swój wywodziła Kwiecińska Leokadia, podkreślając, że ona nie wierzy, żeby w tym wszystkim rolę kierowniczą odgrywał syn takich szlachetnych rodziców jak doktorostwo Żurkowie. Siedziałam jak z kluską w gębie, kiedy głos miał Januszek, nie mogąc powiedzieć żadnego o większym znaczeniu słowa na swoją osobistą obronę. Byłam prawie milcząca, kiedy swoje faryzeuszowskie pytania zadawał adwokat młodego Żurka. Ale już wytrzymać nie mogłam, kiedy jad okrutny zaczęła sączyć na sądową salę doktorowa Żurek. Z początku myślałam, że sąd z miejsca całą prawdę odkryje, od razu zobaczy, że żadnej jej wiary dawać nie można, bo jest to wietrznica na obłoku siedząca, daleko od życia. Lecz sędzina głową kiwała z wyraźnym zrozumieniem dla tych wykrzywionych faktów. Więc co miałam robić, siedzieć cicho, dać folgę niesprawiedliwości, żeby sobie hulała po całej sądowej sali? Dlatego wstałam, chcąc wypowiedzieć prawdę, zatrzymać gładkie słowa doktorowej, ale mnie nic powie-

dzieć nie dano, każąc tylko czekać, aż moja kolejność przyjdzie.

Ogarnął mnie lęk, że sprawa jest dla nas przegrana, że inaczej sąd popatrzy na kucharkę, a inaczej na doktorową, choćby ta nic nie robiła, tylko obrazy malowała. Bałam się, że kiedy przyjdzie do zadawania pytań, będę już kobietą o lękliwym podejściu do życia, co to żadnej myśli na dłużej nie utrzyma w głowie i paru słów bez zająknięcia nie potrafi powiedzieć. Kiedy tak myślałam, kiedy do uspokojenia dążyłam, wszedł do sądowej sali Owocny. Ledwie usiadł, a sąd zadał mi pytanie, żebym opisała zajście, nie pozwalając użyć żadnych własnych słów poza wymienieniem faktów. Inne pytania były zadane w celu mojego wypowiedzenia się o życiu domowym Januszka i jego pozalekcyjnym zajęciu.

— Najwyższy sądzie — powiedziałam — syn mój był zawsze dzieckiem usłuchanym i nie sprawiającym mi większego kłopotu jako matce. Pomagał mi także w mojej ciężkiej pracy, którą wykonuję w celu osiągnięcia większego dobrobytu, potrzebnego dla lepszej przyszłości Januszka, która jest teraz w ręku najwyższego sądu. Ale to nie ja podsuwałam mu książki do medycyny, gdzie nagie kobiety leżą rozłożone, że tylko mnie weź, i to nie ja z pochwałą tego najgorszego czynu wyskoczyłam, a mianowicie popsucia Kwiecińskiej Zofii, lecz doktorowa Żurek, jako kobieta bez żadnej moralności i odpowiedzialności ludzkiej i Boskiej.

Ale sąd znów mi milczeć kazał, akurat wtedy, kiedy udało mi się z wymową gładszą sobie poradzić.

— Sądu nie interesują — wypowiedziała się sędzina — osobiste zapatrywania świadka i jego zdanie w tej danej sprawie. Sąd ma tylko uważanie dla faktów i tylko opierając się na faktach chce się wyrazić odnośnie wyroku.

— A czy to lepszego faktu potrzeba — krzyknęłam — niż książka do medycyny w niepowołanym ręku małoletniego chłopca? Czy to samo za siebie nie przemawia więcej niż wszystkie wykręty pani Żurek?

— To sądowi na razie wystarczy — powiedziała sędzina. — Proszę świadka Genowefę Smoliwąs o zajęcie

miejsca. — Po czym zwróciła się do doktorowej z prośbą o nadzwyczajne wyjaśnienie odnośnie książek do medycyny.

— Ach, więc tak — powiedziała doktorowa — teraz już wiem, kto książki z biblioteki męża potajemnie wynosił, a mąż mój nie mógł się całkiem połapać, w czym tu jest rzecz i gdzie jest ten złodziej!

Zerwałam się, żeby po swojemu zagadnienie to wyświetlić, ale sędzina w takie słowa zwróciła się nie do mnie, ale do Januszka:

— Czy obwinionemu książki te ktoś pożyczał, czy też obwiniony sam je sobie przywłaszczał w niemoralnym celu?

— Otrzymywałem je od Arka Żurka — powiedział mój Januszek.

— Dziękuję — powiedziała sędzina i zaraz zwróciła się do Arka:

— Czy obwiniony Żurek pożyczał książki o nieprzyzwoitym zabarwieniu obwinionemu Smoliwąsowi? Proszę wypowiedzieć się, tak czy nie.

— Nie! — wypowiedział się Arek.

— Boże! — zawołałam na całą salę — w jakim ja miejscu znalazłam się z moim synem, jakie straszne doświadczenia i przypadki spadają na nasze głowy! Rozumu nie starczy, żeby taką niesprawiedliwość objąć od jednego razu. A może ja śnię, może mi się tylko tak wydaje w tym strasznym dniu? Może myśmy wcale jeszcze z domu nie wyszli i do sądu dopiero się wybieramy?

— Dość już — usłyszałam zza sędziowskiego stołu poważny głos sędziny — dość tych mało odpowiedzialnych wystąpień, to nie teatr, gdzie się odgrywa różne role, ale sądowa sala. Proszę zaraz — tutaj sędzina zwróciła się do jednej młodej kobiety, która siedziała na boku i wszystkie odezwania zapisywała — zanotować, że jeszcze jedno odezwanie się w niepowołanym czasie, a świadek Smoliwąsowa zostanie ukarana grzywną pieniężną. Teraz proszę świadka Owocnego.

Zamilkłam. No bo niechby jeszcze ta kara przyszła, niechby jeszcze pieniądze trzeba było wysupłać i zapłacić za to, że zwykłego człowieka, który nic nie znaczy, każdy gnębi i na najgorsze sposoby znieważa, wtedy już

tylko utopić się, zakończyć życie śmiercią gwałtowną. Pieniędzy ci się, pomyślałam, babo nieużyta, zachciało? I to od kogo? Od kobiety zatrudnionej przy zbiorowym wyżywieniu fabrycznego robotnika? Prędzej by chyba Wisła wyschła albo chłopy pogubiły żenidła i zaczęły dzieci rodzić. Ale póki co, milczeć trzeba i wymowę swoją zatrzymać w sobie jak w klatce.

Owocny siedział dwie ławki przede mną. Udawał, że się bliżej nie znamy, tylko siadając głową się lekko ukłonił. A kiedy sędzina grzywną mnie nastraszyła, obejrzał się wtedy i przez chwilę spotkały się nasze oczy. Moje spojrzenie wyrażające oburzenie i gniew było silniejsze. Owocny oczy spuścił i zaraz potem wrócił do poprzedniej pozycji.

Spróbuj powiedzieć coś nie tak, pomyślałam sobie, a sąd w jednej sekundzie dowie się o wszystkim. I nie tylko sąd. Karolakowa też tu przecież jest, gałami wierci i uszy szeroko rozstawia. Niech tylko jakieś ciekawsze słowo w jedno jej ucho wpadnie, to w chwilę później z drugiego dziesięcioma braciszkami wyleci.

Ale nie. Owocny niczego przeciwko Januszkowi nie powiedział. Fakty potwierdził, nadmienił, w jakich okolicznościach na konto córki zgłosiła się na posterunek z obdukcją lekarską w ręku Kwiecińska Leokadia. Mówił też, że z ramienia milicji trzymał dozór nad obydwoma nieletnimi, ale za krótko z nimi przebywał, aby mógł coś dokładniejszego o nich powiedzieć.

— Chłopcy są, jak to chłopcy — zaznaczył oględnie. — Raz lepsi, raz gorsi. Janusz Smoliwąs nawet kolegował się trochę z moim synem, Heniem, dopóki tego Heniowi wyraźnie nie zakazałem, po zaistnieniu tego faktu, o którym dzisiaj mówimy. Smoliwąs chowa się w trudnych warunkach, matkę ma zapracowaną, nie posiadającą większej ilości czasu. Ale nie jest to chłopak zły, tylko wymaga sporej pracy.

Odetchnęłam głęboko. Chociaż jedna osoba, pomyślałam, w pobliżu prawdy się znalazła. A może ty, bratku, tak ze strachu, żebym naszej tajemnicy nie ukazała światu? I jaki to jest strach, bardziej przed sądem czy przed własną żoną, która ci już za porządki w domu nieszpory

zrobiła? Co by się jednak za tym nie kryło, Owocny Januszkowi krzywdy nie zrobił, choć mu za bardzo nie pomógł.

O tym, co zeznawała Karolakowa i co zeznawali inni, właściwie nawet wspomnieć nie warto. Karolakowa zapragnęła pogadać, zabłysnąć przed sądem swoją bogatą wymową, ale sąd chciał tylko, aby opisała zajście. Karolakowej wcale się to nie podobało, widać było, że się męczy, zwija w sobie jak koci ogon. Co do koleżanek pokrzywdzonej Kwiecińskiej Zofii, też to się dosyć szybko odbyło. Sędzina chciała wiedzieć, czy Januszek względem którejś z nich już jakieś wyraźniejsze propozycje czynił i do niegodnego czynu namawiał. Okazało się, że nic takiego w sposób wyraźniejszy nie było. Tylko jedna, taka okrąglutka czarnulka, co teraz jest lekarką w naszym rejonie i dwa nazwiska nosi, własne i po mężu, powiedziała, że Janusz dziewczyny w ubikacji podgląda, a jej samej jeszcze w maju sukienkę do góry zadarł i majtki niestety z zadka chciał ściągnąć.

— Czy wypadek wydarzył się na osobności — zapytał sąd — czy też w jakimś przeludnionym miejscu?

— Szliśmy łąkami obok żyta — odrzekła czarnulka.

— Czy obwiniony — zwrócił się w te słowa do czarnulki adwokat Arka — wykonywał jakieś nieprzystojne gesty albo coś mówił?

— Gestów specjalnie nie było — odrzekła czarnulka — ale poczerwieniał na twarzy.

— Dziękuję świadkowi — wyrzekł mecenas i zaraz zwrócił się do Januszka:

— Co obwiniony miał na myśli wykonując taką to czynność na świadku?

Januszek wstał, popatrzył na mnie, jakby szukał porady, i powiedział: — Nic. — Pomyślał chwilę i dodał: — Bowiem absolutnie nigdzie z nią nie chodziłem.

— Obwiniony kłamie — wypowiedział się w takie słowa mecenas. — Obwiniony chce przedstawić sądowi taki pogląd, że to nieprawda.

Jako matka nie mogłam już tego ścierpieć. Zerwałam się z miejsca i jak nie krzyknę:

— Co to jest? Co to, znów się zaczęły wojenne lata

hitlerowskiej okupacji? Jakim prawem takie się pytania i maltretacje stosuje? Jeżeli z dziewczyną nigdzie nie chodził, to nie chodził. Jak można wyciągać takie obrzydlistwa z zadzieraniem sukienki? Żeby coś takiego mówiła przed ludźmi młoda i szanująca się panienka? Plunięcia nawet takie zeznanie niewarte.

Już dłuższą chwilę sąd walił w stół i przyprowadzał mnie do uspokojenia. Ale teraz było mi już wszystko jedno, teraz musiałam powiedzieć, co miałam na końcu języka.

— Jak można tak nie widzieć — mówiłam — sprawiedliwości i prawdy? To, że dzisiaj ze swoim synem przed sądem stoję, stało się absolutnie za przyczyną państwa Żurków i książek do medycyny, które mi umysł dziecka popsuły w młodym wieku. I tego się tutaj nie chce zobaczyć i w całkiem inną wykręca stronę. Ja zupełnie inaczej sąd widziałam i całkowite zaufanie miałam do wszystkich praw i sprawiedliwości.

Sąd dalej czymś walił w stół i dalej tak krzyczał na mnie, że musiałam na chwilę przerwać.

— Jeżeli świadek nie zaprzestanie — powiedziała sędzina — to sąd każe świadka usunąć z sali. — I zwróciła się do tej kobiety, co zapisywała wypowiedzi: — Proszę zapisać. Świadek Genowefa Smoliwąs ukarana zostaje grzywną w wysokości pięciuset złotych.

— Boże! — zawołałam z samego serca. — Za co mnie sąd skazuje na taką poważną karę? Za to, że sprawiedliwości szukam na tym świecie, pełnym zła i występków. — Osunęłam się bez czucia na ławkę. — To ile ja muszę harować, ile pracować tymi oto rękami, żeby te pięćset złotych zarobić?

— Jeszcze jedno słowo — powiedziała bardzo poważnym głosem sędzina — a świadka natychmiast usunę z sali.

Chciałabyś, pomyślałam, wyjdę, a oni tu Januszka w takie obroty wezmą, że całkiem mi zgłupieje nieboraczek i nie tylko do swojej winy się przyzna, ale i pokutę za cały świat będzie chciał cierpieć.

— Przepraszam, najwyższy sądzie — powiedziałam. — Proszę uwzględnić to, co mi serce moje matczyne mówi w takim dniu doniosłym dla naszego życia.

— No i jak, najwyższy sądzie — zwrócił się w te słowa do sędziny mecenas — przy takiej kobiecie i matce mógł mieć młody człowiek prawidłowe zapewnienie rozwoju swojej osoby?

Sędzina przerwała mecenasowi mówiąc:

— Sądu nie obchodzi osobiste wyznanie obrony na temat matki obwinionego. — A potem powiedziała: — Zarządzam przerwę.

Wyszliśmy na korytarz. Wokół doktorostwa Żurków tłok. Stoją dziewczyny ze szkoły, mecenas rękami wymachuje, aż mu ten czarny płaszcz fruwa, są jacyś obcy ludzie, których nie znałam, którzy do sądu pewnie przyszli jak do teatru. Karolakowa stanęła na boku, ale tak bardziej przy Żurkach, i widać, że aż głowę przechyla, żeby usłyszeć, o czym tam mówią. A obok doktorostwa gwar i hałas, i śmiech głośny, wybuchający co chwila. Nawet Arek, który w takim dniu jak dzisiaj powinien większą powagę zachować, co chwila śmieje się na cały regulator, a śmiech ma już gruby jak dorosły mężczyzna. Zobaczyłam i Antosiową, której widocznie też, na okoliczność nieprzewidzianą, kazano stawić się do sądu. Antosiowa twarz miała złą i całkowicie milczącą. Pewnie też nie pochwalała tego hałasu, tych krzyków i wesołości.

Przy nas nie było nikogo, staliśmy sami jak para odmieńców albo trądem dotkniętych. Myślałam, że Owocny do nas podejdzie i choć ze dwa słowa zwyczajne zamieni. Ale widać złożył już takie zeznanie, jak trzeba, bo zaraz, jak tylko ogłosili przerwę, poszedł sobie.

Miałam jeszcze trochę nadziei, myślałam, że sąd w naszą sytuację wejdzie i popatrzy na sprawę wzrokiem łaskawym i sprawiedliwym. Widziałam przecież, jak sędzina przebiegła się korytarzem i obrzuciła wszystkich badawczym spojrzeniem. Musiała zobaczyć, jak Żurkowa chichy robi i jak tam jest przyjemnie i wesoło. Może udała się do ustępu za potrzebą, a może włosy poprawić i przyczesać, bo chociaż to sąd, to też jest w osobie kobiety i musi mieć staranie przy własnym wyglądzie. Jeśli tak, to zaraz albo najdalej za parę minut będzie tędy

wracać i znów na całe zgromadzenie popatrzy. Zwróciłam się więc do Januszka:

— Synu mój — powiedziałam — to wcale nie jest na naszą korzyść, tylko na Żurków, jak z taką głupią miną stoisz i w nosie dłubiesz. W sądzie lepiej jest mieć twarz smutną, a nawet trochę łez popuścić, co jeszcze wypada w twoim wieku. Sędzina zaraz będzie tędy wracać, więc postaraj się tak zrobić. Matka cię twoja o to prosi.

A syn mój na to:

— Mogę najwyżej co innego popuścić, ale pewnie takiego życzenia nie masz.

W tym momencie ukazała się podążająca szybkim krokiem sędzina i zaraz też skończyła się przerwa w rozprawie.

Sąd miał jeszcze kilka pytań do Kwiecińskiej Zofii i Kwiecińskiej Leokadii, a także do niektórych świadków. W tym najwięcej do tych dziewczyn, które chyba Żurkowa — no bo kto inny — przy pomocy swojej ładnej wymowy namówiła na przybycie do sądowego budynku. Dziewczyny śmiały się, udając przy tym duże zawstydzenie, i każdy głupi chyba mógłby poznać, że w ich wypowiedziach więcej było kłamstwa niż prawdy.

Ale sędzina popatrzyła na to inaczej, ona Żurkom całą wiarę dała i wszystko skrupiło się na Januszku. Po zadaniu ostatnich pytań sąd ogłosił jeszcze jedną przerwę i znowu udał się na naradę. Jeszcze raz wyszliśmy na korytarz, żeby złapać trochę świeżego powietrza i pomyśleć w spokoju nad naszym dalszym losem. Całym swoim kobiecym uczuciem przeczuwałam już, co się święci, co za chwilę ogłoszone zostanie. I faktycznie, nie minęło parę chwil, a woźny sądowy wezwał wszystkich do sali w celu ogłoszenia wyroku.

— Obwiniony Janusz Smoliwąs skazany zostaje — powiedziała sędzina — na pobyt w domu wychowawczym. Obwiniony Arkadiusz Żurek otrzymuje wyrok z zawieszeniem. Po upływie dwóch lat w razie nienagannego zachowania obwinionego kara zostaje przebaczona. Obwiniony Smoliwąs posiada wyższy stopień demoralizacji,

dlatego sąd ukarał go surowiej. W domu wychowawczym będzie mógł ukończyć szkołę i nauczyć się zawodu.

Stałam jak piorunem rażona. Kto tu posiada wyższy stopień demoralizacji, Janusz? I to ma być sąd, to ma być sprawiedliwość i nauka dla prostego człowieka? Coś tu musi być nie tak, ktoś tu musiał coś zdrowo poprzeinaczać i pomylić. Nie może tak być, żeby to był już koniec, żeby sprawa zakończyła się takim wyrokiem sędziowskim.

Zaszurały krzesła, wszyscy za sądowym stołem zaczęli już wstawać, na sali hałasy rozległy się głośne, a Żurkowa całkiem już jawnie chwyciła Arka w objęcia. Nie mogłam już tego znieść jako matka Januszka i jako sprawiedliwy człowiek.

— Najwyższy sądzie — zawołałam tak głośno, żeby przekrzyczeć salę. — Najwyższy sądzie, ja, pracująca ciężko polska matka, proszę o jedno słowo!

Sędzina nie zwróciła już na mnie najmniejszej uwagi. Ale ci, co byli na sali, zatrzymali się przestając wychodzić i zaczęli się śmiać. Ich śmiech uderzał mnie boleśnie. Spojrzałam na Januszka. Śmiał się razem z innymi i patrzył na mnie, jakbym była zupełnie głupia.

Lato mijało, a i dni mojego urlopu w siną dal odeszły. Z domem wychowawczym na razie było cicho, na razie żadne wezwanie ani inny urzędowy papier w tej sprawie nie przyszedł. Po co jednak miałam się denerwować, po co myśleć i łudzić się nadzieją, że jakiś urzędnik sprawę Januszka wśród innych spraw i papierów zgubił. Poszłam do Owocnego do domu, droga mi przecież dobrze znajoma była, dowiedzieć się, co wie odnośnie tego zagadnienia. Otworzyła mi Owocna, która widać dopiero co wróciła od fryzjera, bo silny zapach perfumy od niej buchał. Włosy miała zrobione na fioletowo, świeży manikiur na tłustych rękach. Popatrzyłam na nią, na jej brzuch wywalony od sadła, na nogi potężne jak słupy tkwiące w białych szpilkach i odezwałam się z zapytaniem o obecność męża w domu.

— Mąż — powiedziała Owocna — aktualnie jeszcze

przebywa na Komendzie. A o której ma zakończenie dzisiejszej służby, tego mi dokładnie nie jest wiadomo. Pani zapewne w sprawie związanej z synem. Więc ostrzegam. Dom nie jest tym miejscem na sprawy służbowe. Od spraw służbowych jest Komenda. — I dodała patrząc na mnie bardzo złym wzrokiem brzydkiej kobiety: — Jakbym kiedy Januszka z Heniem zobaczyła, to nie wiem, co zrobię. W takim wypadku odpowiedzialności za siebie wziąć nie mogę.

Ach tak, pomyślałam, a może chcesz usłyszeć, że ja tu całkiem niedawno prywatnie do twojego męża przychodziłam, a on nażalić się nie mógł, że ma taką małpę za żonę, co tylko jęzorem wywija od rana do nocy. Ale powiedziałam: — Wszystko w porządku, pani Owocna. Nie przyszłam tu na dłuższe posiedzenie, tylko mam jedno krótkie zapytanie do pani męża. Nic więcej. A jeśli już o Henia się rozchodzi, to nie jest on jeszcze w takich latach, żeby mógł być dla Januszka prawdziwym kolegą.

— Cieszę się — powiedziała chłodnym głosem Owocna — i mówię do widzenia.

Poszłam więc na Komendę, bo nie miałam już siły ani cierpliwości czekać na pismo z domu wychowawczego. Byłam już blisko, już szary budynek Komendy Milicji ukazał się moim oczom, kiedy nagle za zakrętem wyrósł przede mną Owocny idący szybkim krokiem.

— Co było, a nie jest — zwracam się w takie słowa do niego — nie pisze się w rejestr. Zapomnijmy więc o tamtym, o twojej obietnicy, której oszukaństwem nie nazwę, bo nie chcę mówić po imieniu. Chciałam się tylko o to zapytać, kiedy Januszek odesłany zostanie do domu wychowawczego. Jak ma swoje odsiedzieć, to niech idzie zaraz. Bo po co mu czas bez potrzeby tracić, wałęsając się po całych dniach.

— Obawiałem się — odpowiedział Owocny — że takie posądzenie spadnie na moją osobę. A przecież czy ja nie jeździłem z tobą do sądu, poszukując sędziny, której nieobecność bardzo mnie zadziwiła, a czy na sprawie chociaż jedno słowo powiedziałem takie, które by szkodziło Januszkowi? Na Komendzie mu też urabiałem dobrą opinię, więc tu chyba nie możesz mieć do mnie zarzutu.

— Słuchaj, Marian — wyrzekłam — ja już o niczym nie chcę pamiętać. O jedno mi tylko idzie. Niech Januszek prędzej karę za nie swoje winy odsiedzi i do normalnych ludzi powróci.

— Już moja głowa w tym — odpowiedział Owocny — żeby zanim rozpocznie się rok szkolny, Januszek otrzymał powiastkę na przyjazd. — I dodał: — Pogoda taka piękna, Gieniu, może byśmy tak na jaki spacer poszli, w pola, zobaczyć, jak rolnikom przy żniwach idzie, czy dużo jeszcze zostało do uprzątnięcia.

Powiedziałam mu:

— Gdybyś mi nawet najpiękniejszy hotel zaproponował, a nie żyto, gdzie mnie iść namawiasz, też bym nie poszła. A przynajmniej nie w tym trudnym momencie.

Przez tyle lat pracowałam tylko na jedną zmianę, ale teraz coś i u nas poprzestawiali i co drugi tydzień wyszło, że mam przychodzić od godziny trzynastej.

— Wy, Smoliwąsowa, na zmianę z pierwszą kucharką — udzieliła mi informacji kierowniczka — będziecie miały uważanie na lepszą robotę w popołudniowej godzinie. Jest to konieczne dla dobra zakładu i pracującego człowieka.

Dziękując za ten zaszczyt, co mnie spotkał, bo jak by nie było, co drugi tydzień, jeżeli nie liczyć kierowniczki, będę najważniejszą osobistością w całej kuchni i na stołówce, powiedziałam:

— Sama pani rozumie, że nie tylko z zakładu fundusze na życie czerpię, ale również z innego zajęcia. Taki układ pracy może mi dochody nadszarpnąć.

— Przykro mi — odrzekła kierowniczka — ale umowa o pracę z takiego to tytułu jak ten żadnych dodatkowych wynagrodzeń nie przewiduje. I w takim to sensie nic dla was teraz, Smoliwąsowa, zrobić nie mogę.

Zresztą nie tylko na stołówce poważne zmiany zaszły. Cały zakład się przemieniał przechodząc do większej produkcji. We wszystkich działach wprowadzać zaczęli no-

we normy, coraz wyższe. To już nie te czasy, kiedy Kalisiak przychodził do nas z plakatami. Tamto to było nic w porównaniu do tego, co wyrabiało się teraz. Urzędniczki, technicy, a nawet inżynierowie wysiadywali po działach z papierami i długopisami, zapisując, ile dany robotnik przez godzinę może zrobić, ile czasu schodzi mu się na papierosa, a ile za przeproszeniem na pójście za osobistą potrzebą. Niektórzy starali się robić mniej, uważając, że jeżeli mniej będą mieli nakazane, wtedy więcej zarobią w tych samych godzinach pracy. Ale nie na wiele to się zdało, bo taki, który patrząc na pojedynczego robotnika ma jednocześnie cały zakład na oku i kiedy chce, może sobie do odpowiedniego wykazu zajrzeć i w cyfry popatrzeć, oszukać się łatwo nie da i zaraz zobaczy, co dla niego jest prawdą, a co nie jest.

Ale mnie obchodziło moje życie, a nie produkcja na zakładzie, przejmowałam się tym, czy Januszek wyrośnie jeszcze na człowieka, czy już na zawsze zostanie przestępcą kryminalnym i zamiast domu będzie miał więzienie. A po drugie, z zakładem ślubu nie brałam i to nie fabryka była moją jedyną żywicielką.

Wracając do domu albo też idąc do pracy starałam się dać największy wypoczynek myślom. Po cóż bez przerwy mają czepiać się tej jednej jedynej sprawy, po cóż mają, jak woda skałę, drążyć słabe ciało ludzkie? I zobaczyłam nawet, że człowiek bez ustanku nad własną troską zamyślony tylko przed własne nogi patrzy i niczego więcej zobaczyć nie może, choćby mu i odrzutowiec nad głową jak wróbel latał. I dlatego, jeśli nie było takiej potrzeby, żeby się spieszyć, szłam wolno, spoglądając na świat nas otaczający i jego piękne kolory.

Zobaczyłam niestety, jak przyroda z ulic naszego miasta znika, jak tam, gdzie były łąki, bieleją wykopy, a spółdzielnia „Mazowszanka" swoje betonowe pudełka stawia. Dobrze tam niby i wygodnie, ale ludzie poutykani jak mrówki, jedni nad drugimi, i nigdzie nawet wyjść, przez chwilę posiedzieć, bo wszędzie tylko kamienie, goły piach lub błoto, porozrzucane zardzewiałe żelastwo i potłuczone cegły. Dobrze, że chociaż u mnie, pomyślałam, jest kawałek ogródka. Ma przynajmniej człowiek na

czym wzrok zaczepić, letnim rankiem popatrzeć na oświetloną słońcem zieleń, a zimą, kiedy drzewa stoją gołe i czarne, spojrzeć na wróble odbywające swoje ptasie zebrania.

W ciepłych jeszcze mgłach, które prawie do południa włóczyły się po polach, nadszedł wrzesień. I zaraz w pierwszych dniach przyszła powiastka dla Januszka, wzywająca go w trybie natychmiastowym do domu wychowawczego.

Ten dom położony był aż za Warszawą, za Wisłą. Od pociągu trzeba było iść jeszcze spory kawałek drogi sosnowym borem. Droga była piaszczysta, trudna, bo i bagażu też przecież wzięliśmy dużo, w tym ciepłe zimowe ubranie, bieliznę, ręczniki i zapas nie psującej się wędliny na początek, nim Januszek przywyknie do państwowego jedzenia.

Dom stał na osobności, otoczony wysokim murowanym płotem z betonu, w którym była duża brama z żelaznych sztachet. Przy tej bramie w niewysokim budynku miała swoje pomieszczenie portiernia. Tutaj strażnik kazał nam zaczekać, aż przyjdzie odpowiedni wychowawca i zabierze nas do biura. Usiadłam na ławce i dałam odpocząć zmęczonym nogom. W portierni grało radio, a za oknem przebiło się już przez mgłę słońce zapowiadając ciepły i przyjemny dzień. Może pobyt w tym domu, pomyślałam, da na tyle rozumu mojemu synowi, że będzie już wiedział, jakie należy dobierać sobie towarzystwo, żeby go później niesprawiedliwość nie spotkała. Tu ma przykład najlepszy, że jedno głupstwo ciągnie za sobą inne szkodliwe dla człowieka przypadki, że ktoś może mylić się dziesięć razy i nic mu za to nie jest, a ktoś taki jak Januszek potknie się raz i prawo go już w swój kodeks wciągnie i milicja w swoje łapy chwyci. Tu będzie miał czasu dosyć, żeby taki rozum osiągnąć i więcej już błędów w życiu nie robić.

Spojrzałam na niego. Usiąść nie chciał, a tylko stał patrząc przez okno na świat, wypełniający się coraz bardziej porannym słońcem. Za oknem widać było duży budynek z różnymi przybudówkami. Wybiegła stamtąd gro-

mada chłopców, ustawiła się po wojskowemu, a następnie pomaszerowała w niewiadomym kierunku. Więc nie jest tak źle, pomyślałam, Januszek nabierze tu odpowiednich drygów i przyuczy się do życia na rozkaz. A kiedy doszłam już do takiego przekonania, ogarnął mnie spokój. Trzeba złe, jak srogą zimę, przeczekać, zobaczyć, jak się nam później życie ułoży.

Teraz i to obce miejsce wydawało się mniej straszne. Januszek ciągle patrzył przez okno, a ja, uspokojona na krótką chwilę, zamknęłam oczy i zaraz też zapadłam w drzemkę. Potem usłyszałam trzask drzwi, tupot nóg i na dyżurkę wszedł wychowawca. Podniosłam się z ławki, popatrzyłam na jeszcze młodą twarz blondyna niewysokiego wzrostu w okularach, który nakazał nam iść za sobą do budynku głównego.

Myślałam, że przyjmowanie Januszka do domu wychowawczego potrwa dosyć długo i odbędzie się solidnie. Ale gdzie tam. Dano mi tylko jakiś papier podpisać, zostawić pozwolono tylko ubranie, a całą pościel, ręczniki oraz wyżywienie kazano mi zabrać z powrotem. Myślałam, że będzie się tutaj ktoś pytał mnie względem mojego syna i jego charakteru, ale widać nikomu takie wiadomości nie były potrzebne.

W kancelarii było jeszcze dwóch wychowawców, jeden w starszym wieku z ołysiałą głową, a drugi w latach podobnych do tego, który nas przyprowadził. Oprócz nich była też urzędniczka, bardzo chuda kobieta w moim wieku z papierosem w ustach. Szybko spisała Januszka, a papierami machała tak, że robił się wiatr ruszający gałązkami paproci, co stała obok biurka. Ten ołysiały kroił sobie scyzorykiem jabłko na małe kawałki i spoglądając uważnie na Januszka, tak się wypowiedział:

— Jeden taki z większym apetytem do dziewczyn już u nas jest.

Aż krzyknąć chciałam z wielkiego zadowolenia, ale żeby tę nadzieję mieć na pewno, spytałam:

— Znaczy, że macie tutaj Arka Żurka, syna jednej doktorowej dobrze mi znanej.

— Jakiego tam Żurka — odpowiedział ten ołysiały. — Żurek u nas bywa, ale rzadko, i przeważnie jest na kieł-

basie albo na dróbkach. Ten nazywa się Koniecpolski, a ksywę ma Baran.

— Przepraszam, panie kierowniku — powiedziałam — tak mi się jakoś wyrwało bez dania racji.

— Nie szkodzi — odrzekł wychowawca. — Słowo tu wleci, tam wyleci i już go nie ma.

Widzę, że ten ołysiały to jest człowiek do rzeczy, bo i usta do drugiego człowieka otworzy, i swój rozum ma na swoim miejscu, więc chcę mu w krótkich słowach całą sprawę Januszka wyłożyć. Ale patrzę, młody wychowawca już syna mi zabiera, nakazuje mu pożegnać się z matką. Gniew to we mnie budzi i słowa obrażające do ust wprowadza. Ale ja nic, ja te słowa zatrzymuję w sobie na później, żeby ich użyć bez pożytku, kiedy już będę na osobności. Januszek staje naprzeciw mnie, ja naprzeciw Januszka i nic nie mówiąc spoglądamy na siebie wzrokiem syna i matki. Trwa to dłuższą chwilę, w kancelarii jest cisza taka, że słychać, jak muchy bzykają. Twarz Januszka z młodym wąsem pod dosyć dużym nosem najpierw widzę wyraźnie, ale potem zaczyna mi się w moich własnych łzach zamazywać. Mówię więc szybko, żeby już żadnej poruty z powodu płaczu matczynego nie było:

— Januszku, synu mój jedyny i najukochańszy. Nie przynoś ty już więcej wstydu swojej matce, przestań żyć na kredyt bez większego celu i znaczenia. Robiłam, co mogłam, żeby nasze życie pobiegło inaczej, nie w takim kierunku. Sprawiedliwość odwróciła się od nas, ale prawo jest święte, bo inaczej człowiek żyłby jak ślepiec na pustym polu. Dlatego upraszam cię, głupstw już żadnych nie rób, wychowawców słuchaj i o matce swojej, która żyje tylko dla ciebie, pamiętaj. A teraz żegnaj, synu mój, ja ci już wszystko wybaczam.

— Cześć! — odrzekł mi cichym głosem Januszek i biorąc swoje rzeczy i nie patrząc już na mnie, szybkim krokiem oddalił się z wychowawcą.

Zabierając resztę naszego bagażu i ja ruszyłam się w stronę drzwi. Wtedy urzędniczka kazała mi jeszcze pozostać i dając mi jakiś papier powiedziała: — Proszę zapoznać się z naszym regulaminem odnośnie opieki i widzeń.

Wzięłam ten papier, ale patrzę, że pismo drukarskie jest na nim drobne i mało wyraźne. Mówię więc do niej:

— Niestety z tego wrażenia zapomniałam okularów. Proszę mi przeczytać, co potrzebne jest do mojej wiadomości.

— Co tam czytać — powiedział ołysiały wychowawca — najważniejsze widzenia. A mianowicie raz w miesiącu w pierwszą niedzielę po piętnastym. Reszta po co pani? Papier wszystko przyjmie, człowiek nie musi.

— Dziękuję panu, panie kierowniku — odrzekłam — i proszę mieć czasem uważanie na mojego syna. To dobry chłopak, ale się w życiu trochę pomylił za przyczyną niedobrego towarzystwa i złej kobiety.

Opuściłam biuro, chwilę postałam na tym wielkim podwórzu za wysokim murem, gdzie na okrągłym klombie kwitły czerwone georginie, jeszcze raz myślą zwracając się do swojego syna. A potem, z ciężkim sercem, przez portiernię i przez ten piaszczysty las udałam się do kolei.

Wróciłam o południowej godzinie. Pogoda była piękna, słonecznie i cicho. Zjadłam naprędce kawałek chleba, popiłam herbatą. Posiedziałam trochę, potem zaczęłam chodzić z miejsca na miejsce coraz prędzej i prędzej. Z każdą chwilą bardziej rozumiałam ten fakt, że dopóki on się nie poprawi, co potrwać może rok albo nawet i dwa lata, będę w tym domu jako samotna matka i starzejąca się kobieta i że nic już tego losu nie odmieni, choćbym nie wiem jak rozpaczała i syna swojego wołała. Tak chodząc, tak biegając z pokoju do kuchni, nie wiem czemu, nagle przystanęłam, ze ściany nad łóżkiem zdejmując portret ślubny. Szyba była kurzem pokryta, rama się już prawie całkiem ze srebrnego koloru obłupiła. Otarłam szmatą kurz, podeszłam z portretem do okna, skąd wesołe promienie słoneczne wpadały, i popatrzyłam na te dwie młode twarze w niemodnym uczesaniu. Nieboszczyk Franciszek wyglądał bardzo poważnie, spoglądał gdzieś, tak jak mu fotograf wtedy przykazał, a na mojej twarzy, nie takiej okrągłej jak teraz, tylko chudej, widać było uśmiech.

No więc tak, odezwałam się jak głupia do portretu,

będę teraz, Franiu, sama, pozbawiona naszego syna przez złych ludzi i wykrzywioną sprawiedliwość. Ciebie też niesprawiedliwość spotkała, a potem śmierć z ręki Niemca. Moje życie od tamtej chwili w strasznym swoim trudzie, tylko po cierniach i po różnych grzęzawiskach pobiegło. Ale syna naszego nie opuszczę i za moją przyczyną i staraniem stanie się on człowiekiem, który już ani tobie, ani mnie wstydu nie przyniesie. Po czym pocałowałam przez szybę twarz Franciszka, a sama, nie mogąc już dłużej łez powstrzymać, wybuchnęłam płaczem.

Ale czy to ja mogłam wyżalić się do syta, porozpaczać nad sobą? Wzrok mój skierował się na budzik tykający na szafce przy łóżku. Czas mijał nie zwracając zupełnie uwagi na moją osobę. Przecież już niedługo, najdalej za pół godziny będę musiała wyjść z domu, żeby u inżyniera Śledzia, którego żona wolne od pracy zarobkowej chwile poświęca na ulepszanie własnego rozumu, zająć się sprzątaniem mieszkania. Otarłam więc szybko niepotrzebne nikomu łzy, a portret ślubny powiesiłam na swoim miejscu.

Przychodzę tam, chcę sięgać w umówione miejsce, gdzie czekać miał na mnie klucz, ale klucza nie ma, a w zamian tego z mieszkania inżyniera głośny śpiew słychać i inne hałasy. Pukam, dla pewności wchodzę do środka, a tam bal na całego. Pięciu chłopów, a wszyscy pijani, krzyczą, ile się da, i tupią. Inżynier Śledź, zrzucając talerz z salcesonem na podłogę, robi mi miejsce przy stole i mówi:

— Koniec z małżeństwem, a wszystkie żony to barachło.

— Niekoniecznie tak musi być — odzywam się do niego w te słowa. — Kobieta kobiecie nie równa.

Śledź huknął pięścią w stół i powiada:

— Kobieta ma być przy garach, a nie jakieś tam fiu, fiu i tak dalej. Dobrze mówię?

— Słuszna racja, panie Śledź — zwracam się do niego — ja też takie posiadam zapatrywanie.

— No, to napijemy się — powiada Śledź — pani zawsze, chociaż już w latach, więcej mi się podobała niż żo-

na. — I krzyczy do tamtych: — Wódeczkę dla pani, tylko prędko!

Wypiłam jeden kieliszek, potem drugi i myślę sobie: Uciekaj stąd, kobieto, póki masz siłę w nogach. Oni już pijani, ty po dzisiejszych wydarzeniach prędko małpiego rozumu dostaniesz. Widzę też, że oni jak to pijane chłopy, nie tylko na dalsze picie mają chęć, ale i na co innego. Dom tam był nowoczesny, murowany, tylko ubikacje w nim po dawnemu, na podwórzu pod gruszą. Po dobrawoli stąd nie wyjdę, pomyślałam, trzeba kombinacją. Podnoszę się więc z krzesła jawnie, żeby wszyscy widzieli, i skierowuję się do drzwi.

— A dokąd to — woła Śledź. — Naszą wspólną żoną od dzisiaj zostajesz. Kwiatku nasz samotny na zielonej łące.

Jeszcze czego, myślę, jeszcze tylko tego mi brakowało, żeby ze smarkaczami mieć taką sprawę. I mówię do Śledzia:

— Przecież jasną jest rzeczą, że trzeba tu trochę ogarnąć, zanim pańska żona powróci z Warszawy.

— Siadaj — mówi Śledź. — I nie będzie już żadnej żony. Koniec.

— Panie Śledź — mówię, a śmiać mi się chce, że taki śmiały zrobił się po wódce — nerki mam słabe. Jak tylko trochę wypiję napoju alkoholowego, od razu muszę na stronę. Zaraz wrócę.

Znalazłam się na ulicy, przeszłam parę kroków i mówię do siebie: Smoliwąsowa, odwal ty dzisiaj siostry Burakowskie. Przecież one nawet nie wiedzą, na jakim świecie żyją, jaki jest dzień i jaka godzina.

Roboty tam miałam również niewiele, trochę zmywania, trochę kurzu zetrzeć, jeden dywanik i dwa stare chodniki wytrzepać, a w końcu podłogę ścierką przejechać. Siostry Burakowskie nawet mnie nie spytały, dlaczego przyszłam do nich dwa dni wcześniej, a nie według ustalonego terminu. Głaskając kota, który był tłusty jak dobra świnia, siedziały obok siebie w fotelach i robiły na drutach. Oba fotele też już były stare i wyłaziła z nich sierść, jak z parchatego zwierza.

— Pani Smoliwąs — odezwała się ta, na którą mówio-

no Zuzia — niech pani postara się szybko uwinąć, mamy na dzisiaj bardzo ciekawe wspomnienie.

A ta, na którą wołano Dusia, odezwała się w takie słowa: — Jeszcze jakie, zobaczy pani.

Ja też mam wspomnienie, pomyślałam, takie, że by wam oko zbielało.

Uwinęłam się szybko w kuchence, nanosiłam im do blaszanego kotła na bieliznę wody na zapas, wytrzepałam, co miałam wytrzepać, i starłam podłogi. Potem zaparzyłam herbaty, nalałam do szklanek i zaniosłam do pokoju.

— No to więc jak — odzywa się ta starsza, Zuzia — zacznijmy, Dusiu, od tego, jak pan Hipolit przyjechał do nas i grał z tatusiem naszym w karty.

— Nie, Zuziu — powiada Dusia — przecież jak pan Hipolit przyjechał, to rano udał się z tatusiem na polowanie do lasu.

— Jestem starsza, Dusiu, więc chyba więcej muszę pamiętać. Najpierw pan Hipolit grał z tatusiem w karty, a dopiero w dniu następnym odbyło się polowanie.

— Jak nie chcesz — powiedziała Dusia — to mogę nic nie mówić, ani jednego słowa nie wypowiedzieć. Ty zawsze, na każdym kroku przeszkodę mi pod nogi rzucasz.

— Ojej, Dusiu — powiedziała Zuzia — to przecież żaden powód ani przyczyna do obrazy. Opowiadaj, jak tylko sobie zapragniesz. My z panią Smoliwąs posłuchamy.

— Więc było tak — odzywa się Dusia. — Pan Hipolit mówi: „Panno Dusiu, pani jest jak ta piękna róża, jak ten przepiękny kwiateczek, który zaraz do rączek paninych podam."

— Ojej, Dusiu — głośnym swym śmiechem wybuchnęła Zuzia — upraszam cię, abyś nie kończyła, takie to śmieszne.

— Ale przecież skąd pani Smoliwąs ma wiedzieć, że panu Hipolitowi rozerwały się spodnie?

— I tak trzasnęło — odezwała się Zuzia. — Ojej, jakie to okropnie śmieszne.

— Więc jak pan Hipolit — powiedziała Dusia — schylił się, żeby zerwać kwiatek i mnie jako damie swojego serca doręczyć, trzasnęło coś. Pan Hipolit poczerwieniał wtedy całkowicie na twarzy i mówi: „Proszę mi wyba-

czyć, że się oddalę, ale w mojej garderobie zaszły poważne zmiany."

— Dusiu, przecież pan Hipolit był bez żadnej pozostałości zakochany we mnie.

— Zuziu, czy ty już nic nie pamiętasz? Mam to przecież w pamięci, jakby to było najdalej wczoraj.

Nie mogłam już dłużej słuchać tych głupot. Wstałam więc i mówię:

— Panie mi wybaczą, ale ze względu na bardzo poważne obowiązki domowe muszę się już z paniusiami pożegnać. A mianowicie przygotowuję syna do wyjazdu. Będzie chodził do szkoły, do technikum dla mechaników w innym mieście, daleko stąd.

— Podróże — powiedziała Zuzia. — Pamiętasz, Dusiu, zagraniczne miasto Paryż?

Opowiadam to wszystko panu po to, aby pan zobaczył z większą dokładnością to moje porozrywane na kawałki życie. Ciągle ktoś, jakaś inna sprawa i sytuacja i tylko na siebie samą nie ma czasu. Ledwie dzień się jeden zacznie, już zaraz przemija, już znika, tak szybko, że w sto koni go nie dogonisz. Po nim przychodzi następny i jeszcze następny, a wszystkie podobne do siebie jak żyto w polu. A człowiek musi mieć trochę radości, trochę się rozerwać, nawet w najsmutniejszym życiu. Nię powiem, w pracy na zakładzie było czasem wesoło, mówiłyśmy sobie z kobietami o różnych rzeczach, raz śmiesznych, a raz smutnych. Zapominałam wtedy, co mnie gnębi, jaki mnie mól od środka gryzie. Ale robota na fabryce się kończyła i trzeba było wracać do domu albo od razu iść do innej roboty u obcych dla mnie ludzi. Co to jest, pytałam nieraz siebie, czy ta harówka nigdy się nie skończy? Czy to już tak zawsze musi być, żeby dnia zwykłego nie było dla siebie? Ale zaraz uciszałam żal, gorycz zapiekłą wyrzucałam z siebie. Tak to już pewnie jest, że kiedy inni mają przyjemność i rozrywkę, ja mam tylko obowiązek i pracę.

Tamten dzień, kiedy Januszka do domu wychowawczego odwiozłam, a potem byłam u inżyniera Śledzia i sióstr Burakowskich, był najgorszy. Zagadały mnie, zapomnia-

łam trochę o mojej sprawie. Ale kiedy do domu wróciłam, kiedy usłyszałam tą ciszę, co się po mieszkaniu włóczy, dopiero wtedy zrozumiałam na dobre, że Januszka w tym domu nie ma i co najmniej przez dłuższy czas nie będzie. W pierwszej chwili odczułam wielką złość na niego, straszny żal do własnego syna. Jak można tak pozostawić matkę, gdy się jest już w wieku zdatnym do pomocy rodzinie. Ale przecież to głupie jeszcze, tylko hardość gówniarską ma w sobie i nic więcej. Jak więc zatem go winić, swój żal na niego obrócić? Gdyby nie było złych ludzi, którzy całą swoją radość mają w tym tylko, jak by dla własnej przyjemności z innych zrobić wariatów albo swoje sługi, Januszka los ułożyłby się inaczej i moje życie również.

Ten pierwszy tydzień, który przeminął od jego wyjazdu, wydawał mi się dłuższy niż dziesięć innych tygodni. Ciągle przecież widziałam jego łóżko, jego rzeczy, różne drobiazgi, których używał będąc w domu. Na dnie szafy znalazłam nawet futbol, który mu kiedyś kupiłam, i myśląc o tamtych sprawach, o mojej głupiej miłości ze Zdzisiem, nie posiadającej już teraz żadnego znaczenia, popłakałam sobie. Ale cóż płacz, co on odmieni, nie cofnie przecież dni, które uleciały. Oczy są później czerwone, głowa boli, a człowiekowi spać się tylko chce albo przytulić do byle kogo.

Postanowiłam więc zapomnieć o żalu. A skoro sama już jestem, pomyślałam, skoro syn mój będzie na utrzymaniu państwowym i na państwowym opierunku, to po co mi tak harować, po co mi ciułać grosz do grosza? Trochę zapasu, tych kilkanaście tysięcy, już jest, więc póki co, na wypadek jakiegoś nieszczęścia wystarczy. Ale zaraz do mnie myśl doszła inna. A dlaczego to Januszek, kiedy już wejdzie w lata, ma nie mieszkać jak człowiek w blokach, w mieszkaniu z łazienką, z widokiem na świat z wysokiego piętra. Słyszałam przecież na zakładzie, że zwykłych robotników też tam przyjmują, że ten i ów zapisał się już do spółdzielni „Mazowszanka". Czy ja więc jestem gorsza, czy mnie się jako człowiekowi pracy lepsze mieszkanie nie należy? Czekać mogę, każdy przecież na coś czeka, jeden na cud, drugi na to, że mu ktoś piwo u Jeżewskiej postawi, a jeszcze inny,

że żona mu się odmieni i że zamiast tłustej i wrzeszczącej o byle co małpy będzie miał w domu piękną królewnę.

Mając już takie postanowienie długo nie kładłam się spać, chodząc po całym mieszkaniu nerwowym krokiem. Jeżeli więc tak, to trzeba zadbać o moją pracę pozaetatową jeszcze bardziej niż do tej pory. A tu, masz ci los, inżynier Śledź się wycofał, więc jeszcze jedno dobre miejsce, jeżeli policzyć Żurków, mi się wymyka. Ale niepotrzebnie się martwiłam, niepotrzebnie inżyniera przeznaczyłam na straty. Nie minęło trzy dni, kiedy sam przyszedł do mnie z dużym bukietem kwiatów.

— Bardzo panią przepraszam, pani Smoliwąs — tak mi zagaił — za moje zachowanie przy wódce. Bardzo też proszę, żeby żona nie dowiedziała się, jakich to słów używałem w pani obecności. Zwykła małżeńska sprzeczka nastąpiła między nami, teraz znów wszystko wróciło do swojej normy.

— Ale, panie Śledź — odrzekłam mu — ja już żadnego słowa z tamtego dnia nie pamiętam. Tyle ma przecież człowiek zmartwień na własnej głowie. A jak nic nie pamiętam, to jak mogę mieć rozmowę z pana żoną? Rozumiem, że w dalszym ciągu będę przychodzić do państwa względem porządków w mieszkaniu.

— Pani Smoliwąs — wypowiedział się inżynier — ja bym chciał nawet, żeby pani przyszła w dniu jutrzejszym. Wielki bałagan pozostał po tym piciu, co go powinno wcale nie być, a żona powiedziała, że w takim stanie do mego domu nie powróci.

— Nie ma tu żadnej sprawy — odrzekłam — jutro akurat mogę. — I dodałam: — Jeżeli nie będzie to państwu sprawiać większej różnicy, mogę przychodzić w godzinie przedpołudniowej, bowiem teraz pracuję na zmiany.

— Jak ma pani takie życzenie — powiedział inżynier Śledź — i takie osobiste warunki, to my nic naprzeciwko tego nie mamy. Żona zwolniła się z biura, bowiem spodziewamy się dziecka, więc i tak, gdyż nie jest najlepszego zdrowia, będzie przebywać w domu.

A kiedy poszedł, wręczając mi piękne goździki, pomyślałam sobie: Czego ja tak naprawdę chcę od mojego Ja-

nuszka, który chociaż już z męską potrzebą, jest małoletni i jako taki ma małoletni rozum? A ten przecież wszystkie szkoły ukończył, na inżyniera się wyuczył, a sprytnej babie, której dwie lewe ręce wyrosły, daje się jak dziecko za nos prowadzić i jeszcze własną winę odczuwa, że jest gorzej w jego domu, niż być powinno. Januszek chyba na takie coś w przyszłych swoich latach sobie nie pozwoli. Bobym się ze wstydu spaliła.

Nie minęło parę dni, a udałam się do „Mazowszanki" w sprawie zapisu na mieszkanie. W tamtej chwili, gdyby to miało Januszkowi szczęście przynieść, gotowa byłam nawet w klatce z samego szkła zamieszkać, bez jednego choćby drzewka w najbliższej okolicy. A zresztą, czy ja tam muszę mieszkać? Nie wystarczy, jak tam zamieszka Januszek, a ja tylko czasem przyjdę do niego, kiedy będę chciała wykąpać się w wannie albo za przeproszeniem w ubikacji ciepłej posiedzieć? Tak będzie chyba najlepiej, bez żadnej krępacji dla nikogo. Ja jestem starszej daty, muszę mieć większe rozpostarcie i prawdziwą ziemię czuć, a nie kamienie i beton pod własnymi nogami. Z tą myślą przyszłam do biura spółdzielni, gdzie taką uzyskałam informację, że zapisać się, owszem, można, nikt tego nie zabroni, lecz czekać trzeba dosyć długo na mieszkanie, nawet do dziesięciu lat. Albowiem trudno jest nadążyć za potrzebą narodu, którego jest do mieszkań za dużo.

— Przez dziesięć lat — odrzekłam — to chyba jeszcze na rajską łąkę owieczek Panu Bogu liczyć nie pójdę. Mogę więc poczekać bez większego pośpiechu.

— Jeżeli tak się sprawa przedstawia i jeżeli pani posiada aktualny meldunek miejscowy — powiedziała urzędniczka — to proszę wypełnić odnośne papiery, a my wystawimy pani książeczkę mieszkaniową.

Papiery wypisała mi Karolakowa. Miała lepszy charakter pisma i w czytaniu też szło jej nie najgorzej. Na początku myślałam, że nie będę się do niej wcale odzywać. Ale później mi przeszło, trudno przecież, jak się już człowieka widzi parę razy na dzień, ust do niego nie otworzyć. Zresztą do kogo niby miałam gadać, do ścian,

do tych paru wygniłych słupków, które się z płotu zostały? Wolałam więc już pogadać z Karolakową. Wredna nie była, miała tylko wścibskie usposobienie i lubiła ważną osobę odgrywać, co wszystko wie najlepiej.

Powiedziałam jej więc, że papiery mam bardzo ważne w sprawie zamieszkania w spółdzielni, a w robocie akurat okulary mi się stłukły.

— My też — odrzekła Karolakowa — na mieszkanie oczekujemy i, jak dobrze pójdzie, za kilka lat mąż otrzyma przydział fabryczny. Ja takie coś sama już wypełniałam, więc co mi szkodzi udzielić pani pomocy.

Długo żeśmy potem rozmawiały o codziennym ludzkim życiu i jego najróżniejszych zdarzeniach. Nie powinno się do drugiego człowieka zbyt długo chować urazy, nawet jeżeli ten był przedtem trochę przykry i nieprzyjemny. Karolakowie też nie mają słodkiego życia, też im z trudem wszystko, co lepsze, przychodzi.

Przy takich sprawach przeminął mi wrzesień, a później połowa października. Od paru lat nie miałam już tego, co dawniej, kłopotu z węglem. Na każdego, kto w fabryce pracował, wypadał przydział opału na zimę w pierwszym gatunku. Nie musiałam już więc furmanom do ręki przemawiać, bo co miałam dostać, to dostałam.

Październik był słoneczny i pełen pozłocistych kolorów. Byłam już na widzeniu u Januszka i całą mu kurę upieczoną zawiozłam. Zostawiłam mu też na ręce wychowawcy parę złotych na najpotrzebniejsze wydatki, na zeszyty i pomoce naukowe. Nie rozmawialiśmy za dużo, bo jaki może mieć temat matka z synem, jeżeli już dłuższy czas wspólnego życia nie prowadzą? Pytałam tylko, jak mu się tutaj powodzi i czy ma opiekę zapewnioną. Dom wychowawczy, nawet najlepszy, nie jest, rzecz jasna, domem własnym i trudno w nim tych samych wygód szukać co u matki.

— Januszku — zwróciłam się na koniec do syna — powiedz mi jeszcze, czego ci tutaj potrzeba? Jakie masz specjalne życzenie do swojej matki? Jestem przecież po to, żeby ci pomagać w osiągnięciu uczciwego życia.

— Nie potrzeba mi nic — odpowiedział Januszek. — A życzenie mam takie: Przestań tyle gadać.

Ale kurę zjadł. Zabrał się do niej jeszcze przy mnie,

na tej sali specjalnej do widzeń, gdzie dużo takich matek jak ja siedziało i paru ojców, oczy na swoje dzieci wypatrując. Patrzałam więc, jak je, jak zdrowymi zębami białe kurze mięso na kawałki rozrywa. Jeszcze zmiękniesz, myślałam, jeszcze swoją hardość zostawisz jak zdarte, niepotrzebne już buty. Jeszcze nauczysz się ludzkiego języka używać do swojej matki. Dla innych bądź sobie hardy i swoje zdanie wykazuj. Ale do mnie, myślałam, odzywać się trzeba inaczej, bo ja ci, synu, niczego złego nie życzę.

Z wychowawcą też rozmawiałam. To nie był ten młody człowiek, który nas tutaj zapisał, tylko inny, w trochę starszym wieku i do tego znaczny, bo z brodą, nazwiskiem Krzemiński. Do niego już miałam się zwracać w każdej sprawie odnośnie mojego syna. Kiedy więc zapytałam o dobre sprawowanie Januszka, powiedział mi takie słowa:

— Jeszcze ciągle głupota z niego jak smród wyłazi. Ale mam taką nadzieję, że się przyuczy do pożycia w społecznym gronie. Co do nauki fachu i postępów w szkole, trudno coś mówić. Minęło dopiero parę tygodni.

— A jakiego to fachu — spytałam — mój syn się tutaj wyuczy? Czy będzie to dla niego z pożytkiem na dalsze życie?

— Ślusarstwa — odrzekł wychowawca — ale może być introligatorstwo albo roboty hydrauliczne.

Introligatorstwo, pomyślałam, co to takiego jest? Roboty hydrauliczne też nie najlepsze. Rury przepychać, mazać się w ludzkim gównie to nie dla Januszka. Po co mu taka śmierdząca praca? I powiedziałam:

— To już lepiej niech będzie ślusarstwo. A pieniądze niech mu pan wydziela oszczędnie. Bo jeszcze zacznie palić albo i co gorszego robić.

Do domu wróciłam z nerwami spokojniejszymi. Opiekę syn mój ma, myśli się poważnie o jego przyszłości. Dają nawet za dobre sprawowanie i odpowiednią naukę przepustki na przyjazd do rodzinnego domu. Więc jest nadzieja, że na Boże Narodzenie Januszek spędzi ze mną święta.

Uspokojona, poświęciłam się mojej codziennej pracy. A mając już przed sobą cel i wyraźne plany na przy-

szłość, mogłam pracować z pełną swoją wydajnością i wysiłkiem. Skończyły się już dni słoneczne, nadeszła pora deszczowa, coraz zimniejsza. I tak to, myślałam, jeszcze jeden rok mija, jeszcze jeden rok przybliża człowieka do śmierci. Nie pora mi była wtedy o tym myśleć, ponieważ ciągle byłam kobietą na siłach i dopiero pierwszą lekką opuchliznę zobaczyłam na nogach i żylaki pod kolanami i na lewym udzie. Ale zawsze przy jesieni, kiedy wszędzie za człowiekiem wciska się mokry ziąb i dreszcze, kaszle różne i gorączkę sprowadza, trzyma się mnie myśl o śmierci jak rzep kapoty. Takie życie, jakie miałam wtedy, chociaż teraz też mam niewiele lepsze, wśród dni podobnych do siebie jak wróble, przemija nie wiadomo kiedy.

Tamta jesień podobna była do tej, którą mamy teraz, a może jeszcze brzydsza. Wstawałam po ciemku, spać się kładłam po ciemku, nie to, co latem, kiedy już od świtu człowiek radość w sobie odczuwa. Wieczorami lubiłam pod kuchnią napalić, żeby żar buchał od czerwonej blachy. Przed zaśnięciem siadałam w pobliżu i słuchając, jak gada ogień, przypominałam sobie moją najwcześniejszą młodość. Gdzie tamte lata, kto mi je teraz przywróci? A czy można w ogóle czegoś takiego zapragnąć? Człowiek powinien iść dalej i dalej, nie oglądając się za siebie. Ale która samotna kobieta i matka to zrozumie, która nie cofnie się myślą do swoich lat najpiękniejszych, kiedy jeszcze nie miała chomąta na szyi, i nie zapragnie pomyśleć, czemu to dla swych dzieci lepszego gniazda nie uwiła a tylko takie, gdzie bieda robotę pogania?

W jeden taki wieczór, kiedy wróciłam z drugiej zmiany do domu i chciałam trochę wytchnąć przy ogniu przed zaśnięciem, usłyszałam jakby ciche pukanie do drzwi. Pomyślałam, że to pewnie u Karolaków ktoś tłucze się za ścianą, więc nadal nie ruszałam się od ognia, słuchając jego szmerów i trzasków. Ale teraz zapukało coś do okna, znacznie mocniej i głośniej. Któż, u diabła, myślałam, o tej porze nocnej, pełnej zimnego wiatru i deszczu, może mnie odwiedzać? Czyżby Owocny? Bo gdyby to on, to przekona się zaraz, że w nocy nie szuka się towarzystwa. Zerkam przez okno, nic nie widzę. Idę więc do drzwi i trochę z duszą na ramieniu je otwieram. Patrzę,

a w drzwiach stoi mój Januszek w całej swojej okazałości, tylko że bez wierzchniego przyodziewku i bez czapki. Stoi i trzęsie się z zimna, jak psie gówno na mrozie. Co cię tu do mnie przygnało, myślę sobie, ty mój jasny sokole? I łapię go za kark, i wciągam szybko do światła i ciepła.

— Z jakiej to przyczyny — pytam — oglądają cię moje smutne matczyne oczy? Wyjaw mi tą tajemnicę, dlaczego na przykład jesteś tutaj, a nie w wychowawczym domu?

— Stęskniłem się — odpowiada Januszek — i mamusię też bardzo chciałem zobaczyć.

— Bardzo mi przyjemnie, synu — mówię — że tęsknota cię tu przyprowadza, ale powiedz mi tylko taką rzecz. Czemu to przybyłeś w dzień powszedni i czemu bez palta i czapki, czyżbyś przepustkę taką ekstra dostał i ani chwili czasu, żeby się ogarnąć?

— Nie tak, mamo — słyszę wypowiedź syna — tylko zrywę dałem, znerwiło mnie tam siedzieć i siedzieć.

— Ale tym razem, synu — mówię — ty sam prawo naruszyłeś bez niczyjego wspomagania i wsparcia. Tym razem to już jedynie twój własny tyłek ucierpi od urzędowej ręki.

— Widzę — powiada słowem gorzkim Januszek — że ci żadnej radości swoim przybyciem nie przyniosłem, że w gadanego tylko się ze mną bawisz. Odejdę więc już lepiej z domu rodzicielskiego, od rodzonej matki.

— Radość odczuwam, synu, ale nie taką, jaką odczuwać powinna matka oglądając syna przybywającego z długiej podróży, bowiem zobaczyłam jutrzejszy dzień, a w nim nowe zmartwienie i kłopoty. Siadaj już. Zaraz ci jeść podam i wody zagrzeję do umycia.

— Ale nie pojadę już tam — odzywa się Januszek — prędzej mnie mentownia zatłucze.

— Z milicją — mówię — to ty lepiej rozmowy dłuższej nie szukaj. Wystarczy tego, co już jest. Kratę, synu, zobaczyć łatwo, ale słonko znów ujrzeć to sprawa trudniejsza. Co do reszty, rozejrzymy się jutro.

Większą część nocy przewracałam się z boku na bok, myśląc, co to będzie rano i jakie jest lepsze wyjście z danej sytuacji. Zostawić go tutaj, schować przed ludzkimi

oczami? Tylko jaki to pożytek mogłoby przynieść jemu i mnie? Jutro od rana telefony na milicji zaczną dzwonić z zapytaniem: Czy taki to a taki, nazwiskiem Janusz Smoliwąs, przebywa w domu? A może już dzwoniły lub teraz dzwonią, w nocy? A po drugie, jak tu ukryć człowieka, który jest żyjący? Wyjdzie za potrzebą do ustępu, a już go okiem swoim Karolakowa ujrzy. A ledwie ujrzy, już ani minuty w domu nie usiedzi, tylko poleci do Jeżewskiej gębę strzępić. I zaraz, nim południowa godzina nadejdzie, cała ulica wiedzieć będzie, że Janusz na wolności jest nielegalnie. Rada jest tylko taka, zabrać to moje szczęście i zawieźć do wychowawczego domu i przeprosić, kogo potrzeba, za taki występek. Tylko najpierw muszę z rana skoczyć, jako że w tym tygodniu na drugiej zmianie jestem pracująca, i pierwszą kucharkę poprosić o zastępstwo, dopóki z wyjazdu nie powrócę.

Nakręciłam budzik na ranną godzinę i powoli zaczęłam zapadać w sen. Januszek spał już dawno, zasnął, ledwie głowę przyłożywszy do poduszki. Słyszałam jego oddech, nie był to oddech lekki, tylko cokolwiek zakatarzony. Boże mój, pomyślałam, żeby się jakieś przeziębienie do niego nie przyplątało albo jeszcze co gorsze, jak suchoty galopujące. Sięgnęłam ręką pod łóżko, wymacałam pod siennikiem nie umalowaną deskę i trzy razy zagiętym palcem to najgorsze podejrzenie odstukałam.

Nazajutrz już przed piątą rano, tak jak to pierwsza zmiana na stołówce robotę zaczynała, byłam na zakładzie. Zwróciłam się z moją prośbą do pierwszej kucharki, a ta, znając sytuację, po krótkim namyśleniu w sprawie własnych obowiązków domowych wyraziła zgodę. Nie czekając już dłużej, chociaż mi kobietki na stołówce zjedzenie posilnego śniadania zaproponowały, pobiegłam do domu.

Januszek jeszcze spał, wyglądając na całkiem zadowolonego z siebie. Chciałam go zbudzić, ale mi się żal syna zrobiło po takiej mordędze. Pomyślałam więc, niech sobie chłopaczyna jeszcze pośpi, a ja tymczasem gorące

śniadanie zrobię, żeby się posilił przed drogą. Ale parę minut po szóstej Januszek sam się obudził.

— Pośpij jeszcze, synu — powiedziałam — śniadanie nie gotowe, to po co bez potrzeby tłuc się po mieszkaniu.

— Wystarczy już tej kimy — odrzekł mój syn — życie mnie wyuczyło wczesnego wstawania.

Przy śniadaniu nie mówiliśmy wiele. Myślałam, że Januszek opowie mi, jak tam naprawdę w tym domu wychowawczym jest, ale on widać takiego zamiaru nie miał. Patrząc na niego zwróciłam uwagę na duży apetyt. Kolnęło mnie to jak igłą w serce. To znaczy, że on tam głoduje, że nie żywi się w dostatecznej ilości?

— Januszku — zapytałam — więc powiedz mi, kiedy, o jakiej porze dnia oddaliłeś się wczoraj od domu wychowawczego?

— Jeżeli się już o to rozchodzi — odpowiedział syn — to z rana.

— A czy od tamtej pory do wczorajszego wieczora jadłeś coś?

— Jakim sposobem miałem jeść, jak pieniędzy żadnych. Czy masz coś jeszcze do mojej osoby?

— W danej chwili nie.

Co to jest, pomyślałam, że matka przepojona miłością do syna, a syn miłością do matki, tak ze sobą sam na sam rozmawiają? Nie za często, co prawda, była do tej pory okazja, żeby ze sobą od serca pogadać. Raczej tylko polecenia mu, co i jak w domu zrobić, dawałam, a nie do otwarcia naszych serc dążyłam. Zresztą, kto miał czas na takie sprawy, które same z siebie powinny wynikać bez niepotrzebnego gadania? Ale czekałam, że syn mi powie kilka serdeczniejszych słów, albo chociaż o tym, jak mu się w domu wychowawczym żyje, jakich ma kolegów, czy dobrych, czy złych i czy jego wychowawca jest uprzejmym dla niego człowiekiem. Doczekać się jednak nie mogłam na wypowiedzenie choćby jednego takiego zdania. Zrobiło się już widno, blady ranek wstawał po deszczowej nocy. Nie było więc na co czekać i uwagi byle czym zaprzątać. Pora nam już była udać się na stację i wyruszyć w podróż. Czym prędzej to zrobimy, tym dla Januszka lepiej. Jego nowa jesionka pozostała w do-

mu wychowawczym, ale tu na miejscu była jeszcze kurtka, którą mógł od biedy założyć.

— Synu — zwróciłam się oględnie do niego — myślę, że najlepiej będzie, jeżeli udamy się z powrotem tam, skąd wczoraj uciekłeś.

Januszek zerwał się na równe nogi z krzesła, a w jego oczach straszna się złość ukazała.

— Nigdy! — krzyknął. — W życiu moim jedynym.

Starałam się być spokojna i głosu ani ręki na niego nie podnosić.

— Przecież to tylko dla twojego dobra — mówiłam — bo gdzie ty zdołasz się schronić, gdzie chcesz takie miejsce bezpieczne dla siebie znaleźć? Tylko patrzeć, jak zacznie cię szukać milicja. Co ty myślisz, że tam zapomną, darują ci tę ucieczkę?

— Na strychu mógłbym się schronić — powiada Januszek. — Z desek bym zbił kajutę, siana nanosił. Partyzanci przed gestapowcami też tak się chowali.

— Teraz już — mówię mu — nie ma partyzantki, czas póki co jest spokojny i nie ma potrzeby uciekać. Odsiedzisz swoją karę i wrócisz do ludzi ci bliskich i życia w całym narodzie.

— Powiedziałem, nigdy! — wykrzyknął Januszek. — A jest to słowo charakterne i odnośnie tego ostatnie.

No i masz ci los, pomyślałam, co więc teraz mi robić? Pobiec po Owocnego? A może spróbować jeszcze tak na ostro, bardziej stanowczym odezwaniem?

— Szkoda tego gadania — wołam — w tej chwili mi się ubieraj! Jak nie, to za kark wezmę jak szczeniaka i gdzie trzeba zaprowadzę.

To mówiąc zaczęłam zbliżać się do niego. Januszek cofnął się, jedną rękę oparł o stół, a w drugą nóż chwycił i ostrzem nakierował na mnie.

— Ani kroku dalej — powiedział zimnym głosem — bo z kosy tej zrobię użytek!

Zbladłam, stanęłam w miejscu jak wryta. I to ma być mój syn, moja pociecha na stare lata? To niby ja go tak wychowałam, że teraz stalowym narzędziem w życie własnej matki godzi? Boże, uczyń coś, niech w jednej chwili zajdzie tu zasadnicza odmiana, niech ten chłopiec, któ-

rego teraz z nożem w ręku widzę, będzie znów moim synem Januszkiem.

Podniosłam rękę, żeby z oczu ten okropny widok zetrzeć, a tu nagle głośne pukanie do drzwi się rozległo. Więc czyżby Bóg mnie posłuchał i archanioła Gabriela na poskromienie siły nieczystej przysłał? Podbiegłam do drzwi, chcę je otworzyć, patrzę, a one otwierają się same, jakby wicher nimi siepnął od środka. Przez chwilę tylko dziurę widzę otwartą na przestrzał bez żadnej osoby. Lęk mnie mrozi, słowa lepko w gardle jak flegma siedzą. Ale już sekunda jedna, druga i trzecia mija i w drzwiach, w których najprędzej ducha się spodziewałam zobaczyć, pojawia się wychowawca Januszka, Krzemiński.

— Przepraszam — mówi — ale w coś wdepnąłem. Wydaje mi się, że kot jest tego przyczyną.

I rzeczywiście. Z sionki do mieszkania smród taki ciągnie, aż w nosie kręci. A to cholera jedna, myślę, że też wcześniej smrodu nie poczułam z tego wrażenia. Wlazł zwierz w nocy do sionki, swoje zostawił, a teraz sobie znów na swobodzie za ptaszynami biega. Przetarłam szybko ścierką krzesło i podsunęłam wychowawcy.

— Proszę bardzo, pan siada — powiedziałam. — A za tego kota to bardzo przepraszam. To nie mój ani nie sąsiadki, tylko jakiś obcy przybłęda nocleg sobie u mnie znalazł.

— Nie szkodzi — odrzekł wychowawca — tak wdepnąć to jeszcze nie feler.

Spojrzałam na Januszka. Cofnął się w kąt, ale noża z ręki nie puszcza. Wychowawca też w tamtym kierunku się popatrzył i mówi:

— Widzę, że o czystość dbamy, paznokcie sobie czyścimy. Tylko czy aby ten nóż jak na higienę osobistą nie jest za duży?

— W sam raz — powiada Januszek i jeszcze bardziej w kąt się wciska.

— Połóż to, kolego, na stole — mówi wychowawca — i postaraj się być grzeczny.

A Januszek nic, Januszek nadal patrzy się dzikim wzrokiem i dyszy tak, że w całym mieszkaniu słychać.

— Trzeba więc — odzywa się wychowawca — inną

rozmowę tu zacząć — i lekkim krokiem zbliża się do niego.

Patrzę, co to będzie, a serce to mi tak wali, że mało klatki piersiowej nie rozerwie. Przecież Janusz go zaraz nożem uderzy, a potem co? Znów sądy i znowu wstyd, i tym razem to już chyba więzienie do końca życia. Wychowawca jest już o krok od Januszka, więc tylko patrzeć, jak krew się poleje, jak stal w bladym świetle jesiennym błyśnie. Chcę krzyknąć na syna, stanowczym słowem powstrzymać go od zbrodni. Ale widzę, że już się kotłuje, widzę, jak nóż łukiem leci w powietrzu i na podłogę spada, a w ślad za nożem leci mój Januszek i wali się na deski rozczapierzony jak żaba.

Wychowawca ubranie sobie poprawił i zwraca się do mnie:

— Proszę wybaczyć, że użyłem siły, ale tę sprawę musiałem załatwić szybko.

Nie wiem, czy podziękować mu, czy mieć pretensję? Januszka rozbroił, nóż mu zabierając, ale też i cisnął go na ziemię, jak nie człowieka, tylko worek. A to przecież mój syn, moja krew i nadzieja. Ale jak powiem ciężkie słowo, to mogę mu jeszcze zaszkodzić w jego opinii w wychowawczym domu. Do tego również on na mnie ten nóż uszykował, na własną matkę. Januszek tymczasem podniósł się, stanął na rozstawionych szeroko nogach i głową zaczął ruszać, jakby patrzył, czy ma ją jeszcze na swoim miejscu, czy nie ma. Zdenerwowanie mnie ogarnęło i ledwo mogłam odezwać się do wychowawcy:

— Niech pan wykonuje nadal swoje obowiązki służbowe.

Wtedy on zwraca się do Januszka:

— Nie stój jak cielę pośrodku obory, tylko szykuj się do wyjazdu. I zapamiętaj to sobie na zawsze. Jak sztuczki, to nie z moją osobą. Uciekać również nie doradzam. Jako zawodowy szybkobiegacz nie takich jak ty łapałem.

Dopiero teraz, patrząc, jak Januszek bez słowa zaczyna szykować się do podróży, zobaczyłam, że wychowawca przyniósł ze sobą wszystko, co syn mój zostawił wyruszając na ucieczkę. No i po co mu to było, pomyślałam, a co będzie teraz z karą? Czyżby się nowy sąd szykował?

— Przyjechałem po Janusza — powiedział wychowaw-

ca — jeszcze nie całkiem urzędowo. Pierwsza ucieczka nie jest zapisana i ja ją mam tylko we własnej pamięci. Za karę nie będzie następnego widzenia, a co do przepustki świątecznej, musi się na nią złożyć bardzo dobre zachowanie.

Syn był gotowy do drogi. Stał z czapką w ręku, ze spojrzeniem skierowanym na podłogę, gdzie jeszcze ciągle nóż leżał. Nie chciałam nawet myśleć o tym, co by było, gdyby wychowawca nie przyszedł, co by się stało, gdybym sama chciała Januszka rozbroić. Najporęczniej było pomyśleć, że to żart był tylko taki, chęć nastraszenia własnej matki i nic więcej.

— Synu — powiedziałam — widzisz, jak taka ucieczka popłaca, jaki to handel jest z tego? W niewygodzie jechałeś, kryjąc się pewnie przed konduktorskim okiem, narażając młode zdrowie na przeziębienie. A teraz znowu wracać musisz, czego nazwać inaczej nie mogę jak głupotą.

Janusz nagle jednym krokiem podsunął się do mnie i powiedział szeptem:

— Tylko ani słowa nikomu, że ja tu byłem i że on przyjechał po mnie.

I zaraz obydwaj poszli.

Złapałam się za głowę. Przecież mogłam im dać jakieś jedzenie na drogę albo chociaż jeszcze parę złotych dla Januszka. Ale teraz już nic z tego. Za późno.

Ze względu na nieobecność syna nie robiłam tamtej jesieni większych przygotowań do zimy. Ziemniaków kupiłam tylko metr, a nie dwa, jak wtedy, kiedy Januszka trzeba było wykarmić. Kapusty też już w beczce śledziówce, która miała rozmiar akurat na nas dwoje, nie ukisiłam, bo niby i po co mi taka robota, jak nie będzie miał kto tego jeść. Parę tylko główek świeżej kapusty złożyłam na przechowanie w piwnicy. Niech leży, może się przydać. Jesienią zresztą warzywo jest zawsze tańsze, a od przybytku jeszcze głowa nikogo nie rozbolała.

Przyszły pierwsze dni grudnia. A w grudniu po piętnastym, myślałam, nadejdzie już to widzenie, kiedy zobaczę Januszka. Nie wiem czemu, ale wydawało mi się, że

Janusz resztę kary odsiedzi w posłuszeństwie. Żaden człowiek przecież z własnej woli nie kręci na siebie bata. Chyba że na umyśle jest chory, a o takie coś syna swojego posądzać nie mogłam.

W początkach grudnia spadł duży śnieg i zaraz też topił się pod nogami. Ziemia nie była jeszcze zmarznięta, więc szybko zmieniała się w błoto, a zimny wiatr tę pogodę robił jeszcze gorszą. Wracałam od Gnatkowskich o dosyć wczesnej jeszcze, wieczorowej godzinie. Opatulona chustką, z wysoko podniesionym kołnierzem od palta, weszłam na stację, żeby kupić proszek w celu zrobienia małej przepierki w domu. Na stacji było bardzo przyjemnie i ciepło. Do tego ciepła garnęli się pijacy, a bufet stacyjny, w którym głośno dzwoniły kufle, od rana aż do wieczora rozbrzmiewał wesołą rozmową. Od dymu papierosianego było ciemno, pasażerowie oczekujący opóźnionego pociągu grzecznie stali pod ścianami, nie chcąc pijakom wchodzić za bardzo w oczy. Ale ja się pijaków nie bałam, bo w razie czego przecież to i ja mogłam dać komuś w łeb, ażby mu się cała Święta Rodzina i jeszcze paru mniejszych świętych w oczach pokazało.

Do kiosku była kolejka, stanęłam więc na swoim miejscu, korzystając z tego, że będę mogła trochę się ogrzać i odpocząć w darmowym cieple. Stałam chwilę spokojnie, dopóki ucho moje w rozgwarze nie usłyszało głosu dobrze mi znajomego. Może więc, pomyślałam, tę dzisiejszą przepierkę odłożyć, bo się z moim słuchem coś niedobrego dzieje? Ale jeśli tu już weszłam, to proszek przecież trzeba kupić. Prędzej czy później będzie mi potrzebny w gospodarstwie domowym. Ten głos znajomy ucichł, lecz potem usłyszałam go znowu w charakterze śmiechu. Nie, to nie mogły być przewidzenia, to musiała być prawda. Opuściłam kolejkę, prosząc o zatrzymanie miejsca, i udałam się w tamtym kierunku. Patrzę w stronę bufetu, gdzie za żelazną otwieraną na dzień kratą stały beczki. Koło beczek kręcą się pijacy, podnoszą kufle, wymachują rękami. Ale pomiędzy pijakami dostrzegłam znajomą mi bardzo osobę siedzącą na beczce, też z kuflem w ręku. Idę tam, ale lęk mnie nagle zatrzymuje w miejscu. Między ludźmi będącymi teraz na stacji mogą być osoby, którym Januszek jest również dobrze znajomy. Co

pomyślą, jeśli zobaczą go w tak młodym wieku siedzącego na beczce i pijącego piwo? Teraz może go nie widzą, a co innego nastąpi, jeżeli tam podejdę. Zatrzymałam się więc, stanęłam jak głupia, kroku ani wewte, ani wewte nie mogąca zrobić. Patrzę w lewo, nikogo znajomego nie ma, patrzę prosto, też tylko pijacy, a mój syn Januszek, widocznie matkę swą chcąc uradować, znowu kufel do ust młodocianych podnosi. Patrzę w prawo, i tu mnie muruje, tu lęk mnie przeszywa ostry jak zastrzyk. Z prawej strony, od wejścia na peron, wchodzi z młodszym kolegą milicjantem sierżant Owocny. Gdzie mi uciec, jak stoję na samym widoku, jak już bystre oko Owocnego na mnie spoczywa? Staram się go nie widzieć, staram się na suficie poczekalni czarne plamy i zacieki deszczowe rachować, ale od razu wiem, że nic z tego, że Owocny już mnie zobaczył i już podchodzi z takim zapytaniem:

— Dzień dobry, Gieniu! Czy to wybierasz się gdzieś za sprawą jakąś lub z obowiązkiem?

— Nigdzie nie jadę — mówię — proszek przyszłam kupić i tyle.

— Od kiedy to na środku poczekalni stoi kiosk — mówi Owocny — i od kiedy w takim miejscu handel odchodzi?

I zaraz patrzy się zawodowym spojrzeniem na bufet, czy wśród pijaków zamieszania nie ma. Zauważyłam, że drgnął jak myśliwy, kiedy zwierzynę nadzwyczajną zobaczy. Ale ja nic, ja ciągle bym chciała, żeby pomiędzy okiem Owocnego a moim Januszkiem zasłona spadła. Życie ludzkie to jednak nie czary. W tej samej chwili Owocny zwraca się do mnie takimi słowami:

— Syn twój, widzę, ci wyrósł, piwo jak stary pije. Jednakże zmuszony jestem sprawdzić, czy jest na urlopie z zakładu, czy też ma lewą przepustkę. — I mówi do swojego kolegi milicjanta: — Widzisz tego młodego na beczce? No, to skocz i zrób mu kontrol!

Ja ciągle milczę, ciągle nie wiem, jakiego słowa użyć. Ten milicjant w wieku znacznie młodszym od Owocnego podchodzi do beczki i Januszka potrąca w ramię. Januszek zeskakuje, nagle bykiem wali go w brzuch i daje dęba. Milicjant siada na posadzce, a czapka spada mu z głowy i leży obok. Mnie mój syn nie widzi, bo tylko

jedno ma pewnie w głowie: uciec na powietrze. Ale nic z tego, nie uda mu się wymknąć z poczekalni kolejowej, choć ludzie robią mu przejście. Jednym skokiem dopada go Owocny, podstawia nogę, a potem, takiego obalonego, mocnym chwytem podnosi z ziemi. Nie mija chwila, a Januszek już stoi z wykręconymi rękami. Głowę ma ostrzyżoną na krótko, oczy białe od złości. Ruszyć się ani pół kroku nie może, bo Owocnego ręce trzymają go mocno i pewnie. Chcę podejść, ale i mnie ciągle coś nogi pęta, ruszyć się z miejsca nie zezwala. Wtedy Owocny powiada:

— Ładnego żeś się, Gienia, gada dochowała. Milicjanta uderzyć, będąc do tego w stanie nietrzeźwym, to już jest bardzo duże przestępstwo.

Wtedy jakby mnie coś szarpnęło, jakby popchnęło z wielką siłą. Podbiegłam i syna, tak jak stał, nie mogący się ręką osłonić, w twarz uderzyłam. Januszek głowę uniósł, a w jego oczach łzy się ukazały.

— To i ty — mówi — to i moja rodzona matka razem z mentownią przeciwko swojemu własnemu synowi? Uderzyć matce wolno, nawet w twarz, ale nie przy frajerstwie.

Lecz ja już oprócz słów synowskich inny odgłos słyszę, całkiem jakbym w teatrze była albo na zebraniu. Ludzie otoczyli nas kołem i klaszczą w ręce: „To jest dopiero podejście — słyszę — tak powinno się wszystkich, po mordzie!"

Ach, wy, myślę, co wam do mnie i do mojego syna? To moja sprawa, mój frasunek i moje pieniądze.

— Cisza tam! Wy inżynierki za dychę. Ryje w szuflady schować i słuchać pana. Ja ci jeden z drugim, żłobie, poklaszczę, aż ci ręka uschnie, ja ci te ślipia powybałuszam, aż ci krwią podejdą!

W poczekalni zrobiło się cicho jak w kościele, ale ja chciałam dalej mówić, dalej wywalać to, co miałam na wątrobie i na języku.

— Dość! — powiedział Owocny. — Bez dania racji nie można człowiekowi ubliżać. Obywatelko Smoliwąs, pójdziecie z nami. Za takie coś może należeć się grzywna albo nawet kolegium.

Opamiętałam się. A bo to mało miałam w życiu wy-

datków, a bo to mało kłopotów? Po co więc brać na siebie nowy kłopot i zmartwienie? Popatrzyłam tylko za siebie, obejrzałam się na tych, którzy to przez całe życie cicho jak trusie po kątach siedzą, wychodząc tylko wtedy, kiedy już inna ręka czarną robotę za nich odwali. Wtedy to drą się, gębują, jakby to oni porządki robili, jakby to im należało się uznanie. Widziałam pośród nich kilka urzędniczek fabrycznych, panienek, co to wszystko potrafią i nic, jak również faktycznie dwóch inżynierków i paru urzędników z mojego zakładu. Ale nie bałam się nic, nie odczuwałam żadnego zagrożenia. Takich, co to papierki przenoszą z miejsca na miejsce, nie wiedząc nawet po co, wszędzie pełno, jak psich grzybów w lesie, ale kucharki, i to takiej, która na tych parę setek ludzi potrafi jedzenia nagotować, szukać trzeba ze świecą w ręku, a i to jeszcze nie wiadomo, czy się znajdzie.

Poszliśmy przez tunel. Z przodu Owocny mocnym uchwytem trzymający Januszka, z tyłu ja z drugim milicjantem. Tutaj też sporo przechodziło ludzi, a każdy oczy wytrzeszczał na taką procesję. Za tunelem, gdzie jedna droga prowadziła na Komendę, a druga dalej wiodła do miasta, Owocny zatrzymał się i zwrócił do mnie:

— Nic tu już po tobie, Gienka. Wyraziłem się tak tylko w takim celu, żebyś zahamowała ten głupi jęzor. Nawet i ubliżyć czasem można, ale jak funkcjonariusza nie ma obok. Tobie daruję. Starczy już tego, co ten twój marcepan narobił.

Popatrzyłam na Januszka ubranego w jakąś kurtkę z niewiadomego właściciela, na jego twarz, która miała bezmyślny i smutny wyraz, i cienką strużkę krwi od mojej ciętej ręki zakrzepniętą u nosa i pytam:

— A czy coś do jedzenia mogę mu przynieść?

— W zasadzie — odpowiedział Owocny — nie zezwala się aresztowanym na korzystanie z obcych źródeł wyżywienia. Janusz jest jednak młodociany i można go podciągnąć pod specjalne prawa. Tobie więc zezwalam. Ale uwiń się szybko, gdyż niebawem będę zdawał służbę.

Nie minęła godzina, jak znalazłam się na Komendzie. Owocny siedział w okienku dyżurnego, palił papierosa i czytał gazetę. Przed nim stały trzy telefony i leżały porozkładane papiery.

— Janusz teraz śpi — powiedział — więc nie wiem, czy go budzić, czy zostawić, tak jak jest.

— Tak jak jest — mówię — to się wyśpi, ale jedzenie przez ten czas wystygnie. Lepiej niech zje, a potem dopiero odpocznie.

— Zgoda — powiedział Owocny i zawołał do tamtego milicjanta, z którym był na stacji: — Świerczyński, obudź małego, niech przyjdzie na dyżurkę, bo matka dwojaki przyniosła.

— A jak mnie on znowu bykiem zaprawi — spytał Świerczyński — to co wtenczas?

— Rąk nie masz — powiedział Owocny — nie potrafisz gnojkowi przyłożyć? I nie podchodź tak blisko jak na stacji. Każdy cwaniak cię wtedy wykołuje.

A kiedy Świerczyński udał się do aresztu, umieszczonego w piwnicy budynku Komendy, Owocny zwrócił się do mnie:

— Nie chcę z tego faktu użytku robić. To nie Januszka wina, ale tamtych, co w niego piwo leli. Chciał dzieciak pokazać starym, co umie, więc i Świerczyński nogami się nakrył. Ucieczka jest mniej karana niż rozróba publiczna. A o tym ja jeszcze w papierach nie nadmieniłem. I myślę, jak by całkiem nie nadmieniać.

— Maniuś, zrób tak — odzywam się do niego — sam przecież mówisz, że to jeszcze dzieciak. Gówniarski rozum, więc gówniarski postępek.

— Wszystko zależy od Świerczyńskiego. Jeżeli w raporcie niczego nie uwidoczni, będzie cicho, sza.

Pomyślał chwilę.

— Wydaje mi się, Gienia, że powinnaś nas zaprosić do siebie. W domu łatwiej wszystko obgadać.

— Załatwione — odrzekłam — mnie samej właśnie coś takiego do głowy przyszło, tylko nie miałam śmiałości powiedzieć.

W tej samej chwili Świerczyński wprowadził mojego syna na dyżurkę. Januszek stanął pośrodku, spojrzenie miał skierowane na podłogę. Zobaczyłam, jaki jest jeszcze szczupły i jaką ma mizerną twarz w elektrycznym świetle. Świerczyński przy nim jak byk, trzech Januszków można by z niego wykroić. Choć byłam zła, choć nie powinnam tak myśleć jako matka, ogarnęła mnie

duma, że sobie tak łatwo ze Świerczyńskim poradził. Gdyby nie Owocny, to mogliby teraz Januszka w tych ciemnościach szukać, jak igły w stogu siana.

— Posil się — powiedziałam do syna — bo pewnie cały dzień albo i dłużej na łaskawym wikcie jesteś. Dodam tu jeszcze tylko to, że ja za ciebie w kryminale gnić nie będę. A całe życie siedzieć za kratą to nie jest przeznaczenie dla człowieka. Ja takich postępków, które polegają na tym, żeby stale uciekać i rzucać się na władzę, nie pochwalam i tu pomocy ode mnie nie dostaniesz.

A Januszek nic, Januszek dalej tak stoi, jakby kij połknął, i wzrok ma wpatrzony w podłogę.

— Gdyby zaszła taka potrzeba — mówię, słowa kierując do funkcjonariuszy milicji — to proszę po ojcowsku mu przyłożyć, bo widzę, że innego sposobu nie ma.

Po tych słowach szybko wyszłam z Komendy. Niedługo już sklepy zamykano, a ja musiałam jeszcze wódki kupić i czegoś ostrego na zakąskę.

Kiedy już jako tako wszystko przygotowałam, dopiero wtedy doszły we mnie do głosu nerwy. Niech mi ktoś powie, myślałam, czy jest gdzieś jeszcze taka matka z podobnym do mojego Januszkiem, który tylko bólu okrutnego dostarcza i niczego więcej. Przecież ja żyć wiecznie nie będę, moje kości też kiedyś legną w ziemi na zasłużony odpoczynek. A co wtedy taki rarytas zrobi, gdzie on drugą taką głupią znajdzie, która mu wszystko pod nos podsunie, pomyśli za niego i zrobi? Ciągle wydawało mi się, że on patrząc na mnie lepszego zrozumienia nabierze dla ciężkiej pracy i na niej oprze całe swoje późniejsze życie. Bo praca, chociaż czasem udręczy człowieka, daje mu przecież zadowolenie i pozwala byt mieć spokojny. A czegóż więcej potrzeba do szczęścia, jak nie spokoju i zadowolenia z siebie? Może kiedyś jeszcze to mój Januszek zrozumie, choć jego młode życie jest już zwichnięte. Wszystko przecież w końcu przemija, człowiek sam zapomina i ludzie zapominają. I można już wtedy zaczynać od nowa, nie oglądając się za siebie.

Na poczęstunek kupiłam litr wódki. Na dwóch chłopów, jeżeli im jeszcze trochę pomóc, wymiar akurat. Więcej nie chciałam, boby popili się, a z pijanym gorzej niż z dzieckiem. Grymasi, żale sobie dawne przypomina, wódki chce jeszcze, chociaż już każdą nogą w innym kierunku idzie. Jeść było co, a na dokładkę kupiłam słoik marynowanego śledzia i paczkę prawdziwej kawy. Teraz taka moda nastała, że wszyscy kawę żłopią, pomimo że wcale im nie smakuje i na co dzień apetytu na nią nie mają.

Zdenerwowana byłam trochę, bojąc się, czy Świerczyński przyjdzie. Ale skoro zjawił się, zdjął płaszcz i usiadł z Owocnym za stołem, wszystko biegło po mojej myśli.

Ledwie po kieliszku wypili, a ja kapustę na płycie do podgrzania postawiłam, żeby im z mięsem podać, dowiedziałam się, że Januszek moim jedzeniem wzgardził, talerze rozbijając o podłogę, więc dlatego mi ich przynieść nie mogli. Dowiedziałam się też, że po tym zajściu musieli mu trochę przylać i do usunięcia nieporządków zmusić.

Słuchałam, jak mi o tym mówią, i skóra mi coraz bardziej cierpła. Co się z nim stało, co zaszło w charakterze mojego syna? Szaleju się napił, myślałam, czyichś słów jadowitych usłuchał? I co to będzie za lat pięć czy dziesięć? Nic, tylko z domu uciekać i gdzieś w świecie się ukryć. Tylko gdzie ja ucieknę, jak nikogo bliższego od niego nie mam?

Moim gościom poczerwieniały gęby i wesołe słowa zaczęły latać w powietrzu. A mnie wcale nie do śmiechu, choć alkohol też mi ciało i rozum rozgrzewa.

No, myślę sobie, teraz to już Karolakowa na pewno z uchem przy ścianie figuruje. Ale co tam Karolakowa? Dla mnie najważniejszy Januszek. Świerczyński chyba już żalu ani urazy do niego mieć nie będzie. Zresztą, kto to wie? Nie wygląda mi na złego człowieka, ale pomylić się przecież można.

Nakładam im kapusty na talerze, podaję z mięsem i ze sporym kawałkiem zwykłej kiełbasy na gorąco i pytam:

— Panie Świerczyński, może panu jeszcze dołożyć? Proszę czuć się u mnie w domu jak u własnej matki.

— Dziękuję pani — mówi Świerczyński — i tak już fest podjadłem. Jak będę miał jeszcze życzenie na więcej, to pani powiem.

Milczymy chwilę, jedzeniem się zajmujemy. Owocny do kieliszków nalewa i odzywa się w te słowa:

— No to co, Świerczyński, chyba już za bardzo tego pamiętać nie będziesz?

— A co tu pamiętać? — mówi Świerczyński. — To nawet jest wstyd dla mężczyzny.

— Dziękuję panu — powiedziałam — że pan ma wyrozumiałość dla tego dzieciaka. Przecież to jeszcze nie swoim rozumem żyje, ale obcym podszeptem. Wypijmy za to, że pan jest taki uprzejmy i niepamiętliwy.

— Pani zdrowie — powiedział Świerczyński — co było, a nie jest, nie pisze się w rejestr.

Wódka już była wypita, więc podałam kawę. Wtedy Świerczyński nagle złapał temat.

— Sputniki teraz, proszę pani, różne latają. Patrzy się na niebo i myśli, że to gwiazdy tak ładnie świecą. A to są sputniki. A w sputniku radio albo nawet i człowiek.

— Daj spokój, Świerczyński — powiedział Owocny — pora już na nas. Kobieta musi odpocząć. My jutro mamy wolne, a ona do roboty.

Kiedy już się ubrali, powiedziałam cicho do Mariana:

— Maniuś, jakbyś miał życzenie pobyć dziś ze mną jeszcze sam na sam, to możesz.

— Nie minie pół godzinki, a jestem — odpowiedział Owocny.

Nadeszły święta. Z przyzwyczajenia, bo teraz, kiedy sama byłam, taki zakup był niepotrzebny, kupiłam choinkę. Zabawek było nawet za dużo. Dawniej, jak Januszek był mały, kleiłam z nim łańcuchy z kolorowego papieru, robiłam kogutki ze słomy. Do tego było pełno różnych gwiazd, bombek i szpiców szklanych. Dwie choinki też można by tym ubrać, nie tylko jedną.

Do Januszka pojechałam w parę dni po tym fakcie, co miał swoje miejsce na stacji kolejowej. Tak mi poradził Owocny, mówiąc, że lepiej trochę poczekać, aż się

sprawa ułoży i pierwsze nerwy przeminą. Nie wskórałam za dużo, ale przyrzeczono mi dać mu jeszcze szansę w domu wychowawczym. Na początku miał być przeniesiony do domu poprawczego, gdzie jest dużo gorzej dla młodego człowieka, dyscyplina panuje większa i większe daje się kary. Doszłam do samego dyrektora i z nim dłuższą rozmowę miałam. Powiedział mi, że Januszek między bandę starszych chłopców się dostał, rządzących całym zakładem. Mojemu synowi łobuzy wyznaczyły taki egzamin. Uciec i jakiś fant z miejsca swojego zamieszkania dostarczyć. Ponieważ dowiozła go do zakładu milicja, fant nie był już wymagany. Zresztą, co się okazało po rewizji z chwilą dostarczenia Januszka do zakładu, syn ukradł z Komendy bloczek do wypisywania mandatów. — Ale w obecnej chwili — powiedział mi dalej dyrektor — co większych przywódców tych łobuzów roze słano, gdzie trzeba, żeby zrobić z nich jeszcze ludzi. Ja nuszek znajdować się będzie pod ścisłą obserwacją i wobec niego zaostrzony zostanie stosunek dyrekcji. — Na czym to ma polegać, dyrektor mi nie opowiedział, a ja się nie dopytywałam, bowiem zauważyłam, że mu się spieszy. Zdążyłam jednak nadmienić, że syn mój na pewno jeszcze nie jest na tyle zepsuty, żeby położyć na nim krzyżyk. Gdyby nie napotkał złego towarzystwa, do dzisiaj byłby chłopcem usłuchanym i nie przynoszącym wstydu matce.

Z Januszkiem też rozmawiałam, ale to była taka rozmowa jak dziada z obrazem. Ja mówię, tłumaczę, upraszam, a Januszek nic, Januszek milczy, jakby miał szczęki na amen ściśnięte. Co miałam mu powiedzieć, to powiedziałam, ale przecież nie było to nic nowego, tylko stara prośba matczyna, żeby już więcej głupich myśli nie dopuszczał do siebie, bo szkodzą mu one wcale nie gorzej niż niedobrzy ludzie.

Przed świętami miałam trochę więcej roboty niż zwykle u mojej stałej klienteli. Nowych panów już nie szukałam, a niektórym nawet sama wymówienie dałam. Musiałam też zrezygnować z pracy u inżyniera Śledzia. Z niego samego był człowiek dobry i niemarudny, ale żona, pożal się Boże i popatrz, cóżeś Ty w duszę zaopatrzył, taka z niej była zołza. Z pracy się zwolniła z po-

wodu zdrowia naruszonego przez ciążę. Ale żeby jeździć do biura, to znów takie wielkie zdrowie potrzebne? Chyba więcej zdrowia wymaga leżenie po całych dniach w łóżku, czytanie książek, zjadanie czekolady i naszczywanie pełnego nocnika, czekając, aż go Smoliwąsowa wyniesie.

Żałowałam inżyniera, który łysiał i chudł w coraz większym tempie, ale co miałam zrobić, kiedy po każdym przyjściu do jego domu krew mnie zalewała, a nerwy mowę odbierały. Jak jest głupi, to niech sam męczy się z takim szczęściem, co tylko ma złość na twarzy i wieczne pretensje do ludzi.

Na nową kandydaturę długo nie musiałam czekać. Majster z odlewni, nazwiskiem Józef Jachimow, który zaczął karierę od zwykłego robotnika jeszcze za kapitalistycznych czasów, bardzo mnie grzecznie poprosił o pomoc w prowadzeniu gospodarstwa domowego, bo jego żona była bardzo chora na duszącą astmę. Dzieci miał już dorosłe, każde na własnym gospodarstwie, a przy dwojgu już nie takich młodych ludzi parę godzin w tygodniu to żaden obowiązek.

Oprócz niego miałam już tylko siostry Burakowskie i prezesa Gnatkowskiego. Więcej mi teraz nie było potrzeba. Do Gnatkowskiego przychodziłam dwa razy w tygodniu, do Jachimowa raz, a do sióstr Burakowskich raz na dwa tygodnie. Dawało mi to, licząc po dziesięć złotych za godzinę, siedemset złotych miesięcznie. W pracy dostawałam jako druga kucharka tysiąc osiemset złotych. Do tego węgiel i życie miałam fabryczne, więc pod nieobecność Januszka mało co do domu kupowałam. Nie miałam więc źle i gdyby z Januszkiem szło mi lepiej, nie musiałabym wcale narzekać. Nie to co dawniej, kiedy w robocie płacono mi dziewięćset złotych, a za trwające nieraz trzy albo i cztery dni duże pranie brało się nie więcej niż sto złotych.

Ale przed świętami, podobnie jak u Gnatkowskich, byłam u Jachimowów dwa razy w jednym tygodniu. Żona Jachimowa, tęga, z dużym trudem chodząca kobieta, nie mogła piec ciasta, bo ją od tego zapachu dusił kaszel.

Zrobiłam też wypieki świąteczne u sióstr Burakowskich. Żałowałam ich, że takie sieroty całkowicie nie wyuczone zwyczajnego życia. Trudno było zresztą coś wykręcić z tych rencin, które otrzymywały od państwa w zamian za odebrane duże majątki. Pomagał im trochę brat, który siedział w Londynie na dobrym stanowisku portiera w hotelu i słał stamtąd paczki. Dusia, młodsza, która była nieduża, tłusta i wesołego usposobienia, potrafiła jeszcze coś w domu zrobić, uprać, a nawet ciasto proszkowe lub na sodce zrobić, ale Zuzia, o parę lat od niej starsza, chuda i wysoka, jakby z innego była ojca, miała dwie lewe ręce, nadające się tylko do robót na drutach.

I Gnatkowscy, i Jachimowowie znali moją osobistą sytuację względem Januszka i od obydwu tych rodzin otrzymałam propozycję spędzenia razem Wigilii, żeby w samotności nie pozostawać w domu. Grzecznie im odmówiłam, bowiem wolałam sama pobyć ze swoimi zmartwieniami i powspominać, co dobre i co złe z mojego życia. U Gnatkowskich byłam jeszcze w samą Wigilię, więc się nawet opłatkiem podzieliłam z nią i z prezesem, który chociaż był partyjny, w taki dzień o Bogu nie zapomniał. A w ogóle to mu się chyba trochę gorzej wiodło, bo schudł i jakby mniejszą skłonność do kobiet wykazywał. Ze ściany w jego gabinecie zniknął gdzieś Gomułka, a na tym miejscu tylko portret Orła Białego się pojawił. Gnatkowska mówiła, że w pracy i partii ma kłopoty, że wytykają mu za duże spożycie alkoholu i brak w życiorysie wyższej szkoły. Pocieszałam ją, jak mogłam, mówiąc, że prezes, jako człowiek doświadczony życiem, z takich kłopotów wyjdzie i znowu humor odzyska.

Pożegnałam się z Gnatkowskimi i udałam do domu. Ściemniać się już zaczynało, prószył drobny śnieg, a ziemia ściągnięta była lekkim mrozem. Wszędzie, gdzie nie spojrzeć, paliły się światła, w wielu oknach widać było choinki i dzieciaków zwijających się koło drzewka, a z kominów walił w górę gęsty dym. Znaczy już kobiety do wieczerzy wigilijnej rękawy zakasały, tylko ja jeszcze jestem w drodze do pustego domu. Przyspieszyłam kroku, przecież tyle tam czeka roboty. Jeszcze te trochę ryby mam sobie usmażyć i wołowe na pieczeń do du-

chówki wstawić. Taki wieczór jak ten, myślałam, jest tylko jeden w roku i później już żaden nie jest do niego podobny. Nawet powietrze pachnie wtedy inaczej, zapachem dobrego jedzenia i świeżej choiny. Mężczyźni niosą paczki, będąc już trochę wstawionymi, a co młodsze kobiety, którym jeszcze uroda do życia jest potrzebna, głowy mają świeżo poondulowane i świeży manikiur na palcach. Przejdzie taka obok, to się zapach fryzjerski za nią ciągnie, aż w nosie kręci. Pijaków nie liczę, bo dla nich żaden Boży dzień nie istnieje, dla nich ważne jest tylko więcej wypić, niż głowy ich mogą wytrzymać. Ale przecież i oni zachowują się inaczej niż w zwykły dzień, mniej klną, czyściej i schludniej wyglądają. Mężczyźni idący razem z pracy pod domami ściskają się, całują, klepią po plecach. Potem nadchodzi wieczór, noc, mija dzień jeden i drugi, i już jest po świętach, już jest zwykła harówka i szare życie. Ale co by wart był człowiek, gdyby takiej okazji nie było, żeby uradować serce? Nawet i bydlątka przecież czują potrzebę święta, tej radości, która jednego dnia, o jednej porze wszystkich przenika.

Wpadłam do domu, pomyślałam chwilę i zabrałam się do roboty podług planu. Najpierw ogień pod blachą, potem w pokojowym piecu, potem przynieść wody i węgla w wystarczającej ilości. Kiedy to zrobiłam, mogłam już, czekając, aż się ogień na dobre rozbuzuje, ubierać choinkę. Wczoraj już ustroiłam ją w anielskie włosy, pozawieszałam ważniejsze zabawki, na dzisiaj pozostały mi tylko roboty wykończeniowe. Wyciągam z pudła łańcuch z fioletowych, żółtych i czerwonych papierków, przypominając sobie, jak to Januszek go kleił siedząc na czystej podłodze przy piecu, kiedy był jeszcze małoletnim chłopcem, i nagle słyszę pukanie do drzwi. Boże, pomyślałam, a może to cud się stał i dali mu w zakładzie przepustkę do domu? Odkładam na bok łańcuch, biegnę, otwieram. Ale nie, cudów nie ma nawet w wigilijny dzień. W progu stoi Owocny, gładko wygolony, trochę zalatujący alkoholem i w błyszczących butach, a w ręku trzyma kwiaty.

— Przyszedłem, Gieniuś — mówi — złożyć ci życzenia świąteczne, żebyś, broń Boże, nie pomyślała, że zapomniałem o tobie.

— Wejdź — odzywam się do niego — miło mi, że przyszedłeś.

— Ja tylko na chwilę. Wiesz przecież, rodzina, dom. Baba już dawno czeka z przygotowaną gębą.

— W taki dzień każda rodzina jest dobra, i z pyskatą babą, i ze słodkim aniołem.

— Życzę ci więc, Gienia, spełnienia pragnień i żeby Janusz się polepszył. — Tutaj popatrzył się na mnie łobuzowatym spojrzeniem. — A dla siebie — powiedział — życzenie mam następujące, byś była dla mnie taka dobra i sympatyczna jak za ostatnim razem.

— Tylko to ostatnie pamiętasz? — spytałam.

— Wszystko pamiętam i chciałbym jeszcze bardziej rozwinąć sobie pamięć w tym kierunku. A ty, czy na takie moje życzenie oddasz swój głos?

Wzięłam od niego kwiaty i mówię:

— Może i oddam, ale to nie taki dzień, żeby o tym mówić.

— Więc odbój mi dajesz, w siną dal odsyłasz?

— Wcale tak nie myślałam, Maniuś. Ale obecnie już idź, twój dom czeka na ciebie...

Poszedł. Uwinęłam się teraz szybko. Rybę usmażyłam, pieczeń w piecyku dochodzić mogła do swojej miękkości bez większej opieki, stół zasłałam, siana pod obrus nakładając, żeby wszystko było, jak się należy, jakbym nie tylko ja wieczerzać się zbierała, ale duża rodzina. Jeden talerz postawiłam więcej, na wypadek, jakby ktoś miał jeszcze nadejść, może człowiek, a może nawet Boski przedstawiciel na tej umęczonej przez wojny ziemi. Na koniec do reszty ustroiłam choinkę, trochę umyłam się, jako tako przebrałam i usiadłam do wieczerzy. Za oknem już noc, u Karolaków na dobre *Lulajże, Jezuniu* odchodzi, a ja tu sama, nawet opłatkiem nie mogę się z nikim przełamać.

Zapaliłam świece na choince, nastawiłam radio, wyłączyłam elektryczne światło. I od razu w tej półmrocznej ciemności przypomniał mi się mój dom rodzicielski w na-

szej biednej wsi, gdzie piach torfowiska poganiał. A już najbardziej to, jak z moim braciszkiem, Janem, małoletnim, jeszcze z koszuli nie wyrośniętym pędrakiem, wypatrywałam pierwszej gwiazdy, żeby pójść do obórki, posłuchać, jak bydlęta ludzkim głosem mówią. Dostało mi się wtedy od matki za to, że dzieciaka z nieobleczoną dupiną na mróz wyprowadzam i w gusła wierzę. W dzień wigilijny ojciec już od rana chodził ogolony, wódkę pił z umiarem, patrząc, żeby rozumu nie zaćmić, żeby Boskich przykazań swym zachowaniem nie przekroczyć. Na kolację matka podawała zacierkę na całkowitym mleku, kapustę postną, w której w połowie było grzybów, kluski z makiem, a na koniec biały kołacz i osłodzoną kawę. Ojciec pod wódkę miał dobrze wymoczonego śledzia, obłożonego cebulą i pokropionego octem, żeby od razu było widać, że to jest gospodarz, a nie byle kto. Matce ojciec wydzielał jedno dzwonko, to najlepsze, od głowy, a nam dostawało się trochę zalatującej śledziem cebuli, która smakowita była bardziej niż najlepszy nawet rarytas. Drzewko też było, a jakże, choć nie tak strojne, jak to teraz jest w modzie. A na drzewku trochę waty, trochę zabawek z kolorowego papieru i słomy. Po kolacji ojciec rozdawał prezenty. Dla matki ciepłą chustę albo ciepłe pończochy, albo coś innego w tym podobieństwie, dla mnie też często coś z ubrania, a dla Janka, dopókąd był mały, garść cukierków w błyszczących papierkach. A potem zaczynało się śpiewanie kolęd pięknymi głosami ojca i matki. W izbie było ciepło, piec taki napalony, że nie można dotknąć, w powietrzu pachnie leśnym zapachem choina, a nam, dzieciom, aż serca podskakują z tej słodkiej uciechy i oczekiwania, czy kolędnicy naszej zagrody nie ominą.

Wreszcie są, walą w drzwi chaty, nawołują to grubymi, to cienkimi głosami, rumor czynią, jakby z tysiąc luda waliło. Ojciec wystraszonego udaje, ręką za serce się chwyta i w takie słowa odzywa się do matki:

— A czym to, Marysiu, dzieci nasze nagrzeszyły? Kto tak do wrót się dobija? Siła nieczysta, diabeł czarny, a może nawet Tatar, pohaniec okropny?

— Olaboga — wołała matka — ojej, co teraz z naszymi dziećmi i z nami będzie?

A tu już w drzwi waliła się czereda. Herod i diabeł, anioł, śmierć z kosą i żołnierze, a nawet i osiołek usiasty, ogonem długim wywijający. I zaczynała się zabawa, skoki i biegi od kuchni do izby. Mały Janek biegiem w kąt, podle skrzyni i pieca pięknie obielanego, z palcem w buzi, ze strachem i ciekawością w rozbieganych ślipkach.

Gdzie tamte lata, pomyślałam, gdzie tamte przedwojenne czasy, biedne, ale pełne spokojności i do tego w żyjącej jeszcze rodzinie? Wszystko przemija, tylko pamięć pozostaje, a i ta przecież z biegiem lat z braku użycia usycha. Tak myślałam i tak wspominałam, siedząc sama w ten najważniejszy wieczór w roku. Niby jeden jeszcze człowiek to niewiele, ot, trochę jedzenia więcej, ale już samotności nie ma, już jest radość, że się dla kogoś święta szykuje, za upominkami po sklepach biega. U Karolaków kolędy huczały, radio też nie pozostawało w tyle, rozbrzmiewając pobożną muzyką.

Świece pachniały jak w kościele, coraz mocniejszy zapach bił od choiny. Przypomniała mi się teraz w kolejności moja pierwsza w tym domu Wigilia, kiedy to jeszcze Franuś był obecny pośród żyjących i żyła też jego matka, dobra i cicha kobieta z mocno już rozwiniętą płucną chorobą. Ojciec Franciszka nie żył już od lat przedwojennych, też go suchoty zabrały.

Były to święta jak na czas okupacyjny bogate, pełne dobrego jedzenia. Franuś przywiózł od moich ojców parę kilo rąbanki, a i ja też zdążyłam już w nowym miejscu trochę kur i królików uhodować. Nie żałowaliśmy sobie, bo po co skąpić, jeżeli człowiek nie jest pewien ani dnia, ani godziny. Teściowa mnie mocno chwaliła, mówiąc Franiowi, że takiej się dobrej żony dla syna nie spodziewała. Była już bardzo smutna i bardzo pozbawiona ciała od tej choroby, na którą żadnego ratunku w tamtych czasach znaleźć nie było można.

Ile to już śmierci, myślałam dalej, wokół mego życia się przewinęło, ile bólu się w nim zagnieździło na zawsze. Teraz to już tylko moja wypada kolej, choć jeszcze nie tak prędko. Odejdę kiedyś do mych najbliższych, którzy już pewnie wypatrują świeżych wiadomości ze swego kątka na ziemi.

Płakać mi się chciało od tych myśli krążących wokół mnie, jak czad krąży nieraz wokół zatkanego komina.

Tak myśląc, nie sądziłam już wcale, że ktoś do mnie zawita, ktoś propozycję uczyni, żeby samemu nie siedzieć. A tu zapukała do mnie Karolakowa, prosząc, czybym do nich nie zechciała przyjść posiedzieć razem przy takim święcie. Pomyślałam, dlaczego by nie, choć w pierwszym momencie, przy pierwszych słowach z jej ust, chciałam odmówić. Poszłam więc, a Karolak z uśmiechem na twarzy mnie wita, siadać przy stole każe, mówiąc takie słowa:

— Najświętsza Panienka dzisiaj porodziła syna, więc my też wypijmy za dobre sąsiedztwo.

— Słuszna racja, panie Karolak — mówię — ludziom niepotrzebna jest wrogość, tylko przyjazne i jednomyślne stosunki sąsiedzkie.

— W takim razie — powiedział Karolak — proszę jeść, pić i czuć się jak u siebie w domu.

Stół się u nich uginał pod dobrym jedzeniem i łakoci też było co niemiara. No cóż? Rządzą się dobrze, mądrze pieniędzmi gospodarują. Karolak pracuje w fabryce traktorów, zarabia widać nieźle, skoro im na taki dobrobyt starcza. Mieszkanko, chociaż jedne, zadbane jak rzadko, z pralką, z porządnym radiem, z ładnymi meblami. Znaczy, można przy odpowiedniej oszczędności i stateczności osobistej mieć w życiu osiągnięcia. Och, gdyby się u mnie wszystko lepiej potoczyło, czy ja bym miała powód do narzekań? Takim, co skomlą bez żadnego powodu, język powinien z miejsca schnąć na czarny rzemień. Bo i po co narzekać, jak jest co jeść, na kark się nie leje i wojny już dawno nie ma za progiem? Ale ludziom wciąż mało i mało, ludzie ciągle chcieliby mieć lepiej, niż mają. Już im nie starcza własne posiadanie, tylko oko kierują gdzie indziej, na takich, co to w majątki porastają szybciej, niż ciasto zaczynione urasta w dzieży. Już im się i własne taksówki śnią, i wyjazdy do zagranicznych krajów. Zaraz, wolnego, czy ty jeden z drugim znasz już na tyle własną, rodzinną stronę, że ci się już zagranicy zachciewa? Już ja bym takich ancymonów puściła, już ja bym

im pokazała, w którą stronę się jeździ. Mnie wystarczy to, co posiadam i sobie w przyszłości dokupię. Karolakom też taka wielkopańska potrzeba jest obca. A gdzie zresztą Karolakowi do wyjazdów, jak on nawet urlopy spędza w domu, wynajmując się wtedy u badylarzy do roboty. Popatrzyłam na niego, jak siedział za stołem, niski, ale pleczasty, z twarzą spokojną i uroczystą, jak przystało na takie święto. Ciągle jedliśmy, jakoś mi dzisiaj u obcych bardzo jedzenie smakowało. Karolak popatrzył się na mnie, z uśmiechem spojrzał na żonę i powiedział:

— Mieszkanie w blokach mamy już całkowicie zapłacone. Niepotrzebna nam teraz żadna łaska, żeby lokal od rady narodowej albo podobną drogą otrzymać. Tylko czekać spokojnie i nic więcej, a lata mijają, nie wiadomo kiedy. Za parę miesięcy telewizor się kupi, żeby była uciecha w domu i większa kultura. Co, niby Karolak ma być gorszy? Taki sam jest jak inni, chociaż rękami pracuje. A już jak na nowym będziemy, jak się kupi to, co do nowego potrzeba, wtedy się powoli zacznie wpłacać na mieszkania dla dzieciaków. Jak dojdą do lat, jak będą chciały iść na własne, wtedy akurat mieszkanko będzie czekało. I tak to człowiek doczeka emerytury i będzie miał to zadowolenie, że życia nie utracił, nie zmarnował bez pożytku. Wtedy i starość będzie łatwiejsza, i uważanie u własnych dzieci.

Toż on, pomyślałam, moje własne myśli z mojej głowy wyjmuje. Przecież ja właśnie takie miałam marzenia i tęsknoty nocami, kiedy sen do mnie nie przychodził, tylko strach i lęk o przyszłość wgryzał się w duszę. Toż to ja, myśląc o spokojnej starości, takie widziałam spełnienie moich starań i pracy. A tu ten ściubigrosz, ten, mało co mówiąc, chłop, już sobie życie ułożył na wprost i niczego mu więcej nie potrzeba. Zadławiło mnie aż w gardle i łzy poczułam pod powiekami.

— Jest pan, panie Karolak — powiedziałam — prawidłowym i dobrym ojcem dla swoich dzieci i głową rodziny jak się patrzy. Dla takich ludzi mam zawsze pierwsze miejsce, nawet jakby mi kiedyś na odcisk weszli. Smutno mi tylko, że o sobie tego powiedzieć nie mogę.

— Na mój rozum — odpowiedział Karolak — to jesz-

cze na taką mowę za wcześnie. Ze mnie też, za moich młodych lat, za przeproszeniem był niezły ogier. A ile łbów rozwaliłem tą oto ręką, a ile się Niemców później nasiekło po lasach? Jakby się człowiek w porę nie opamiętał, toby na rozbój zaczął chodzić, ludziom niewinnym rewolwer w żebra wtykać. Czasy były gorętsze niż teraz i łatwe do wykolejenia. Ale powiedziałem koniec, teraz się żyje spokojnie. A co łatwo przychodzi, tak samo łatwo odchodzi.

— Więc pan tak uważa — powiedziałam — że nie wszystko jeszcze jest utracone?

— Ja bym nawet powiedział — odrzekł Karolak — że nic jeszcze nie jest utracone.

Pocieszył mnie ten Karolak. Przesiedziałam u nich do późna w noc, nawet nie idąc na pasterkę. Bóg chyba się na mnie nie obrazi, pomyślałam, zresztą, jak by mnie zdołał zobaczyć pośród tylu milionów swoich poddanych? Pójdę na przyszły rok, pomodlę się dubeltowo, to i może będzie to samo, jakbym i w tym roku była.

Cały pierwszy dzień spędziłam na jedzeniu i spaniu. Wspominałam także w dalszym ciągu moje lata dziecinne i młodość, która upłynęła mi przeważnie pod hitlerowskim okupantem. Raz było to wesołe, a raz bardzo smutne, tak że nie wiedzieć kiedy łzy człowiekowi płynęły.

Na drugi dzień pojechałam do Januszka. Nabrałam ze sobą sporo jedzenia, garnuszek smalcu, mięsa i wędlin, ciasta. Dzień był ładny, mrozek, słońce, drzewa trochę — tylko pod kolor — przyprószone śniegiem. Iść w taki dzień przyjemnie, zwłaszcza że to dopiero pierwsze początki zimy, pierwsza ładna pogoda po długiej i błotnistej jesieni. W pociągu był tłok, ludzi pełno, baby w futrach włożonych na ten świąteczny dzień, naftaliną lekko zalatujących, mężczyźni pod krawatami. Wszędzie humor, wszędzie wesołe rozmowy, gęby świecące od gładkiego wygolenia i tłustego jadła. I ja też weselsza byłam, choć to już właściwie po świętach, choć jutro znów trze-

ba udać się do roboty. I powiem jeszcze, że w środku tej wesołości, co mnie ogarnęła, jak pestka w wiśni siedział smutek. Wiedziałam też, że co bym nie mówiła, gdzie bym nie poszła, on już zostanie i się nie ruszy.

Długą drogę od stacji do domu wychowawczego mniej tego dnia odczułam. Las lubiłam zawsze, o każdej porze roku. Skorzystałam więc z okazji, żeby oczy swoje ucieszyć widokiem drzew posypanych śniegiem. W lesie było cieplej niż na polu, a słonko też nie najgorzej grzało, nie przyuczone widać jeszcze do mroźnej i srogiej zimy.

W domu wychowawczym było pusto. Pozostali tylko ci wychowawcy i strażnicy, którym wypadła służba. Większa część chłopców wyjechała do swoich rodzin. Na miejscu byli sami ancymonkowie, ta armia, od której człowiekowi jeżą się włosy. A pośród nich jako przodownik chuligańskiego wyszkolenia mój Januszek, aktualnie na obostrzonym pobycie z zakazem widzeń.

Łudziłam się jednak, że dadzą mi się z nim zobaczyć chociaż na pięć minut, ale nic z tego. Nie było też osobistego wychowawcy syna, tylko inny mający świąteczny dyżur, niski i tęgi, o złej twarzy buldoga. Prosiłam go o umożliwienie popatrzenia na syna, ale on nie chciał nawet o tym słyszeć.

Powtórzył tylko to, o czym już wiedziałam z poprzedniego przyjazdu, że syn przystąpił do takiej szajki, co to innych, przeważnie głupszych kolegów wykorzystuje, i poważną w niej odgrywa rolę. I jeżeli tak dalej pójdzie, to Janusza odeślą do domu poprawczego. Gdyby on miał w tej sprawie więcej do powiedzenia, dawno by go tam odesłał i wyrok odpowiedni dołożył.

— No, to Bogu niech będą dzięki — powiedziałam — że pan nie jest tu najważniejszy, bowiem widzę, że pan należy do tych lepszych, co to od razu pod ścianę i do piachu.

Wychowawca roześmiał się, jakbym mu przyjemność zrobiła, i mówi:

— Nie pierwszy rok tu pracuję i niejednego widziałem aniołka, który wybrał kierunek prosto do kryminału. Pod tym względem nie mylę się nigdy. A pani synek, jak na razie, ma całkowite do tego kwalifikacje.

— To się jeszcze okaże — odrzekłam i spytałam, czy mogę zostawić synowi świąteczną paczkę.

— Nie zabraniam — powiedział — tych trochę kalorii każdemu się przyda. A moje słowa też nie są święte jak Chrystusa do wiernych.

W drodze powrotnej pomyślałam, że trzeba tu przyjechać w zwykły dzień, kiedy będzie cała dyrekcja i osobisty wychowawca Januszka, żebym jeszcze raz mogła przeprowadzić solidną rozmowę. Nie patrzyłam już na las, bowiem teraz nie piękne widoki były mi w głowie.

Dwa tygodnie prawie minęło od czasu, jak pan ostatni raz był u mnie. Bardzo się z początku martwiłam, że pan rozbrat wziął już z naszą sprawą, że pan już do niej ręki nie dołoży. Ale potem otrzymałam pański liścik, w którym to powiadomił mnie pan o swojej nagłej chorobie, która uwzięła się na pańskie zdrowie. W taką zimną pogodę chorobie żyje się najlepiej, najlepiej jej wtedy sięgnąć do organizmu człowieka. Ale widzę, że pan ma się już lepiej, tylko trochę twarz panu wychudła i zmizerniała. Powiada pan, kłopoty, za dużo spraw i w rodzinie jest nie tak, jak potrzeba. A kto tych kłopotów nie ma? Kto od nich jest wolny i gdzie taki szczęśliwy człowiek mieszka? Chyba nie tutaj, na tym ziemskim padole. Jedne kłopoty mijają, drugie przychodzą i trzeba do nich przywyknąć, jak do pór roku, jak do tego, że kiedy jest lato, to musi być również i zima. Oczywiście. I to też jest słuszna racja, że przejmować się nie należy, bo niby co komu z tego przyjdzie?

Zatrzymałam się na naszych dziejach, prawie w tej samej porze roku, jaką mamy teraz, tyle że o te trochę później, nie przed świętami, ale w święta. No cóż? Dni przemijały, lecz w głowie myśli wciąż były te same. Co zrobić, żeby mój syn dalej się nie wykrzywiał, żeby złym namowom kolegów nie ulegał? Ja tu, a on tam. Ja cała pragnąca mu pomóc, a on pewnie na tę pomoc bimbający?

Pracowałam nadal pilnie, na wszystkich swoich eta-

tach obowiązków nie zaniedbując. Uważałam, żeby, broń Boże, się nie rozkleić, nie zamienić w płaczącą babę, co tylko poszukuje wolnych słuchaczy, aby im wypłakiwać serce. Zawsze miałam twardy charakter dla siebie, więc i nie pozwalałam sobie na żadną litość względem własnej osoby. Życie mnie tego nauczyło i uczy dalej, chociaż mi takich nauk już wcale nie potrzeba.

Nadszedł Nowy Rok, też samotny — jeśli nie liczyć trochę już dłuższej niż w Wigilię wizyty Owocnego — przeminął styczeń mroźny bardzo, stawiający na drogach wielkie zaspy, i stało się z Januszkiem niestety tak, jak to przepowiedział wychowawca o twarzy buldoga. Przed tym faktem byłam jeszcze raz u syna, rozmawiałam z dyrektorem, który mi już żadnej nadziei nie robił w kierunku ustatkowania się Januszka. Bo kiedy ma się szesnaście lat, trzeba już posiadać rozum w należytym dla reszty społeczeństwa stanie.

Wywieziono go daleko od domu, gdzie blisko było morze, a Wisła kończyła już swoje rzeczne życie.

Pojawił się teraz dla mnie nowy, bardzo duży kłopot. Jak ma wyglądać pisanie listów do syna, chyba nie własną ręką, bo jakby kto taki list zobaczył, to tylko bym mu wstyd przyniosła. Ale komu bym mogła w tym pisaniu zaufać i kto poza tym podjąłby się takiej pracowitej dla siebie sprawy? Sióstr Burakowskich nie poproszę, do prezesa Gnatkowskiego, bo to za wielki dla mnie człowiek, się nie zwrócę, więc któż mi pozostaje? Kierowniczka stołówki albo majster Jachimow, który też jest dobrze piśmienny, jak zdążyłam to kiedyś zobaczyć. Zwróciłam się więc w tej delikatnej sprawie do niego, a on mi nie odmówił, nawet ochoczo wyrażając chęć pomocy.

— Ale po mojemu — powiedział — to on najpierw musi do pani napisać, najlepiej w jakiejś konkretnej potrzebie. Pani mu i tak za wiele dobroci i starań poświęciła. Chłop jest przecież duży, prawie pełnoletni.

— Ma szesnaście lat — odrzekłam — więc do pełnoletności sporo mu jeszcze brakuje.

— Pani Smoliwąs — powiedział Jachimow — później to już człowiek coraz mniej się może połapać w latach, co mu pozostały. Opadają z niego jak z chudego portki. To nie feler więc, że jest młody.

Z tym czekaniem na wiadomość od syna przyznałam mu rację. No, bo jak to ma właściwie być? Albo jestem mu matką, albo nie jestem? Skoro zaś tak, to niech ma te trochę szacunku i uważania. Bo w tej chwili jeszcze ja mu bardziej jestem potrzebna niż on mnie.

Ale czym innym jest myśl, a czym innym serce. Kiedy rozum powiadał: milcz, serce matki w cierpieniu się pogrążało. Kiedy usta chciały wymawiać te słowa, które Jachimow obiecał mi przelać na papier, rozum usta zatykał. I tak to walkę straszną toczyły we mnie rozsądek i serce, miłość matczyna i ludzka ambicja.

Minął miesiąc, przeminął drugi, a od Januszka nic. A na dokładkę zima ciągle jest ostra, śniegiem miecie, mrozem szyby powleka. Jak tam mojemu synowi jest, jak on tę zimę znosi w tym specjalnym zakładzie? Myślę już, żeby jechać, żeby zobaczyć, czy jeszcze żyje. A może chociaż raz napisać, spróbować tą drogą zaczerpnąć wiadomości?

Z roboty z drugiej zmiany wróciłam, późno już było, po dziewiątej wieczorem. Pójdę do Jachimowa, myślę, wiem, że wcześnie spać się nie kładzie. Obiecał napisać, więc niech napisze tych parę słów z zapytaniem, co się dzieje. Przychodzę, mówię, jaka to sprawa mnie przyprowadza o nocnej godzinie. Jachimow mnie wpuszcza, przy stole w pokoju sadza, a Jachimowa herbatę podaje.

— Niech pani — mówi do mnie Jachimow — okaże jeszcze te trochę cierpliwości. Znam dobrze ludzi, znam życie. On musi zmięknąć.

— A może on nie żyje — mówię — może go choroba dopadła?

— Wtedy dostałaby pani wiadomość urzędową.

— Ty, Józek — wyrzekła Jachimowa — nie chcesz zrozumieć serca matki.

— Tu nie o serce się rozchodzi — powiedział Jachimow — ale o całą przyszłość człowieka.

W nocy jakieś okropieństwa śniły mi się i koszmary. Januszka prawie nie ubranego widziałam na śniegu i lodzie. Uciekał, a jacyś ludzie z psami okropnymi go gonili. Kiedy go te psy za gardło chwytać zaczęły, obudziłam się zlana zimnym potem. No tak, pomyślałam, więc

ani chybi to zmarnowane nasienie znowu wolność wybrało, a strażnicy go pędzą i tropią. Do rana już usnąć nie mogłam, rozmyślałam, po kim on ma w sobie to nieusłuchanie, chyba nie po mnie i chyba nie po Franciszku, który, co prawda, też był zadziora. W końcu bym pewnie wariacji dostała i w Tworkach by mi się miejsce uszykowało, gdyby to czekanie na wiadomość potrwało jeszcze trochę. Nie wiem, czy to był czwartek, czy piątek, a może już sobota, kiedy wracając z roboty list zastałam wetknięty w drzwi przez listonosza. Ręce mi się zatrzęsły, klucza nie mogłam utrzymać. Charakter tego dosyć równego pisma jest mi znajomy, więc to mój syn, Januszek, nareszcie do mnie pisze. Nie rozbieram się, tylko siadam przy samym oknie i czytam.

„Kochana mamusiu — pisze mi syn — w pierwszych słowach mojego listu donoszę, że choroby nie mam ani przeziębienia, a za te długie niepisanie, za te długie milczenie uprzejmie upraszam o wybaczenie, bo nie było kiedy. Pogoda tu u nas zimowa, tylko w dzień słońce bardziej grzeje, ale w nocy jest mróz. Nam to bynajmniej nie przeszkadza, bo leżymy już w łóżkach, pod kocami. Jedzenia wystarcza, a czasem to go trochę zostaje. Podróż miałem dobrą, nawet wygodnie, bo siedząc. Ale parę groszy to bym, kochana mamusiu, potrzebował na osobiste wydatki. Za tamto to cię teraz też mocno przepraszam, bo jednak chciałem być charakterny, jak inne chłopaki. Na tym list kończę wysyłając życzenia zdrowia i pomyślności i jeszcze raz, kochana mamusiu, upraszam o parę groszy. Twój kochający cię syn Janusz."

Kochana mamusiu, napisał, życzenia zdrowia i pomyślności mi przysłał. O pieniądze też pisze, a do czego to mojemu synowi pieniądze potrzebne? Przecież i tak mu już na mieszkanie wpłacam, o czym gówniarz jeszcze nic nie wie. Ale po co sama mam głowę łamać, zastanawiać się, co z tym fantem zrobić, jaką sumę pieniędzy w daleką drogę wysłać? Dzisiaj mam przecież dzień pracy u Jachimowa, a on mi już doradzi względem przesyłki i list do Januszka napisze.

Dni się już wtedy zaczęły trochę cieplejsze, bo i pora roku nadchodziła taka, kiedy zima się przesila, a słonko

patrzy na ziemię dłuższym i cieplejszym spojrzeniem. W dzień już śniegi topniały, na drogach występowała woda, którą dopiero w nocy mróz od nowa lodem pokrywał. Mężczyźni wychodzili do swoich sadków przy domach z piłami w rękach, tnąc na jabłonkach i innych drzewach owocowych za bardzo wyrośnięte gałęzie. Minie miesiąc, potem przeleci jeszcze parę dni, a trzeba będzie się od nowa przeprosić ze szpadlem, ogródek kopać, grządki pod warzywo wytyczać.

Mając list Januszka w torebce szłam przez ulice radośniejszym krokiem. Pisze przecież, że nie choruje, a to jest najważniejsze. Jachimowa była w domu, Jachimow też już wrócił z roboty. Weszłam do ich mieszkania uśmiechnięta i zadowolona. Jachimow siedział w kuchni, zbijając z deseczek budkę dla wiosennych ptaków.

— Panie Jachimow — powiedziałam do niego rozbierając się z palta i zabłoconych butów — Januszek list przysłał, życząc mi nawet zdrowia i pomyślności.

— No i widzi pani — odrzekł mi Jachimow. — A czy to tylko w tym celu syn napisał, żeby zdrowia pani życzyć?

— Prosi też o pieniądze, chociaż nie pisze na co.

— Kochane pieniądze — powiedział Jachimow — przyślijcie mi rodzice. Nie ma pani żadnej pewności nie znając jego zamiarów. Ale posłać coś trzeba. Nie za dużo, bo się znarowi, ale tyle, żeby wiedział, że ma matkę, która o nim pamięta. Odpisać też trzeba i poprosić o nowy list.

— Z ust mi to pan wyjął, panie Jachimow — zwróciłam się do niego — poślę mu na początek dwieście złotych.

— Moim zdaniem — wyrzekł Jachimow — to nawet za dużo, sto, góra sto pięćdziesiąt wystarczy. Pani przecież nie ma fabryki pieniędzy na zawołanie.

Do układania ani pisania listów jestem nienawykła, myśleć krótko mi trudno, a co dopiero znaleźć słowa, które pasują do pisma. Jachimow przeczytał list Januszka, poszedł w papierach poszukać czystej kartki, wrócił, wziął długopis i mówi:

— Jedziemy, pani Gieniu, nie ma tu co za bardzo łamać sobie głowy.

Napisaliśmy podług moich myśli tak:

„Kochany Januszku!

W pierwszych słowach tego listu donoszę Ci, że bardzo dziękuję za przysłane mi życzenia zdrowia i pomyślności. Zdrowie jest dla nas najważniejsze, jako że przebywasz daleko od swojego domu w trudnych warunkach życiowych, a ja bez najmniejszej zmiany dalej pracuję na kilku etatach naraz. Bardzo przejmowałam się Tobą i Twoimi postępkami bez żadnego rozumu, które to doprowadziły mnie do takiej złości, że musiałam Cię mocno uderzyć w twarz przy ludziach, czego teraz bardzo żałuję. Wspominać dawnego już nie potrzeba, życie toczy się swoją koleją, a my musimy jako ludzie żyjący i czujący iść z nim razem. Co się stało, już się nie odstanie, a każdego człowieka, który jest między innymi ludźmi, czasem dotknąć musi niesprawiedliwa ręka. Dlatego też rób już, co ci każą, ucieczek poniechaj, bo gdzie uciekniesz, gdzie się skryjesz przed milicją? Pieniądze Ci wyślę — sto pięćdziesiąt złotych. Bądź zdrów, mój kochany synu, i więcej już wstydu nie przynoś matce."

I podpisałam pod samym spodem już własną swoją ręką: „Kochająca Cię matka Genowefa Smoliwąs."

Ledwie wróciłam do domu, przyszedł Owocny. Powiedziałam mu, że był list od Januszka, na który już Jachimow według moich słów odpisał. Owocny wysłuchał mnie i mówi:

— Nie najlepiej zrobiłaś prosząc Jachimowa. Chłop z niego niezły, bez długiego języka, ale ja też pisać umiem, a na tyle pism i raportów, które ułożyłem, też mi się dobry charakter wyrobił. To zbyteczne zwracać się do obcych, jak mnie masz pod bokiem.

— Nie wiedziałam, Maniuś, że wynajdziesz czas, żeby mi pomóc.

— Więc chociaż teraz przyjmij to do wiadomości, że zawsze mogę mieć czas dla ciebie, a Jachimowa czy innego obcego człowieka więcej o przysługę nie proś.

Nawet mi się w tym momencie podobał, pomimo że do

urody daleko mu było. Ale na co mi uroda mężczyzny, która często jest jak ścięty kwiat, nietrwała i szybko więdnąca? Co mi z pięknego oblicza, kiedy w mężczyźnie brak postanowienia i rąk do uczciwej roboty? Taki ani opieki nie da kobiecie, ani lepszego bytu nie zapewni. A Owocny, proszę bardzo. Wypić wypije, ale nie tak, żeby zaraz się przewracać, pracowity jest i fach do tego ma dobry, poważną funkcję państwową.

Widziałam, że się zamyślił, że głowę opuścił, a całą postać miał przygarbioną i wygiętą. W końcu się wyprostował i zapalając papierosa spojrzał na mnie.

— Myślę ciągle — powiedział — a nawet rozmawiam sam ze sobą na ten temat, jakie ja mam życie z moją ślubną? Huk tylko i wrzaski, pretensje i zarzuty. Ale co ja poradzę, że dotknąć się do niej nie mogę, że jako kobieta dla mnie nie istnieje. Śpimy na jednym tapczanie, ona z jednej strony, ja z drugiej i nic, żadnej miłości, żadnego nawet przytulenia. Nieraz niby przez sen nawali się na mnie, a ja odsuwam się na sam brzeg, jakby pomiędzy nami przepaść była albo lód zimny i nieprzyjemny. Gdybym jakąś kobietę wynalazł o przyjemnym charakterze, o dużej wyrozumiałości i znajomości życia, to i pewnie bym się z moją rozstał raz na zawsze, zostawiając jej dom i ogród, z tym, że zostanie to zapisane na Henia, jak do swoich lat dojdzie. Byłbym ojcem dla dzieci takiej kobiety, w zamian za to, że i ona nie odczuwałaby nienawiści do mojego Henia. Bo co dziecko jest winne, że matka ma diabła w sobie.

Czułam, jak mi się twarz zaczerwienia i żar na policzki wypływa z organizmu. Dlaczego, myślałam, ja mam takie wredne szczęście w życiu? Dlaczego omija mnie możliwość regulacji trudnych warunków i lepszej kontroli nad synem? I co ja dla Owocnego znaczę, jakie mam miejsce w jego zaplanowanym życiorysie? Z braku lepszej żony przychodzi do mnie, bo przecież jest mężczyzną.

— A ja już, Gienia — mówił do mnie dalej — nawet taką kobietę sobie upatrzyłem i to w bliskiej odległości. Tylko nie wiem, czy mnie nie odrzuci, czy nie powie: odejdź stąd, stary dziadu? Czterdzieści pięć lat mam przecież, chociaż zdrowie i zęby bez szwanku. Moja myśl

skierowana jest na ciebie, bowiem podobasz mi się i jesteś kobietą całkowicie odpowiadającą na żonę.

Serce mi podskoczyło do gardła, ale myślę, tylko spokojnie, tylko nie daj mu za bardzo odczuć, że ci na nim zależy. Najważniejsze trzeba załatwiać na samym początku, dopóki chłop jest jeszcze całkowicie napalony na kobietę.

— Jeżeli dom, Maniuś, zostawisz — mówię nieswoim z tych nerwów głosem — to gdzie będziemy zamieszkiwać, u mnie, w tym mieszkaniu, któremu niedaleko jest do rujnacji?

— To tylko, moja ptaszyno, na razie — odpowiedział Owocny. — Myślę dowiedzieć się o właściciela tego domu i placu. Wiadomo mi bowiem, że chyba się od wojny nie pokazał i że państwo przejmie tę nieruchomość. To już mi będzie łatwo kupić. Wtedy jakiś domek postawimy, nieduży, ze dwa pokoiki z kuchnią, bowiem Janusz i tak na swoje pójdzie, a Henio też ma zaopatrzenie. Ja już lata swoje prawie w milicji mam, więc jeszcze trochę, a na emeryturę przejdę. Więc czy takie coś ci odpowiada, czy możesz zobaczyć we mnie męża?

— Nie, tego ci na pewno nie powiem — odrzekłam — ale pozwól mi jeszcze trochę nad tym doniosłym zagadnieniem pomyśleć.

— Wypijmy więc — powiedział i postawił na stole pół litra. — Opijmy nasze szczęście. Dziś jest dla mnie najważniejszy życiowo wieczór.

— I dla mnie, Maniuś — powiedziałam. I zaczęłam szykować kolację.

Po kolacji zrobiliśmy to, co mieliśmy zrobić, a ja patrząc później, jak się Owocny ubiera, jak wciąga na siebie ubranie, znów odczuwałam to samo, co czułam za każdym razem przy takim fakcie. Z gołego, mocno zbudowanego chłopa, o grubych nogach i dużych muskułach na rękach, Owocny przemieniał się w osobę na stanowisku.

Myśli pan, że tak się stało, że zmieniłam swoje nazwisko na Owocna? Nie mogło tak się stać, bo mnie Bóg

już od samego urodzenia nieszczęściem naznaczył. Dawniej tak nie myślałam, ale dzisiaj już wiem, że przychodząc na świat przyniosłam zagładę nie tylko matce swojej i ojcu, ale i małoletniemu bratu, który jeszcze niczego w życiu nie zdążył zasmakować. Poznając Franciszka już miałam śmierć dla niego i dla jego chorej matki, która by wyżyła może do nadejścia Polski Ludowej, gdyby mnie syn jej nie upodobał sobie.

Wtedy też, kiedy Marian takim poważnym słowem ze mną na zawsze się związał i kiedy ja miałam już tę pewność, że życie moje do spokojnego portu dobiło, wydarzyło się straszne nieszczęście. Ja wiem, że tak nie powinnam mówić, że to może jest grzech Boga czy diabła o to wydarzenie posądzać, ale wyglądało to tak, jakby już wcześniej było zaplanowane i ułożone. Bo czy w ten wieczór poprzedniego dnia musiała duża ciężarówka z towarem z powodu ślizgawicy wpaść na szlaban na przejeździe i go połamać? I czy w ten dzień o południowej godzinie Marian musiał iść po papierosy i skierować się do kiosku na stację, jakby ich nigdzie bliżej nie było? I czy akurat wtedy musiał nadjeżdżać pospieszny ekspres, a taka młoda zdzira z dzieckiem w wózku musiała pchać się przez przejazd, nic nie widząc i nic nie słysząc? Gdyby Marian wyszedł z Komendy o minutę później, na przejeździe byłoby już po wszystkim, a on by żył. A tak musiał skoczyć odepchnąć tę zdzirę z wózkiem, która zupełnie zgłupiała i znieruchomiała, a samemu wpaść pod elektrowóz. Nawet go koła nie poszarpały, został odrzucony na bok i zabity samym impetem.

Pogrzeb odbył się za trzy dni. Pogoda była wtedy prawie wiosenna. Wróble biły się nad kupami rozmarzniętego końskiego łajna, wysoko na gałęziach topól rosnących dookoła cmentarza wydzierały się kawki. Uroczystość pogrzebowa była piękna, jak mało kiedy. Co prawda bez księdza, bo milicjantowi być pochowanym po Bożemu nie uchodzi, ale grała dęta orkiestra z ochotniczej straży i ludzi przyszło takie mrowie, jak na jakieś poważne zebranie albo na mecz. Od szosy do cmentarza będzie prawie kilometr. Z tamtego miejsca koledzy milicjanci wzięli trumnę z wolno jadącego samochodu i ponieśli ją dalej na własnych plecach. Na trumnie leżała czapka

Owocnego, a tuż za trumną na czerwonej poduszce niesiono jego ordery i medale.

Czułam się tak, jakby to mnie śmierć zabrała męża, a nie Owocnej. A w tym poczuciu nawet nie było dużego kłamstwa, bowiem przez ostatnie miesiące to nie ona mu była żoną prawdziwą, ale ja. Bo przecież chyba to nie jej mówił o swoim życiu i wynikających z tego kłopotach, ale mnie.

Stanęłam na boku, niezwyczajna jestem wpychać się na sam początek, zresztą nie byłam mu oficjalną rodziną, i spłakałam się strasznie, i nie wiem, czy to nad nim płakałam, czy nad sobą, czy to jego tak naprawdę żałowałam, czy siebie? To, co mi Pan Bóg w dobroci swojej chciał ofiarować, szatan w jednej chwili odebrał. Zostałam się bowiem sama, zdana chyba już na zawsze na siebie i na wybryki oraz figle mojego Januszka. Zrozumiałam wtedy, że już pewnie nigdy nie napotkam pomocnej ręki ze strony człowieka, który mi i opiekę, i miłość obieca. Tak myślałam, czując się jak ten człowiek, który sam jeden znajduje się w środku powodzi w swoim pustym domie, a dom ten lada chwila też z falą popłynie.

Nad grobem przemawiano pięknie, co jeden prześcigał się w piękniejszych słowach, co jeden chciał przy tej okazji pokazać swoją wyższość nad drugim, że niby gładziej mu to idzie, większe wrażenie w narodzie wywołuje. Owocna wyglądała jak tłusty potwór obleczony na czarno, z włosem odrobionym na fioletowo. Mogłaby chociaż te kłaki przyciemnić, pomyślałam, i mniej mieć uczernione rzęsy i brwi, bo w tym kształcie wyglądała bardziej na starą dziwę niż na wdowę po milicjancie. Co do mnie, to pomimo że pochodzę ze wsi, zawsze wiem, jak się ubierać i na jaką okazję. Nic więc dziwnego, że Marian miał jej dosyć, że życie z nią piekłem mu się wydało.

Mowy się skończyły i na sznurach wpuszczono do dołu piękną, o srebrnym kolorze trumnę. Z głuchym uderzeniem upadły na nią grudy ziemi. Wtedy już nie wytrzymałam i wybiegłam z cmentarza. Wracałam sama, cała w płaczu, którego nie mogłam zahamować. I co tu jeszcze dodać, jakimi słowami opisać tamten mój ból i rozpacz? Skoro tyle pięknych słów tam już użyto nad Mariana grobem.

Przez kilka dni, które od śmierci Owocnego minęły, całe słoneczne, coraz bardziej przybliżające zimę do wiosennej pory, byłam jak ta głupia, cała odurzona moim nieszczęściem i smutkiem. Na państwową robotę jeszcze chodziłam, jeszcze tam wytrzymać mogłam, za to po fajrant nie zatrudniałam się wcale. Wracałam do domu, kładłam się na łóżku i tak leżąc plamy tylko na suficie liczyłam, jakby się mogło to na co przydać czy mnie pocieszyć. Dopiero po przeminięciu tych paru dni powoli do siebie zaczęłam wracać, pogodzona z losem, który niestety nie dla mnie miał swoje uśmiechy i swoją lekką rękę. Żyć jednak musiałam, a żyć to znaczy pracować, żeby zależność mieć jak najmniejszą od innych ludzi. I tak się znów w kierat wprzęgłam, i nim przeminął tydzień, znów lepiej niż koń w tym kieracie zaczęłam chodzić.

Przez ten czas z powodu mych osobistych nieszczęść trochę jakbym zapomniała o Januszku. Ale chyba tak już jest przykazane przez Najwyższego Stwórcę, że nieszczęścia nigdy nie chodzą pojedynczo, bo w parze albo też po kilka znacznie im lepiej i wygodniej. Wracam do domu, myślę, odpocznę sobie, przepierkę zrobię, bo akurat niczego ekstra po południu nie mam, patrzę, a tu funkcjonariusz Świerczyński w tę i nazad po ulicy przed moim domem chodzi. Ach to tak, powiadam sobie, złoty ty mój koralu, na zmiennika się szykujesz, Mariana chcesz zastąpić u jego kobiety? Ja ci już dam to zastępstwo, ja ci pokażę, co to jest prawdziwa i kobieca uczciwość.

Podchodzę bliżej, a Świerczyński paluchami do daszka wali i pyta:

— Obywatelko! Czy to nie w waszym mieszkaniu przebywa zbiegły Janusz Smoliwąs?

— Chryste Panie! — krzyknęłam — więc to znowu ta łachudra swobody szuka?

Nie powtórzę już, co jeszcze w wielkim gniewie mówiłam pod adresem syna. A nie szczędziłam mu żadnych słów, nawet najgorszych. To ja mu te pieniądze i czuły matczyny list wysłałam na ucieczkę, na to, żeby sobie śmiechy urządzał nie tylko z władzy, ale i ze mnie.

Świerczyński czekał cierpliwie, aż się do reszty wypowiem, do reszty swój żal wypłaczę w grubym słowie, a potem znów pyta:

— Więc czy obywatelka może potwierdzić, że zbiegłego u niej nie ma, czy też mam osobiście sprawdzić?

— Panie Świerczyński — powiedziałam — za kogo mnie pan uważa? Czy nie wystarczy panu ten fakt, że mój syn dostał ode mnie osobiście po buzi, kiedy pana położył bykiem? Myśli pan, że ja bym takie coś popierała, po czym tylko kara ulegnie przedłużeniu? Ale proszę, niech pan idzie ze mną do mieszkania i przeprowadzi rewizję względem tego, czy Januszek jest w tym domu obecny.

— Jeżeli obywatelka tak mówi — odrzekł Świerczyński — to znaczy zbiegłego tu nie ma. Więc ja już pójdę nie przeszkadzając w zasłużonym odpoczynku po pracy.

Nie zatrzymywałam go, bo i po co mi taka figura, taka postać z czapką więcej myślącą niż głowa? Jakiś chłop musiał cię zrobić, myślałam, to fakt, ale że był to popapraniec nie uznający solidnej roboty, to też jest w zupełności widoczne.

Nie było już tego dnia zaplanowanej przepierki, nie było też odpoczynku. Noc, która nadeszła, znów była gorsza od bolącego zęba, znów pełna zmór i widziadeł. Raz dusiłam się wprost ze złości, a raz strach mnie gorącym potem oblewał. Nie widziałam już żadnej rady dla siebie, żadnego wyjścia z trudnej sytuacji.

Świerczyński przychodził do mnie jeszcze ze trzy razy, w tym jeden raz do pracy. Prosił, żebym uczciwie powiedziała, czy faktycznie niczego nie wiem o moim synie i jeszcze paru takich jak on, którzy razem z nim są na ucieczce, bowiem jak do tej pory milicja ich złapać nie może. Pomyślałam, że sama pojadę syna łapać, skoro tylu funkcjonariuszy, ilu ich wszędzie chodzi, nie może sobie poradzić z gówniarzami. Ale jak tu pojechać, kiedy moja zmienniczka zachorowała i przez parę dni musiałam pracować i za nią, i za siebie. To, że dużo roboty, że cały dzień od wczesnego ranka człowiek zatrudniony jest przy zbiorowym wyżywieniu w parze i w gorącu, to w końcu nic, nawykła byłam przecież do ciężkiej pracy, gorsze tu jednak były nerwy. Spać z tego wszystkiego nie mogłam, całe noce przewalałam się po łóżku. Na moje szczęście po paru dniach, po tygodniu, a może trochę dłużej, Świerczyński przyniósł mi wiadomość, że złapano ucie-

kinierów nad samym morzem, gdzie schronienie dla siebie znaleźli drzwi wyłamując w pustym o zimowej porze domu wczasowym.

Powróciły znów zwykłe dni i najzwyklejsze zajęcia. Tyle że nie czułam się już tak dobrze jak dawniej. Najsampierw były to te trudności ze spaniem, taka przewalanka z boku na bok w pustym i zimnym mieszkaniu, w którym dla oszczędności węgla i własnej roboty tylko w niedzielę paliłam w pokojowym piecu. Potem lewa noga, gdzie mi już dawniej zaczęły występować żylaki, spuchła trochę i zrobiła się boląca. Z tym, że najwięcej bolał mnie najmniejszy palec. Myślałam, że to reumatyzm albo inna choroba kostna, ale później przypomniałam sobie, że już bardzo dawno, za moich dziecinnych lat, kiedy żem w lesie chodziła za jagodami, ugryzła mnie w ten palec jaszczurka, na którą nogą w gęstwinie nadepnęłam. Szykowałam się pójść do lekarza, ale noga mi ni stąd, ni zowąd otęchła i palec też przestał boleć, chociaż dalej mnie swędział, a już najwięcej wieczorową porą. Myślałam, że jak mi te bóle przejdą, to i sen też do mnie bardziej spokojny powróci. Ale gdzie tam. Ledwie zadrzemałam, znów mi się oko otwierało, a czas zaczynał się wlec jak kulawy dziad za kulawą i starą babą. Gdybym Januszka mogła zobaczyć i on by mi takie słowo dał, że już się narowów swych wyzbył, pewnie sen znów miałabym spokojny.

Nie tylko jednak mnie nieszczęścia dopadały, nie tylko mnie darzyło się niedobrze w życiu. Doszły do mnie takie odgłosy wypowiadane pomiędzy ludźmi na zakładzie, że Kalisiak zdjęty został ze stanowiska dyrektora. Jak to jest, pomyślałam, tyle czasu był dobry, tak długo do stanowiska pasował, a teraz jest zły, już nie nadaje się do tej funkcji? Potwierdził mi to też prezes Gnatkowski, kiedy udałam się do nich za moim zwykłym obowiązkiem.

— Szkoły Kalisiak nie miał dużej — powiedział — a tylko poważne doświadczenie życiowe.

— Po mojemu, panie Gnatkowski — powiedziałam — takie coś to wyraźna niesprawiedliwość. Ktoś się zaczaił

na to stanowisko i przy odpowiedniej chwili zrobił donos na dyrektora. Po mojemu to każdego takie coś czeka, jak będzie za bardzo dobry dla ludzi i do wyzysku nie dopuści. Człowiekiem nie trzeba się przejmować, tylko uważać, kto na stanowisko spogląda. Inaczej, prędzej czy później, dobrego dla ludzi dyrektora ktoś inny wygryzie i zacznie rządy twardej ręki dla innych, za to miękkiej dla siebie.

— Pani Smoliwąs niezupełnie prawidłowo na to zagadnienie patrzy — odparł prezes Gnatkowski. — Pracownik nie może być mądrzejszy od swojego dyrektora, bo co wtedy za rządy. Kupa śmiechu i nic więcej.

— Pan wie swoje, a ja swoje — odrzekłam. — Kalisiak umiał ludźmi rządzić lepiej niż kto inny. Co komu ze szkoły, jak się nie ma życiowego przyuczenia? Pan też wszystkich, jakie są, szkół nie ukończył, ani też wszystkich, co napisano, książek nie przeczytał, a jest prezesem.

— Dlatego, pani Gieniu, pójdę teraz do najwyższej szkoły, żeby mi już nikt głupim okiem w papiery nie zaglądał. O Kalisiaka proszę się nie martwić. Jego zasługi nie pozwolą mu zginąć marnie.

Ale ja wiedziałam, że mu się za bardzo do tych szkół nie spieszy, a już najmniej zależy na tym Gnatkowskiej. W długiej rozmowie ze mną uskarżała się, że ledwie jej mąż zaczął się mniej za kobietami rozglądać i mniej pić zagranicznej i polskiej wódki, to wymyślono tą naukę i potrzebę nowych papierów w dokumentach, jakby to, że już prawie dziesięć lat jest prezesem bez żadnego nadużycia ze swojej strony, było mało.

— Pani Gnatkowska — zwróciłam się do niej — tu nie ma co się przejmować. Wychodzi na to, że do tej szkoły chodzić będą sami dyrektorzy i prezesi. Więc i nie będzie się tam za mocno obciążać głów dyrektorskich nauką, bo kto by wtedy pracował czy o pracy myślał, myśląc bez przerwy o szkole? Im się najprędzej o papiery rozchodzi, żeby dyrektor nie miał takich samych papierów jak robotnik.

— Żeby to się sprawdziło, pani Smoliwąs — powiedziała Gnatkowska — bo przecież nauczył się człowiek życia w jakim takim dobrobycie i ma już spore osiągnięcia, choćby nawet te meble czy lekcje Violetki uczące

tańca, muzyki i prawidłowych artystycznie rysunków, więc żal by było wszystko zostawić i zacząć żyć jak pierwsi lepsi, których wszędzie pełno.

Żałowałam Kalisiaka, bo jak można nie żałować takiego człowieka. Jemu też pewnie było nieprzyjemnie, też się gryzł, że musiał zostawić taki duży zakład nie wiadomo komu. Ale co zrobić, kiedy człowiekowi jest właśnie to, a nie inne zapisane, ten, a nie inny los, którego przeskoczyć nie można.

Jachimow wyraził się o tej sprawie w taki sposób, że on się zawsze pilnował swojej roboty i za tym, czego nie umie, nie patrzył. Ale ja pomyślałam sobie, że on dużo więcej zobaczyć nie mógł, jak całe jego życie to robota w fabryce i chyba ze dwieście budek dla ptaków, które pozawieszał koło domu na wszystkich drzewach w ogrodzie. I jak tylko która spadnie albo jest jeszcze trochę miejsca na gałęzi, zaraz tam się jeszcze jeden domek ptasi pokazuje, a Jachimow godzinami w oknie sterczy, wypatrując nowych lokatorów.

Różne mają ludzie przyzwyczajenia i różne zamiłowania. Są tacy, którzy tylko książki bez przerwy czytają, uciekając od prawdziwego życia w świat wymyślony przez innych. Dobrze, jak to są książki łagodne, bez zbuntowanych albo grzesznych słów. Wtedy jest pewnie tak jak w kinie, tyle że bez obrazków. A jak jest książka zbuntowana, to i w ludzkiej głowie zbuntowanie występuje i żyć już jak inni nie pozwala. I dlatego tak teraz do szkół gonią, pokazując, czego uczyć się można, a co jest zabronione. Do jakich książek się przyzwyczajać, a jakie znów są od tego, że tylko zamęt wprowadzają. Ja sama wiem przecież najlepiej, do czego może doprowadzić niedobra książka i jakie są tego skutki. I nie każdy też powinien mieć dostęp do wszystkich książek. A tylko do takich, które do poziomu jego umysłu i wieku pasują oraz fachu, do którego został przyuczony. Wtedy i porządek byłby na świecie, mniej oszukaństwa i przestępstwa. Nie wiem tylko, czemu władza przed wydaniem lub też sprzedażą książki temu czy innemu obywatelowi z narodu w papiery jego i dokumenty nie zajrzy, dowiadując się, czy książka, za którą się łapie, jest odpowiednia do zawodu i poziomu jego umysłu. To samo

można powiedzieć o telewizji, co nieraz tylko jad rozsiewa i niedobrą zachętę. Gdyby to ode mnie zależało, zaraz bym zaprowadziła takie prawo, żeby narodowi bez potrzeby rozumu nie mącić, a tylko nauczać uczciwości, spokojnej pracy i miłości do ślubnej żony, pod takim warunkiem, żeby nie była z niej wredna zołza o charakterze nie nadającym się do wspólnego życia.

Januszek mój w dalszym ciągu milczał jak zamurowany. Teraz już nie radziłam się Jachimowa, w kalkulację żadną się nie bawiłam, tylko zaczęłam robić starania do wyjazdu. Pogadałam ze zmienniczką, żeby się na dwa dni pracy na moje konto zgodziła, od kierowniczki też zgodę uzyskałam i w drogę.

Długa to była droga, jak do tamtej pory najdłuższa w moim życiu. Rankiem zajechałam do miasta Elbląga, dowiedziałam się o tą miejsccwość, wyszukałam dobrego dla mnie autobusu, który był dopiero za parę godzin. Była niedziela, mało kto o tak wczesnej porze chodził po ulicach. Bardzo mi też dokuczały nerwy, bałam się bowiem spotkania z synem.

Ten dom poprawczy znajdował się nad samą wodą. Myślałam, że to już jest morze, albowiem drugiego brzegu nie widziałam, ale to była bardzo szeroko w tym miejscu rozlana rzeka Wisła. Z jednej więc strony była ta wielka woda, której ani przepłynąć, ani chyba przejść po lodzie nie było można, a z drugiej las gęsty z jedną wąską drogą, którą należało przebyć piechotą. Dom poprawczy składał się z dużej ilości baraków, a wszystko otoczone było wysokim drutem kolczastym. No, pomyślałam sobie, doigrałeś się, synu, doczekałeś na to, co miałeś takie upragnione. Zła była dla ciebie wolność, niedobry był dom wychowawczy, więc teraz jesteś w takim miejscu, na takim pustkowiu, że tylko pewnie wyć ci się chce, jak psu do księżyca.

Wejść było też trudniej niż do domu wychowawczego. Bo najpierw pytań ze dwadzieścia o przyczynę i cel przyjazdu, a potem dopiero sprawdzenie dowodu osobistego, wypisanie przepustki i na koniec pozwoleństwo na wejście do środka. Żywność, którą przywiozłam, też spraw-

dzono dokładnie, czy bomb tam jakichś nie powsadzałam. Na koniec przyprowadzono mnie do świetlicy w baraku, który miał rozrywkowe przeznaczenie, i nakazano czekać. Nikogo tam jeszcze oprócz mnie i jednego młodego wychowawcy nie było. Wychowawca ten coś tam majstrował przy radiu, przewróciwszy je do góry nogami. Porozglądałam się dookoła i zobaczyłam stół do ping-ponga, z dziesięć małych stolików do siedzenia przy nich, mocno już odrapanych, kilka półek z różnymi rzeczami, a wśród nich trochę pouczających książek i większą ilość zwalonych na kupę gazet. Było też miejsce, gdzie mógł odgrywać swoje sztuki teatr, ze stojącym w samym rogu czarnym fortepianem. Nad tym miejscem, na górze, zobaczyłam bardzo duży obraz, na którym widać było szeroką wodę i kołyszący się na falach okręt. Nad okrętem przelatywał samolot, a między białymi chmurami świeciło słońce. Później zaczęłam patrzeć jeszcze dokładniejszym okiem i ujrzałam duży brud, pajęczynę i śmieci po kątach. Podłoga też była brudna, wołająca o szczotkę i wodę. A wody tu przecież nie brak, jak kran jej nie nastarcza, to można kubłami donieść. Nie podobał mi się ten dom poprawczy, nie tak to otoczenie widziałam.

Zanim tu przyjechałam, a potem zanim mnie wpuszczono, nadeszła południowa godzina. Po tym zmęczeniu podróżą zaczynał mnie już sen morzyć, dopadać cicho jak kieszonkowy złodziej. Niech oni mi tu już prędzej mego syna przyprowadzą, myślałam, bo zasnę, a we śnie ktoś jeszcze Januszkowi wałówkę wyje. Tylko że zanim Januszka mi przyprowadzono, przyszedł do mnie jego wychowawca, całkowicie młody człowiek o nazwisku Woźniak Stanisław, o czym mi na samym początku nadmienił. Usiadł, zapalił papierosa, popatrzył na żywność, którą na stoliku obok siebie poukładałam, i mówi:

— U nas jedzenie wcale nie jest najgorsze, dożywiać nie ma potrzeby.

— Taki świat drogi jechać i z pustymi rękami? Co by Januszek na to powiedział, nie mówiąc już o kimś obcym?

— Jeżeli ma pani takie podejście — powiedział wychowawca — to co innego.

Zobaczyłam, że u niego nerwy też grają dużą rolę i trudno mu rozmawiać z matką, która przyjechała z da-

lekiej drogi. Popatrzyłam na jego twarz, na krótko ostrzyżone włosy jasnego koloru, spojrzałam na ręce, zajęte w tej chwili gnieceniem papierosa i wykruszaniem za mocno upchanego tytoniu, i sama zadałam następujące pytanie:

— Czy mój syn Janusz Smoliwąs już do jakiego takiego spokoju powrócił, czy też ma dalej kanarki w głowie?

— Więc to ma pani na myśli, czy nam w dalszym ciągu krew psuje?

— A o czym innym mogłabym myśleć w tak długą podróż wyruszając? O to się przecież rozchodzi, żeby jak najprędzej kwita był ze sprawiedliwością.

— Dziki jeszcze jest — powiedział wychowawca — i mało co mówi. Niewiele również słów pożytecznych dociera do niego. Listów też nie chce pisać do domu. Inna rzecz, że i dom mu milczenie funduje. Tu nie można się unosić ambicją, jeśli o młody charakter idzie.

— Mało co piśmienna jestem i dużą mam trudność przy listach. W takim więc względzie muszę chodzić o pomoc do obcych.

— Ach tak? Rozumiem, chociaż mnie to dziwi.

Przestał gnieść tego papierosa, zapalił i wypuszczając dużo mocno gryzącego dymu odezwał się dalej następująco:

— Na ucieczce było ich pięciu. Janusz najmłodszy. Ta czwórka to już chłopy, osiemnaście, dwadzieścia lat. Pojechali do miasta koks ładować. Przy robocie uciekli. Strażnik i kierowca chcieli ich zatrzymać, ale zostali pobici. Tydzień urzędowali w Gdańsku i Gdyni, gdzie jeden z nich ma rodzinę i kolegów, którzy dostarczali wyżywienia. Planowali dostać się na jakiś statek i odpłynąć za granice kraju. Szczęście, że nie dokonali jeszcze żadnego włamania ani kradzieży. Janusz w napadzie na kierowcę i strażnika udziału nie brał. Dlatego karę będzie miał mniejszą. Nadmienię tu jeszcze, że syn pani zdążył już sobie tatuaży narobić, różnych rysunków i znaków na rękach i nogach.

Spać mi się odechciało zupełnie. Słuchałam tego, co mówi, całą swoją uwagę zatrzymując na jego słowach. To dobrze, pomyślałam, że jeszcze ciągle spotyka się lu-

dzi, a nie samych faryzeuszów, którzy tylko czyhają na czyjąś krzywdę.

— Dziękuję panu — powiedziałam — za takie ludzkie odczucie. A za te oszpecenie swojego ciała to on otrzyma ode mnie odpowiednią porcję. Kiedy zatem go będę mogła zobaczyć? Bo serce matczyne to nie żarty.

— Po obiedzie — odrzekł wychowawca — po zjedzeniu posiłku chłopcy przyjdą tutaj zająć się rozrywką i pisać listy. A pani w moim osobistym pokoju, do którego teraz właśnie panią proszę, będzie mogła spotkać się z synem.

Zabrał mnie do siebie, zostawił samą, żeby mieć oko na swoją grupę w czasie obiadu. Pokój był nie za duży, w nim wąski tapczan przykryty kocem w kratę, stół, półka z książkami, dwie wąskie szafy blaszane na ubranie. Podłoga dla praktyczności pokryta zielonym linoleum. Zobaczyłam dużo pozawieszanych gdzie się da, wyciętych z gazet zdjęć mężczyzn o dużych muskułach na rękach i klatce piersiowej. Wisiały również aktorki z filmu, prawie gołe. Obok łóżka stał wielki odważnik i dwa mniejsze. Nad łóżkiem wisiała gitara. Ten wychowawca, pomyślałam, takie ma gusta i dążenia, żeby być ładnym i bardzo silnym.

Czekałam dosyć długo znowu walcząc ze snem, do którego również dołączył się głód. Do tego doszła także konieczność pójścia na stronę. Ubikację znalazłam łatwo, choć bałam się trochę, że przy mojej nieobecności ktoś do pokoju wejdzie i zrobi prędki remanent. Ale w baraku było pusto i wszystkie drzwi, które znajdowały się po dwu stronach korytarza, były pozamykane. Ten barak widać przeznaczony był dla wychowawców albo też na inne pomieszczenia służbowe. Załatwiłam się w ubikacji, a przy okazji obmyłam się trochę. W ubikacji też porządku nadzwyczajnego nie było, a raczej duży smród i zaniedbanie. Wróciłam do pokoju wychowawcy, do którego przez ten czas jednak żadna osoba o długich rękach nie zajrzała, i znów rozpoczęłam moje cierpliwe matczyne czekanie. Przez okno widać było parę niedużych drzewek owocowych, okrągły klomb obstawiony cegłami, pokryty sczerniałym śniegiem, dwie ławki i żelazne taczki, na których siedziały wróble. Ale im więcej czasu upły-

wało, w tym większe nerwy popadałam, tym bardziej obawiałam się spotkania z Januszkiem. Miałam takie odczucie, jakby już zupełnie ode mnie odszedł do całkiem innego świata i innych ludzi. Nie wiedziałam, jak rozmowę zacząć, o czym mu mówić i jakie słowa będą miały wartość dla niego. Czy zresztą i dawniej miałam czas z nim mówić i do takich rozmów dążyłam?

Tak się tymi myślami zajęłam, tak umysł swój wytężałam, że nawet nie bardzo usłyszałam, jak wychowawca po zakończonym obiedzie przyprowadził mojego syna. Janusz zatrzymał się i stał tak pośrodku pokoju bez żadnego słowa, dopóki wychowawca nie nakazał mu usiąść. I tu też się nie odezwał, tylko ręce trzymając na kolanach spoglądał na kolorowe obrazki. Wychowawca natomiast odezwał się w takie słowa:

— Dużo mam jeszcze obowiązków do wykonania, więc pozostawię panią z synem samą, mając taką nadzieję, że tu nic złego nie zajdzie przeciw regulaminowi.

— O to może mieć pan spokojną głowę — odrzekłam — już ja do niczego takiego nie dopuszczę.

Poszedł. Janusz dalej milczy i ja też milczę. Czuję tylko, jak puls mi bije od wielkich nerwów, jak słów bardzo szybko szukając, niczego znaleźć nie mogę. Ale tak dłużej trwać nie może, bo co sobie Janusz o matce swojej pomyśli, jakie będzie mieć o niej zdanie, że może go się boi? Ale przecież ja też jestem kobietą, ja też mogę czasami na krótką chwilę słabiej się w sobie poczuć wobec mężczyzny, nawet jeśli jest to taki nie wyrośnięty jeszcze chłopak.

Dobiegłam więc do niego, chwyciłam za ramiona i dalej nim potrząsać i krzyczeć:

— Co ja ci takiego zrobiłam, jaką tu winę moją widzisz? Czy ja cię zamknęłam w domu poprawczym i do ucieczek namawiałam, że tak wzgardziłeś moją osobą i do matki nie chcesz się odezwać? Powiedz mi, jeżeli nie chcesz, żeby mnie tu zaraz krew zalała.

Januszek zesztywniał, ręce moje odepchnął i mówi:

— Takie gadanie to tyle daje co zeszłoroczny śnieg, kiedy się stopi.

— Więc ja dla ciebie może też tyle samo znaczę — krzyknęłam.

— Mamusia wie swoje — odpowiedział Januszek — a ja swoje. Mamusia innym językiem mówi i ja innym. I jeszcze tu dodam, że już pod mamusiną spódnicą dawno nie siedzę i dawno już na świat własnymi oczami patrzę. I nauk mi już żadnych nie trzeba. Sam dobrze wiem, co robić.

Powoli przychodziłam do siebie, pewność odzyskując i spokój.

— Czy to też — powiedziałam, pokazując na jego rękę, na której widać było kotwicę i jakieś litery — wynikło z twojego rozumu, a może tylko z głupoty, żeby się już zaznaczyć do końca życia? Za Niemca świnie kolczykowali, więc wy pewnie też tak robicie po to, aby się nie pogubić między ludźmi.

— Ale mowa — powiedział Januszek — ale mi tu nauki posuwasz. Nawet nie wiesz, jak ja ich słucham, jak uważam, żeby czego nie pogubić z tej mowy. Lepiej już chyba nie można. Moje ręce, to robię sobie z nimi, co mi się podoba.

— Janusz — powiedziałam — czy ty chcesz jeszcze w życiu swoim oglądać wolność, czy nie chcesz? Bo jak nie chcesz, to po co ci takie dziecinne kawałki jak ucieczka? Od razu urżnij łeb wychowawcy i będzie po sprawie. Mnie też jest lepiej, jak ciebie w domu nie ma. Mniejszy kłopot i mniejsze pieniądze.

Popatrzył tak na mnie, jakbym mu się nagle w oczach odmieniła. Jakbym nagle kim innym była, a nie tą, co mu pyłki spod nogi odmiata.

— Prawdę mamusia mówi? — spytał. — Prawdziwe do mnie słowa kieruje, a nie gryps? Czy też mi się tylko tak przedstawiło?

— Najprawdziwszą prawdę — odpowiedziałam. — Każda cierpliwość ma przecież swoją granicę, a każdy człowiek honor. Ty już względem mojej osoby poużywałeś sobie za bardzo. A po drugie tak myślę, że mógłbyś już pójść, bo nie mam życzenia rozmawiać z tobą.

Januszek za tym razem nie odezwał się już nic, a tylko ręce zaciskał. Wreszcie wyprostował się, hardo głowę ostrzyżoną na zero podrzucił i mówi:

— Ja też życzenia nie mam rozmawiać z mamusią i żegnaj, mówię, ostatnie między nami słowo.

Ale łzy, widzę, ma w oczach i ta mowa jego też jeszcze taka bardziej dziecinna niż z ust mężczyzny. Trochę więc mi się żal go robi i już myślę, jakby tu przyfolgować, nie z takim ostrym słowem go zostawić. Ale zaraz jest druga myśl, tej pierwszej przeciwna. Albo coś z życia swojego zrozumie, albo już takim durniem zostanie. Więc trzymać należy tak jak teraz i ani ździebka nie popuszczać.

Patrzę, podnosi się, ale wolno. Idzie do drzwi, ale jakby wyjść nie chciał.

— Paczka! — wołam więc za nim. — Nie po to ją wiozłam taki kawał drogi, żebyś ją teraz zostawił.

— Mnie już wsparcia od mamusi nie trzeba — powiedział. — Ja też mam swoją ambicję.

— Ach tak — mówię — to się pochwala. W takim razie weź paczkę i rozdaj chłopakom, po co ma się jedzenie zmarnować.

— To mogę — odrzekł mój syn — tą przysługę dla innych wolno mi zrobić.

Zostałam sama z moimi myślami, w których nic wesołego nie było. Zastanowiłam się, czy dobrze zrobiłam tak z nim mówiąc. Ale nie była to przecież tylko sama złość, ale matczyna troska o szczęście Januszka. Niech on nie myśli, że ze wszystkich mu wolno robić wariatów. A niechby zresztą sobie tak robił, ale nie biorąc pod uwagę matki. Bo jeżeli mnie już uważa za swojego wroga, to niech nim będę w całej okazałości.

Na to moje gorzkie milczenie wrócił wychowawca Usiadł tam, gdzie przedtem siedział Januszek, i pyta, jak mi poszło.

— Wyrzekłam się syna — mówię — innej rady już nie widziałam. Chcę, żeby nastraszył się, że zostanie już sam, pozbawiony matczynej opieki.

— No i co pani najlepszego zrobiła. Teraz on dopiero pokaże, co umie. Teraz to mu już na niczym nie będzie zależało.

— Trudno — mówię — albo będę miała jeszcze syna, albo niech już przez całe życie gnije w więzieniu. Dosyć mam już tych głupot, co są przeciwko wszystkim ludziom. Jak będzie mu zależeć na mnie, to się postara polepszyć i zmienić trochę swój charakter.

Widziałam, że wychowawca poważnie się nad tym zastanawia, że bierze pod uwagę moje słowa.

— Sam już nie wiem — odpowiedział po dłuższym czasie — jak mam się o tym wyrazić. Niby człowiek wie, jak ma postępować, ma odpowiednie w tym kierunku wykształcenie, a wychodzi coś całkiem innego. Może więc pani ma tutaj rację, a nie ja? Może to po pani stronie jest słuszność, a nie po stronie naukowej metody? Poczekać proponuję, a ja już w tej sprawie napiszę do pani za jakiś czas.

— Dobrze — odrzekłam — ale mam jeszcze jedno zapytanie. Chciałabym się zobaczyć z dyrektorem tego zakładu.

— Dyrektor będzie dopiero jutro — odpowiedział wychowawca — a po drugie, ja ze swojej strony takiej potrzeby nie widzę. Nie spowoduje to żadnej zmiany korzystniejszej dla pani syna.

Pomyślałam chwilę, a potem opuściłam to zakazane miejsce. Wiatr od wody odwiał ciężkie chmury i zrobiła się pogoda słoneczna. Ale nawet w słońcu widok był tutaj ponury i straszny. Poczerniałe baraki, brudne płaty nie stopionego śniegu, niebo, po którym kręcą się w kółko wrony i białe, nie znane mi, a krzyczące przeraźliwie ptaki. Nic, tylko te ołysiałe jeszcze drzewa, woda, druty i bardzo duża odległość od zwyczajnych ludzi, bo wychowawców też przecież, ani strażników, do zwykłych ludzi nie mogłam zaliczyć.

Wróciłam z podróży poniedziałkowym rankiem. Zmęczona jak nie wiem co, po dwóch nocach spania na ławce w pociągu. Ale kiedy już znalazłam się w swoim mieście, kiedy weszłam na moją ulicę i zobaczyłam ludzi idących do pracy, poczułam, że znów jestem u siebie i że podróże są dobre dla innych, ale nie dla mnie.

Naopowiadałam panu chyba tyle co nigdy. Ale musi pan przecież wiedzieć, jaki naprawdę jest mój syn i jaka ja byłam dla niego matka. Rozgrzeszenia bynajmniej żadnego mi nie potrzeba, chcę mówić tylko prawdę, niczego nie ukrywając. Wiem, że to ciężko, że trudno człowiekowi się zmusić do mówienia rzeczy nieprzyjemnych o sobie i o swoich bliskich. Ale kiedy zwróciłam się z tym

do pana, a pan oświadczył, że weźmie sprawę w swoje ręce, pod takim warunkiem, że pozna całą prawdę, postanowiłam niczego już nie ukrywać, bo zamiast pożytku tylko krzywdy bym się mogła doczekać. Pan sam już wybierze z naszego życia, co panu do poprowadzenia sprawy jest potrzebne. Nie moja głowa w tym ani nie moje wiadomości prostej kobiety.

No i proszę. Która to już godzina na zegarze wybiła? Minęła ósma wieczorem. Latem to jeszcze widno, ale teraz choć oko wykol. A może pan zostanie, zje ze mną kolację i potem dopiero pojedzie. Jeśli nie, to trudno. Taki widać już mój los, samej do stołu siadać. Rozumiem. Żona z obiadem czeka, niecierpliwi się, że męża w domu nie ma. Tak jednak jest zapisane od Boga, że kobieta zawsze musi czekać, a później strach swój objawić w nerwowym słowie. Ale dopóki się ze sobą rozmawia, dopóki jest wzajemna pretensja, tak długo jest dobrze. Złe zaczyna się dopiero wtedy, jak którejś osobie nic a nic nie zależy na tym, co ta druga strona myśli o niej.

Pan mi jednak wygląda na człowieka spokojnego i zrównoważonego. Nie ma więc chyba takich obaw, żeby z rodziną coś nie wyszło. Nie chcę tu, broń Boże, wnikać w pańskie sprawy, po prostu tak sobie tylko pomyślałam. Pan też pewnie o mnie różnie myśli, bo kiedy ze sobą ludzie dłuższy czas rozmawiają, to i myśli takie czy inne do głowy przychodzą.

Idzie pan? Cóż, zatrzymywać nie mogę. Proszę się więc kłaniać żonie ode mnie, od tej Smoliwąsowej, która jest chora na nogi.

No i znowu oglądam pana po długiej nieobecności. Ile to przeszło? Już wiem. Tydzień i trzy dni. Przez ten czas był tu u nas mrozek, już dzieci radosnym okiem na ślizgawkę patrzały. Ale potem znów zrobiło się mokro, deszcz zaczął padać. A dzisiaj dla odmiany spadł śnieg. Drzewa stały pobielone jak w zimie. Niedługo jednak radowały się serca dzieci. W pogodzie mamy temperaturę odwilżową, więc gdy tylko przestało padać, biały puch zamienił się w wodę.

Pańskie sprawy już w najlepszym porządku. Więc ten

zły humor i martwienie się nie były wcale na czasie. Widać to zresztą na pańskim obliczu. Jeżeli człowiek radość napotyka na swojej drodze, to nawet cerę ma inną, inaczej jego twarz wygląda.

Ale pan widzi, odeszłam od tego tak ważnego dla mnie tematu powiązanego z moim synem. Często łapię się na tym, że dosyć mam już Januszka, że pragnę tylko spokoju, a nie ustawnej burzy. Żaden organizm ludzki czegoś takiego na dłużej nie wytrzyma. Co innego jednak cały organizm, a co innego serce matki. Te jest nie do zdarcia, te jest wytrwałe, jak najtwardsze żelazo. Opowiadałam o różnych ludziach powiązanych z moją osobą i z osobą syna. Ale człowiek przecież żyje pośród ludzi, a nie w lesie i w tym swoim krótkim życiu ciągle zależy od kogoś, od innego człowieka. Dlatego opowiem jeszcze o doktorowej Żurek i ich całym doktorskim domu.

Po wyroku sądu Januszek poszedł na odsiadkę, a Arek otrzymał wyrok w zawieszeniu i ścisłego kuratora, czyli całkowity nadzór nad swoim postępowaniem. A że ich zaraz po tym fakcie z Kwiecińską Zofią nie zamknięto, była w tym podobno głowa doktorowej. O Januszka tu wcale nie szło, który jednak też na tym skorzystał, dłużej ciesząc się wolnością, ale o Arka, który raz za murami zamknięty, musiałby pewnie na powrót się tam znaleźć. A kiedy już ten wyrok zapadł i Januszek swobodę utracił, Arek pięknie, dla pucu tylko przeniesiony do innej szkoły, siódmą klasę ukończył i od jesieni zaraz poszedł do gimnazjum. Tyle tylko, że nie chodził do ogólniaka w naszym mieście, ale po sąsiedzku, parę kilometrów dalej.

Matce jego malarstwo niestety na dobre nie wyszło. Nie będąc już młodą, dwudziestkę udawała w kwiecie wieku. Chodząc tam na posługi nieraz różnych młodych ludzi widziałam, przychodzących niby w charakterze pomocy do nauki dla Arka. A to byli jej kochankowie, bowiem męża miała już za mało jako mężczyzny. Musiało się to jednak za bardzo jawnie odbywać, bo doktór wydał jej kategoryczny zakaz. Doprowadziło to panią doktorową do wielkich nerwów, więc, wypiwszy sobie nieźle i biorąc jeszcze ze sobą butelkę zagranicznej wódki, uciekła do swego kochanka, młodocianego studenta, który po-

koik przerobiony ze strychu odnajmował niedaleko ode mnie. A ten też przestraszony całym wydarzeniem nie chciał jej przyjąć do siebie na zamieszkanie. Przy tej rozmowie kochanków wypita została wódka, doprowadzając doktorową do jeszcze większych nerwów i większej śmiałości. Przez ten czas ich sługa, Antosiowa, łap za telefon i dzwoni do pana doktora, który miał służbę w szpitalu. Na jej słowa doktór od razu bierze karetkę i jedzie żoneczki szukać. A żoneczka już hurgot u kochanka robi, już mu szklankę ostatnią tłucze, a potem szybę w oknie pustą butelką.

— Wzgardziłeś mną — krzyczy — ty wsiowy synku! Pięknej kobiecie odmawiasz? A ja mężczyzn mogę mieć na pęczki, jak psy mi przy nodze pójdą.

To powiedziawszy doktorowa bluzkę zaczyna ściągać, potem biusthalter zdejmuje i naga do pasa, potrząsając gołymi cycami, wybiega na ulicę. Student za nią, ale widząc, co się święci, na jaki tu się wstyd zanosi, do domu nazad ucieka. A doktorowa w bialutki dzień o południowej godzinie na środek ulicy wychodzi i śpiewając sobie wesoło, walca zaczyna tańczyć. Kto żywy, zatrzymuje się, kto żywy, biegnie popatrzeć na to widowisko lepsze niż w kinie. Kobiety dzieciom oczy zasłaniają, mężczyźni spod Jeżewskiej, co przy piwie czas swój marnotrawią, lecą, mało kufli nie pogubią. Ale tu już karetka nadjeżdża, z której doktór wysiada. I przedzierając się przez zbiegowisko, takie wykrzykuje słowa:

— Iza. Natychmiast do samochodu. Rozumiesz? Rozkazuję ci w tej chwili jechać ze mną.

A doktorowa okropnym śmiechem wybucha i zaczyna się ze swym mężem w głupiego Jasia bawić, chowając się między ludźmi. Chłopy też w śmiech i jeszcze jej w zabawie pomagają przy tej okazji za cyce ją łapiąc. Wreszcie szofer z karetki wychodzi, drogę doktorowej od drugiej strony zabiega, łapiąc ją wpół, i taką wierzgającą nogami i przeklinającą do samochodu niesie. Doktór za nim zziajany jak pies, w białym lekarskim fartuchu rozdartym z przodu żoniną ręką. Karetka rusza, jeszcze słychać z niej wrzask szalonej kobiety, a ludziom już głupio się robi. Bo niby z kogo tu się śmiać, z wariatki? Wtedy cała uwaga zbiegowiska, za to, że dzieci musiały taki bez-

wstydny widok obejrzeć, nakierowała się na kochanka. Już kobiety pod ten dom biegną, już wołają do wybitego na facjacie okna:

— Pokaż się, łachudro! Ty ogierze na cudze żony!

Ta i tamta — bo student nic, studenta jakby nie było — za kamienie zaczyna łapać, inne znów na facjatę się iść wybierają, żeby swoją złość wyładować na młodym człowieku. Chłopy też, widząc dla siebie nową zabawę, kobietom wsparcie w pięściach swych szykują. Wtedy Mundek Karuzela okazuje się być jednym mądrym w gromadzie. Wychodzi przed ferajnę i ciągle jeszcze kufel w ręce trzymając mówi:

— Zaraz. Wolnego. A czego wy znowu od chłopaka chceta? Przecież ona, biorąc na ten przykład lata, ze dwa razy starsza od niego. Więc niby on miał ją do tego rach, ciach, ciach namawiać czy też było odwrotnie? Już mu wystarczająco wstydu przyniosła, więcej chyba nie trzeba?

I gromada przybastowała. Zaczęła się rozchodzić. Kobiety co poniektóre wracały do garów chwytać wykipiałe mleko albo zupy, które im przez ten czas pouciekały, mężczyźni wrócili do Jeżewskiej — która stojąc na środku ulicy głośnym krzykiem dopominała się kufli — wypijać dalsze piwa, tylko ci, w których ciekawość była największa, tak kobiety, jak i niektóre chłopy, wyruszyli pod dom doktora, żeby do końca obejrzeć to przedstawienie. Dom doktora otoczony jest siatkowym płotem i wysokimi, gęsto rosnącymi krzakami, które ze dwa razy do roku doprowadzane są do kultury przez żelazne nożyce. Jeśli jednak uwagę swą skupić, to z ogrodu można usłyszeć różne głosy. Ci, którzy tam poszli, nie pożałowali, bowiem było co posłuchać, i oczom mało co widzącym dopowiedzieć.

Ledwie się karetka przed furtką zatrzymała, a doktór, mając już od kierowcy swego pas wypożyczony, żonkę za co się da, byle dalej od ludzkich oczu, wlecze i na trawniku przed domem zaczyna jej chrzest sprawiać. Leje ją tak, aż na ulicy klaskanie pasa słychać, aż ludzie, których coraz więcej się zbiera, do takiego zastanowienia zaczynają przychodzić, kiedy mu ręka osłabnie. Doktorowa najpierw płacze i klnie obrzydliwymi słowami, gor-

szymi, niż ich używają najgorsze łobuzy, potem jak zwierz wyje, wreszcie zaczyna ludzkich słów używać i o przebaczenie wołać. Wtedy dopiero doktór roboty swej zaprzestaje, mówi coś, czego już ci wolni słuchacze nie słyszą, i w ogrodzie robi się cicho.

Student jeszcze tego samego dnia, zwracając za wybitą szybę kobiecie, od której mieszkanie odnajmował, wyjechał w niewiadomym kierunku i już go więcej u nas nie widziano. Doktorowej też już od tej pory prawie nie oglądano. Podobno zamknęła się później u siebie w pracowni, okna pozawieszała kocami i w ciemnościach długie tygodnie leżała, prawie się nie myjąc i prawie nie jedząc, każąc sobie tylko wódkę i papierosy donosić. A kiedy minęło jeszcze trochę czasu, znów po doktorową zajechała karetka, tylko większa niż przedtem, z dwoma mocnej budowy sanitariuszami, którzy powieźli ją do szpitala wariatów. Była to niby doktorowa, a nie doktorowa, niby ta sama kobieta, a inna. Zaniedbana koło siebie, brudna, z włosami nie uczesanymi, z twarzą obrzękniętą od płaczu i wódki. Wsiadła do tej karetki przepłoszona jakaś i cicha, wzrokiem w jeden punkt, w jedno miejsce niewiadome wpatrzona.

Od tego czasu w takim stylu upływało jej życie. Dwa, trzy miesiące w szpitalu wariatów, parę miesięcy w domu. Zrobiła się nie wiadomo kiedy kobietą postarzałą i całą w zmarszczkach. Były dni, że nabierała jeszcze chęci do życia, szykowała farby, sposobiła powysychane pędzle. Ale nic z tego, bowiem godzinami patrzyła tylko w rozpostarte płótno i żadnego nawet ruchu nie robiła, żeby namalować obraz. A doktór nie zwracał na nią uwagi, żył swoim życiem bywając u innych kobiet. Co miał jej zapewnić do utrzymania, to zapewnił, lecz niczego już od niej nie chciał, o nic nie prosił.

Arka czasami widywałam, udawał, że mnie nie poznaje, że jestem dla niego obca. Potem, kiedy wszedł już w lata, gimnazjum skończył i zaczął do wyższej szkoły chodzić, spotykałam go z ładnymi nawet dziewczynami. On sam nie jest urody nadzwyczajnej. Wysoki, ale dosyć tłusty, z okularami na grubym nosie. Gdzie mu do Januszka, który jest zgrabny i silny, i też do tego wysoki. Dziewczyny wprost oczu nie mogą oderwać. Z domu

Żurków rozlegała się nieraz wieczorami wesoła muzyka, różne odgłosy i śmiechy dobiegały z piętra. Doktorową, jeżeli aktualnie nie przebywała w Tworkach, zamykano wtedy na klucz, żeby niepotrzebnie jako wariatka do gości nie chodziła. Ta kobieta była już całkowitą ruiną, którą zniszczył wypaczony charakter.

Mówiłam też parę słów o Kalisiaku. Nigdy nie mogłam go spotkać. A i sama również nie chciałam do niego pójść. Dowiadywałam się tylko o nim od innych ludzi, a nie były to wieści wesołe. Długi czas chodził luzem, długo czekał, aż mu odpowiednie zajęcie znajdą. Podobno nawet chciał wrócić do fabryki i znów zwyczajnym być robotnikiem, ale zgody od wyższych władz nie otrzymał. W końcu tak się tym przejął, że dostał choroby sercowej i poszedł do szpitala. Później długo przebywał na wyczasach leczniczych dla ludzi zasłużonych. A kiedy wrócił stamtąd i znów się dostał między stare kłopoty, nowy go atak sercowy chwycił. Teraz już wyjścia innego nie było i Kalisiak otrzymał chorobową rentę.

Gnatkowski również był narażony na poważne zagrożenie jako prezes. Ale udało mu się. Poszedł na prezesa do innej spółdzielni, trochę mniejszej, gdzie wyplatano koszyki z wikliny i robiono wiklinowe meble. Do wyższej szkoły jednak musiał się zapisać, tak bowiem wynikało z jego papierów i niestarego jeszcze wieku.

O siostrach Burakowskich to właściwie nawet wspominać nie warto. Dalej żyły bez żadnego pożytku w wielkiej przyjaźni z kotami. Każda kocia przybłęda z całej okolicy mogła u nich znaleźć dla siebie przytułek. A one głaszcząc te koty i wydając na nie swoje i tak niewielkie pieniądze, przypominały sobie lata, które przeszły i które już nigdy nie wrócą. Pomimo tego nieżyciowego podejścia bardzo je polubiłam i dlatego pewnie nie podnosiłam im mojej godzinowej stawki, bowiem mi takich sierot, takich ludzi okaleczonych i nieprzydatnych żal było.

I tak odbiegłam od zasadniczej sprawy. Ale człowiek przecież żyje pomiędzy innymi ludźmi, więc i nawet nie wie, kiedy jego życie z ich życiem się przeplata.

Wiosna już wtedy nadeszła, a była to dla mnie zawsze

pora najpracowitsza. Ziemia obeschła, słońce coraz mocniej przygrzewało. Trzeba było się ogródkiem zająć, grządki od nowa skopać, nowe warzywa zasiać i posadzić. Każdą wolną chwilę spędzałam teraz ze szpadlem i z grabiami w towarzystwie Karolaków, którzy robili w ogrodzie to samo.

Nie sądzone mi jednak było do końca tamtej wiosny ogródek uprawiać. Lewa noga mnie coraz bardziej bolała, a i w prawej zaczęły się bóle ukazywać. Jadąc do mojego syna taki kawał drogi mocno przemarzłam, a i nerwy, bo przecież wszystko w całym organizmie pokryte jest nerwami, też tutaj musiały odegrać swoją rolę. Zaniemogłam tak, że ledwo powlękłam się do fabrycznego lekarza po poradę. Ten aż za głowę się złapał patrząc, co też choroba ze mną zrobiła.

Przebadał mnie, obsłuchał, zapytał, czemu to przedtem na żadnym okresowym przebadaniu na nogi się nie uskarżałam, a co najwyżej na niemożność zaśnięcia.

— Nie bolały mnie, panie doktorze — powiedziałam — a jak bolały, to nie na tyle, żeby o tym mówić.

— No tak — wyrzekł doktór — to przyszło nagle, te ostre zapalenie żył. Dobrze, że rozpoczęło się w nogach, skąd do całego organizmu jeszcze daleko. Dam pani od razu dłuższe zwolnienie. Proszę jak najwięcej leżeć. Otrzyma pani różne lekarstwa i odpowiednie zastrzyki. Czy opiekę domową ma pani zapewnioną?

— Nie za bardzo — odrzekłam — jest, co prawda, syn, ale aktualnie przebywa na dłuższym wyjeździe. Mogę tylko liczyć na pomoc sąsiedzką w niedużym zakresie.

— Tutaj więc — powiedział doktór — najlepszy byłby szpital. Ale co zrobić, kiedy w szpitalu remont? Zaczęli w grudniu, teraz już mamy kwiecień, a końca nie widać. Lekarze pensje biorą, pielęgniarki też, a nic innego nie pozostaje im, jak tylko chodzić na budowę i murarzy popędzać. Będzie musiała pani poleżeć w domu, choć widzę, że w nie najlepszych warunkach. To tylko mogę zapewnić, że pielęgniarka przyjdzie do pani w określonej porze rano i wieczorem zrobić zastrzyk. Po skończeniu zwolnienia proszę przyjść do mnie, zobaczymy wtedy, co dalej.

Z dużym trudem wróciłam do domu. Po opuszczeniu

gabinetu lekarskiego i ja zobaczyłam, że ze mną jest coś nie tak, że moje opuchnięte nogi poruszają się z bardzo dużym wysiłkiem.

Dokupiłam sobie jedzenia, ile mi było potrzeba. Przeprowadziłam naradę z Karolakową na ten temat, żeby udzieliła mi trochę pomocy, kiedy położę się nieruchomo do łóżka.

— Nieszczęścia przecież człowiek nie szuka — odpowiedziała Karolakowa — ono samo przychodzi. Ja i moje córki zajmiemy się panią w miarę naszej możności.

Leżałam przy otwartym lufciku, żeby trochę wiosennego powietrza zaczerpnąć, które miało zapach dymu z ognisk palonych po ogrodach. Czułam zapach świeżej ziemi i słyszałam krzyki dzieci oraz nawoływania mężczyzn z ulicy. Dudniły badylarskie wozy, jadące na targowisko ze szklarniową zieleniną. Dobrze było tak leżeć nic nie robiąc, nigdzie się nie spiesząc. Gdyby mnie nogi nie bolały, tobym nawet zadowolona była z takiego prawdziwego urlopu. Karolakowa chodziła koło mnie, zawsze mi jakiejś zupy na obiad przyniosła, ale już najbardziej troskę wykazywały obydwie jej córeczki, Joasia i Zosia. Joasia to już była panna, na czternasty rok jej szło. Dobra zapowiadała się z niej dziewczyna, uważająca na innych i grzeczna. Młodsza, Zosia, też była dzieckiem dobrym, ale jak to jeszcze w młodszym wieku bywa, trochę był z niej latawiec. Narzekać jednak nie mogłam, bowiem nie sądziłam nawet, że mi się tak dobrze w czasie tej choroby ułoży, że tyle starania będą mieli o mnie ludzie przecież mi obcy.

Zwolnienia miałam dziewięć dni i przez ten czas polepszyło mi się na tyle, że już z mniejszym bólem mogłam chodzić o własnych siłach. Chciałam od razu iść do roboty, ale i Karolakowa, i Karolak, który przez ten czas, wcale o to nie proszony, pięknie ogródek mi skopał, powiedzieli, żebym głupia nie była i do końca się wyleczyła.

Poszłam więc znów do lekarza zakładowego i dalszych siedem dni zwolnienia dostałam, i nowe lekarstwa, i już inne, zapisane dla wzmocnienia organizmu, mniej bolące zastrzyki.

Co się jednak wywczasowałam, to wywczasowałam.

Dawno nie było mi już tak dobrze, dawno nie miałam podobnej opieki. Leżąc w łóżku wycofywałam się pamięcią do minionych dni, do bliższej i dalszej przeszłości. Zobaczyłam, że najwięcej pamiętam nieszczęścia, te wszystkie sprawy przykre, które Bóg na mojej drodze umieścił. A czy nie było tam chwil jaśniejszych, takich, po których człowiekowi lżej na duszy i radośniej w sercu? Rzecz jasna, były, ale w niewielkiej ilości. I po każdej takiej chwili szło zaraz w poczwórnej ilości nieszczęście i wszystko, co dobre, głuszyło.

O Januszku teraz nie wspomnę, ale weźmy moje życie od drugiej strony. Było mi różnie, bardzo źle, trochę lepiej, a przez krótkie chwile nawet bardzo dobrze. A kiedy nareszcie po tylu latach zaczyna mi się układać, ginie Owocny, który zapragnął być moim mężem.

Dużo myślałam o nim, a w myślach tych długo zastanawiałam się, czy z tą znajomą sobie sędziną prawda była, czy też oszukał mnie stosując męski wybieg względem upragnionej kobiety. Gdyby nawet oszukał mnie, nie miałabym mu w końcu tego za złe. Polubiłam go bowiem za twardy charakter i nieprzejmowanie się trudnościami.

Do takich myśli mnie ta choroba doprowadziła, każąc mi w biały dzień leżeć jak umarłej w łóżku. Nie przyzwyczajona byłam ani do leżenia, ani do osłabienia organizmu. W domu przecież tyle jest pracy, nawet jeśli człowiek tylko sam na sam z własną osobą przebywa.

Żeby chociaż Karolakowa chciała dłużej posiedzieć, pogadać, troskę odegnać. Ale ona jak na złość, ucha gdzie indziej tak chętnie nastawiająca, we własnym domu ciągle nie miała czasu. Joasia tylko trochę na dłużej przy mnie siadywała, ale i ona przecież miała swoje obowiązki na głowie, pracę przy obsiewaniu ogródka i przy odrabianiu lekcji. Co oni robią, myślałam o Karolakach, że te ich dzieci jak w zegarku chodzą i grzeczne są takie i wychowane. Nawet ta młodsza, Zosia, żwawa jak mały ptaszek, zawsze miała uprzejme słowa dla mnie i uśmiech na twarzy.

Im dalej w las, tym mnie to leżenie do większego smutku doprowadzało i do takich myśli, że słaba jestem i bezużyteczna. Ale już do wariacji prawie zaczęłam do-

chodzić, kiedy umysł mój od nowa zajął się Januszkiem. Miesiąc przeszło przeminął, a nie otrzymałam żadnej wiadomości z domu poprawczego. Wychowawca miał mi przecież napisać, jak się syn zachowuje. Może więc jest tam tak dobrze, że wspominać nie warto, albo z drugiej strony tak źle, że papier takiego opisu nie chce przyjąć. Od tej chwili żadnego już smaku nie miałam w leżeniu i od nowa zaczęły się noce bezsenne, pełne przewalanki z jednego boku na drugi. Trzy dni tylko z nowego zwolnienia chorobowego wytrzymałam w łóżku, a pozostałe już spędziłam chodząc i coraz więcej pracując. A było to zbyteczne, bo Karolakowie już mi grządki zaczęli obsiewać i gdybym do końca w łóżku wyleżała, miałabym jeszcze więcej w ogródku odwalonej roboty.

Z chorobowego powróciłam jeszcze nie przy całkowitych siłach. Nogi mnie już mało bolały, ociężałość w nich tylko czułam i często swędzenie małego palca od ugryzienia jaszczurki. Dni były już bardzo ciepłe, za ciepłe jak na kwiecień. Nagle przyszło oziębienie i wiatr zerwał się straszny, pioruny zaczęły bić w samo południe przy bardzo pociemniałym niebie, a potem zaraz grad spadł i śnieg zaczął walić wielkimi płatami. W jednym miejscu wszystkie się kobiety ze stołówki zbiegły, przysłuchując się, czy to aby nie w nasz zakład tłucze artyleria niebieska. Szkoda by było tak dużej pracy ludzkiej, tego dobytku, co się przecież nie pomniejszał, ale powiększał. Ale nie, Pan Bóg swoje armaty w inne miejsce nacelował, a nam nadesłał zimno i śnieg przy dobrze już rozwiniętych listkach na owocowych krzakach agrestu i porzeczek. Długo potem niespokojna byłam, czekając na nowe nieszczęście, jakby mi tych, które miałam już od losu zapisane, było mało.

I tym razem też się nie pomyliłam, tym razem też przeczucie mnie nie zawiodło. Syn mój znów duże zainteresowanie wywołał swoją osobą. Uciekł z koleżką i ta ucieczka, chociaż nie była długa, trzy dni zaledwie trwająca, dużo gorsza okazała się w swoich skutkach niż poprzednia. Połączona była bowiem z kradzieżą w spółdzielni spożywczej, z wzięciem wina, papierosów, a także

z rozbiciem kasy z niedużą ilością pieniędzy. Wiadomość otrzymałam w urzędowym liście, jaki zastałam wetknięty w drzwi po powrocie z roboty do wyziębionego domu. Dobrze chociaż, że napisany był pismem maszynowym, o wyraźnych literach. Bo do nikogo bym już nie poszła z prośbą o odczytanie. Ludzie przecież mają dosyć własnych zmartwień i kłopoty Smoliwąsowej im niepotrzebne.

Będzie to już chyba piąty pana pobyt u mnie, piąty wieczór wypełniony gadaniem nie douczonej kobiety. Ale tu przecież nie chodzi o byle co, ale o ratunek dla mojego dziecka, za którym niesprawiedliwość przez całe życie się wlecze i wlecze. Jeszcze trochę pańskiej cierpliwości, jeszcze trochę dobrej woli jako słuchacza, a już niedługo dowie się pan o wszystkim. Dzisiejszy wieczór powinien być całkiem spokojny. Oni myślą, że pan jest z prokuratury, i dlatego będą się bali dziś przychodzić. Przyjdzie tylko taki, który nie wie, albo już za bardzo jest nachalny. Januszek był tu lubiany, ze względu na szczery charakter dla obcych ludzi. Mnie też wszyscy znają i nikt nie chce mi szkodzić.

Po przyjściu urzędowego pisma znowu wszystkie życiowe siły ode mnie odeszły, nie chciało mi się ani robić, ani zadbać koło siebie. Trwało to jakiś czas, dzień czy dwa, i było to nawet widoczne u mnie w pracy, na co zresztą koleżanki zwróciły uwagę. Nawet sama kierowniczka, dla której przy moim stażu byłam osobą trudną do zastąpienia, była niespokojna.

— Co pani jest — zwróciła się do mnie — czyżby się nowe zwolnienie szykowało? Bez pani obecności nasza praca mocno się komplikuje. No, ale jeśli już jest choroba, to nie ma na co czekać.

— To inne sprawy, pani kierowniczko — powiedziałam — i one mają takie działanie na moją osobę.

— Rozumiem — powiedziała kierowniczka — ale czy w tym zakresie my, jako załoga stołówki, możemy pani coś pomóc?

— Tu mnie nikt nie pomoże — odrzekłam — chyba że Bóg albo diabeł.

I takim sposobem synek mój przedłużył sobie znowu pobyt w domu poprawczym. Wychodziło na to, że uda-

wał się tam jeszcze jako chłopiec, a wróci, jeżeli już nic się nie wydarzy, jako dorosły mężczyzna.

Po tym nowym nieszczęściu żyłam jak otumaniona. Ludziom wstydziłam się przyznać do mojego strapienia. Postanowiłam też skończyć z dodatkową pracą. Bo i po co się męczyć, jak nie ma dla kogo? Oszczędności, jakie miałam, wystarczyły w zupełności na państwowe mieszkanie dla Januszka. A o resztę niech się już syn mój martwi sam.

W tą poważną decyzję ludzie nie chcieli uwierzyć. Gnatkowska nawet zapłakała, nie mówiąc już o siostrach Burakowskich, które w ogóle nie chciały przyjąć do wiadomości tego faktu. Ale cóż? Nie te zdrowie i nie te lata, żeby tak pracować.

Zakończył się więc duży rozdział mojego życia, o którym teraz rozmyślałam po całych dniach z takim zastanowieniem: w jakim miejscu zrobiłam tą najważniejszą omyłkę. Gdzie i w którym dniu to wszystko się rozpoczęło? I chociaż głowę łamię, nie wiem, czy to była moja wina, czy też zapanowała taka wszechświatowa zaraza na młodzież. Bo gdzie nie spojrzeć, to wykolejeńcy, tacy, co niczego nie chcą uszanować i za byle co mają rodziców, władzę i Boga. A do takich przystąpił mój Januszek już w młodym wieku. Tylko że jemu pokutę za to wyznaczono, a te tysiące, którym nic nie jest, zarazę dalej sieją.

Myśląc o nim, wiedziałam, że teraz nic mi nie przyjdzie z dokładnego planowania, z nakreślenia jego przyszłości. Nie wiedziałam, jaki on jest i jaki będzie, i czy wróci podobny do ludzi, czy cały w obrazkach, że wstyd będzie wyjść z nim na ulicę? I ja też już byłam inna, już żyłam z chorobą w środku. A do takiego życia nie byłam jeszcze przyzwyczajona i on też pamiętał mnie inną.

Od czasu jego nowej ucieczki poza urzędową wiadomością żadnej innej wiadomości nie miałam. Niepokoiło to mnie i gryzło, i moją kobiecą i matczyną ambicję drażniło. Tamten wychowawca obiecał mi o Januszku pisać, ale jak do tej pory nie sięgnął po pióro. Być może też, że syn mój

otrzymał już przydział do nowego opiekuna, a może to dzisiejsza młodzież taka już jest, że obiecane słowo nic dla nich nie znaczy, a używa go się tylko dlatego, że trzeba w towarzystwie coś mówić.

Zaczęłam więc żałować tamtych moich słów, choć przecież od razu widać było, że nie były prawdą. Żadna matka nie zapomni swojego dziecka, chociażby z niego był najgorszy wyrodek. Myślałam więc znów pojechać, zobaczyć, co się z nim dzieje. Może i on odwoła te słowa, które do mnie powiedział? Nie mogłam bowiem na sto procent uwierzyć, że tak myślał.

Jednej rzeczy nie brałam tu całkowicie pod uwagę. Choroby. Żylaki miałam coraz większe, a opuchlizna na łydkach i koło kostek wcale do końca nie chciała ustąpić. Mały palec u lewej nogi dalej mnie swędział, nocami piekł i był czerwony. Wredny jad muszą mieć czasem leśne stworzenia. Tak dużo lat minęło, zanim ten jad zaczął działać wywołując chorobę organizmu. Ale na razie od zwolnień się wstrzymywałam, o chorobie starałam się nie pamiętać. A na stołówce robota ciągle stojąc, w wilgoci i przy dużym gorącu bijącym od kotłów. Kotły jak i sam piec kuchenny ciągle opalane były węglem, chociaż mówiono już, że zastąpi się je opalaniem gazowym albo elektrycznym.

Najważniejsza jednak dla mnie była chęć ujrzenia syna. Ale jak tu mówić o wyjeździe, jak myśleć o rozmowie z nim, kiedy cała stopa od lewej nogi znów spuchła mi okropnie. Faktem jest, że z tydzień przed tym zjawiskiem potknęłam się silnie o uliczny kamień. Palec od razu mi zasiniał, więc i jad otrzymał dobre warunki do życia. Nie obejrzałam się, kiedy w ślad za palcem i stopą napuchła mi cała noga. Poszłam do lekarza, pokazałam przyczynę mojego bólu. A lekarz od razu na mnie, od razu krzyk podnosi, dlaczego mu wcześniej o tym nie powiedziałam i czemu dopiero teraz do niego przychodzę, kiedy fakt potknięcia miał swoje miejsce kilka dni temu.

— A mało to razy się potknęłam — odrzekłam — obijając sobie nie tylko nogi, ale boki i ręce? Z byle gównem, panie doktorze, przychodzić to nie dla mnie. Względem zaś tego, że mnie jaszczurka ugryzła i jaszczurczy jad miałam w sobie, to zapomniałam powiedzieć, bowiem

jad długo mi się w nodze nie odzywał i raczej był spokojny.

— Co też pani gada? — krzyknął lekarz. — Jaki jad? Od kiedy to jaszczurki mają zęby i gryzą?

— Pan doktór — mówię — pewnie nigdy w prawdziwym lesie nie był i leśnej jaszczurki nie widział, takiej, co w czarnych jagodach żyje.

— Dobra — krzyknął doktór — nie byłem. I niech będzie, że panią nawet żaba ugryzła. Ale ja tu zakażenie widzę i całkiem nową chorobę w trudno uleczalnym gatunku. Natychmiast szpital.

— Nigdzie nie pójdę — powiedziałam stanowczym słowem — mnie szpital jest niepotrzebny. A jeśli już o to się rozchodzi, to mogę umrzeć w domu.

Doktór uniósł się z krzesła, oparł się rękami o lekarskie biurko i zaczął krzyczeć:

— Na siłę zabiorę! Ludzi każę wezwać albo milicję, żeby tę kobietę zakuła w kajdany. Siostro — zawołał do pielęgniarki. — Drzwi proszę zamknąć i niech zaraz karetka podjeżdża i chorą zabiera.

Ale tu pomylił się doktór. Nie do mnie takie rozkazujące słowa. Więc i ja podnoszę się z krzesła, patrzę, co tu w rękę chwycić, jakim przedmiotem o podłogę walnąć, gdy nagle ciemno mi się w oczach robi i całe czucie z ciała odpływa.

Przytomność mi wraca dopiero w karetce, kiedy już jedziemy, nie wiem, w jakim kierunku. Doktór siedzi przy mnie, pulsy mi liczy, spoglądając się na mnie zamyślonym spojrzeniem. Leżę na noszach, nad głową mam biały dach karetki, a pod plecami wyboje i dziury na drodze. W pierwszej chwili chcę zeskoczyć albo przynajmniej usiąść, ale słabość mam taką w całej mojej osobie, że ledwie głowę mogę unieść i nogami trochę poruszać pod kocem.

— No i widzi pani — odzywa się doktór — na chorobę mądrego nie ma. Ona najsilniejszych połamie. Biednych i bogatych położy.

— Osobiście nic mi nie jest — odzywam się do doktora — osłabienie tylko takie mnie ogarnęło z powodu wiosennej pogody.

— Nie wiem, co tu najpierw podziwiać — powiedział

doktór. — Całkowite nieuświadomienie czy ten niczego nie bojący się charakter u kobiety?

Położyli mnie do szpitalnego łóżka nie pytając o zezwolenie. Och, gdybym znajdowała się przy swoich normalnych siłach, to kto by mnie do czegoś takiego zmusił? Kto by mi nakazał leżeć w takim miejscu, gdzie człowiek nie jest pewien ani dnia, ani godziny? A bo to wiadomo, czy się stamtąd żywym wyjdzie, czy nogami do przodu na tamten świat, gdzie już niczego nie potrzeba? Ja to myślę, że szpital też ma swoje plany. Tylu a tylu uzdrowić, tylu a tylu na cmentarz wyprowadzić. A co zrobić, kiedy ozdrowionych jest za dużo, a umarłych pod koniec miesiąca brakuje? Czy człowiekowi nie podadzą wtedy jakiejś trucizny albo czegoś jeszcze gorszego? Nikt się przecież nie chce wyższym urzędom narażać, jeżeli co innego wychodzi, niż plany podają. Wiem o tym dobrze, tyle lat przecież pracuję w zakładzie państwowym. Co więc zrobić, żeby chorej na nogę Smoliwąsowej urzędniczka nie podciągnęła pod plan pogrzebowy?

W nocy zasnąć nie mogłam. Patrzałam, co się chorym podaje, jakie piją lekarstwa, jakiego koloru i o jakim wyglądzie łykają proszki. Jeżeli ja jakieś inne otrzymam, pomyślałam, to łykać ich nie będę, tylko wyrzucę do ustępu. Siostra pójdzie, a ja proszki w garść i na tym bolejącym kulasie udam się niby za potrzebą. Ale nie na wiele zdała się cała ta kalkulacja. Ledwie jedną noc przespałam, a tu z rana lekarzy tyle, że w szpitalnej sali pomieścić się nie mogą. Zadzierają mi do góry koszulę, obmacują tu, obmacują tam, nie chcąc skromności ani wstydliwości uszanować. Zabieg w trybie natychmiastowym, brzmi wypowiedź tego najgłówniejszego, sala ma być zaraz przygotowana do operacji.

O Jezu, pomyślałam, to może mi oni nawet całą nogę odejmą, kaleką do końca życia zrobią? A co wtedy? Męka nieustająca, łaskawy chleb, bo co tej renty kalece przypadnie?

— Hola! — mówię — panowie doktorzy, co wam moja noga przeszkadza, że ją odjąć chcecie? Roboty wam brak?

— Tylko paluszek, szanowna pani — zaśmiał się ten lekarz najgłówniejszy — żeby nogę odcinać, to ja takiej potrzeby nie widzę.

On tak mówi, a ja patrzę, czy pomiędzy lekarzami nie widać osoby doktora Żurka, przecież też w szpitalu pracuje. A gdyby był, to ja bym już nic do powiedzenia nie miała. Kazałby mnie pewnie całą na kawałki pociąć, żebym bez śladu przepadła. Ale nie. Nie ma go tutaj. Pewnie w innym budynku chorobami ludzkimi zarządza. Tak myślałam i takie obawy miałam. Ale tu już i czasu nie było na ten mój lęk i na myślenie. Co tam jeden palec, i to najmniejszy? Od dawien dawna jest chory, a od jaszczurczego jadu jeszcze nikt nie uciekł.

Lekarze już do innych chorych, których jeszcze pięć leżało na sali, idą, więc szybko wołam za nimi:

— Tu nie ma takiego musu, żeby zaraz chwytać za nóż. Mnie za moich lat dziecinnych jaszczurka w czarnych jagodach ugryzła. Jad po latach odzyskał siłę, stąd mi się więc opuchlizna i cała choroba wzięła.

Lekarze w śmiech, inne chore na sali w śmiech, jakbym im coś bardzo wesołego powiedziała. To głupi ludzie, myślałam, nic nie wiedzący, na niczym się nie znający. Mało to wypadków było, że przez jad jaszczurczy nie tylko palec i nogi, ale i życie tracono? Medycyna o wielu rzeczach, które się na świecie dzieją, nie wie i długo jeszcze wiedzieć nie będzie. Ten najgłówniejszy lekarz śmieje się też szeroko, aż mu wszystkie sztuczne zęby widać.

— Proszę się nie obawiać — mówi — już my dokładnie obejrzymy, jakich to jeszcze szkód jaszczurka pani narobiła. A bez potrzeby paluszka nie ruszymy.

I zaraz potem, ilu ich na sali było, z piętnaście pewnie białych fartuchów, cała ta nabojka poszła gdzie indziej remanent robić. Moje baby jeszcze chichoczą, jeszcze coś szepczą jedna do drugiej. A tylko mnie wcale nie jest do śmiechu i prędzej na płacz mi się zbiera. Bo tutaj, w tych szpitalnych warunkach, człowiek bez żadnych jest możliwości, żeby stanowić o sobie.

Nie minęła godzina, a znalazłam się na sali operacyjnej. Tu, nie wiadomo kiedy, otrzymałam taki zastrzyk, po którym całkiem już nie wiedziałam, co się ze mną dzieje. Po obudzeniu się miałam palec odjęty, a poza tym jeszcze dwa głębokie nacięcia zrobione na stopie, żeby ropa do końca z nogi zeszła.

W szpitalu byłam więcej niż miesiąc. Nie dlatego, aby mi się rany tak długo goiły, ale dlatego, że powynajdywano jeszcze dużo różnych chorób u mnie, o których nawet sama nie wiedziałam. Ale ostatecznie nie było w tym nic złego, żeby sobie w wygodzie i w ciszy poleżeć. Jeżeli nie uśmiercono mnie do tej pory, myślałam, to i pewnie dalej nic mi nie będzie. Wpisano mnie widać do żywych. Proszki pomimo tego dla większej pewności wyrzucałam do ustępu.

Ale tak naprawdę to bardzo dobrze mi tu było i wygodnie. Łóżko miękkie, z siostrami daje się wytrzymać, za bardzo nie marudzę, a i inne chore też mogły ujść w tłoku, za wyjątkiem jednej, która za bardzo chrapała. Ze trzy razy wpadła do mnie Karolakowa, jak również przychodziły koleżanki z pracy. Gdyby Januszek, myślałam sobie, był takim samym człowiekiem jak inni ludzie, toby co dzień odwiedzał matkę w szpitalu, przynosząc jej bardzo dużo kwiatów. Ale i u niego chyba teraz jest lżej, w tej pustce pomiędzy barakami a wodą? Zielenią się drzewa, rzeka straciła swój nieprzyjemny zimowy kolor. Pod wpływem tej zmiany może zmieni się i mój syn i serce się w nim otworzy dla innych ludzi i rodzonej matki? Tę nadzieję każdemu mieć wolno, nawet jeśli w nim więcej jest choroby i nieszczęścia niż chęci do życia.

Od tej choroby jakoś mi się na dobre zaczęło obracać. Koleżanki nagrodę mi przyniosły, trzysta złotych z powodu Pierwszego Maja. Takich nagród od czasów Kalisiaka prawie nigdy na stołówce nie było. Może tylko kierowniczka z okazji państwowej jakąś dolę otrzymywała, ale tego dokładnie nie wiem. Myśmy jednak nie otrzymywały nic, jako osoby nie liczące się w produkcji zakładu. A teraz, proszę, i ja, i inne trzy koleżanki. Takie poważne uznanie cieszy człowieka i jest mu zachętą do lepszej pracy.

Najważniejszą jednak radość przyniosła mi Karolakowa. List od mojego syna. Nareszcie Januszek napisał, przypomniał sobie, że jest na świecie ktoś taki jak jego matka, która cierpi przez niego i tęskni do jedynego syna. Nie wiem, ile razy ten list czytałam, z początku nie

mogąc poznać wszystkich liter. Ale potem nauczyłam się go na pamięć, taki był dla mnie miły i przyjemny.

„Kochana mamusiu — pisał mi — w pierwszych słowach mojego listu donoszę Ci, że zdrowie mam w porządku i nic mi specjalnie nie dokucza, za wyjątkiem niedużego kaszlu, który mi się przyplątał pod celą. Gdybym miał ten rozum, który posiadam w chwili obecnej, to, kochana mamusiu, nasze życie płynęłoby jednym torem, a nasze serduszka jednakowo uderzały. A tak moje życie płynie za kratą z powodu głupoty, a twoje też usycha w samotności. Ale i ja kiedyś na wolność powrócę i na naszą chatkę popatrzę, za którą bardzo już tęsknię. A jeżeli już rozchodzi się o ten skok na sklep, to nie myśmy, ale nie znani nam osobnicy dokonali tej kradzieży. Myśmy tylko ich skrytkę w krzakach odnaleźli, a tam trochę papierosów i wina. Za tamte moje słowa bardzo mamusię przepraszam i dodam tu taką rzecz, że nie były to słowa prawdziwe, ale wymówione w złości. Boję się, kochana mamusiu, czy aby nie uwierzyłaś w to, co do Ciebie wypowiedziałem. A przy tym jeszcze miałaś rozmowę z tym wychowawcą, który chłopaków w swoim pokoiku do różnych rzeczy namawiał i który mnie do mocnych nerwów doprowadził. Nie ma go już u nas, z czym nawet jest dobrze, boby go jeszcze jakieś nieszczęście spotkało i ktoś niewinny by beknął za to. To by było, kochana mamusiu, chyba wszystko, co do mojego życia. Dowiedziałem się też, że mam duże zamiłowanie do muzyki, i uczę się gry na gitarze. Do szkoły też chodzę, która jest u nas na zakładzie. Ściskam więc mamusię bardzo serdecznie i życzę zdrowia. Ale jakby mamusia przysłała mi te parę groszy, tobym nie odmówił. Jeszcze raz całuję mamusię, kochający syn Janusz."

Nie wiem już, który raz czułam całą moją osobą, każdym nerwem, całym swoim sercem matki, że Janusz się zmienia. Zobaczyłam w nim bowiem po chuligańskich latach tą mądrość życiową, która jest najważniejsza, bo uczy, czego najmocniej się trzymać. Złe musi przecież w końcu przeminąć, a dobre na wierzch wypłynąć. Tak czułam to, leżąc w szpitalu i czekając, żeby jak najprędzej powrócić do domu, w którym Janusza znów widziałam jako mojego syna. Skończy mu się kara, przy-

jedzie z tej dalekiej strony, a już wtedy pospólnie wić mu będziemy jego gniazdko. I pomyśleć, tyle lat go znałam, tyle czasu w męce nosiłam w sobie, a o jego zamiłowaniu do muzyki nic mi nie było wiadome. Owszem, czasem zaśpiewał ładnym głosem, ale kto by zwracał na to uwagę. Ja też nieraz śpiewam, głos, jak mówią, mam dobry, nadający się nawet do występowania na chórze w kościele, ale żeby uczyć się gry na instrumencie muzycznym, to nawet mi do głowy nie przychodziło, bo i niby po co jest człowiekowi muzyka? Chyba że na weselach się muzykuje albo jak dawniej na jarmarkach czy innych zgromadzeniach. Nawet dochód można mieć z tego i żyć z takiego powodu zamożniej. Może więc napisać do Janusza, żeby skrzypcami albo harmonią się zajął. To bowiem lepsze są instrumenty, bardziej nadające się do gry w publicznym miejscu. Zaraz więc zaplanowałam sobie, jak tylko stąd wyjdę, udam się do Jachimowa, żeby mi ładny liścik napisał i pieniężny przekaz dla Janusza wypełnił. Nawet w domu poprawczym potrzebne są człowiekowi pieniądze, żeby sobie jakiś drobiazg kupił, choćby grzebyk albo te parę deka słodyczy czy ładny papier na listy do domu.

Inne pacjentki, co na sali leżały, pewnie nadziwić się nie mogły, dlaczego tak mi się odmieniło zdrowie i humor. Ta leży z wyciętą żółcią, tamta z rakową piersią, którą jej właśnie odjęli, innej znów, chudej jak suchy drąg, wrzody się na żołądku zalęgły, więc i tam nóż lekarski zajrzał. Kupa nieszczęścia w szpitalu się znajduje i co i raz ktoś nogami do przodu przez zimną kostnicę wychodzi do lepszego świata. Ale jak tylko lepiej, jak ból przemija albo chociaż na trochę odchodzi, zaraz radość powraca, ludzie ze swego nieszczęścia się śmieją. Tak stało się i ze mną. Ledwie nadszedł list od Januszka, ledwie pojawiła się nadzieja na lepsze, już i wesołość pokazała się na mojej twarzy i dużo większa chęć do rozmowy.

Muszę tu panu powiedzieć, że wszyscy lekarze mieli duże uznanie dla mojej cierpliwości i odporności zdrowotnej. Nie byłam grymaśna, na pokarm szpitalny nie narzekałam, chociaż niektóre kobiety dawały taki pozór, jakby całe życie były na hrabiowskim wikcie, więc to,

co szpitalne, dla nich się nie nadaje i podług nich powinno być od razu niesione do chlewa. Tylko że to hrabiostwo miało często pochodzenie murarskie albo z takich dworów, które się handlem, mając własne stragany na bazarach, zajmują. Bywało też pochodzenie inżynierskie albo z klasy urzędniczej, ale to takie, gdzie jeszcze w rodzinie odchodzi prawowanie o ojcowe morgi. Po mojemu to szlachetność i wyższe pochodzenie człowieka objawia się nie w słowach i grymaśnym podchodzeniu do życia i rzeczywistości, ale w sprawiedliwym podejściu do wszystkich ludzi, nie w udawaniu, czym to ja nie jestem.

Po wyjściu ze szpitala otrzymałam jeszcze dwa tygodnie zwolnienia i skierowanie na podleczenie w sanatorium. Pierwsze jednak, co postanowiłam zrobić, to list ułożyć do mojego syna, żeby wiedział, że razem z nim się cieszę z takiego obrotu sprawy. Och, jak bardzo chciałam usłyszeć w tamtej chwili jego grę na muzycznym instrumencie i zobaczyć, że inni ludzie słuchają go z dużą uwagą.

Rozgadałam się, sięgając do różnych spraw odbiegających od najgłówniejszego tematu. Ale co zrobić, kiedy od dawna z nikim nie mogłam tak rozmawiać. Dodam tu jeszcze taką rzecz, że pan nie bawi się z chorą kobietą w za bardzo dobre wychowanie i nie myśli tylko o tym, kiedy ta stara baba nareszcie skończy. Parę już tygodni przeminęło, jak pan pierwszy raz zawitał w progi mojego domu. Przez ten czas przywykłam do pana jak do bardzo dobrego znajomego, chociaż pan przeważnie obraca się w sądzie, a nie w normalnym życiu, i więcej ma do czynienia z prawem niż zwyczajną troską o zwykłe sprawy dnia codziennego, dla których prawo nie zawsze ma przychylne oko. Ale jak żyć, żeby się nigdzie ani nikomu nie narazić? Według mnie to zupełnie niemożliwe. Niech pan taki fakt pod swoją uwagę weźmie. Robotnik fuchę robi, żeby zarobić na wędlinę do rodzinnego bochenka chleba albo też na pół litra, ażeby je wypić w koleżeńskim gronie. Więc co? Jest kryminalistą? Państwowe przecież odrobił, a że znalazł i mały bok dla siebie? Zależy, jakim okiem na to popatrzeć. A jaka ja

byłam? Zupy, ziemniaków, klusek, co zostały, mogłam zabrać do domu, ile chciałam, i nawet trudno mieć wyobrażenie o innym podejściu. Ale przecież ja brałam i mięso, i kiełbasę czy inną wędlinę, wcale nie brakową, tylko w najlepszym gatunku. Prowiantu było na tylu a tylu, a tu patrzeć, ze dwudziestu na chorobie. Więc co? Wyrzucić? Dać innym, żeby nas za głupie wzięto, co to się do roboty na państwowym całkiem nie nadają? Co by wtedy o mnie lub o moich koleżankach inny człowiek pracy pomyślał? Nic, tylko że na stołówce pracują kobiety nierozgarnięte i ciemne. A takich wystrzegać się trzeba, bo same nic z życia nie mają i drugim zazdroszczą. O wyższych stanowiskach niewiele powiedzieć mogę, bo też i niewielkie rozeznanie miałam. Tyle tego, co przy sprzątaniu, tyle co w rozmowie z jakimś postronnym człowiekiem. Święci byli, a i czasem też teraz na takiego natrafić można, co to, tak jak Kalisiak, o osobistej korzyści nie myśli, ale ich już coraz mniej, a w młodym pokoleniu to nie ma ich prawie zupełnie.

Teraz wiem, że koło życia trzeba mieć staranie, bo inaczej wymknie się z rąk i żadnego uznania się nie uzyska ani w domu, ani w pracy, ani w żadnym innym miejscu. Człowiek biedny, pozbawiony dobrej sytuacji majątkowej, w oczach innych ludzi i najbliższej rodziny jest niczym. Co kogo obchodzi ten fakt, że ktoś ukończył bardzo wysokie szkoły, jak chodzi z gołym tyłkiem? Inny, dajmy na to, może być cep ledwie co na człowieka odrobiony, ale jak założy porządny garnitur z dobrego materiału, a na to kożuch, a na palce grube złote pierścienie, to z daleka każdy mu się kłania, i kelner w eleganckiej restauracji, i urzędnik w państwowym urzędzie.

Pan, widzę, też niedużo lepszy. A jakie to paletko ma pan na sobie wiatrem podszyte, o cenie nie większej niż dwa tysiące złotych. Buty też raczej z tych tanich, co to każdy może sobie kupić, widzę na nogach mecenasa. Więc domyślam się tu takiego charakteru, co bardziej pomaga innym niż samemu sobie.

Boże mnie skarz, jak chciałam pana urazić. To tylko na marginesie całych wydarzeń mojego życia. Kiedy tak sama siedzę w domu i patrzę w okno, za którym bujają się czarne gałęzie drzew, to widzę tyle spraw,

tyle różnych wydarzeń, że trudno czasem nie pomyśleć o ludzkich zagadnieniach, o przyczynie czyjegoś szczęścia albo nieszczęścia. Mówiłam więc to w ogólniejszym sensie, a nie do pojedynczego człowieka, znaczy do pana.

Cieszę się, że mnie pan rozumie, bo nie ma nic gorszego, jak dwoje ludzi mówi do siebie, a z rozmowy wychodzi tak, jakby mówili całkiem do kogo innego. Myśląc w tej samotności o latach, które przeminęły, mogłam przekonać się w całej okazałości, czym jest uczciwość w życiu człowieka, jak ona się w końcu liczy, kiedy to raczej majątek ma się na uwadze i znajomości w wyższych urzędach i biurach, a nie to, po czyjej stronie jest prawdziwa słuszność i uczciwość. Pan jest człowiekiem młodym, jeszcze na dorobku i nasza sprawa dla pana też przecież żaden cymes czy jakieś nadzwyczajne wydarzenie. Ale wziął pan ją, podjął się pomóc starej kobiecie.

Wracając więc do najgłówniejszego tematu, powiem tu panu tylko tyle, że ja z tego szpitala nie wyszłam, ale wprost wyfrunęłam z tego szczęścia, że mam list od mego syna w kieszeni. A w tym liściku jeszcze jedną nadzieję na poprawę jego charakteru i naszego dobrobytu. Uspokoił się przecież, gra na instrumencie muzycznym, to co może mu zagrażać przy takiej dodatkowej kwalifikacji? Nawet mleka ptasiego nie będzie mu brakować, jak sobie do zarobków państwowych dorobi jako muzykant.

Lepiej się czułam, w dodatku rany na nodze prawie że wygojone, a tu jeszcze tyle wolnego. Pan Bóg nareszcie nas okiem swoim dobrym dojrzał i jego łaska na Smoliwąsową spłynęła. A może i Januszek całej swojej działki nie odsiedzi, jak sobie znalazł takie pouczające i kulturalne zajęcie. Bo kiedy pomyślałam o tym, co mu pozostało z pierwszego wyroku, i o tym, co mu dołożono po ostatniej ucieczce, to jakby nie liczyć, wychodziło jeszcze trzy lata siedzenia. A przecież on wcale sklepu ze swoim kolegą nie okradł, tylko pożywił się znalezionym. Ale jak już ktoś chociaż raz uznany jest za winnego, to już później podejrzenie przez całe życie idzie za nim.

Tak było i z moim synem, który swoją głupotą zawsze za kogoś płacił.

To, że palca małego nie miałam u lewej nogi, nie było dla mnie przeszkodą. Ja nie z takich, którym byle co zawadza, jak, za przeproszeniem, zadra w nieprzyjemnym miejscu. Przecież zawsze miałam jakieś bóle, które wynikają z ciężkiej pracy. To boli ręka, to noga, to głowa jest boląca i ciężka. Najważniejsze, myślałam, żeby mi znów nogi nie puchły, bo za takim czymś, jak amen w pacierzu, był szpital. A tam, nawet jak dobrzy doktorzy się znajdą i dobre, przynoszące ulgę w cierpieniu leki zapiszą, to siostry mogą coś pochachmęcić.

Na drugi dzień, jak w domu się pojawiłam, zaraz list do Januszka został napisany, jak również przekaz pieniężny na całe trzysta złotych Jachimową ręką. Niech wie, że ma matkę, która skąpą nie jest dla rodzonego syna. Wyraziłam się w liście o swojej tęsknocie, o sercu matki, która czeka i cierpi. Ale ani jednym słówkiem wspomnieć mu nie chciałam, że niespodziankę dla niego w postaci własnej osoby szykuję. Takie bowiem urodziło się we mnie postanowienie, żeby, nie patrząc na nic, udać się tam w celu odwiedzin. Pora przecież była bardzo dobra, wiosna przemieniająca się już w lato, kiedy bzy zakwitają po ogrodach, a słowiki śpiewają nocami. Dni były też piękne, kąpiące się w słońcu. Ale jak raz nadeszło trzech ogrodników, a z nimi ziąb i silne gruntowe przymrozki. Teraz na polach nie było już słychać śpiewu ptasząt, ale płacz i klątwy badylarzy, że im sałatę szlag trafia. Mój organizm, osłabiony szpitalem i nienormalnym życiem po całych dniach w łóżku, zaraził się mocnym przeziębieniem z głębokim płucnym kaszlem. Takiej gorączki dostałam, że różne dziwadła zaczęły mi się przedstawiać. I tutaj znów przydała się pomoc Karolakowej, która lekarza mi przywiodła do domu. Znów nakazane miałam leżeć i jeść lekarstwa w takiej ilości, że można było nimi z dziesięciu chorych do syta wykarmić. Tak to moje zamiary wyjazdu do syna uschły swoją naturalną śmiercią. Tak ukarana zostałam bardzo długą tęsknotą z dala od jedynego dziecka.

Czy pan aby dobrze trzyma się krzesła, uważając, aby z niego nie spadnąć, jeśli teraz panu taką rzecz powiem, że przez cały ten czas, który potem do jego powrotu przeminął, już do niego nie pojechałam. A tyle tu wobec pana słów o miłości matczynej użyłam, że mógł pan pomyśleć, że mi już tylko skrzydeł brakuje, aby polecieć do niego. A tu zamiast wyjazdu choroba, zamiast starania o syna chodzenie przy własnym zdrowiu. Ledwie z przeziębienia się wykaraskałam, ledwie mi się szpitalne zwolnienie skończyło, a doktór fabryczny powiada mi, że na stołówce to już nie dla mnie miejsce, bo tam za dużo wilgoci i temperatura nie taka, raz zimno, a raz gorąco. Masz ci los, pomyślałam, to tak przecież, jakby mi drugą pensję zabrano, niewiele przecież przez te lata, opędzając się fabrycznym, do życia dokupywałam.

— Panie doktorze — mówię do niego — jak mi już teraz palec odjęto i nogę ponacinano, żeby jad leśnej jaszczurki wyszedł, to co mi może temperatura zagrozić albo wilgoć? Zdrowie powróci do mnie bardzo szybko.

— Pani Smoliwąs — tak się odzywa doktór — ja już nie wiem, czy tu śmiać się, czy płakać. Na oko to pani całkiem mi niczego wygląda, a mówi takie rzeczy, po których człowiek całkiem głupieje. Jaszczurka to nie pies, żeby gryzła. Chodziła pani kiedyś do szkoły. Czy też nie wie pani w ogóle, że ludzie się za młodych lat uczą?

— Niedużo mam ukończone — mówię — tylko cztery klasy. Ale prawdy się nie wstydzę i mądrzejszej od radia nie udaję.

— W porządku — mówi doktór. — Nie będę się już spierał o to, czy jaszczurki samy po lesie duszą, czy też robi to inna, jeszcze mniejsza zwierzyna. Skierowanie do sanatorium widzę w papierach, więc trzeba zaraz rozpocząć starania. A teraz nóżki proszę mi pokazać, zobaczymy, co się w nich dzieje.

Obejrzał mi jedną nogę, aż poza kolano, drugą tak samo i mówi:

— Jak najmniej chodzić, jak najwięcej siedzieć. Praca spokojna, nie męcząca i nerwów też unikać w osobistym życiu.

Ładnie powiedział, myślę, ładnie wykombinował ten nasz doktór, który ledwie nos wyściubia poza gabinet

lekarski. A niby co ja mam robić? W stołówce nie wolno, gdzie indziej też nie ma lepiej, bo kto widział na fabryce, gdzie plan produkcję, a produkcja plan pogania, lekką robotę? Do sanatorium też mi niespieszno. Mnie do Januszka trzeba jechać, syna swojego obejrzeć na nowej drodze do poprawy charakteru.

Wróciłam na stołówkę, a kierowniczka mówi mi od razu:

— Wniosek do dyrekcji miałam już przygotowany na pierwszą kucharkę, bo jak są dwie najgłówniejsze kucharki, to dlaczego obie nie mają być pierwsze? Ja osobiście takiej przeszkody nie widziałam. A to by pani znów sytuację poprawiło przynajmniej o dwieście złotych. Ale teraz nie wiem, czy pani ze względu na utratę zdrowia będzie do tego zdolna.

— Mnie doktór chleba nie daje — odpowiedziałam — a podług mnie zdrowie mam jeszcze całkiem odpowiednie.

— Wobec tego — powiedziała kierowniczka — proszę przystąpić do pracy, a ja nadam sprawie prawidłowy kierunek.

Niedługo jednak pracowałam na swoim normalnym stanowisku w kuchni. Sama też już czułam, że nie jest tak jak dawniej. Nogi robiły mi się jak z drewna, kurcze nagle chwytały. Lato po pięknym początku stało się mokre i zimne. Przez cały lipiec lał deszcz, błoto wyłaziło na ulice i temperatury były nieprzyjemne. Doszły mi do tego bóle kości w kolanach i w rękach na zgięciach. Nogi moje, kiedyś długie i zgrabne, od opuchlizny zaczęły robić się baniaste.

W domu, kiedy wracałam po robocie, też wszystko było przesiąknięte tą wilgocią i zimnem. Pod blachą paliło się słabo, bo już dawno trzeba było stamtąd sadze wygarnąć, a mnie się nie chciało z powodu zmęczenia i braku siły. Siadałam przy samej kuchni, nogi układałam na drugim krześle, czekając na to liche ciepło, które zacznie wypływać z pieca. Spać kładłam się wcześnie i długo przewracałam się w wilgotnej pościeli. Za oknami ciągle lało, z małymi przerwami na zimne podmuchy wiatru i na te parę minut słońca, które grzało tak samo jak moja kuchnia. Co ja teraz jestem warta, myślałam, co z ta-

kiego człowieka, któremu ciężko nawet własną osobę nosić. Jak tak dalej pójdzie, to kto mi da kawałek chleba? Na syna trudno mi było liczyć przy jego niewiadomym dla mnie obecnym charakterze.

Załatwiono mi wtedy to skierowanie do sanatorium i po paru dniach wyjechałam. Było to na konto urlopu, bowiem nie uznano mi tego za chorobę zawodową, za którą uznawana była u nas ołowica. Było mi tam jeszcze lepiej niż w szpitalu. Tak dobrze, jak nigdy do tej pory w moim pracowitym życiu. Leżenia, ile dusza zapragnie, zabiegi nie męczące i towarzystwo też przyjemne, jeszcze dwie kobiety na mojej sali. Obie urzędniczki w starszym wieku pod sześćdziesiątkę, ale nie zadzierające nosa.

Chodziłyśmy trochę po parku, siadałyśmy przy pięknych klombach i fontannach. One opowiadały mi o swoim życiu, ja o moim. Jedna miała dwie córki na stanowiskach, a druga syna, inżyniera, który podobno był najgłówniejszym inżynierem w swoim zakładzie. Ja tak daleko nie sięgałam, ja takiego dużego wyobrażenia o sobie nie miałam. Mówiłam więc tylko, że mój syn jest technikiem w mechanicznej branży, przy okazji dodając mu trochę lat, żeby to poważniej wyszło.

Paniusie te ciągle do kogoś pisały, ciągle też listy do nich przychodziły. Do mnie nie przychodziło nic, bowiem Januszkowi powiadomienia o moim sanatoryjnym leczeniu nie posłałam, a prosić tych mądrych paniuś o taką przysługę to by była zupełna głupota. Po drugie, jeżeli mi Janusz odpisze i tam będzie stempel zakładu z nadrukiem „bezpłatne", to zaraz wszystko się wyda. Wymówiłam się więc raz od spaceru, wzięłam ładną kartkę z widokiem budynku sanatoryjnego i tak mu napisałam:

„Na leczeniu jestem wtym sanatorjum dla chorych i boloncych nug. Moje zdrowie czuje się lepiej, czego i tobie życzy matka, nieodpisuj mi, bo niedługo będe w domu."

— Mój syn — powiedziałam koleżankom z pokoju — wyjechał na dłuższą delegację do Związku Radzieckiego w poważnych sprawach służbowych.

— Ach tak — odpowiedziały mi te panie — stamtąd to tylko przywozić złoto albo sprzęt gospodarstwa domo-

wego. Mogą również być futra, też dobrze idą na wewnętrznym rynku.

Takim sposobem mój syn zrobił się najważniejszą osobą. Żeby on wiedział, co myśmy o nim mówiły i czego to jego matka nie wymyśla, toby go pewnie od śmiechu pokręciło. Z siebie samej zrobiłam kierowniczkę stołówki, bo na tym faktycznie się znałam, a z niego prawą rękę inżyniera w swoim zakładzie. A czego to nie mówiłam o tym, jak my sobie pięknie mieszkamy na pierwszym piętrze bardzo ładnego bloku z dużym zadrzewieniem przed oknami. Powiedziałam również, że ma zdolności do muzyki, co się objawia graniem na fortepianie i pięknym śpiewem.

— Pani to ma dobrze — powiedziały mi te paniusie — odpowiednie zdolności to czasem więcej niż duży majątek.

Ale sanatorium skończyło się i trzeba było wracać. W domu z jednej strony po staremu, z drugiej same nowości. Wróciłam z podróży wieczorową porą już po dziesiątej godzinie, pędzę na tych już trochę zdrowszych kulasach z tęsknotą, czy listu nowego od Januszka nie ma, i z lękiem też niemałym, czy pod moją nieobecność ktoś mi się do mieszkania nie zakradł i skrytki na całe moje pieniądze nie znalazł. Dwadzieścia dwa tysiące tam, jak by nie liczyć, w metalowej puszce pod podłogą leżało. Na moje szczęście pieniądze były. Skrytkę znaleźć to wymagało sporo sprytu i dużego doświadczenia w złodziejskim fachu. Dawniej pieniądze trzymałam na strychu, za belką, gdzie wydawało się, że nigdy ludzkie oko nie spocznie. Strzeżonego jednak Pan Bóg strzeże, a już najlepszym jest sposobem nie wierzyć nikomu. W jednym miejscu, przy samym piecu, deska trochę nadpróchniała, więc ją wyłamałam wstawiając nowy kawałek też starego koloru. Nikomu do głowy nie mogło przyjść, że deska łatwo się zdejmuje i że wystarczy wtedy rękę głęboko pod podłogę wetknąć, żeby palce złapały za puszkę. Obawiałam się trochę, że szczury albo myszy mogą mi tam zajrzeć, ale przecież jeszcze takich szkodników nie wynaleziono, żeby blachę gryzły. Na podłodze w ku-

chni leżała cerata zawsze do glancu wyczyszczona, więc i to — Boże mnie uchroń od tego — uwagę złodzieja mogło zawrócić w inną stronę.

Janusz swój przydział, o który prosił, otrzymał, więc po co mu było do matki swojej się odzywać. A może czasu nie miał i czym innym był bardziej zajęty? Więcej bym nad tym się zastanowiła, ale w pracy nowość mnie oczekiwała. Okazało się, że już na stołówce przydatna nie będę, chociaż był już zatwierdzony papier na pierwszą kucharkę. Miałam się zgłosić do kadr po nowe, bardziej zdatne przy moim zdrowiu zajęcie. A propozycja ta tak wyglądała dla mnie: zostać sprzątaczką pokoi biurowych w największym biurowcu na zakładzie. Tam gdzie zasiadał dyrektor, główna księgowość i co najważniejsi inżynierowie. Wzięłam to, bo niby co miałam zrobić, gdzie pójść przy takim felernym zdrowiu?

Listy od Januszka przychodziły jednak co pewien czas. Tą drogą otrzymałam wiadomość, że ukończył nareszcie szkołę z dobrym świadectwem na koniec roku. Doprowadzało to mnie powoli do przekonania, że najgorsze już przeminęło. Pomyślałam więc: po co mi się po nocach męczyć od niedobrych snów, w których pojawiało się kilku albo chociaż jeden złodziej zakradający się do pieniędzy, po co mi w pracy mieć głowę stale zajętą zastanawianiem, czy aby wszystkie zamki pozamykałam i czy okna są szczelnie zaparte. Dopłaciłam więc do reszty do spółdzielczego mieszkania, myśląc, że jeżeli syn mój okaże się w zwykłym życiu po swoim powrocie taki, jakim ukazuje się w listach, to cały wkład przepiszę na jego imię i nazwisko.

Do pracy chodziłam teraz na godzinę trzecią. O godzinie wpół do czwartej umysłowi kończyli urzędowanie, pokoje biurowe robiły się puste i wtedy już spokojnie mogłam zabrać się do swojej roboty. Przeważnie jednak pojawiałam się na zakładzie trochę wcześniej, żeby jeszcze wpaść na stołówkę, gdzie kierowniczka i moje dawniejsze koleżanki zawsze mnie mile widziały, a po drugie, żeby samej zjeść obiad, który należał mi się w dalszym ciągu, jak każdemu jednemu pracownikowi. Jadłam jak dawniej, nie na sali ogólnej, ale w kuchni, pośród kotłów i garów, siedząc przy wielkim do białych desek

wyszorowanym stole, gdzie jeszcze nie tak dawno ja byłam najważniejszą osobą.

Do uprzątnięcia miałam parter i piętro. Biurowiec był w takim budynku, gdzie przed wojną mieściła się willa prywatnego właściciela. Pokoi i różnych klitek było do uprzątnięcia pewnie ze dwanaście, do tego cztery ustępy, dwa dla kobiet, a dwa dla mężczyzn.

Nie stanowiło to wcale małej pracy, bo urzędnicy śmiecili bez żadnej litości dla czyjegoś zdrowia i trudu. Najgorzej było wtedy, kiedy się dyrekcja i ci najwięcej partyjni zostawali na zakładzie dłużej. Nie było to często, ale jednak te parę razy w miesiącu miałam trudniejsze zajęcie. Zauważyłam, że posiedzenia dyrektorów i partii wypadają przeważnie w drugiej połowie miesiąca, a już najwięcej ich bywa, kiedy się kończy kwartał. Było to spowodowane niewychodzeniem planu produkcyjnego, który był coraz większy dla naszego zakładu. Nie znałam się na tym, myśmy swoje plany produkcyjne na stołówce wykonywały, tutaj jednak, pomagając sekretarce w parzeniu herbaty i kawy oraz robieniu zakąsek pod coś mocniejszego, słyszałam nieraz podniesiony głos głównego i ciche głosy innych mężczyzn, coś tłumaczące i objaśniające. Główny dyrektor był to duży nerwus niewysokiego wzrostu. Z wyglądu całej postaci przypominał mi bardzo prezesa Gnatkowskiego, chociaż tamten był młodszy, mniej łysy i bardziej wesołego charakteru. Ten, kiedy był w nerwach, krzyczał na cały biurowiec:

— Co to znaczy: „nie mogę"? Dla mnie takiego słowa nie ma w polskim słowniku. I jeszcze raz to oświadczam, że jestem ten wilk, który wszystkie barany zjada.

— Oho! — mówiła wtedy sekretarka dyrektora, pani Basia, młoda jeszcze kobieta i dosyć ładnej urody — stary z baranami wyjeżdża. Trzeba więc będzie, pani Gieniu, zakąski zacząć szykować. Stary za chwilę butelkę ze swojej kasy pancernej wyjmie i będzie chciał wrażenie poprawić na lepsze po fakcie naubliżania innym pracownikom.

W niedługim czasie dzwonił na jej biurku telefon, a naczelny dyrektor krzyczał tak, że nawet bez telefonu słychać było każde słowo:

— Pani Basiu, coś na ząb! Bardzo żeśmy tu z towarzyszami wygłodniali.

Przeważnie jednak od godziny piętnastej trzydzieści byłam już w biurowcu sama. Czy ci ludzie żadnego już poczucia przyzwoitości nie mają, myślałam, czy ich nikt nie nauczył, że czyjąś pracę też trzeba uszanować, nie tylko własną? W popielniczkach niedopałków po brzegi i mało tego, pełno popiołu na biurkach i na podłogach. Czy oni w domu u siebie też tak robią, żeby, paląc, popiół strząsać na podłogę lub dywan?

Kobiety też nie były lepsze, też petów pełno, papierów tłustych, śniadań nie dojedzonych w postaci całych bułek z masłem i kawałków wędliny. Gdybyś własne sobie, jedna z drugą, do roboty przynosiła, a nie miała państwowego za darmo, to i może byś bardziej jedzenie uszanowała. A tak: śniadanie państwowe, obiad państwowy, a do tego jeszcze mydło, proszki do prania i ręczniki należące się każdemu urzędnikowi tak samo jak robotnikowi, który faktycznie się brudzi.

O ustępach to przykro mówić. Co wysprzątam, to znów brudy, deski obszczane, a nawet pozasrywane. A obok pety i zmięte gazety na podłodze. W damskich ustępach niedużo lepiej. Może tylko trochę większe uważanie na niebrudzenie deski. Za to często zdarzał się tutaj sedes zatkany watą używaną do higieny osobistej kobiecego ciała.

Ale niechby nawet tak już zostało do końca mojego życia, niechbym już do śmierci ze szczotką po pokojach urzędniczych biegała, byle choroba dała mi spokój, byleby nie zamęczała mnie już więcej bólami i opuchlizną. Wiedziałam jednak, że tak już nigdy nie będzie, że zamiast moich dawnych silnych i zgrabnych nóg będę miała dwie coraz większe i grubsze kłody, bo lekarze też nie są tacy mądrzy, żeby wszystkiemu zaradzić. Żal mnie ogarniał, kiedy spoglądałam się na mój wiek, na moje nie tak dawno przekroczone czterdzieste lata. Chociaż ani przez jedną chwilę nie powinnam tak myśleć, zastanawiałam się nieraz, jaki obecnie pożytek miałby ze mnie Marian, jakie mógłby mieć upodobanie w chorującej kobiecie? Ty też, myślałam o nim, nie miałeś szczęścia w swoim milicyjnym i osobistym życiu. Tak już jest, że

prawie nigdy nie ma tego, czego by człowiek zapragnął. Zawsze jest dużo mniej albo też całkiem inaczej, niż tego się pragnie w swoim marzeniu.

To były moje myśli, kiedy jeszcze pracująca byłam na zakładzie. A we wszystkich tych myślach był lęk, z każdym miesiącem, z każdym rokiem większy, że któregoś dnia i to się zakończy i już na zawsze kaleką zostanę. Do wszystkiego jednak można przywyknąć, nawet i do tego, że zdrowie ma się coraz słabsze. Miałam przecież bowiem dla kogo żyć. Syn mój, choćby nawet był najgorszy, zawsze mnie będzie potrzebował, tak długo, jak będę chodzącą po ziemi.

W dalszych swoich listach pisał mi najwięcej o tym, jak uczy się gry na instrumencie muzycznym i coraz lepsze osiąga w tym wyniki. Żeby tylko tak dalej, myślałam, żebyś już w żadnym wypadku nikomu nie dał się znarowić, to wszystko jeszcze będzie dobrze. Jeszcze między ludzi powrócisz i do zwykłego życia, które jest jednak najlepsze, będziesz się nadawał. Graj sobie tam, myśl o pięknych chwilach, które cię oczekują, a o całej reszcie pomyśli twoja matka.

W końcu i ja już takiej śmiałości nabrałam, że sobie ładny długopis kupiłam i sama zaczęłam odpisywać na synowskie listy. To nie moja wina, że małą mam szkołę, ale sanacyjnego ustroju i dawnej władzy wyzyskującej robotnika i chłopa. Pisałam więc, jak umiałam, chociaż to dużo trudniejsze niż zwykła mowa, kiedy to słowa same na język przychodzą i wylatują do innego człowieka.

Z początku na dwa listy od Januszka ledwie jeden krótki liścik zdołałam ułożyć, donoszący mu tylko o najważniejszych zagadnieniach. Ale później, jak już ręka i myśl śmiałości nabrała, pisać zaczęłam częściej i więcej.

Co do mojego zdrowia, to prędko zrozumiałam, że raz nadpsute, będzie psuło się dalej. Jad, który się za moich młodych lat do organizmu dostał, ujścia nie znalazł, więc musiał rozwinąć się w chorobę, atakując najsłabsze miejsca w postaci żył i ścięgien. Wiadomo też było, że żaden lekarz jadu nie usunie, choroby nie zatrzyma. Mógłby to tylko dobry znachor zrobić, jad odczyniając,

ale gdzie teraz takiego znachora znaleźć, który by znał tajemnice najdawniejszej przyrody? Medycyna mogła mi tylko chorobę przytrzymać, nie dopuszczając do szybkich jej postępów.

Przy sprzątaniu było dużo roboty, ale nie była to praca na duś, na bardzo wielkie tempo. Raz mogłam zadaną mi robotę zrobić dokładniej, a raz tylko po wierzchu ogarnąć. Nie było też przy niej takich nerwów jak na stołówce, takiego poganiania czasu, którego zawsze było za mało. Tu byłam spokojniejsza, mogłam też wyspać się, ile chciałam, bo nikt przecież nie przejmował się tym, o której do roboty przychodzę. Ważne było to, że zrobiłam swoje i że nikt z powodu moich obowiązków nie mógł się do mnie przyczepić.

I tu znów urzędnicy chcieli mnie wynajmować prywatnie. Ale, jak już powiedziałam dosyć, to dosyć. Ważniejsze jest zdrowie niż pieniądze. Do fryzjera przecież nie biegałam, na zagraniczne ciuchy smaku nie posiadałam, bo niby dla kogo miałam się stroić? Kto jeszcze chętkę odczuje na chorą kobietę? Z tego, co zarabiałam, i tak mogłam odłożyć kilkaset złotych bez żadnego uszczerbku.

Po pierwszym pobycie w szpitalu, po odjęciu palca i wyjeździe do sanatorium przez dobre półtora roku miałam spokój. Był nawet taki czas, kiedy prawie przekonana byłam, że choroba zapomniała o mnie. Nogi mi otęchły, rześka poczułam się w sobie. Myślałam, że to z powodu pijawek, których z piętnaście pozakładałam na bolące miejsca, a one jad krążący we mnie wyssały na własną zgubę. Po ich odjęciu i włożeniu do słoja w celu popatrzenia, czy jad na nie podziałał, zobaczyłam po paru dniach, że nic z tego. Pijawki żyły, tylko jedna zdechła z nie znanego mi bliżej powodu zagryziona przez koleżanki. Nie tej krwi więc się napiły, w której jad się umieścił, tylko innej. Na ten sposób wpadłam sama z siebie, bez doktorów. Ludzie wygrywają grube miliony w lotka, gdzie dużo mniejsza jest szansa, więc niby dlaczego pijawki przyłożone do moich nóg mają nie wypić niedobrej krwi? Za pierwszym razem się nie udało, uda się może za następnym. Trzeba tylko wypocząć i od nowa sił zdatnych do puszczenia krwi nabrać.

Zrobiłam jedną próbę, potem drugą, potem jeszcze następne. Niestety, tak jak w życiu szczęścia nie miałam do bogactwa, tak i nie powiodło mi się w tym wypadku. Osłabiłam tylko organizm, a w przegryzionej przez pijawki grubej żyle ukazał się duży krwotok. Z tego powodu znowu dostałam się do szpitala.

I tym razem też byłam bardzo ostrożna, uważając, żeby mi się coś złego nie stało. Nie wspominałam już ani o pijawkach, ani o jaszczurczym jadzie. Po co narażać się na pośmiewisko u ludzi nie znających tajemnic przyrody. Niektórzy doktorzy pamiętali jednak, co mówiłam, z zeszłej mojej bytności w szpitalu. Ale ja miałam też swój sposób i na zapytania, jak się obecnie jad zachowuje w moim organizmie, udawałam głupią, która ledwie spamiętać może, jak się nazywa.

Zaproponowano mi wycięcie żylaków, które już i na drugiej nodze urosły do odpowiedniej wielkości. Lekarze wiedzieli swoje, ale ja względem własnego ciała też niewiele gorsze miałam rozeznanie. Bo przecież, jak mi żyły puchną i dostaję od jaszczurczego jadu zapalenia, to tylko świadczy, że nie mam ich wcale za dużo. Bo gdybym ich miała więcej, to i zapalenie byłoby mniejsze, a także żylaki i opuchlizna. A tu mnie namawiają, żebym się jeszcze żył pozbawiła z własnej woli. Doktorzy by cięli wszystko, jak leci, od tego przecież są, ale i ja swój rozum mam po to, żeby samej się zastanowić, jaką mi to wyda korzyść. Stanowczym głosem wyraziłam odmowę.

Po zahamowaniu ujścia krwi, częściowym rozpędzeniu opuchlizny i powstrzymaniu zapalenia za pomocą zastrzyków i witamin, które jednak najlepsze są w naturalnym stanie, pochodząc prosto od owoców i jarzyn, a nie w proszkach, długo mnie, z powodu wyrażonej odmowy, w szpitalu już nie trzymano.

Była już jesień, mokro, ale w domu po naprawieniu pieca miałam ciepło i przyjemnie. Prawie całe zwolnienie przeleżałam, chodząc tylko w najkonieczniejszej potrzebie. A potem, kiedy znów zaczęłam chodzić do pracy, nogi owijałam bandażami, żeby żyły przytrzymywać w ich właściwym miejscu i nie dopuścić do opuchlizny.

Tamtego roku załatwiłam też swoje sprawy na cmentarzu. Był tam grób moich teściów, mocno zaniedbany,

nie posiadający nawet obmurowania. Wstyd się przyznać, ale chodziłam tam rzadko, nawet nie zawsze na Wszystkich Świętych. Ale teraz, kiedy niedaleko teściów leżał Marian, nie mogłam już dłużej zapominać o swoich najbliższych. Postanowiłam postawić teściom ładny pomnik oraz kupić kwaterę dla siebie. Obok nich była mogiłka jakiejś całkowicie zapomnianej kobiety, porośnięta chwastem, a nawet młodymi drzewkami. Zatrzymałam sobie to miejsce na wypadek, jakby się nikt do tego grobu nie zgłosił. Pomnik zamówiłam za osiem tysięcy z dużym krzyżem i lastrikowym wykończeniem.

Teraz byłam już spokojna. Nigdy przecież człowiek nie wie, co mu jest pisane, a już zwłaszcza wtedy, kiedy go gryzie choroba. Miejsce na cmentarzu mogłam już uważać za własne, gdyż od lat nikt do tej kobiety nie przychodził.

Zastanawiam się teraz, czy mogłam w tym trudnym dla mnie okresie chociaż jeszcze raz odwiedzić mojego syna. Co prawda, to bardzo daleko, ale do sanatorium też był kawał drogi i jakoś tę podróż przeżyłam. Myślałam jednak, co to mu da, jedno widzenie raz na jakiś czas, chwila rozmowy w otoczeniu obcych ludzi. Pieniądze posyłałam mu regularnie, paczki z jedzeniem — w które wchodził przeważnie smalec, cebula i sucha kiełbasa — tak samo. A lepiej chyba będzie, jak powitam go przy lepszym zdrowiu, niż posiadałam wtedy.

Czas jednak umykał szybciej niż koń szybkonogi. Mijały miesiące, odmieniały się pory roku. Patrzeć, a tu przychodzi list od syna, w którym mi pisze takie słowa:

„W pierwszych słowach mojego listu donoszę Ci, że jestem zdrowy, czego i Tobie życzę, bardzo martwiąc się o Twoje nogi. Będzie to już moje ostatnie pisanie z Zakładu, bo i dla mnie niedługo jutrzenka wolności zaświeci, o czym niedługo, kochana mamusiu, będziesz miała możność przekonać się osobiście. Nie minie dwa tygodnie, a własne twoje uszko usłyszy pukanie mojej ręki do drzwi. Wrócę przytomniejszy na rozumie, bo jak by nie było, to trzy lata spędziłem pod celą, a to coś znaczy w życiu człowieka..."

Najważniejsza teraz była sprawa pracy dla syna. Zdobyłam się na śmiałość i w odpowiedniej chwili zwróciłam się prosto do głównego dyrektora. Dyrektor spojrzał, jakbym mu krzywdę wyrządziła, i odzywa się takimi słowami:

— Od czego ja tu mam dział zatrudnienia i płacy, jak również kadry, że z takim czymś przychodzi się do mnie? Czy wy, towarzyszko, nie rozumiecie takiego zagadnienia, że dyrektor ma głowę do czego innego? Gdybym się takim drobiazgiem zajął, to kto by zakład prowadził, pewnie wy albo Duch Święty. Proszę kawę mi mocną podać zaraz do gabinetu.

Z Kalisiakiem obiad jadłam przy jednym stole, pomyślałam, prezes Gnatkowski rozmawiał ze mną jak człowiek z człowiekiem, a ten sadzi się, jakby już innych mądrzejszych od niego nie było.

Ale pracę i tak synowi załatwiłam. Nie przez dyrektorów i nie przez kierowników, ale przy pomocy dużo mniejszej osoby. Powiedziałam o tym Jachimowowi, a ten, nie wiedzieć kiedy, wystarał się Januszkowi o dobre miejsce, gdzie się remontuje wózki elektryczne służące do wożenia towarów po fabrycznych halach. Był to dział bezpieczny, gdzie przyjmowano młodych, nie mających ukończonego dwudziestego piątego roku życia.

Moja udręka więc się już kończyła. Coraz bliższy był dzień wolności dla mego syna. Ale przy tym był także coraz większy lęk, czy syn mnie zrozumie i znajdzie odpowiednie poważanie dla chorej matki. Jaki on jest, myślałam, do kogo podobny i czy będzie wyglądał na przedstawiciela obecnej młodzieży, która coraz bardziej zatruwa życie spokojnym ludziom i wszystko niszczy. Pracować taki nie lubi, ojca i matki nie szanuje i myśli, że cały naród żyje tylko po to, żeby mu przyjemność robić.

Nareszcie nadszedł ten dzień, którego tak pragnęłam. Mieszkanie wysprzątane jak na wielkanocne święto, chociaż już sczerniałymi liśćmi wiatr miecie. Miał być w pierwszej połowie tygodnia, tak mi pisał. W poniedziałek nie mógł, w poniedziałek dopiero zwalniano z domu

poprawczego młodszych więźniów. Więc we wtorek. Z tych nerwów prawie całą noc nie zmrużyłam oka, rankiem go oczekując. Niech już wreszcie powróci, przekroczy próg rodzinnego domu, za którym stęskniona matka go oczekuje.

Pamiętam, że pociąg przyjeżdżał do Warszawy dosyć wczesnym rankiem, parę minut po godzinie siódmej. Janusz więc będzie w domu najdalej przed dziewiątą. A tutaj mija godzina po godzinie, niedługo już będzie dwunasta, a syna mojego nie ma. Śniadanie przygotowane, ja ubrana jak w święto i uczesana pięknie, tylko on ciągle jest nieobecny. Nietrudno jest mieć wyobrażenie, o czym ja wtedy myślałam, jaki strach i jaki lęk miałam na swojej uwadze.

Dłużej czekać nie mogłam. Przed pójściem do roboty wpadłam do Karolakowej klucz zostawiając i prosząc, żeby się nim zajęła i jeść mu dała za mojej nieobecności w domu, gdyby Januszek przyjechał. Karolakowa, która też nowości oczekiwała, licząc, że coś się naraz wydarzy w tym życiu ostatnio jednostajnym i jednakowym, zgodziła się bardzo chętnie.

Wracam z fabryki, widzę światło, więc aż mi dech zapiera, aż przystanąć muszę, żeby się uspokoić. Wchodzę ze słowami powitalnymi na ustach, ale to nie on, to Karolakowa siedzi u mnie i gary na ogniu trzyma, jedzenie cały czas mając przygotowane. Ale i ona też zrywa się na równe nogi, myśląc, że to Janusz w drzwiach się ukazał. Obydwie żeśmy się pomimo tego zdenerwowania roześmiały, a potem herbaty napiły razem, myśląc, co to za przyczyna spowodowała tą komplikację. Karolakowa była zdania, żeby się nie denerwować, jak jeszcze nic nie wiadomo. Różne mogą być przyczyny opóźnienia, niekoniecznie te najgorsze. Po wypiciu herbaty poszła do siebie, a ja znów zostałam sama. Wyniosłam jedzenie do sionki, aby w ciepłym miejscu nie skisło, i położyłam się spać.

Ale jak tu zasnąć, kiedy strach i niepewność są większe od zmęczenia? Co zrobić, kiedy z tego lęku serce tłucze się w piersi jak szalone? Za oknem wiatr gonił zeschnięte gałązki i opadające liście, uderzając nimi o szyby, a ja myśląc, że to Januszek puka, parę razy wstawa-

łam podchodząc do drzwi. Tylko że znów niczego więcej nie słyszałam poza huczeniem i gwizdaniem wiatru.

Zasnęłam nad ranem ciężkim snem, pełnym niedobrych zwidów. Wydawało mi się, że ktoś mnie dusi, a później kawałkiem żelaza zaczyna walić po głowie. Chciałam od tego uciec, ale za nic nie mogłam. Tłuczenie mnie w głowę nie ustawało, więc w pewnym momencie otworzyłam oczy. Był już biały dzień, za oknem świeciło słońce, zasłonięte na razie firanami i jakąś wysoką postacią. Ten huk, który mi się śnił, dobiegał do mnie od okna. Krzyknęłam coś, a potem zerwałam się z łóżka i nie narzucając nawet niczego na koszulę pobiegłam do drzwi. Janusz już tam stał, wysoki, z wychudzoną twarzą i gołą głową.

— Synu mój — powiedziałam wyciągając do niego ramiona — więc skończyła się już poniewierka po obcych stronach.

Chciałam mówić dalej tymi słowami, które są najpiękniejsze, ale gardło mi się zacisnęło i już żadnego nie puściło.

Ranek był cichy, wicher odszedł gdzieś razem z odchodzącą nocą, ptaszęta ćwierkały na żółknących drzewach.

— Jaki ten dom zrobił się mały, a mnie się zawsze taki duży wydawał — powiedział Januszek.

Moja opowieść przybliża się do końca, co chyba widać z dotychczasowej całości. Wtedy będzie pan mógł zupełnie swobodnie podjąć tą sprawę, mając wszystkie dane. Mnie też będzie lżej, bo mówić przecież na co dzień nie mam do kogo, chyba że do telewizora, do tych szlachetnych państwa, co w telewizji przemawiają. Klienteli mojej nie liczę, bo to odpadki społeczeństwa, chociaż pomiędzy nimi też człowiek dobry się znajdzie, dawniej mający stanowisko i uważanie u innych. Ale jak takiemu mówić, kiedy on głowę ma czym innym zajętą, tą tylko myślą, żeby jak najprędzej wypić. Przykro więc otwierać serce przed takim człowiekiem, który już całe poczucie ludzkości stracił, a słucha tylko dlatego, że mu jeszcze te trochę grzeczności zostało.

Pan mnie rozumie i nie robi za przeproszeniem głupiej

miny, ani też nie śmieje się bez potrzeby. Od początku mnie to ośmieliło do pana.

Bo co może być ciekawego w życiu takich zwyczajnych ludzi jak my? Wielcy państwo, ludzie na poważnych i odpowiedzialnych stanowiskach, tam się dopiero wyprawia, tam dopiero życie przepływa szybkim potokiem złożonym z pięknych dni i nocy. A u nas dni i noce podobne są do siebie, jednostajne jak deszcz. Co się wydarzyć miało, to się wydarzyło, a potem znów szło jednakowo, dzień po dniu, noc po nocy. Dalej jest już tylko starość, a poza nią z kolei zimny grób. Tak wygląda życie człowieka na naszej ulicy, u jednych i u drugich podobne, z tą samą prawie troską i tą samą niedużą nadzieją na lepsze.

Bogaci żyją inaczej. W swoich ładnych domach za wysokimi ogrodzeniami. Oni nie muszą ciułać grosza do grosza, uważać, żeby czego nie zmarnować. Chodzenie piechotą też nie dla nich. Wsiada taki w prywatną taksówkę i tyle go widać. Niedaleko stąd stoi dom jednej kobiety, która ma prywatną fabrykę guzików. Cała rodzina z tego żyje, córki, zięciowie. Samochodów jest tam chyba ze trzy, każdy w innym kolorze. Zięciowie się obijają, córki tak samo, patrząc tylko za tym, w co by tu jeszcze się ubrać. Inny znów dom, chyba jeszcze większy, należy do takiego, co prowadzi państwową piwiarnię niedaleko kościoła. Tam też trawniki, młoda choina i róż tyle, że policzyć nie można. Brudny interes, oszukaństwo przy sprzedaży piwa, ale za to dom czyściutki i życie jedwabne wśród przepięknych mebli.

Jednym łatwo jest to zrozumieć, że inni mają lepiej, że wystarczy im bogaty ojciec czy matka, aby zniknęła troska. Z drugimi jest inaczej, ci za nic nie mogą się z tym pogodzić, uważając, że im się to samo należy. Taki okazał się mój Januszek. A przecież zawsze będą bogaci, zawsze znajdą się w lepszych rodzinach urodzeni, będą też tacy, którzy mają dobre stanowiska, i tacy, których tak jak mnie do samej śmierci prawie nikt nie zauważy. Nie będę jednak wybiegać do dalszego tematu, jak bliższy jeszcze nie został poruszony. Wracam więc do chwili, kiedy syn mój ujrzał wolność po trzech latach nieobecności wracając do domu mężczyzną.

Ach, jak to dobrze zapowiadało się w pierwszych początkach. On pracuje, ja też i kulasy nawet jakby mnie mniej bolą. Dobrobyt też jest dużo lepszy, o prawie dwa tysiące złotych miesięcznie, bo tyle syn otrzymał na początek. Dawało to więcej niż trzy i pół tysiąca miesięcznie, a na dodatek prawie całe życie za darmo. Za takie pieniądze to nie wiem co można było zwojować przy zastosowaniu oszczędności, tym bardziej że mieszkanie w blokach było już zapłacone.

Najpierw Januszek musiał się trochę obkupić, przez parę miesięcy postanowiłam nie brać od niego pieniędzy. Syn podziękował mi za takie ludzkie i matczyne podejście, całując mnie w rękę. Wzruszył mnie ten uczynek i przekonał, że zrobił się już inny, niż był dawniej. Pomimo tego jednak nigdy nie mogłam pozbyć się lekkiego strachu, że on znowu zrobi coś, czego się nie spodziewam. Oglądając go wieczorem przy myciu, kiedy goły do pasa pochylał się nad miską, albo rano, kiedy golił swój młody zarost, z dużym wstrętem patrzałam na ponakłuwane obrazki na jego rękach i koło lewej piersi. Ten na klatce piersiowej był największy i widać tam było twarz młodej kobiety z gęstymi włosami. Z tych rysunków na rękach zapamiętałam kotwicę, jakieś znaki i napis w zagranicznym języku, o którym, gdy zwróciłam się z zapytaniem, dowiedziałam się, że oznaczą — kocham. Więc ty już, synu, pomyślałam, zagranicznych języków używasz, każąc sobie nakłuwać takie słowa, o których nie masz jeszcze pojęcia.

Nadal udawałam jednak, że zjawisko nakłucia obrazków jest tak zwyczajne, jakby się człowiek z nimi od razu narodził. Zresztą trudno mi było coś pod tym względem mówić, jeśli mój syn do tej pory zachowywał się bardzo dobrze, zajmując się pracą i spokojnym siedzeniem w domu, poświęconym przeważnie słuchaniu muzyki do tańca z radia.

Szło już na zimę, trochę wygodniejszą od tamtego roku dla wszystkich na naszej ulicy. Położony został równiejszy chodnik, ułatwiający chodzenie suchą nogą, zwłaszcza wieczorową porą, bowiem lamp na słupach nigdy nie było tyle, ile potrzeba. Januszek kupił sobie gitarę o pięknym, jasnym kolorze. Bardzo mi się ta gitara po-

dobała z powodu solidnego wyglądu. Ale syn mój miał tu inne zdanie, mówiąc, że instrument ten ma tylko przeznaczenie zastępcze. Dla niego ważna jest inna, nowoczesna gitara, którą podłącza się do prądu. Nie wiedziałam jeszcze, w jakim celu tak się robi, a pytać też nie miałam śmiałości, bo jeszcze by pomyślał, że jestem głupia i na muzyce się nie znam.

Teraz wieczorami brzdąkał na gitarze, wygrywając różne, czasem nawet bardzo ładne melodie. Niektóre z nich, w takim na przykład rodzaju, jak: „Przyleciał do mnie za kraty biały gołąbek skrzydlaty", bardzo mnie wzruszały, każąc mi myśleć o ciężkiej i smutnej doli więźnia. A już najsmutniejsza była pieśń o pewnej Murce, dziewczynie lekkiego prowadzenia, która ukochanego swojego zdradziła. Kiedy Januszek o niej śpiewał, same mi łzy ciekły i same oczy gdzieś daleko patrzyły, widząc okropną śmierć Murki.

Z Januszem też coś się wtedy działo, przestawał śpiewać, odkładając nagle gitarę i podchodząc do okna. I nieraz przez parę minut nic nie mówiąc spoglądał w ciemną zimową noc za podwójną szybą. Co on tam mógł widzieć, chyba nic, poza tym, że słyszał odgłos wiatru gwiżdżącego pomiędzy drzewami.

Tylko co ja mogłam na to poradzić, jaki znaleźć sposób na ten smutek, który doprowadzał Januszka do stanu milczącego. Zwracałam się nieraz do niego, żeby mi powiedział, co go gryzie, jaka jest przyczyna takiego smutku, teraz, kiedy już wszystko jest na najlepszej drodze. Zapytania te wcale go nie cieszyły. Widziałam nawet, że denerwuje go to, że na jego twarzy pojawia się wyraz zły i niecierpliwy.

— Nie zrozumie tego mama nigdy — powiedział wreszcie kiedyś — ani nikt z tutaj obecnych, ani żaden z kumpli na fabryce. Moja młodość tam pozostała, za więziennym murem, gdzie jeszcze siedzi pod celą.

— Synku — odezwałam się — co ty mówisz, twoja młodość dopiero stoi za progiem, dopiero idzie do ciebie w najpiękniejszym wieku.

— Moja młodość — odezwał się twardym głosem Janusz — tam się zakończyła i więcej nie przyjdzie. Ma-

musia dobrze o tym wie, bez potrzeby składania dodatkowych wyjaśnień.

Umilkłam nie chcąc przerywać myśli własnego dziecka. A Januszek, dalej stojąc przy oknie i patrząc, jak zimowy wicher szarpie drzewami, mówił:

— Mamusia pewnie myśli, że tam to tak jak w przedszkolu. Grzecznie i z kulturą. Ten robi to, ten tamto, a wychowawcy chodzą, patrzą i co najwyżej tylko dobrym słowem uwagę zwrócą. Tam, jak ktoś z mocnymi nie trzymał, to już życia nie miał, każdy z paczki mógł robić z nim, co chciał. Poskarżyć się to jeszcze gorzej, wtedy to już całkowity koniec. Wychowawcy też nie lubią, jak ktoś do nich za często chodzi. Za kapustę takiego mają, za spółdzielnię ucho. Oni wolą mieć blat z paczką, bo wiadomo, kto na zakładzie rządzi. Paczka. Mają wtedy łatwiejsze życie, mniej kłopotów na głowie. Wychowawcy też są różni, trafi się nieraz i taki, który na dziewczyny całkiem gustu nie ma, tylko na chłopaków. A i między chłopakami też tak czasem bywa, ten gatunek miłości. Ale chłopaki co innego i klawisze co innego. Tamtego, co mamusia poznała, to chłopaki sami tak urządzili, nasyłając dyrektora, kiedy sobie towar do swojego pokoju w postaci młodego chłopaczka sprowadził. Mówię o tym, żeby mamusia nie myślała, że ja z wczasów wróciłem, że sobie tam tylko na słonku leżałem, patrząc, czy aby mi dużo jeszcze do końca zostało. Do zespołu trafiłem idąc w ciemno, bo tylko miałem tę ochotę, żeby nauczyć się grać i nic więcej, wiedząc, że mam dobry słuch. Dawało mi to zwolnienie od roboty, od wożenia koksu i temu podobne. Dla dyrektora zakładu najważniejszy był zespół, sam też grał na fortepianie, a po drugie, miał się czym pokazać u władz. Załapałem się nie wiem kiedy i nawet nauka nut nie szła mi trudno. Przekonałem się tam, że mam duże uzdolnienie w tym kierunku.

Usiadł przy stole, wziął gitarę i tak cichym głosem zanucił:

W dalekiej stronie kajdanami skuty
młodziutki więzień spogląda w kraty swe,
od śmierci dzielą go już minuty,
nad ranem życie jego zakończy się.

Dreszcz przebiegł mi przez ciało i oczy, nie wiem kiedy, pokryły się łzami. Słyszałam, jak mi serce bije i smutek niewyjaśniony całą mnie ogarnia. Ach, synu, myślałam, jak ty bardzo musiałeś cierpieć. A twoja matka tymczasem myślała, że tylko głupota przez ciebie przebija.

— Nie trzeba już, synku — odezwałam się — o tym strasznym wydarzeniu w twoim życiorysie pamiętać. Innych jeszcze gorzej los dotknął, chociaż ich sąd uniewinnił. Doktorowa Żurkowa wariacji dostała i teraz więcej w Tworkach niż na swobodzie przebywa. A Kwiecińska Zofia, która bardziej niewinną niż anioł udawała, z brzuchem jak balon chodzi i też jeszcze nie wiadomo, czy ślub się odbędzie. Więc nie miej za bardzo żalu do świata, bo chociaż ty jeden całą pokutę odbyłeś, innym, co kary uniknęli, na dużo gorsze wyszło. Teraz trzeba już tylko spokojnie w przyszłość patrzeć. Teraz jeszcze tylko do wojska pójdziesz, jeszcze odbędziesz ten obowiązek i nic ci już nie będzie zagrażać.

— Jeżeli się o wojsko rozchodzi — odpowiedział mój syn — to nie widzę tam mojej osoby i nie mam miłości do munduru.

— Więc znów jakieś numery chcesz wykręcać? — spytałam go głosem zaniepokojonym.

— Kto się raz sparzył — odpowiedział Januszek — ten na dalsze życie jest ostrożny. Dlatego proszę, żeby mamusi głowa była o to spokojna. Numeru żadnego nie wykręcę, takie tu słowo mogę dać, że wszystko odbędzie się legalnie.

Położyliśmy się spać, a mnie przez całą noc niedobre myśli gnębiły. Co on knuje, jakie plany układa, o których nie wiem? Zresztą czy musi mi wszystko mówić, jest już dorosły w swoim własnym poczuciu i wobec prawa.

Tamtego roku były pierwsze święta Bożego Narodzenia spędzone razem od czasu jego wyjścia na wolność. Dobrze było nam razem spędzać czas na jedzeniu i odpoczynku. Na drugi dzień poprosili nas do siebie Karolakowie. Dla odmiany była to dla nich już ostatnia zima na starym miejscu przed przeprowadzką do bloków. Ja-

nuszek wypił trochę, humoru nabrał, a potem już przez cały wieczór grał nam i śpiewał. Starsza dziewczynka Karolaków mało co oczu na niego nie wypatrzyła, rumieniąc się na twarzy i wypinając pod bluzeczką swoje młode piersi. Ja nie piłam nic, bo to już mocno mojemu zdrowiu szkodziło. Widziałam więc wszystko dokładnie, a zatem i pełne nerwów spojrzenie Karolakowej zwrócone na własną córkę. Wykorzystując okazję przy krojeniu ciasta zwróciłam się do niej w takie słowa:

— Januszek już bardzo spoważniał i pod względem takich obaw, co ma je pani na myśli, to już nie ten adres. Gdyby to był młody Żurek albo inny człowiek o łajdackim charakterze, wtedy co innego.

Karolakowa zmieszała się trochę, że tak łatwo jej myśli odkryłam, i mówi:

— Dziękuję pani, że pani ma również na tą sprawę uważanie. Ale swoją drogą dostanie córka ode mnie, że się tak spogląda na chłopów takim pazernym wzrokiem. Janusz jest przystojnym młodym mężczyzną, ale to jeszcze jej nie upoważnia.

Wróciłyśmy do stołu mocno zamyślone. Co Karolakowa myślała, tego nie wiem. Ale mnie takie zastanowienie naszło, czy to już zawsze ludzie pamiętać mu będą ten wybryk uczyniony za obcą namową. Charakter człowieka przecież się zmienia i jego postępki w codziennym życiu.

Karolak z Januszkiem pili wódkę i rozmawiali głośno. Potem znowu zaczęły się śpiewy, ale tym razem już tylko na dwa męskie głosy. Odchodziły kolędy, szły piosenki więzienne, później partyzanckie i wojenne. Karolakowa rozchmurzyła się, powoli humor odzyskując. Było bowiem czego posłuchać, tak im to dobrze wychodziło.

O dziesiątej wróciliśmy do siebie. Januszek zataczał się trochę, głośniej mówił i szerzej wymachiwał rękami. A kładąc się spać, powiedział takie słowa:

— Tutaj jeszcze usłyszą o mnie i czapki będą zdejmować na mój widok. Mówię to ja, Janusz Smoliwąs, który ma swoją ambicję.

Potem zaraz zasnął. A ja jeszcze długo siedziałam przy małej lampce, myśląc, co też to może oznaczać.

Ale póki co, nic się poza tym jego słowem nie kryło. Bez narzekania chodził do roboty, wstając wczesnym rankiem. Zastanawiając się nad nim myślałam nieraz, czemu to żadnego towarzystwa nie ma, tylko z roboty zaraz wraca do domu i nigdzie później nie wychodzi. U młodego człowieka, który jeszcze na dobre życia nie zaznał, nie jest to postępowanie zwyczajne. Przecież dom poprawczy i tylko męskie towarzystwo mogło się takiemu młodemu mężczyźnie na mózg rzucić. A co wtedy? Mało to większych i mniejszych wariatów po świecie chodzi? Opanował mnie strach, żeby mu się coś naprawdę w głowie nie poprzestawiało od tych czterech ścian. Ta obawa urosła jeszcze bardziej, kiedy przyszła noc sylwestrowa, a potem Nowy Rok. Na Sylwestra Januszek nigdzie nie poszedł, a w zamian za to przyszli do nas Karolakowie.

Znów były śpiewy i gra na gitarze, była muzyka z radia, trochę inna już niż za moich młodych lat, bardziej hałasująca i szybka. Mnie się ona za bardzo nie podobała, ale Januszek, nie mówiąc już o dziewczynkach Karolaków, słuchał tak, że nawet usta miał otwarte i oczy ze dwa razy większe. I nie wiem, czy specjalnie, czy nawet nie wiedział o tym, jego nogi podskakiwały do rytmu, kołysząc całym ciałem i głową w takt tej wariackiej muzyki. Jak takie coś zatańczyć, myślałam, przy mojej chorobie. Do tego trzeba mieć nogi młode, zdrowe i mocno wysportowane.

Za to obie Karolakówny, Joasia i Zosia, zaczęły wirować, łapać się za ręce, urządzać różne przewijanki, aż im spódniczki podskakiwały, ukazując nie tylko nogi wyżej kolan, ale i zadki. Spojrzałam na Januszka. Oczy miał teraz przymknięte, jakby się gdzieś myślą udawał daleko, tylko jego nogi podskakiwały jeszcze szybciej, przesuwając się w podrygach i przytupach butami z miejsca na miejsce. I gdybym panu powiedziała, że on się w tamtym momencie modlił do jakiegoś nieznajomego mi boga, tobym się pewnie za dużo nie pomyliła.

— Oberek albo polka — powiedział Karolak — to był taniec, też szybki, też z człowieka siódme poty wychodziły, ale gdzie im tam do takiego wariactwa, jakie się teraz w tańcu wyprawia. Nogi i ręce trzeba mieć gumowe i do tego na żelaznych zawiasach.

— Tatuś się nic nie zna — krzyknęła Joasia, starsza córeczka Karolaków — to przecież bardzo łatwe. Wcale tutaj nie trzeba myśleć, tylko ruszać się pod muzykę.

Przypomniałam sobie wtedy inne tańce w tym mieszkaniu w dniu pierwszej komunii mojego syna. Przypomniał mi się Zdzisio, mój kochanek, który mi tyle udręczenia dostarczył. Skakał sobie chłop, kobiety odmieniał, jak chciał i kiedy chciał, aż wreszcie do rozwodu z Krysią, jego żoną prawowitą, doszło. Ale długo Zdzisio za wolnego rozwodnika nie chodził. Upatrzyła go sobie jedna wdowa, kobieta grubej i postawnej budowy, która ma budkę z warzywami niedaleko targu. No i Zdzisio wżenił się w ten majątek cwanej kobiety, myśląc, że teraz dopiero rozpocznie mu się puchowe życie. A ona chłopa potrzebowała do dźwigania skrzyń z warzywami, do kłótni z badylarzami. Teraz Zdzisio jest za pomoc fizyczną u swojej żony i kroku bez jej pozwoleństwa zrobić nie może. Wychudł, chociaż nigdy grubością nie grzeszył, wyłysiał, tylko wąsik pozostał mu czarny jak dawniej.

Takie mnie wspomnienie naszło przy okazji tych tańców w moim mieszkaniu. Nic stałego nie ma na tej ziemi, wszystko się z czasem w brzydotę obleka, a potem w nędzny proch rozsypuje. Od tych myśli oderwał mnie Karolak, prosząc, abym z nim zatańczyła. W radiu skończyły się już te wariackie tańce i zagrali coś wolniejszego, dla zwykłych ludzi. Wstałam, bo sama chciałam się przekonać, czy jeszcze potrafię tymi kulasami poruszać do muzycznego taktu. Okazało się, że jeszcze mogę, i to zupełnie nieźle. Karolakówny tanga nie tańczyły, Januszek nie tańczył w ogóle, pomimo że go o to osobiście prosiłam, żeby zatańczył z panią Karolak. Ze mną też się do tańca nie ruszył, chociaż mnie jako matce coś takiego należało się od strony syna. Potem zrozumiałam, że to nie jest niechętne usposobienie, tylko że on nie miał kiedy się tańca nauczyć, przebywając tak długo w męskim towarzystwie.

Zaraz po dwunastej, jak żeśmy sobie tylko życzenia zdrowia i pomyślności poskładali, dziewczynki poszły spać, a Karolak skoczył jeszcze po pół litra, które mu się w domu zostało. Uważałam, że to trochę za dużo, bowiem

przedtem poszły już dwie butelki, ale z chłopami pod względem wódki dogadać się trudno. I znów mój Januszek wypił o ten kieliszek więcej, niż trzeba, i nawet zaczął zasypiać przy stole. Po Karolaku nic nie było widać, ten mógł w siebie lać jak w studnię. Z powodu zasypiania Januszka długo żeśmy już nie siedzieli. Zresztą siedzenie w zwyczajnym domu to nie zabawa w publicznym miejscu, gdzie trzeba swoje odtańczyć, bo już zostało z góry zapłacone.

I znów syn mój coś pod nosem mamrotał, komuś odgrażał się, jakieś przysięgi składał, w nie całkiem zrozumiałym dla mnie języku. Żal mi go było, bo co on mógł jeszcze w swym życiu wycudować, skoro już wszedł na równą drogę?

Przyglądając mu się dochodzić zaczęłam do takiego postanowienia, żeby całe mieszkanie w bloku przepisać na jego osobę. Bo gdybym, co nie daj Boże, nagle życie postradała, wtedy syn mój przy obecnym stanie faktycznym, zamiast zająć się staraniem o piękny pomnik na grób matki, biegałby po urzędnikach i urzędniczkach zanosząc podania i różne zaświadczenia. Doczekawszy więc ładniejszej pogody, kiedy obok mrozu wystąpiło również słońce, udałam się do biura zarządu spółdzielczego w tej sprawie. Urzędniczka, z którą miałam się okazję już przedtem zapoznać, wyraziła się w ten sposób, że nie widzi tu większych trudności, tylko jednak będę musiała przyjść z synem. Ale zaraz też nadmieniła, że w tym wypadku syn zostanie się również właścicielem całych wkładów w razie rezygnacji.

Uspokoiłam ją mówiąc, że chociaż syn jest jeszcze przed wojskiem, to charakter ma już spokojny, nastawiony na domowe spędzanie czasu. Dodałam nawet, że osobiście wolałabym, żeby się nieraz trochę rozerwał, jak to inne chłopaki podczas kawalerki w bezżennym stanie.

— Pani ma dużą śmiałość w sobie i odwagę osobistą — powiedziała urzędniczka — podejmując taką decyzję, ale to nie moja głowa.

Miałam jej może mówić, że śmierć stoi pod moimi drzwiami i tylko patrzy, od której mnie strony napocząć?

A takiego przypadku z bieganiem po urzędach, co najzdrowszego potrafi na amen wykończyć, lepiej zawczasu uniknąć. Każdy ma wystarczająco dużo zmartwień z własnymi sprawami na co dzień, więc po co mu niespodziewanego szukać?

Muszę się jednak panu przyznać, że i mnie trochę w tym względzie obawa prześladowała, żeby on co głupiego z tym mieszkaniem nie zrobił. Ale kiedy przypomniało mi się jego ranne wychodzenie do pracy i spokojne powracanie w godzinie popołudniowej, to obawy się tej pozbyłam, mówiąc sobie, że głupoty się mnie trzymają.

A jak już coś postanowię, to nie lubię odkładać na później. Zaraz też nadmieniłam o tym synowi.

— Nie widzę większej różnicy, na kogo mieszkanie jest zapisane — powiedział Januszek. — Przyjdzie pora na jego otrzymanie, to i tak przecież przeniesiemy się razem.

— Nie, synku — odrzekłam — mnie już sądzone jest dokonać żywota tutaj, na starych śmieciach.

Wtedy on podbiegł do mnie z posmutniałym wyrazem twarzy.

— Chce mnie mamusia zostawić — zawołał. — Na tyle, co w domu tym przeżyliśmy razem? Na tę dolę i niedolę, co szła z nami przez te długie lata? Za nic do tego nie dopuszczę.

Wzruszył mnie mój syn i rozpędził do reszty niedobre myśli wypływające z doświadczenia życiowego. Znaczy, matczyne serce miało tu słuszną rację, wierząc zawsze, że Januszek jest dobrym i kochającym dzieckiem.

— Pomimo tego, synku — powiedziałam — uważam, że sprawę tą tak właśnie trzeba załatwić! A co do mojego zamieszkania, czy tu, czy tam, to przecież nie jest takie najważniejsze. Lepiej będzie, jak mieszkanie zostanie przekazane na ciebie. Teraz to jeszcze nic, ale jak już budowa ruszy, to trzeba przecież będzie pójść dopilnować murarzy, żeby cegły równo pokładli, bo inaczej krzywo poustawiają, jak to już nieraz widziałam, za tyle włożonych przez nas pieniędzy. A ja już nóg nie mam na takie chodzenie.

— Jeżeli mamusia tak uważa — odpowiedział Januszek — to ja nie będę tutaj sprzeciwu zakładał, bo ma-

musia ma więcej rozumu, niż ja jeszcze posiadam. Ale tu mamusię mogę zapewnić, że to mieszkanie będzie dla mnie rzeczą świętą i ono w najgłówniejszej części do mamusi należy.

Po załatwieniu tej sprawy dni mijały nam nadal w swoim jednostajnym tempie. Rano wstawałam, żeby synowi zrobić śniadanie, a kiedy wychodził do roboty, kładłam się znów na małą drzemkę. Potem zajmowałam się sprawami domowymi, a następnie wychodziłam do swojej pracy. Po przyjściu z pracy robiłam kolację, po zjedzeniu której szliśmy zaraz spać.

Nic jednak nie może trwać wiecznie, a już tym bardziej samotność własnego dziecka oddalonego od przyjaciół i innych ludzi. A jeżeli już taka odmiana zaszła, to powinno mnie cieszyć, że syn znalazł sobie towarzystwo i już nie przebywa sam na sam ze sobą albo ze swoją matką. Tylko że to towarzystwo dla Januszka odnalazło się za przyczyną Staśka Wątroby, którego pan też powinien sobie przypomnieć, dawnego koleżki mojego syna i już dużego kryminalisty.

Kiedyś wracam z roboty i nawet przez zaopatrzone na zimę okna słyszę muzykę nowoczesną. Wchodzę, a przy kuchennym stole, na którym stoi butelka wina, siedzi syn i jakiś młody chłop, którego w pierwszej chwili poznać nie mogłam. Na mój widok nieznajomy podnosi się, a wzrost ma jeszcze wyższy od Januszka, i takimi słowami odzywa się do mnie:

— Dobry wieczór, pani Smoliwąs, bardzo mi jest miło, że panią znowu widzę.

Patrzę, twarz jakby mi znajoma, ale jeszcze wierzyć mi się nie chce. Więc pytam:

— Przepraszam, a czy to może Stasiek Wątroba?

— Ten sam — słyszę odpowiedź — we własnej swojej osobie.

Co miałam zrobić, wyrzucić go? Powiedzieć Januszkowi: puknij się w głowę? Dałam im kolację, sama wypiłam z nimi kieliszek wina. Stasiek Wątroba cały czas mówił o różnych sprawach, a już najwięcej o tym, jaka to mu się dobra robota od wiosny szykuje. Ma być bowiem zatrudniony w dużym prywatnym interesie jako handlarz rozwożący po wsiach święte obrazy. Żeby na tym

majątek zbijać, pomyślałam, no to chyba już koniec świata jest blisko. Ale już najbardziej mi się naraził, kiedy powiedział, że bardzo ładnie wyglądam, nic nie zmieniając się przez te wszystkie lata. Mnie to mówił, starzejącej się i tyjącej kobiecie. Od razu widać było, co to za ptaszek i co się za tym kryje.

Na jego konto mogę tylko zapisać, że nie siedział za długo w obcym domu, gdzie nie był mile przeze mnie widziany. Ledwie dokończyliśmy wino, w tym gatunku mi jeszcze nie znane, mocno słodkie o ziołowym smaku, ledwie fabryka zagwizdała na dziesiątą w nocy, a Stasiek zaczął się z nami żegnać. Ucałował mnie w rękę, zalatując przy tym perfumowaną wodą, a do syna zwrócił się w takie słowa:

— Więc pamiętaj, Janusz. Sobota. Idziemy na ubaw, a tam zapoznam cię, z kim potrzeba. Jest mi na pewno wiadome, że szukają chłopaków do zespołu.

Drzwi się za nim zamknęły, a ja od razu z buzią:

— Co ten Wątroba cierpi do ciebie? I co to za komitywa po tylu latach nieobecności? Ja nie widzę powodu do takiego koleżeństwa z cwaniakiem.

— W takim to razie — mówi Januszek — powiem mamusi tylko tyle, że mnie Stasiek Wątroba całkowicie zwisa, a jego osoba zupełnie nie obchodzi. Ale w domu kultury jest zespół, w którym chciałbym w miarę swojej możliwości trochę pograć, bo to mnie najwięcej interesuje. Stasiek zna tutaj wszystkich od młodego do starego.

— Ładny mi zespół — mówię — jak się z takim Wątrobą koleguje.

— Nic mamusia nie wie — odzywa się Januszek. — W domu kultury jest klub młodzieżowy ZMS i tam gra ten zespół co sobotę na zabawach, a w niedziele na wieczorkach. Mają sprzęt i różne instrumenty, jakie chcą, gdyż ZMS wszystko w całości pokrywa. A skąd Wątroba ich zna, do tego nie będę wnikał. Wiem tylko, że zależy mi na tym, żeby mnie do „Rybałtów" przyjęli.

W tym momencie opuściła mnie równowaga.

— Do kogo, mówisz? — zawołałam. — Najpierw to miał być jakiś zespół, a teraz już nie wiem co? Ty mi, synku, nie próbuj kręcić.

A Januszek mój w śmiech i mówi:

— To tylko taka nazwa. Zespół nazywa się „Rybałci 63".

— Czy to od ryb — pytam — albo od rybaków? Od czego to takie cudactwo, taka nazwa dla zwyczajnych muzykantów?

— W to zagadnienie jeszcze nie wnikałem — powiada Januszek — ale być może jest to właśnie coś w tym podobieństwie? Może tak w bardzo dawnych czasach nazwano śpiewających na swych łodziach rybaków?

— Rób, jak chcesz — zakończyłam tą nocną rozmowę. — Ale pamiętaj, ty sam sobie teraz przyszłość ścielesz, ona jest całkowicie w twoich rękach.

Tych parę dni, które pozostały do końca tygodnia, upłynęło mi na rozmyślaniu, co może wyniknąć dla Januszka z należenia do „Rybałtów 63". Gdzie on się pcha, zadawałam sobie pytanie, jak tam tyle luda, ponad sześćdziesięciu? A co będzie z pracą? Czy nie wyda mu się zajęciem niepotrzebnym, jak już znajdzie się w tej wielkiej orkiestrze? Nie mogłam wytrzymać takiego naprężenia nerwów, więc zadałam mu tylko to jedno, najważniejsze dla mnie pytanie:

— Słuchaj, synku, chyba na pracę nie będziesz zamiarował powiedzieć: be, i włosa w niej, co nie daj Boże, szukać? Praca to jest praca i pomimo że przeważnie rozrywki nie stanowi, to jednak pozwala człowiekowi żyć jako tako.

— Pod względem tego zapytania mamusi — odpowiedział mój syn — to takiego strachu nie ma. A po drugie, jeszcze mnie nie przyjęli i nie wiadomo, czy przyjmą. Grać będę tylko w wolnej chwili. Chociaż chciałbym być zawodowym muzykiem, wtedy bym wiedział, że żyję, a ty byś, mamusiu, zobaczyła dopiero, co to są prawdziwe pieniądze.

— Dziękuję ci — odparłam — w tym tylko chciałam mieć uświadomienie.

W sobotę, zaraz po dwunastej, kiedy Janusz powrócił z pracy, rozpoczęły się bardzo dokładne przygotowania. Długo syn myślał, czy założyć swój nowy, tuż przed Bożym Narodzeniem kupiony garnitur, czy też udać się w

swetrze, w którym łatwiej mu będzie grać na gitarze. Doradziłam mu jednak, że, jak chce zrobić lepsze wrażenie, niech założy garnitur, a nie idzie jak ta sierota. Po tej uwadze udałam się do swojej pracy.

A tam wpadła mi do głowy taka myśl. Niech on się za bardzo tą orkiestrą nie przejmuje, przecież czeka go jeszcze wojsko. Zawsze to przecież lepsze dla młodego człowieka od złego towarzystwa Staśka Wątroby.

Na powrót syna z zabawy oczekiwałam do północy, potem położyłam się spać. Rozbawił się mój chłopak, myślałam, to mu do domu nie spieszno. Powrócił dopiero o bladym, lutowym poranku. Usłyszałam, jak krząta się po kuchni, wesoło sobie podśpiewując. Wyszłam więc do niego i spytałam:

— No i co? Przyjęli cię do tej orkiestry czy też wyrazili się odmownie?

— Nie orkiestry, mamusiu — odpowiedział Januszek — tylko do zespołu. I muszę ci tu powiedzieć, że nawet trochę grałem niektóre kawałki, ale jeszcze dużo będę musiał się nauczyć.

— Synu — powiedziałam — co ci przyjdzie z gry z taką dużą gromadą ludzi? Kto cię w takiej kupie zobaczy?

— Nie rozumiem, co mamusia ma tutaj na myśli?

— Jak to co? Jeżeli gra sześćdziesięciu paru chłopa, to nie gromada? Bez ciebie już tych „Rybałtów", czy jak im tam, było sześćdziesięciu trzech, teraz ty do tego doszedłeś, a co nie daj Boże, jeszcze paru dojdzie, to co wtedy? Gdzie takie bractwo naraz pomieścić, w jakiej sali?

— O Jezu! — zawołał Januszek i usiadł na łóżku ze spodniami zdjętymi z jednej nogi. — Sześćdziesięciu trzech to nie ilość członków zespołu, tylko rok założenia „Rybałtów". Rozumie mamusia? A w zespole jest pięciu chłopaków, ja będę szósty.

Od tej pory coraz trudniej było mi się połapać, czy mam w domu syna, czy też „Rybałta 63". Ledwie mu się robota fabryczna kończyła, ledwo naprędce zjadł na stołówce obiad, a już gonił do klubu młodzieżowego. Wracać zaczął coraz później, jedenasta, nawet dwunasta w nocy. A kłaść się co dzień o tej porze to już nie dla mnie. Pogoda przybliżała się wiosenna, raz roztopy, a raz porywiste wiatry i mokre śniegi. Przeplatał to wszystko mróz,

jak to zwykle przy końcówce marca. Przez co i moje nogi zaczęły to odczuwać, znów puchnąć i po nocach boleć. Wiedząc, czym może się to skończyć, nie mogłam sobie pozwolić na zarywanie snu, który jest najlepszym wypoczynkiem. A co tu zrobić, jeśli synek mój tłucze się po mieszkaniu jak nocna ćma, matce nie dając spać? Ale to jeszcze nic, bo przecież rano trzeba synusia, co już przynajmniej ze trzy razy w tygodniu się goli, ściągnąć za głowę z łóżka i do roboty wygnać. A godzina mu wypada wczesna, na szóstą. Budzik dzwoni, a Januszek nic, śpi dalej i mógłby pewnie tak spać do południa. Budzić więc go muszę, ale nie raz, tylko ze dwadzieścia razy, a to świętego by w nerwy wpędziło. Przez te nerwy zdrzemnąć się po jego wyjściu nie mogę i w robocie chodzę półżywa, mało co widząc na oczy. Co innego położyć się o dziesiątej, wtedy człowiek zawsze wyśpi się tych parę godzin. W końcu więc nie wytrzymałam i mówię do niego:

— Czy ty tak co dzień musisz do tych „Rybałtów 63" latać i tak zawsze do domu o dwunastej wracać? Z nóg już padam przez te braki w śnie.

— A czy ja mamusi nie pozwalam spać — odzywa się Januszek — czy ja mamusię specjalnie budzę?

— Specjalnie budzić — mówię — to mnie nie budzisz, ale że tłuczesz się po pokoju, to też jest fakt. A poza tym nie możesz później o własnej sile udać się do roboty.

— Więc co mam robić? — pyta Januszek. — Fruwać? Czy może w ogóle do mieszkania nie wchodzić? Kocham muzykę i ona w moim życiu stanowi wszystko Dlatego nie wyrzeknę się tego zamiłowania. A co się odnosi, że mocno śpię, to mam młody organizm, który jeszcze spać potrafi bez trudu. Wysunę taką propozycję, którą zaraz można wykonać. Przestawi się w kuchni kredens, stół przeniesie na inne miejsce, gdzie też zaraz mogę zrobić sobie spanie. Wtedy już nie będę przeszkadzał mamusi późnym powracaniem z prób „Rybałtów 63".

— Januszku — mówię do niego — wiesz przecież, że jako kobieta więcej muszę dbać o higienę osobistą swojego ciała. A jak to będzie przebiegać, jeśli ty zamieszkasz na stałe w kuchni? Duża trudność z tego dla mnie wyniknie.

— Mamusia to zawsze — odzywa się mój syn — z białego robi czarne. Przecież wtedy mogę sobie posiedzieć w pokoju. A po drugie mogę zrobić zasłonę przy moim łóżku albo tym sposobem oddzielić miskę i wiadro. Jeżeli mamusia widzi lepsze rozwiązanie, to proszę.

Pomyślałam chwilę, zastanowiłam się i mówię:

— Ostatecznie tak może być. Ty też, jako już prawie dorosły mężczyzna, musisz mieć własne miejsce dla siebie. Rozchodzi się tylko o to, żebyś dobrze zamykał drzwi od dworu wracając później. Chyba już na tyle jesteś poważny?

— Mamusia ciągle jeszcze mnie ma za dziecko — powiedział Januszek — ale ja też nie widzę powodu, żeby złodziejom, których tak samo nienawidzę, robić wygodę.

Pan mi wybaczy, ale jestem zmuszona na jedną małą chwilę przerwać swoje wynurzenia osobiste. Panu też to chyba przeszkadza, jak ktoś dobija się do drzwi hałas robiąc. Zaraz wracam, tylko zaprowadzę porządek z tym osobnikiem, który nie posiada dobrego wychowania...

— Panie Karuzela, przecież nie po to otrzymał pan ode mnie pęłen szkopek przed robotą i nie po to czeka na pana druga porcja, żeby pan się nie wywiązywał? Co oznacza ten niedopity osobnik, który wali w drzwi, kiedy akurat jest u mnie przedstawiciel najwyższej adwokatury? Pan podjął się utrzymać porządek w tych godzinach, więc gdzie, pytam, jest to pańskie słowo?

— Pani Smoliwąs — odpowiedział męski głos — pani też tę mendę zna. Drugi miesiąc jest na obrotach, a z domu już nie tylko zimowe ubranie, pościel i poduszki, ale nawet klamki od drzwi posprzedawał. A jeżeli się o mnie rozchodzi, to poszedłem na chwilę na stronę, wracam, a on już jest i wali. Proszę jednak popatrzeć na tego człowieka. Na grzbiecie pusto, wszystko w nim lata i chodzi. Był na zwałce, przespał się i jeżeli teraz nie otrzyma szkopka, to nie wiadomo jeszcze, co może nastąpić. Ja osobiście tej odpowiedzialności na siebie brać nie mogę. Na flaszkę ma, sprawdzałem to własnoręcznie.

— Panie Karuzela, powtarzam panu jeszcze raz, że

dzisiaj nie urzęduję. Nie ma mnie, chociaż przed panem stoję.

— Więc podług pani mam odpędzić tego gościa, który wyszedł w tej zaledwie koszulinie i trzęsie się jak gówno w przeręblu? Czasem trzeba mieć trochę chrześcijańskiego podejścia. Nikt tu już więcej w dniu dzisiejszym spokoju nie naruszy. Zaręczam to osobiście. Chorego trzeba ratować. A o co się tu rozchodzi? O tą jedną flaszkę.

— Daj pan te pieniądze, panie Karuzela. Gdybym pana nie lubiła, toby nie było nawet rozmowy. Ale ostrzegam. Nikogo więcej!

— Nawet psów będę odpędzał — wyrzekł męski głos — nie tylko chłopaków. Pani ma ludzkie odczucia prawdziwego człowieka...

Załatwiłam. Słyszał pan? Na czym to się zatrzymaliśmy? Już wiem. Więc, jak było postanowione, Januszek przeniósł się do kuchni. Obok miejsca, gdzie stoi piec, wiadra na czystą i brudną wodę, jak również taboret i miska do mycia, syn przeciągnął kawałek drutu, ja doczepiłam do tego trochę kolorowego perkalu i można powiedzieć, że było urządzone, że zrobił się jeszcze jeden pokój w moim mieszkaniu. A za parę dni zabraliśmy się do pracy w ogródku. Po raz ostatni już razem z Karolakami. Od jesieni los się do nich uśmiechał, mieli nareszcie otrzymać mieszkanie.

Januszek popracował trochę kopiąc mi grządki, ale nie za wiele. Ale pomimo to i tak było mi lżej. Za to w robocie na fabryce jak na razie muzyka mu nie przeszkadzała, chociaż z jego budzeniem było teraz chyba jeszcze gorzej niż w zimie. Przykazałam mu też, żeby w miesiącu dawał mi sześćset złotych na życie i na dom. Resztę, a nie było to mało, bo prawie tysiąc czterysta złotych, zostawiał sobie. Ubrał się już, sprawił sobie jeszcze jeden piękny garnitur z czarnej elany. Do tego parę koszul, w tym jedna nowoczesna z nylonu, bardzo kosztowna, parę skarpet, buty na co dzień i od święta. Kiedy ubrał się w niedzielę i wyszedł na ulicę, to było na co popatrzeć, taki miał elegancki i wcale nie robotniczy wygląd.

Od kiedy wstąpił do zespołu, w każdą sobotę, nawet

w poście, czego już nie mogłam pochwalić, grał na zabawach. Nie zauważyłam jednak, żeby powracał za bardzo napity, co najwyżej tylko trochę trącony, bez zaćmienia umysłu i pamięci. We wszystkim jednak, nawet kiedy jeszcze nie jest najgorsze, zawsze znajdzie się jakieś paskudne miejsce, niewygodne jak drzazga w tyłku. Takim miejscem paskudnym w naszym życiu był Stasiek Wątroba. Nie podobało mi się to zupełnie, nie widziałam w Wątrobie dalszego towarzystwa dla mojego syna.

A tymczasem już, jak każdego roku, pomalowano wapnem na biało krawężniki przy ważniejszych ulicach. Oznaczało to, że nadchodzi Pierwszy Maj, święto całej klasy robotniczej. W parku niedaleko magistratu zbito platformę z desek. I na niej to w ten świąteczny dzień przygrywali narodowi do tańca „Rybałci 63". Sześciu młodych, a każdy w białej koszuli i czerwonym krawacie. Słyszałam ich grę i bardzo głośny śpiew, przeważnie o miłości, który dochodził nie z platformy, ale z rozwieszonych na słupach głośników. Tańczyli przy tym i zarzucali zadami, co mi się już zupełnie nie podobało. Gitary też mieli inne niż zwykłe: płaskie jak deska z podoczepianymi sznurami od elektryczności. Wywijali nimi, jakby to nie były instrumenty, lecz wiosła, a oni sami ratowali się od utonięcia. Na pierwszym miejscu, a tylko chwilami trochę z tyłu drygał i podskakiwał mój syn mając całkiem nieprzytomne oczy. Stałam tam z godzinę, dopóki mnie solidnie nie rozbolały nogi, przyglądając się tańcom, które polegały na szarpaniu za ręce, podrzucaniu głowami i ukazywaniu przez dziewczyny majtek. Widziałam tam starszą Karolakównę, ale nie bałam się o nią, gdyż Karolak obiecywał żonie, że jak zakończy się u niego na fabryce pochód, przyjdzie po dzieciaków. Jego też więc wkrótce zobaczyłam, jak stał z kolegami w niedużym jeszcze cieniu lipowego drzewa. Trochę dalej młodziaki popijali wino. W niedługim czasie zaczęła się szarpanina, w której więcej było przeklinania na całe gardło niż prawdziwej bitki. Zespół akurat przestał grać, więc krzyk i wrzask nie pochodzący z muzyki sprowadził trzech nie znanych mi milicjantów z dwoma psami na smyczach i w kagańcach. Bitka ustała, młodziaki od war-

czących psów pouciekali i w chwilę później powrócił świąteczny nastrój.

Pomimo że powinnam odczuwać dumę z własnego syna, odczuwałam złość. Może wynikała ona z tego, że cały zespół „Rybałci 63", nie licząc tańczącej młodzieży, wyglądał, jakby ta muzyka ich upiła, nabawiając pląsów i drgawek. A po drugie, kręcił się tam stale Stasiek Wątroba z jednym blondynkiem nazwiskiem Pęcicki, przewodniczącym organizacji młodzieżowej. To, że Pęcicki założył „Rybałtów 63", żeby organizacja miała własną muzykę do tańca, można było jeszcze wyrozumieć, ale dlaczego Wątrobiak miał też czerwony krawat na sobie, tego już nie rozumiałam zupełnie.

W złości wracałam do domu. Lekki wiatr przy ładnej, słonecznej pogodzie, która dopiero nad wieczorem zmieniła się w deszczową, potrząsał flagami, w radiach słychać było zadowolone z osiągnięć przemówienia i wznoszące się okrzyki, a mnie tu krew zalewała na myśl, że syn do złej orkiestry się dostał. Bo tam, gdzie kręcił się Wątrobiak, nie mogło być nic dobrego, a tylko bliskie szachrajstwo oczekujące swojej okazji.

Proszę nie pić tych resztek, bo tam już tylko fusy na dnie pływają. Zaraz podam świeżej herbaty, zanim zje pan coś solidniejszego. Czajnik stoi na ogniu, więc nie ma sprawy. I niech pan mi już więcej nie opowiada, że pan swój apetyt pozostawił w domu pod opieką żony. Takiego powiedzenia nie przyjmuję do wiadomości.

Oto herbata. To, co chcę panu opowiedzieć, dobiega już końca. Proszę cukier. Nienawidzę pić herbaty poza domem. Znam się dobrze na tych kantach, gdzie do starych fusów sypie się trochę nowej esencji tak, że później poznać nie można, co to jest, z jakiego kraju pochodzi ta lura.

Opowiadam więc, co nastąpiło dalej i jakie mnie myśli ogarnęły. Pomyślałam, że może nie najlepiej robię źle wyrażając się o „Rybałtach 63". Bo w końcu cóż to takiego, jak sobie zespół gra i śpiewa, a inna młodzież tańczy? W całym kraju pełno jest różnych zespołów i z tego powodu nie ma dziury w niebie. A gdyby Janusz poszedł

do wojska i zaczął grać po linii wojskowej, „Rybałci 63" wyszliby mu tylko na korzyść. Ale tu znów Wątrobiak przed oczami mi się ukazywał i znów mnie krew zalewała i rozum odbierała.

Tymczasem Januszek zmieniał swoje podobieństwo do zwyczajnego człowieka. Zamiast odkładać pieniądze z przeznaczeniem na meble czy coś innego do nowego mieszkania, zaczął sobie jakieś cudactwa kupować na bazarze. Z porządnego garnituru zawsze jest jakaś korzyść, ale żeby za amerykańskie spodnie z byle jakiego materiału zapłacić całe tysiąc dwieście złotych, to jest tu już coś nie w porządku. Do roboty, gdzie się najlepiej nadają, takie spodnie za drogie, a w święto wstyd w nich chodzić.

Czesać też się mój syn zaczął odmiennie, dłuższy włos zapuszczając. Butów innych nie nosił jak tylko od prywaciarzy — o wyższych obcasach i długich szpicach. Wrogiem mody nie byłam, ale przecież widziałam, że go to schludnym i porządnie wyglądającym nie robi. Powiedziałam mu o tym, delikatnie nadmieniając, że pieniądze to nie jest takie coś, czym można się rozrzucać na lewo i prawo.

— Mamusia myśli — odpowiedział mi Januszek — że grając w „Rybałtach 63" jako gitara prowadząca, jak również na perkusji, kiedy wyniknie taka potrzeba, nie muszę mieć odpowiedniego wyglądu? Ciągle przecież jest się między ludźmi. A pieniądze? Za rok albo dwa nie będę wiedział, co z nimi robić.

I tak coraz bardziej wchodziłam w sprawy „Rybałtów 63". Wiedziałam, że gra tam niejaki Trębacki Bronek, który jeszcze jest za studenta uczącego się na inżyniera w Warszawie, Kalita Jerzy, który nigdzie nie pracuje i się nie uczy, chociaż cały ogólniak skończył i ma średnie wykształcenie, Brzoza Grzesiek, szofer z jednego ministerstwa, jak również Franek Ciupa i Aureli Gwiżdż, którzy chodzili jeszcze do technikum. Niedługo po Pierwszym Maja z „Rybałtów 63" odszedł Trębacki, przenosząc się do innej orkiestry, utworzonej z samych studentów.

Dni, które mijały mi tamtego roku, miały bardzo szybki przebieg. Zajęć było dużo, a wszystkie podobne do siebie. Dopiero pod koniec lata nastąpiła wyprowadzka

Karolaków na nowe mieszkanie, a potem jeszcze mój wyjazd do sanatorium na dalsze leczenie nóg.

Smutno było żegnać się z Karolakami. Przecież to tyle wspólnego pożycia w jednym domu, na jednym podwórku, na tej samej ulicy. Kiedyś było między nami źle, ale człowieka trzeba umieć wyrozumieć, nawet gdy nie jest taki, jak by się tego upragnęło. Wtedy i samemu jest łatwiej żyć, mając inne podejście, niż na to złość wykazuje. A w takim wypadku i ten drugi człowiek też może oczy przetrzeć i zacząć rozumieć inaczej. Ale w ludziach, kiedy tak patrzę dookoła, coraz mniej jest takiego dążenia, coraz większe sobkostwo panuje.

Zabrali się ciężarówką przysłaną z fabryki traktorów. Myślałam, że za jednym razem wszystkiego się nie da załadować, a tu okazało się, że nawet trochę miejsca zostało. Tyle lat człowiek zbierał, dorabiał się dobytku, którego nie wystarczyło, żeby załadować do pełna jeden samochód. Karolakowa ostatni już raz zamknęła drzwi, biorąc klucze w celu oddania ich w magistracie. Zamieniliśmy parę słów, żegnając się ze sobą, i samochód odjechał warcząc i kurząc, jak wszystko, co przejeżdżało latem naszą ulicą. Patrzałam, jak podskakując na dziurach znika, i takie miałam odczucie, jakby już coś się zamknęło na zawsze, jakby te lata wspólnie przeżyte odeszły gdzieś bez śladu.

Mieszkanie Karolaków zostało po paru tygodniach opieczętowane i stało bez pożytku ładnych kilka miesięcy. Później założono tam magazyn różnych magistrackich papierów i druków, pewnie takich, co to nikomu już nie są potrzebne, ale muszą jeszcze pobyć na magazynowym stanie. Drzwi zostały obite blachą, w oknie pojawiła się druciana siatka, a od wierzchu gruba, żelazna krata. Tak jest do dzisiaj, do magazynu mało który urzędnik zagląda, myszy tylko harcują jak wściekłe.

Niedługo potem i ja wyjechałam do sanatorium na całe trzy tygodnie. Cieszyło mnie to, ale też i trochę smuciło. W domu pozostawał przecież Januszek i różne sprawy zalegające, na które mi już ani rąk, ani sił nie wystarczyło.

Znowu walą, słyszy pan? Co to się teraz w narodzie porobiło, że nikomu już wierzyć nie można? Jedno oszukaństwo jest tylko i nie ma słowa, które by coś znaczyło. Cicho tam! Idę już! Krew mnie w końcu zaleje przez taką nachalność...

— Panie Karuzela, prosiłam pana już pięćdziesiąt razy, żeby pan mi domu upilnował w taki dzień jak dzisiaj, co nie przytrafia się tak często. Ile razy mam do pana mówić takie rzeczy, które są zrozumiałe nawet dla dziecka? A pan znowuż przyprowadza tego niedobitka.

— Pani Smoliwąs — wołał męski bas — a do kogo żeśmy mieli się udać? Do Podbielskiej, do Arendowej czy też może do tej starej kurwy Zrodowskiej, która nigdy kapslowanej nie ma, tylko z wodą miesza i karbidem. A jeżeli już o niego się rozchodzi, to w dalszym ciągu jest nie dopity, do czego dopuścić nie można, jak jego organizm tego potrzebuje. Przy ostrej przerwie serce nie wytrzyma.

— Nic z tego, panie Karuzela, i nie do mnie taka propaganda. Widzę raczej, że to nie on, ale że pan jest nie dopity.

— Ja do pani jak do matki po ten ostatni ratunek dla potrzebujących wyrozumiałości. Chrystus by pomógł, ale od zwykłego człowieka nie można tego samego wymagać. Idziemy. Czy ja muszę pić albo czy ja muszę w tę i nazad chodzić po mrozie i chłopaków na inne mety odganiać?

— Daj pan pieniądze, panie Karuzela.

— Jest fant, chcemy przybić.

— Jaki fant?

— Sikor.

— Jaki sikor?

— Ruski sikor.

— Do kiedy?

— Za tydzień odbierze.

— Dobrze! I powtarzam po raz ostatni, że zrobiłam to tylko dla pana, a pan chyba tym, co chrząka i ryje, nie będzie? Ten spokój muszę mieć, żeby nie wiem co. Jak

bowiem ktoś przyjeżdża w interesie, to też ma te godziny policzone.

— Pani żywcem pójdzie do nieba. Ja to pierwszy komu trzeba poświadczę.

— Dosyć już, panie Karuzela, czasu nie mam...

I sam pan widzi, jaki mam bal z tymi moczymordami. A ile gadania, ile kombinacji? Do dwudziestej drugiej jeszcze otworzę, a potem, żeby nie wiem co, żeby się waliło i paliło. Drzwi od sionki mam wzmocnione, od mieszkania też. Po dziesiątej więc niech sobie tłuką i krzyczą, ile wlezie. Ja śpię albo na telewizję patrzę.

Ale przecież nie o ten temat chodzi, nie o te sprawy, które do Januszka niezupełnie się odnoszą. Skończyłam na tym, jak wyjechałam do sanatorium. Czułam się wtedy sporo lepiej. Żylaki mi co prawda nie zanikły, a nawet urosły, ale nie tak nogi bolały. Blizna po małym palcu, który mi doktorzy odjęli, była pięknie wygojona, inne palce też nie dokuczały. Pobyt więc w sanatorium miałam dobry, a wypoczynek udany. O moim lepszym poczuciu i wyglądzie mógł poświadczyć taki fakt, że jeden starszy i przystojny mężczyzna na bardzo dobrym stanowisku magazyniera w fabryce parowozów przystawiał się do mnie. Odczułam do niego lekką wzajemność, bo mi się nawet spodobał. Dowiedziałam się jednak, że nie jest kawalerem ani rozwodnikiem czy wdowcem, tylko myśliwym od łatwych okazji. Mój osobisty stosunek do niego zaraz się więc odmienił, a nie dając mu tego, czego oczekiwał, szybko go odstawiłam od siebie. Z żonatymi mi się w życiu nie udawało, a jeżeli już mieć chłopa, to mieć go całkowicie dla siebie, a nie do spółki z inną osobą.

Odstawiając tego magazyniera, miałam teraz dużo czasu dla siebie. Zauważyłam, że chorych w tym sanatorium prawie nie ma i że po większej części są tutaj tacy, którzy przyjechali używać sobie, ile się da. Wieczorami w pokojach słychać było śpiewy, a knajpy aż pękały od kuracjuszy. Chorzy i chore na różne choroby kostne wywijali na dancingach, aż dudniło. A ilu jest chorych prawdziwych, którzy pomocy potrzebują, a którym w

głowie nawet taka myśl nie powstanie, żeby móc wyjechać. Jacy to doktorzy tak kierują, jak leci, i przeważnie nie tych, co trzeba? Nasz doktór fabryczny, chociaż nerwus jak rzadko, umie jednak poznać, kto jest zdrowy, a kto choruje. Nawet i doktór Żurek, do którego miłości nie odczuwam, też potrafi wyleczyć, inaczej by tylu nie szło do niego.

Dzieje się to wszystko za państwowe pieniądze, na które przecież każdy musi zapracować ciężką swoją pracą. Ale kogo to obchodzi, wszyscy tylko za własnym chodzą, nie patrząc na innych. A że ktoś dopchać się nie może po to, co mu się słusznie należy, że cwaniak już dziesiąty raz wszedł na jego miejsce, to i co z tego? Jak nie ma pazurów wyostrzonych, jak plecy ma za chude do rozpychania, niech siedzi cicho, bo jeszcze go co złego obleci.

Wypełniona takimi myślami, wyjechałam w drogę powrotną. Pociąg się spóźnił, był w Warszawie dobrze po ósmej. Na kolejkę też sporo czekałam, więc przybyłam na miejsce dopiero parę minut przed dziesiątą. Zmęczona podróżą, otumaniona od huku kół dźwigałam ciężkie bagaże. Dochodząc do domu usłyszałam głośną muzykę, od której tylko uszy mogą spuchnąć. Ki diabeł, pomyślałam, kto tu sobie takie żarty robi, żeby radio rozkręcać do oporu? Pomimo że jest dzień, niektórzy przecież odpoczywają po robocie na nocnej zmianie. Podchodzę bliże i widzę, że to nie żadne radio, ale w moim ogródku pod drzewami rozsiedli się „Rybałci 63" i hałasują bez litości. Naprzeciw nich siedzi na krześle Wątrobiak i jak głupi wali nogami o ziemię. Stawiam bagaże, wbiegam i Januszka, który w tym czasie wydziera się do mikrofonu, łapię za ramię i pytam:

— Co tu się stało? Dlaczego nie jesteś w robocie?

„Rybałci 63" przestają grać, robi się cicho, więc słyszę wyraźnie, jak mówi do mnie:

— Do roboty już nie pójdę!

— Dlaczego?

— Muzyka jest ważniejsza.

Weszłam do domu, „Rybałci 63" na szczęście przestali grać, bo inaczej chybabym zwariowała. Pokręcili się jeszcze trochę, głośniki z drzew pościągali, potem instrumenty do kuchni wnieśli, na łóżko Januszka zwalili i gdzieś wszyscy jak jeden poszli. Zostałam sama czując się od nowa osłabiona, od nowa chora. W wiadrach ani kropli wody, w głowie też pusto, nic w niej oprócz strachu nie ma. Co miałam jednak zrobić? Przyniosłam wody, rozpakowałam bagaże, które, trzeba przyznać, Janusz sam własnoręcznie dostarczył do mieszkania, i postanowiłam położyć się i przespać.

Tylko jak mi zasnąć, kiedy stało się to, czego ani razu nie chciałam dopuścić do moich myśli. Janusz jako mężczyzna silny i zdrowy przeszedł na wikt i opierunek chorej matki, nie licząc innego starania. I nie rozchodziło się tu tylko o to, że sobie nie poradzę, ale o coś całkiem innego. Jak to bowiem wygląda, żeby dorosły mężczyzna zajmował się graniem i śpiewaniem?

Natenczas przyszedł Mariusz Pęcicki. Już sam jego wygląd mówił mi o tym, że jest ukochanym dzieckiem mocno zamożnych rodziców. Był w nerwach i od razu zwrócił się z zapytaniem:

— Gdzie Janusz? A może był kolega Wątroba? A tak w ogóle to nie wie pani, gdzie są wszystkie instrumenty i inne urządzenia do muzyki?

— Wiem — mówię.

— Więc gdzie? — pyta Pęcicki. — Proszę mi odpowiedzieć.

— Tutaj. Na łóżku. Bierz to pan zaraz, bo jeszcze się co popsuje.

— Zabrać — mówi Pęcicki — ale jak? Tu potrzebny przynajmniej jeden samochód.

— Do tego nie będę wnikać — mówię — lecz takiego majątku nie chcę w domu posiadać.

— Ledwie człowiek był dziesięć dni — odzywa się Pęcicki — na wyszkoleniowym obozie na temat porządku w papierach, a tu już tyle zmian. Ludzie protest założyli, że gramy za głośno, ale to jeszcze nie powód, żeby instrumenty leżały tutaj, a nie w domu kultury.

— Ja też wyjeżdżałam — odzywam się — i tyle wiem

co pan. Ale z góry oświadczam, że ten towar jest za drogi jak na moje wykształcenie.

— Idę więc — wyrzekł Pęcicki. — Pani tylko powie Januszowi, że jutro oczekuję wyjaśnień w tej sprawie.

Nie ruszałam się z miejsca, tylko patrzałam jak ta głupia na porozkładane na łóżku instrumenty, a już najbardziej na stojący obok na podłodze wielki bęben z błyszczącymi talerzami. A kiedy tak patrzałam, całe moje życie wydało mi się w podobieństwie do tego bębna. A mianowicie, że ślepy los może w nie walić i walić, ile mu się tylko zechce i spodoba.

Trudno mi wyrazić, jak długo tak siedziałam bez żadnego poruszenia. Dziesięć minut, godzinę? Ale czy to długo człowiek może pozostawać sam? Czy na świecie w ogóle jest taki zakątek, gdzie by go oko sąsiedzkie nie dojrzało? Anim się więc spostrzegła, kiedy to sąsiadki jedna po drugiej zaczęły przychodzić. Czy to my już ludzkich uszu nie mamy, mówią, czy to nasze dzieci spać już nie potrzebują, a mężowie wypocząć po ciężkiej pracy na państwowej robocie? Nic, tylko ta muzyka hałaśliwa i śpiewy do późnej nocy. Słucham nie odzywając się, bo co mam mówić, kiedy tu wszystko jasne jak księżyc. Ale patrzę, że najwięcej krzyczy taka Chrabąszcz Irena, którą rząd opieki wychowawczej i rodzicielskiej nad własnymi dziećmi pozbawił z powodu nadużywania napoju alkoholowego z własnym mężem i innymi pijakami, jak również za przyczyną zdrad małżeńskich z byle kim i byle gdzie.

— Pani zaraz te cholerne instrumenta porozbija — wrzeszczy do mnie podniesionym głosem — bo mi już ściany w domu pękają, a talerze w kredensie skaczą jak na okręcie. Okazja jest w sam raz, dopóki młodziaków nie ma.

Ach, ty zołzo spirytusowa, myślę sobie, to ty będziesz mnie uczyć, co mam robić i jak postąpić? Przecież i teraz wódka ledwie ci ustać pozwoli na własnych nogach. Ściany jej w domu pękają? Przed wojną to może był dom, ale teraz to tylko kupa śmiecia, byle jak się trzymającego. I żeby to chociaż obok mieszkała, ale na końcu Sadowej, zaraz przy badylarskich polach.

— W porządku, pani Chrabąszcz — mówię — bierz pani młotek, co powinien być w pace na węgiel, i wal.

Tylko nadmieniam, że instrumenta są państwowe. Ale te trochę kryminału niektórym osobom by nie zaszkodziło. Tyłek by im przynajmniej wypoczął od udziału męskiego.

Inne sąsiadki, a było ich z pięć, w śmiech. Tylko Chrabąszczowa jeszcze bardziej czerwona na gębie się robi i tak mi nadmienia nerwowym głosem:

— Pani mi na tyłek nie wjeżdża i moją osobistą moralność zostawi w spokoju. Pani nie wie nawet, z jakiej rodziny pochodzę i kim była moja mamusia.

W tym miejscu uderza w płacz i już mówić nie może, tylko cała od tego płaczu się trzęsie.

— Słuchaj, Chrabąszczowa — odzywam się do niej — że twoja mamusia była kryształ, a nie kobieta, to wiem o tym od ludzi, i że twój tatuś w dawnych czasach był przyzwoitym rzeźnikiem z własnym wędliniarskim sklepem, też mi jest wiadome. Ale ty teraz tylko chlasz i kurwisz się na oczach wszystkich, nie mam więc życzenia już więcej z tobą rozmawiać. — I zaraz zwracam się do innych kobiet, które jeszcze od śmiechu powstrzymać się nie mogły. — Sprawa jest mi dobrze znana, ale jeszcze nic tutaj tak od zaraz poradzić nie mogę. Syn jest nieobecny, a ja dopiero co powróciłam z dalekiej podróży po sanatoryjnej kuracji i zamiast mieć zdrowie na lepszym poziomie, co jeszcze odczuwałam idąc od stacji, teraz czuję się bardziej chora niż przed wyjazdem.

— W porządku — mówi jedna z kobiet — ale tu też trzeba mieć litość nad nami. Ta muzyka to już chyba prawie bez przerwy z dziesięć dni i nocy się rozlega. Co nasze chłopy pójdą grzecznie uwagę zwrócić, to młodziaki w obronie orkiestry stają. A chłopy mówią, że już im cierpliwość wysiada i lada chwila pęknie. I wtedy co? Do wojny dojdzie na takiej spokojnej ulicy jak nasza.

Jeszcze tego by brakowało, myślę, mało to nam było niemieckiego okupanta i mordercy? Tak myślę i nagle słyszę rumor, i widzę nogi babskie grube i udziaste zadarte do góry. To Chrabąszczowa wymęczona grzesznym życiem na stołku przysiąść zamiarowała, ale źle namierzyła i zamiast na stołku dupskiem siadła na podłodze. Więc jeszcze większy śmiech wybuchnął, nawet Chrabąszczowa, której inne sąsiadki pomogły podnieść się z po-

dłogi, też się śmieje i już cała rozmowa rozlatuje się na kawałki.

— Mnie to wszystko — mówię więc do nich — również bardzo leży na sercu. Ale i mój chłopak charakter ma nielekki, biorąc natomiast odwrotną stronę, nie mogę zniszczyć jego zamiłowania do muzyki, bo lepsze to jednak niż miłość do wódki. Pomimo tego obiecuję, że zrobię, co się da, żeby głośny hałas nie przeszkadzał w waszym życiu podążającym do lepszej przyszłości.

— My się do waszych osobistych stosunków rodzinnych — usłyszałam w odpowiedzi — wtrącać nie chcemy. Ale i też pozwolić nie można, aby ta wariacka muzyka zapanowała nad miastem. Młodych to ona bierze, lecz to jeszcze nie powód, żeby starzy szykować się mieli do Tworek.

Poszły, a ja rozglądam się po mieszkaniu, bo mi się jeść zachciało. Patrzę, a tu pusto. Wyżarte wszystko do samego spodu. Ledwie uschłe ćwierć bochenka chleba znalazłam i trochę smalcu w słoiku. Herbaty ani śladu. Cukier u mnie zawsze był, mąka też i sól tak samo. Nigdy przecież nie wiadomo, co może wyskoczyć, dopóki na świecie jedności nie ma. Patrzę dalej. Garnków brudnych pełno poutykanych, gdzie się da. Na stole, na kuchni, a nawet i na podłodze, zadeptanej jak nigdy, posypanej popiołem z papierosów.

Dobrze, że miałam ze sobą jeszcze te trochę jedzenia wziętego na podróż. Zjadłam więc, co było, popiłam zagotowaną wodą i nawet nie myjąc się, z tego zmęczenia i złości, jeszcze raz poszłam spać. Okna zamknęłam, bo zerwał się wiatr i z daleka słychać było burzowe pioruny. Zamykając na zamek drzwi, zobaczyłam na stole Januszkowe klucze. Mogłam schować je pod słomiankę, ale nie zrobiłam tego. Zamknęłam jeszcze drzwi z pokoju do kuchni, zaciągnęłam firanki i położyłam się na zasłużony odpoczynek.

Ale i tym razem sen nie przychodził do mnie. Słyszałam stuk pociągu i odczuwałam tak, jakbym tam jeszcze była, ostre zarzucanie wagonów na nierówno ułożonych szynach. Potem jednak, kiedy zaczął padać gęsty i ulewny deszcz, zasnęłam. Przyśniła mi się podróż do nieznanego kraju, gdzie w dużym mieście, w którym rosły na

ulicach palmy, czekał już na mnie mój syn, jako bardzo sławny muzyk, stojąc przy pięknym białym samochodzie. Wsiadłam do tego samochodu, ale drzwiczki za nic nie chciały się zamknąć, więc tłukłam nimi i tłukłam, i z tego tłuczenia, które było coraz szybszym i głośniejszym hukiem, otworzyłam oczy.

Nie było już zagranicznego miasta, tylko moje własne mieszkanie pomroczniałe od pochmurnej pogody. A ten hałas miał pochodzenie od tego, że mój syn powrócił do domu i walił w okno. Widziałam cień jego osoby przechylającej się i próbującej coś zobaczyć w pokoju. Obok niego widać było drugą osobę też walącą do okna. Deszcz już nie padał, więc kiedy stukanie ustało, mogłam usłyszeć również słowa, a były to najpierw słowa Wątrobiaka.

— Daj spokój, Janusz, widać jareckiej nie ma.

— Jest w domu, tylko udaje, że nie słyszy.

— Wymęczona podróżą, to i zasnęła.

— A co to mnie obchodzi, jeść mi się chce.

— Ty, a może ona ma kogo i poszła gdzie?

— Kto by na taką starą polazł, a po drugie, nie twój to, Stasiek, interes.

— Słuszna racja, Janusz. Chodź do Jeżewskiej, robię piwo.

To ja stara? Pomyślałam sobie: w porządku. Jak jestem stara, to łaź, szoruj ulice i niech cię „Rybałci 63" nakarmią i postarają się o twój wygląd i opranie. Mnie twoja osoba nic nie obchodzi.

Minęło może z pół godziny, jak przyszli znowu i abarotno rozpoczął się koncert. Ale ja nic, ja leżę — pomimo że ręka mnie świerzbi i to i owo na język się prosi.

Powalili, postukali i robią przerwę. Teraz mój syn zaczyna:

— Trzymaj mnie, Stasiek, bo tłukę okno i włażę.

— A masz na szybę? Myślisz, jarecka wstawi?

— To kiego grzyba zamyka, w kalendarz huknęła czy co?

— Idziem, Janusz, bo korzenie zapuścim.

— Ja jestem pusty, a czyjejś łaski nie szukam.

— Jeszcze na piwo wyrobię, chodź.

— Ty, to jak to z tobą jest, najpierw już nie masz, a później wyrabiasz?...

Wstałam. Gdyż już ani uleżeć, ani utrzymać nerwów nie mogłam. Zaledwie ich kroki ucichły, a ja do roboty. Do zmywania, do sprzątania, do zaprowadzania ogólnej kultury w mieszkaniu.

Ciężko mi było pracować. Bęben drogę zagradzał, inne instrumenty też w robocie nie pomagały. A przy tym przypominał mi się ciągle ten fakt, że Janusz jest głodny i dlatego o mamusi swojej jeszcze pamięta. Skończyłam robotę, usiadłam zmęczona na krześle i medytuję. Może by i rzeczywiście jaką zupinę zrobić, bo i mnie samej żołądek już do krzyża przyrósł. Ale dla ciebie, zarazo, tylko puste dno w garnku pozostawię, żebyś popamiętał.

Wzięłam koszyk, słoik na śmietanę i idę do Jeżewskiej. Pewnie Janusz jeszcze tam jest, piwo pije i prowadzi rozmowę na temat muzyczny pomiędzy pijakami. Przyszłam, rozejrzałam się, pijacy w komplecie, bo dzień znowu zrobił się ładny, po deszczu zaświeciło słońce, ale Januszka, jak też i Wątrobiaka nie ma. No to i lepiej, myślę, piwo niby nie alkohol, ale upić się też można.

— Jak tam po sanatorium — pyta Jeżewska — lepiej?

— Czy lepiej — mówię — to czas pokaże. Ale w nogach to jakby te trochę lżejsza jestem. Synka mojego nie było?

— A był. Nie dalej niż pół godziny temu. Z takim drugim, który tu stale przychodzi.

— To Wątrobiak — mówię — koleżka spod ciemnej gwiazdy. Pani mi tu zważy ze trzy kilo kartofli, śmietany w słoik, ile wejdzie, włoszczyzny też poproszę, chleb i piętnaście deka masła, jak świeże.

— Znaczy Janusz — pyta mnie znów Jeżewska — fach swój odmienił na muzyczny?

— Nie rozumiem, o co się pani rozchodzi?

— A o to, że całą ulicę podbawiają swoją muzyką i śpiewem.

— Jak ktoś jest muzykiem — odzywam się — i ma do tego duże uzdolnienie, to chyba może sobie czasem trochę pograć i pośpiewać?

— Pani Smoliwąs — mówi Jeżewska — my to już się zupełnie nie rozumiemy. Ja tylko pytam, czy Janusz jakąś robotę w muzyce dostał na stałe.

— Na razie nie — mówię — ale niezła mu się fucha szykuje.

— No, to chwała Bogu — mówi Jeżewska — bo szkoda chłopaka.

Mówiąc sobie, że nie będę już więcej sługą własnego syna, zabrałam się do gotowania obiadu. Ale nim się spostrzegłam, ugotowałam zupy nie tylko na mnie jedną, ale na całą rodzinę. No i masz ci los, pomyślałam, więc to już tak zawsze będzie? On się „Rybałtom 63" poświęcił, a ja mu jeszcze wygodę robię? Ale złość złością, a życie życiem. Może więc wcale nie jest tak, jak ja przypuszczam w najgorszym moim posądzeniu? Bo i cóż to jest muzyka? Posłuchać trochę jej można czy nawet pograć z godzinkę, ale żeby na niej byt swój budować? To Januszek też powinien zobaczyć własnymi oczami.

Czekam więc na niego, to patrząc na zegarek, to na powrót się w myślach pogrążając jak ciężkie żelazo w wodzie. A wieczór już coraz bliżej, coraz ciemniejsze jest niebo za oknem. Czy on zwariował, mówię do siebie, czy on już zupełnie zapomniał, że mi się te trochę opieki należy po powrocie z leczenia, jako matce?

W końcu jest, wchodzi, ale nie sam, bo z nim jak cień nierozłączny idzie Stasiek Wątroba.

— Co to, mamusia spała? — zapytuje. — A może była nieobecna w domu? Zaglądaliśmy nawet, lecz nie chciałem mamusi budzić.

Widzę, że obaj są lekko podcięci, ale na razie tylko pytam:

— A co to? Nie masz już swojego osobistego klucza?

— Z tej prędkości zapomniałem — odpowiada Januszek. — Tyle mamy spraw do pozałatwiania, że nawet czasu nie było, żeby coś zjeść. — I zerka w stronę garów.

— Podług mojego uważania jest tak — odzywam się do niego spokojnym głosem — niech teraz „Rybałci 63" cię karmią, jak tam robotę znalazłeś. Pogadaj również, żeby ci czasem jakieś pranie zrobili i inne obowiązki koło ciebie.

Syn mój nie powiedział nic, za to Wątrobiak zaśmiał się i odezwał następująco:

— Ale pani ostra, jak żyletka Rawa Lux. Żeby tak do własnego syna?

— Wiesz, Stasiek, dobrze — mówię do niego — że nie

mam życzenia, żebyś tutaj przychodził. Póki co, to jeszcze jest mój dom i ja tu jestem głównym lokatorem. Więc zamknij drzwi od drugiej strony i nie pokazuj się w tym mieszkaniu.

— Wolnego — powiedział Janusz, jedną połówką siedząc na bębnie — o ile wiem, mogę się kolegować, z kim mi się podoba, i to nie mamusi interes, kto do mnie przychodzi. Stasiek nigdzie nie pójdzie i ostrzegam mamusię, że ze mną nie w ten sposób. A po drugie, w kuchni to ja mieszkam i tutaj jest moja powierzchnia mieszkalna.

W oczach mi się ćmiło, ale ciągle jeszcze byłam spokojna.

— Powiedz mi, synu — spytałam — czy „Rybałci 63" ci płacą?

— Nie — odpowiedział.

— Powiedz mi jeszcze — pytam dalej — czy Wątrobiak jest naszym krewnym, a może nawet jakimś twoim półbratem tajnego pochodzenia, bo brata, jak sam wiesz, nie posiadasz?

— Nie! — woła Janusz.

— No, to jazda stąd! — krzyczę. — Obydwaj! Późno jest, a ja muszę się umyć. Jasne? Ale już!

Syn zbladł, podniósł się z bębna, tylko oczy mu się błyszczą jak dwie latarnie.

— Pożałujesz jeszcze — odzywa się do mnie. — Jak rany Chrystusa kocham, że pożałujesz jeszcze.

— Klucz zabierz — powiedziałam — bo znowu będziesz chciał szyby wytłuc...

Opowiadam panu dużo, chyba nawet więcej, niż trzeba. Ale póki co, trzeba się wzmocnić. O, nie! Pan mnie jeszcze nie zna. Dlatego proszę wybaczyć, że ja nie słyszę tych pańskich słów, że nie jest pan głodny. Pan, za przeproszeniem, jest jak dziecko, któremu przykazuje się u obcych nie jeść.

Za dużo? To pan jeszcze nie rozpoznał się na tym jedzeniu, które gotuje Smoliwąsowa. Wódka też stoi na stole i o tym proszę nie zapominać. Ja również chętnie wypiję w taki dzień jak dzisiaj. Zresztą to nie wódka, a sama witamina. Nalewka na siedmiu gatunkach owoców...

Janusz ze Staśkiem Wątrobiakiem do wielkiej mnie złości doprowadził. No bo tak. Oszczędności już żadnych, tylko te parę złotych, których ruszyć nie można, na zimowe zakupy mam odłożone. Inne są przecież rachunki przy jednej wypłacie, a inne przy dwóch. Teraz wszystko na moich oczach rozpadło się w gruzy i ja nic temu zaradzić nie mogłam. Bo czy jest takie prawo, żeby karać zajmujących się głupotami? Nie ma.

Może gdybym inna była i postanowienia twardo dopilnowała, zalutowując mu wszystkie gary i żadnego już jedzenia nie dając, to może by i się opamiętał? Łatwiej jest jednak pomyśleć, a gorzej zrobić. Bo ledwie z Wątrobiakiem dom opuścili, zaczęłam go żałować. Da Bóg, przychodziło mi na myśl, że jesienią wezmą go do wojska, gdzie otrzyma odpowiednią szkołę. Więc mogę się jeszcze te trochę pomęczyć, zwłaszcza że zdrowie mam poprawione.

I tak żadnego mu nakazu nie dałam poza tym jednym życzeniem, żeby skończył swoją znajomość z Wątrobiakiem.

Nazajutrz rano zobaczyłam instrumenty zdjęte na podłogę, a Januszka twardo śpiącego na swoim łóżku. Rondel z zupą był wyjedzony do czysta, a do tego cały chleb, jaki był w domu. Poranek tego dnia był jasny, pełen świeżego powietrza, w mieszkaniu cicho. Tylko Januszek lekko posapywał przez sen mając widocznie katar w nosie. Przez jedną chwilę miałam takie odczucie, jakby był tutaj osobą zawadzającą.

Nie budząc syna udałam się na targ. Pomyślałam, że może kupię czegoś za tanie pieniądze, ale po większej części chodziło mi o to, żeby trochę pobyć pomiędzy ludźmi. Wyszłam, a tu na dworzu słońce świeci, ziemia paruje jeszcze po nocnym deszczu. Tutaj kobiety krzątają się w ogródkach, zbierając bogate plony, tam znów murarze dom budują w wesołym nastroju, widać dopiero co sobie podpili. Na targowisku gwar, że słychać z daleka, a owoców, warzyw, a także innych różności, pełno. Ludzie krzyczą, biegają za jakimiś sprawami. Dla każdego jest tutaj zajęcie, rozrywka za darmo.

Kupiłam trochę jabłek i dwa ładne kalafiory. Potem przeszłam się po sklepach, patrząc, jaka jest tam propo-

zycja dla pracującej kobiety. Propozycji tej nie było za dużo, ale znów nie tak, żeby zaraz narzekać. Przeszłam się też koło kościoła, który znajdował się w remoncie i cały obstawiony był rusztowaniami, popatrzyłam na szkołę, gdzie zaczęły się wszystkie nieszczęścia mojego syna. Tam również coś szykowano, też wokół murów kręcili się robotnicy. Tak patrząc pomyślałam, że wszędzie jest dobrze, ale w domu najlepiej. Bo mnie nawet najpiękniejsza okolica nie zanęci, skoro już przywyknę do miejsca stałego zamieszkania. Szkoda tylko, że kościół reperowali, że obok walało się wapno i cegły. Tak dawno przecież tam nie byłam, że Boga widziałam już coraz dalej i dalej od siebie.

Tylko po co ja miałam myśleć o Bogu i o jego Boskich prawach i nakazaniach dla człowieka? W nich tak samo jak w prawach ludzkich wszystko jest po to, żeby karę udawać, a nie, kiedy trzeba, ochraniać przed głupotą.

A w domu już ruch był, jak się patrzy. „Rybałci 63" przyciągnęli skądś wózek na dwóch gumianych kołach z dyszlem i ładują do niego instrumenty, bęben, głośniki i całe metry kabli. Widzę tam Mariusza Pęcickiego, jak całą tą robotą dyryguje, biegając i machając rękami. Słyszę też jego słowa mówione zagniewanym głosem:

— Kto to wam kazał elektrykę puszczać na cały głos? Jaka głowa to wytrzyma dzień po dniu, chyba nie ludzka?

— Mnie to osobiście nie szkodzi — mówi Wątrobiak — jak muzyka jest o te trochę głośniejsza. A po drugie, Mariusz, jak to będzie z tym weselem, cośmy już ludziom obiecali?

A Janusz patrząc, czy co z wózka na ziemię nie spada, bo nakładzione jest, ile wejdzie i jeszcze trochę, zwraca się też do Pęcickiego:

— Ty, Mariusz, myślałeś, że nam się nic z takiego tytułu nie należy, że gramy?

— Koledzy — powiedział Pęcicki — idzie święto lipcowe. Dzień radosny dla całego narodu, a wy tutaj z prywatną fuchą. Ludzie zechcą sobie zatańczyć, żeby lepiej uczcić osiągnięcia.

— Rany Boga — zawołał Wątrobiak — a o co tu chodzi? O jedno wesele? Czy to tak trudno pogodzić robotę

na państwowym z osobistym świętem pojedynczego człowieka?

— Możemy przedyskutować — powiedział Pęcicki — — ale jak już wszystko znajdzie się tam, gdzie było.

— Masz pan rację, panie Pęcicki — odezwałam się. — Dłużej tego majątku nie chcę we własnym domu oglądać. A już całkiem nie rozumiem, co ma do tego Wątrobiak, który ledwie co nauczył się grać na radiu?

Pęcicki spojrzał, jakby mnie dopiero co zobaczył, i mówi: — Kolega Wątroba przy zespole spełnia funkcję kierownika administracyjnego i to jest jego praca społeczna w ramach naszej organizacji.

— Dawniej — powiedziałam — to mówili o takich, że są za mąciwodów, co to zawsze w całym znajdą dziurę i odwrotnie. No, ale wynoście się z Bogiem. Ja do teraźniejszej młodzieży wtrącać się nie będę, chyba że mi na odcisk kto wejdzie. Dosyć już mam tych skarg i zażaleń z całej ulicy. Ledwie z leczenia wróciłam, a tu taka przewalanka, że mózg się w człowieku gotuje.

Januszek chwycił za dyszel, splunął, potem zaparł się mocno nogami, inni podparli z boków i ruszyli. Ja weszłam do domu, ogarnęłam, co się da, po wierzchu i od nowego początku zaczęłam myśleć, co mam z tym wszystkim zrobić. Pogody na świecie takie piękne, spokój, ludziom jakoś się darzy, tylko mnie ciągle daleko do całkowitego szczęścia i dobrobytu. Dziś pierwszy dzień idę do roboty, a tam czeka mnie już pewnie to i owo ze strony majstra od reperacji wózków akumulatorowych. Jachimow też przyjdzie, żeby mi powiedzieć coś od siebie. Dlaczego tacy Karolakowie mogą żyć dobrze i szczęśliwie? Albo taka Jadźka, co przebierała w chłopach jak ślepy w ulęgałkach, a która w każde większe święto zawsze pamięta o mnie i kartkę przysyła, też w końcu trafiła na swego Ryśka, chociaż już lata miała przekroczone, prawie trzydziestkę. Niewesoło mi było tego dnia iść do pracy. A przecież zawsze chętnie chodziłam, bo więcej tam miałam ludzi życzliwych niż wrogów.

A zatem jeszcze po jednym kieliszku, za lepsze zrozumienie tych przykrych dla mnie zagadnień. Cieszę się

też, że pan nie pogardził tym, co Smoliwąsowa przygotowała. Po większej części jadam sama, ale choćby to była tylko kartoflanka, lubię zjeść sobie po pańsku, na czystym obrusie, przy pełnym nakryciu do stołu. Zawsze to ładniej wygląda, a i człowiek lepiej się czuje, kiedy zje jakby u jakichś bogatych państwa, których nieraz w telewizji pokazują. Mnie niech już pan nie nalewa, jeszcze mam prawie pół kieliszka, ale względem własnej osoby to proszę bardzo, bo po to przecież jest wódka, żeby ją pić w ilości pasującej dla danego człowieka. Kawę też mam, niech pan sobie nie myśli, że w moim domu są braki w zaopatrzeniu. Jestem sama jedna, ale ciągle mi się wydaje, że to mieszkanie jeszcze się zaludni, że usłyszę w nim wesołe głosy dzieci i dorosłych osób.

Powieźli więc wtedy te instrumenty, a mnie się wydawało, że jeden kłopot mam z głowy. W pracy z powodu odejścia syna miałam nawet mniej gadania, niż myślałam z początku. Majster od wózków akumulatorowych powiedział tylko, że z młodymi jest już taka choroba na każdym zakładzie. Piach w rękawach, wyobraźnia, co to nie ja, i żadnego wstydu, żeby być na garnuszku u starych rodziców. Janusz to chociaż, pocieszył mnie, na muzyce się wyznaje, a z tego też może być ładny pieniądz. Powiedziałam mu, że to mnie jest najbardziej przykro z powodu syna, lecz nie mam już życzenia do tego tematu nawracać.

To był pierwszy dzień po sanatoryjnym leczeniu, nie wliczając rozmów z panią Basią, która mi dużo opowiadała o różnych zespołach i jaki to szał okropny napadł na młodzież. Ale jej to się podobało, bo ma muzykalne usposobienie i sama lubi tańczyć i śpiewać. Ale jakbyś miała syna w „Rybałtach", pomyślałam, i do tego w komitywie z Wątrobiakiem, toby ci się pewnie i usposobienie odmieniło.

Biorąc jednak sytuację ogólną, to przy mych starych już kościach powróciły moje młode lata. Znów jak dawniej targałam do domu całe kanki zupy, gary kartofli czy klusek, a swoją porcję mięsa, co mi wypadała na obiad, to już obowiązkowo zostawiałam dla syna. Poświęcenie się „Rybałtom 63" ani trochę nie przeszkadzało mu w apetycie. Skłamałabym jednak i miała grzech przed

Panem Bogiem, gdybym powiedziała, że żadnych mi pieniędzy nie dawał. Owszem, dawał mi nieraz po te pięćset czy trochę więcej złotych. Tylko że potem zaraz je wycyganiał ode mnie, na papierosy i różne braki w swoim wyglądzie. Sezon był dobry, szło pod jesień, roboty na badylarskich polach zbliżały się do ukończenia, więc i córy badylarzy za mąż wychodziły na hucznych weseliskach. Wątrobiak na pożyczonej wuefemce bez prawa jazdy oblatywał całą okolicę, wypatrując zamiarów weselnych. Ja nie wiem, jak on to załatwiał z Pęcickim i czy ten taką wyrażał zgodę, żeby „Rybałci 63" byli zespołem Wątrobiaka, a nie organizacji młodzieżowej w domu kultury.

Nadeszła wreszcie późniejsza jesień, a z nią zawezwanie Januszka na komisję wojskową. Żadnego jeszcze pisma urzędowego nie przywitałam z taką radością, jak tej kartki pospinanej ze wszystkich stron drutem. No, nareszcie, pomyślałam, pójdzie coś według zaplanowania, a Wątrobiak niech sam „Rybałtami 63" się zajmuje, gdyż jego to chyba do wojska nie wezmą, boby im tam wszystkie armaty i czołgi posprzedawał.

Założył więc mój Januszek garnitur, białą koszulę, krawat, żeby mieć jakiś wygląd, i udał się na komisję po odpowiedni przydział. W przeddzień wieczorem długo rozmawiał ze Staśkiem Wątrobą, który należał do takich typów, że można ich wyrzucać drzwiami, a zaraz wejdą oknem. Rozmowę swoją prowadzili cichym głosem, ale o ich kombinacjach już nie myślałam, zaraz zresztą udając się spać. I tylko to jedno miałam wtedy na uwadze, że zakończy się już nad tobą, synu, to Wątrobiaka panowanie, bowiem ojczyzna cię teraz powołuje do swoich szeregów wojskowych.

Komisję naznaczoną miał na godzinę ósmą. Spodziewałam się więc, że na obiad do domu powróci, a ja uspokojona będę mogła bez nerwów udać się do roboty. Nic jednak takiego nie nastąpiło, dlatego w pracy męczyły mnie zapytania, dokąd odeślą mojego syna, żeby założył zaszczytny mundur. Podzieliłam się tym z panią Basią, która wycierała kieliszki na zakończenie narady w gabinecie dyrektora.

— Janusz — powiedziałam — pojechał dziś na komisję

i tylko patrzeć, jak założy mundur, a włoski polecą.

— Szkoda — wyraziła swoją wątpliwość pani Basia — bo tak mu się już dobrze w muzyce układało. Zmieniłby zespół na lepszy, potem na jeszcze lepszy i mogliby go wziąć do występów w radiu albo w telewizji. Umieć przecież za dużo nie trzeba. Wystarczy podług mody się ubrać i wydzierać, ile sił w gardle.

— To może pod względem innych takie jest przypuszczenie — mówię — ale Janusz ma rzeczywisty i prawdziwy dryg do muzyki, czego odmówić mu nie mogę.

— Pani Gieniu — odpowiedziała mi pani Basia — przecież ja tak samo myślę, a wyraziłam się dlatego, że tylu głupków drze się w radiu, że zdolnego nawet nie można usłyszeć.

Z robotą rozstałam się tego dnia parę minut po tym, jak dyrektor zakończył swoją naradę. Wszystko jedno, pomyślałam, ale są wiadomości poważniejsze niż praca. Bardzo szybkim tempem powracam do domu, a tam w kuchni, przy stole zastawionym ciastkami i butelkami z winem siedzi Januszek, Stasiek Wątroba i dwie dziewczyny.

No, cóż, pomyślałam sobie, to jego ostatnie chwile na wolnościowym życiu. Dozwolone więc mu jest trochę się pobawić, nawet z Wątrobiakiem.

— Zatem jak, synu? — zapytałam. — Daleko to cię odeślą od miejsca stałego zamieszkania?

A oni w śmiech. A najgłośniej Wątrobiak. Dziewczyny też chichoczą, że mało łez nie dostaną.

Patrzę jak głupia, nie wiem, o co tu chodzi, bo żeby śmiać się z wojska, z naszej ludowej armii, to coś nie tak.

— Powodu nie widzę — mówię mocno już zdenerwowana — na taki humor i zadowolenie.

— A dlaczego? — odzywa się Wątrobiak. — Jak Janusz doktorów wykołował w bladą żabę i jako niezdolny do odbycia służby wojskowej munduru już do śmierci nie założy i gwintówki do ręki nie weźmie.

— Jak to? — mówię. — To tam ślepych nasłali, żeby takiego zdrowego chłopa odrzucić?

— Więc mamusia się nie cieszy — odezwał się Januszek — że syn pozostaje w domu i poświęcając się całkowicie karierze muzycznej, będzie mógł przy okazji opie-

kować się mamusią? To mnie bardzo dziwi i napełnia smutkiem.

— Ty, synu, dobrze wiesz — odpowiedziałam — co miałam na myśli wypowiadając moje słowa. Ale widać niemodny już mam charakter i dawniejszy rozum.

Oklapłam zupełnie, jakby coś się zawaliło we mnie. Usiadłam z nimi przy stole, piłam wino, a nawet nastawiłam wodę na herbatę, żeby mieli czym przepić ciastka, bo już im za słodko się robiło. Słuchałam, jak mówią, połowy z tego nie rozumiejąc. Syn tłumaczył, że jakby mieli dobry żeński wokal, toby posiadali łatwiejsze przebicie. Co to jest ten wokal, myślałam jak zamroczona, czyżby jakiś nowy instrument? Ale nie dowiedziałam się, bo znów powrócili do najgłówniejszego tematu z minionego dnia. Znów zaczęła się rozmowa o tym, jak Januszek przerobił doktorów mówiąc im, że klawisze w poprawczaku bili go po uszach i od tej pory mało co słyszy. Doktorów w komisji siedziało trzech, w tym jeden cały pułkownik, i z tym było mu najtrudniej. Januszek udawał, że nic nie rozumie, kiedy mówi się do niego zwykłym głosem, dopiero coś niecoś dociera, jak krzyczeć, ale i to nie całkiem wyraźnie. Tylko że pułkownik też nie gapa i niejednego już markieranta odesłał, gdzie trzeba. Kiedy syn wychodził z pokoju komisji i rękę swoją położył już na klamce od drzwi, pułkownik normalnym głosem powiedział: — Panie Smoliwąs, pan tu coś zapomniał. — Januszek drgnął na całym ciele i mało się nie obejrzał, a wtedy wszystko by przepadło i jeszcze karę by dostał. Ale syn tutaj się cwańszy okazał i jak gdyby nigdy nic zaczął wychodzić z pokoju. Dopiero wtedy pułkownik krzyknął na całą parę jego nazwisko. Januszek przystanął i przykładając rękę do ucha powiada: — Proszę powtórzyć, bo dokładnie nie dosłyszałem.

Śmieli się teraz z tego, a ja w końcu zaczęłam się śmiać razem z nimi, lecz ten mój śmiech nie był śmiechem wesołym, tylko przez łzy. Bo jak mogło w nim być miejsce na prawdziwą radość, kiedy znów pojawiła się niemożność poprawy charakteru syna. Dziewczyny podpiły sobie, a jedna imieniem Jolka zapytała mnie, czy może mi mówić „mamusiu". Zgłupiałam, bo niby na jakie to konto

taka odzywka od nieznajomej osoby. Wtedy Januszek, włos „Rybałta 63" odgarniając z czoła, powiedział:

— Nie świruj, Jolka! Miej spokój pod czaszką.

— A co — odzywa się dziewczyna — nie mogę twojej mamusi mówić „mamusiu"? Kiedy jesteśmy z sobą jak mąż z żoną? Chyba by nawet tak się należało?

Podskoczyłam na krześle i wyrzekłam te słowa:

— Powiedzcie mi więc jeszcze, kiedy ślub nastąpi. Bo tak na kocią łapę to nie za bardzo? A po drugie, bachorów nieślubnych niańczyć nie zamierzam.

— Weź, Stasiek, tą wariatkę — mówi Januszek — i wyprowadź na powietrze, niech trochę pochodzi po świeżym lufcie.

Wątrobiak bierze ją za rękę, ta się opiera, ale w końcu idzie i na odchodzącym mówi do mnie:

— Mamusia jest równa, od razu widać. A Janusza to bardzo kocham za ten śpiew i muzykę, i tak w ogóle za ten charakter artystyczny.

Wyszli, a ja nie poznaję siebie. Ciągle jestem taka, jakby mnie kto obuchem w głowę trzepnął, rozlazła w sobie i bez silnego postanowienia. Przecież powinnam rozpirzyć to towarzystwo, rozgonić na cztery wiatry, bo nawet tylko to jedno biorąc, mieszkanie w kwaterunku zapisane jest na mnie i ja nim rozporządzam całkowicie. Lecz zamiast tego biorę latarkę, udaję się na stronę, gdzie zastaję ubikację zarzyganą przez Jolkę, potem wracam do towarzystwa, które jest już w całym komplecie, i mówię:

— Nie barłóżcie tu aby za długo, bo jako człowiek pracy muszę się wyspać, a i dla was też jest zbyteczne młode zdrowie nadszarpnąć. Bo, jak by nie było, jest już po jedenastej.

— Wobec tego — mówi Janusz — dziękujemy mamusi za dotrzymanie miłego towarzystwa i niech mamusia kładzie się spać spokojnie. My tu sobie jeszcze trochę posiedzimy i pogadamy, żeby dziewczyny doszły do przytomności, chociaż tylko po zdziebdziu wypiły.

Poszłam do siebie, zamknęłam drzwi, położyłam się do łóżka. Ale od środka to mnie całą trzęsie, a już najbardziej ostatnie odezwanie syna. Jakie on ma traktowanie dla własnej matki, jakbym tu była pierwszą lep-

szą? „Mamusia kładzie się spokojnie", powiedział. Albo ja tu muszę pozwoleństwa szukać? Lub znów ta Jolka? Gówniara, ze siedemnaście lat, a już się nadstawia bez żadnego wstydu. Co się z tobą dzieje, myślałam o własnej osobie, przewracając się na boki, aż łóżko jęczało. A tam dalej hałas. Wątrobiak tupie, bo tylko to umie, Janusz śpiewa, dziewczyny wydzierają się i śmieją. Więc co? Wstać, wziąć szczotkę, dać każdemu po grzbiecie? Ale ja coraz słabsza, a syn mój coraz silniejszy. Co będzie, jeżeli po alkoholu szacunku dla matki nie zachowa?

Zmęczona byłam, ale długo jeszcze to zmęczenie ze złością i lękiem we mnie walczyło. W końcu zasnęłam, bo i tam robiło się coraz ciszej, widać i to towarzystwo się rozeszło.

Obudziłam się później niż zawsze, po siódmej. Mdliło mnie i łamało w kościach u nóg. A na dokładkę jeszcze z samego rana zaczął mnie ćmić frontowy ząb. Zrywam się zła jak nieszczęście i od razu wpadam do kuchni, żeby zobaczyć, jak wygląda to pobojowisko. Stół zawalony, czym się da, cerata pozalewana winem i herbatą, ale to jeszcze nic. Patrzę, a na łóżku to nie syn mój śpi, ale para gołąbków tuli się do siebie. Podbiegam, szarpię dziewczynę za gołe ramię i wołam:

— Wstawaj, Jolka, natychmiast ubieraj się i marsz do domu! Lat jeszcze swoich, gówniaro, nie masz, żeby jawnie kłaść się z chłopami!

Ale widzę, że to chyba nie Jolka, bo tamta była czarna, a ta jest blond. Znaczy, że to może być ta druga, chyba Kryśka, o ile pamiętam, albo nawet i trzecia, która pojawiła się w czasie mojej nieobecności. Lecz kim by ona nie była, to nie jest prawidłowa sytuacja. Szarpię ją więc znów za ramię, jeszcze silniej.

— Wstawaj, gówniaro, tu nie burdel, ale przyzwoity dom!

Januszek też się obudził i mówi:

— Ty! O której miałaś pójść? Co tu, hotel?

— Pani się odwróci — odezwała się wreszcie dziewczyna — muszę się ubrać.

Wstydliwa, pomyślałam, tak to rozbiera się nie wiadomo kiedy, a teraz ją moralność napadła. Ale poszłam do pokoju i zaczęłam ścielić łóżko. Niech się dziewczyni-

na ubierze spokojnie i pójdzie sobie. I nagle, kiedy poruszyłam pierze w poduszce, dopadł mnie strach ostry jak nóż rzeźnicki. Boże, a jak ona jest nieletnia i tak jak Kwiecińska poleci na milicję, oskarżając Januszka o gwałt na swojej osobie? Zmartwiałam cała ze zgrozy, która mnie zimnym ogniem zaczęła przenikać.

A dziewczyna wcale się nie spieszyła. Łaziła po kuchni, coś tam gadała do Januszka. Nagle poszła, ale nie całkiem, tylko do wygódki. Czego tu snuje się, pomyślałam, jak smród po kalesonach, przecież z ulicy wszystko widać, co dzieje się na naszym podwórku. Potem wróciła zapytując, czy może uczesać się przy dużym lustrze w pokoju, bo tamte u Januszka jest dla niej za małe. Zezwoliłam, a jednocześnie przyglądałam się jej. Faktycznie, była to ta druga z wczorajszego wieczoru, Kryśka, która, myślałam, że jest za narzeczoną Wątroby. Dupiata, cycata i chyba już w odpowiednich latach. Uczesała się, umalowała i wreszcie, bez żadnego wstydu uwidocznionego na twarzy, poszła.

Wpadam do syna, a on tylko w trykotach stoi sobie przy oknie i patrzy na świat w bladym, październikowym słońcu.

— Czyś ty zepełnej wariacji dostał? — krzyczę do niego. — Znowu chcesz się wpakować bez żadnego ratunku?

A on odwraca się do mnie i mówi:

— Nie rozumiem, co mamusia ma tutaj na myśli?

— Nie pamiętasz już Kwiecińskiej Zofii i tego całego nieszczęścia, które się od niej zaczęło?

Januszek rękę wyciąga i pokazując mi coś za oknem tak pyta:

— Widzi mamusia te słupy i te prądowe druty, i te szpaki na drutach, jeden przy drugim?

— Widzę.

— Więc ona — mówi mój syn — przynajmniej tylu chłopów miała, co tych szpaków tam siedzi.

Jesienią jak zwykle, a wtedy jeszcze z przyczyny nowych kłopotów osobistych, zdrowie znów miałam nie najlepsze. Do pracy jednak uczęszczałam, bojąc się, co nie daj Boże, iść na chorobowe, bo każdy dzień choroby to

pozbawienie Januszka pożywnego odżywienia z państwowej puli. Syn, jako artysta, sypiał długo, później sporo czasu poświęcał na upiększenie swojego wyglądu. Myć to on się nigdy za bardzo nie lubił, ale za to twarz nacierał różnymi kremami, paznokcie długo szlifował pilnikiem i wycinał skórki, a czesał się teraz z grzywką. Zaraz po obiedzie szedł na próby „Rybałtów 63".

Przy tych zajęciach mojego syna trudno mi było go uprosić o pomoc w gospodarstwie domowym. Co się musiałam nagadać i jakich słów używać, żeby mi węgiel wrzucił do komórki. Węgiel mókł na deszczu wystawiony na oko ludzkie, a on mi mówił, że w takim wypadku może się przeciągnąć, a wtedy gitara inny wyda głos, gdy struny trąci zmęczona ręka. W końcu jednak wrzucił, ale chyba z tydzień minęło, odkąd go pierwszy raz o to prosiłam.

Nie liczyłam, która to już przemija zima na tym samym miejscu, co kiedyś było nowe i nieznane, a obecnie jest już ostatnie za mojego życia. Ażeby się nie rozwodzić, powiem tylko to, że Janusz, z wyglądu coraz bardziej robiąc się na pajaca, do uczciwej pracy wcale się nie wybierał. Nie przeszkadzało mu to jednak wcale, że jego matka dzień po dniu nadrywa sobie ręce, przynosząc do domu pełne kanki zupy i całe torby innego żarcia. Dożywiały się przy tym i pozostałe nieroby, gdyż inaczej „Rybałtów 63" nazwać nie mogę. Tylko ten student Trębacki, jeden chyba wśród nich człowiek o szlachetniejszym charakterze, zmiarkował się, o co tu chodzi, i odszedł od „Rybałtów" do studenckiej orkiestry. Inni, tacy jak Ciupa, Brzoza czy Gwiżdż, też zrobili odejście, ale z pracy, bo im tak samo jak mojemu Januszkowi ta głupia muzyka i dziewczyny całkiem wszystko w głowach poprzewracały.

Przyszedł karnawał, a z nim coraz więcej występów „Rybałtów 63". Wieczorki ze trzy razy w tygodniu, a w sobotę zabawa. Co ucierpieli ludzie zamieszkujący w pobliskim sąsiedztwie domu kultury, lepiej nie mówić. Pomimo zamkniętych okien taki hałas stamtąd szedł, że nawet wróble przeniosły się do innych, dalszych okolic. Ludzie skargi pisali, gdzie się da, do magistratu, do milicji, do partii, i nic z tego. Bo i pisać też było o czym.

Dzieci im przestały sypiać po nocach, a u niektórych to nawet zamki w pęcherzach od tego hałasu się popsuły i nie można ich było puszczać na powietrze, bo bez przerwy sikały. Dorośli też nie spali z powodu tej przeszkody dubeltowej, bowiem poza muzyką dochodził jeszcze płacz własnych dzieci. Mężczyźni się rozpili i z tych nerwów zaczęli bić żony. Do późna w noc krążyły pod domem kultury gromady młodziaków, łamiąc młode drzewka i rozwalając o kamienie butelki po winie.

Latem te ludzkie skargi miały jeszcze jakiś skutek, ale teraz Pęcicki tak gdzie potrzeba pochachmęcił, że żadna już władza nie przeszkadzała młodzieży w rozwoju. Kto by pomyślał, że ten młody blondynek z dobrze ułożonego domu weźmie taki ostry bieg, żeby jak najwięcej osiągnięć zebrać w drodze do działacza i aktywisty. Sam mieszkał daleko, jemu ten hałas nie szkodził, jego rodzina mogła spać spokojnie.

„Rybałci 63" trenowali teraz każdego dnia. Powodem tego były zawody, które się miały odbyć pomiędzy zespołami. Wyjechali do obcego miasta z całym majdanem oraz Pęcickim i Wątrobiakiem. Była już druga połowa lutego, dni dłuższe i pogody łatwiejsze do wytrzymania.

Korzystając z krótkiego okresu wolności, zajęłam się trochę swoim osobistym wyglądem. Ale to, co mówiło mi lustro, było niestety bardzo smutne. Osiwiałam, twarz mi obrzękła i nabrała worków pod oczami. Nogi przy kostkach znów miałam jak banie, piekące i swędzące. Ale i to dałoby się wytrzymać, gdyby mój umysł pracował jak należy i widział wyjście z sytuacji. Tylko że ja już niczego nie mogłam wymyśleć poza tym jednym pragnieniem, żeby w spółdzielni „Mazowszanka" więcej znalazło się murarzy niż urzędników i szybciej zaczęto budować nowe bloki. Wtedy Janusz byłby na swoim i już nic nie obchodziłoby mnie, czy „Rybałci 63" rozwalą swoją muzyką mury jego nowego mieszkania, czy też nowoczesny blok taką muzykę wytrzyma. Zostałabym tutaj, mając za całe towarzystwo swoją chorobę i idącą starość.

Tych parę dni wolności przeleciało nie wiadomo kiedy. Janusz powrócił jako gwiazdor, pełen dumy i zadowolenia, gdyż „Rybałci" zajęli trzecie miejsce. Może i mnie by to ucieszyło, gdybym jeszcze trochę wypoczęła. A tak

przyjęłam tylko ten fakt do wiadomości, myśląc, że teraz będzie jeszcze gorzej, że teraz już nic nie zatrzyma muzyki „Rybałtów". Pomimo tego próbowałam jednak rozmawiać z Januszem na temat dalszej przyszłości. Powiedziałam mu, że przez całe życie muzykantem być nie może, nie mając fachu. Na to on mi odpowiedział, że nie jest muzykantem, tylko muzykiem, a wielcy muzycy zawsze mieli nędzę, zanim się na nich świat nie poznał.

— Ale ty — powiedziałam do niego — chyba nędzy nie masz? Tylko matka twoja tyra ponad siły. Moje zdrowie jest w rozsypce i już na tak długo mi nie wystarczy. Mówię to, bo „Rybałci 63" chleba ci nie dadzą.

— Mamusia znowu swoje — odpowiedział mi Januszek — mamusia znów z tą samą melodią jak stary patefon. A czy ja nie myślę, żeby się odmieniło? Za bilety się pobiera, organizacja i Pęcicki pieniądze robią, a dla nas co? Dla nas po dwieście za wieczór, tyle co dla szatniarza, który tylko kapot pilnuje.

— Wygadałeś się, synku — powiedziałam — i to wcale o tobie dobrze nie świadczy, że ja te pieniądze bardzo rzadko oglądam.

— Zgadza się — powiada Januszek — bowiem to postanowione zostało dopiero niedawno. I myślę tu jeszcze głośno, za co niby mamusi muszę płacić. Za jedzenie to prawie nic, gdyż i tak po większej części jestem na fabrycznym, najwyżej za doniesienie i za ogólne staranie. Podług mnie, przy tych warunkach mieszkalnych, ten góral na miesiąc zupełnie wystarczy.

Zbladłam, pogrzebacz, którym poprawiałam ogień w kuchni, zamiast spaść na głowę syna, wypadł mi z ręki na podłogę. To ja dla niego wszystko, myślałam, całe oszczędności finansowe i całe moje życie, a on tak? Żadnej miłości, tylko same wyrachowanie i zimna kalkulacja.

Był późny wieczór, świat okrywała mroźna i księżycowa noc. Gdzieś niedaleko wył pies, a drzewa wyciągały do nieba swoje oszroniałe gałęzie.

Już tak pod wiosnę nastąpiło coś, co w pierwszej chwili zdawało się być po mojej myśli. Rozsypali się nagle „Rybałci 63". Nadszedł bowiem od władzy zakaz gry

i denerwowania ludzi muzyką. Widać skargi dotarły jednak, gdzie trzeba, ktoś pismo w wolnej chwili przeczytał i wyraził się o „Rybałtach 63" odmownie. Pęcicki szybko zespół rozwiązał i cała szóstka grajków, nie mówiąc o Wątrobiaku, znalazła się na lodzie.

Dla mnie to wszystko wyglądało podejrzanie. To Wątrobiak przecież rządził „Rybałtami", a „Rybałci" rządzili Pęcickim. A kto by taki numer wytrzymał na jego miejscu? Może to więc on sam załatwił ten rozkaz o odmowie gry? Tak z gruszki ni z pietruszki rozwiązać ich bowiem nie mógł, bo sam „Rybałtów" założył. Mówiąc o tym, być może robię pomyłkę, ale ledwie trochę czasu minęło, Pęcicki z nowych ludzi zakłada zespół muzyki starożytnej, wygrywający tanga i walce oraz opowiadający przy tym różne wiersze o miłości.

Sześciu „Rybałtów 63", w tym jeden całkiem nowy w miejsce Trębackiego, dodając do tego Wątrobiaka, przebywało teraz na wolności i to przeważnie w moim mieszkaniu. Rano to ich jeszcze nie było, ale jak tylko poszłam do roboty, zaraz w domu robiło się pełno. Kuchnia już im nie wystarczała, więc urzędowali także w pokoju, rujnując mi cały porządek. Zwróciłam się zatem do Januszka takimi słowami:

— Długo to jeszcze, synu, takiego bajzlu w tym domu, takiego rozgajdziajstwa i nieróbstwa w całej rozciągłości? Mówiłam, nie zadawaj się z Wątrobiakiem, bo to ci bokiem wyjdzie. Przez niego rozwiązali twoich „Rybałtów 63". Chyba ślepy jesteś, jak tego nie widzisz. Ale mnie nie o muzykę się rozchodzi. Pytam, kiedy pójdziesz do roboty, jak inni ludzie?

— Co do tego — odpowiedział Januszek pomijając najważniejsze zapytanie — wcale nie jest przewidziane, że już koniec. A Pęcicki to jeszcze nie cały świat, chociaż łajza. My do swojego dojdziemy i nikt nam tego nie zabroni.

— Synku — mówię — a czy ty nie bierzesz pod swoją uwagę, że mnie też już potrzebne jest ludzkie staranie przy moim zdrowiu? To wstyd być na utrzymaniu, mając już lata do pracy. I do tego jeszcze cała ta banda, jakby nie było już innego miejsca?

Na to on koszulę jednym ruchem ściąga i goły do pasa, pokazując na ledwo co widoczne żebra, mówi:

— Oto jak się upasłem na mamusinym chlebie, oto jakie mnie szczęście spotkało. A ubrania, to chyba sobie sam kupuję, co przy moim fachu jest droższe niż wszystko inne.

Przed oczami raz czarne, raz świetliste plamy zaczynają mi latać, w gardle mam sucho, a całe moje ciało trzęsie się i dygocze.

— Gadzie ty jeden straszny — mówię do niego — czy ty wiesz chociaż, co do mnie powiedziałeś? Jak twój język parszywy mógł takie słowa wymówić i nie zamienić się w kamień?

A on, jakby mu jeszcze tego było mało, powiada:

— Ja tam się na świat nie prosiłem.

— Zabiję — odezwałam się wtedy. — Zabiję ciebie i siebie, i każdego jednego, który ten próg przekroczy.

I nie patrząc już na nic i nie całkiem już wiedząc, co się ze mną dzieje, zaczęłam rozbijać wszystko dookoła, przewalać krzesła, tłuc garnki i talerze.

Janusz zgłupiał zupełnie i stał bez ruchu z koszulą w ręku. Dopiero jak mu pod nogi puściłam gar z gorącą wodą, rzucił się na mnie i powlókł do pokoju. A ja gryzłam go, kopałam, wyłam jak zwierzę. W pokoju cisnął mnie twarzą na łóżko, potem usiadł na mnie i wykręcił mi ręce do tyłu. Ja krzyczałam dalej, ale później odczuwając brak powietrza i coraz większy ból wykręconych rąk, znów zaczęłam trząść się i płakać. On odczekał jeszcze chwilę, aż rozpłakałam się na dobre, zlazł na podłogę i mówi:

— Jeszcze jeden taki numer, a pójdziesz do wariatkowa. Nogi mam poparzone, a w kuchni to jakby bomba wybuchła.

Nie wiedziałam, czy żyję, czy umarłam, czy to wszystko mi się śni, czy odbywa naprawdę. Nie schodziłam z łóżka, nie rozbierałam się, tylko dalej tak leżałam, to zasypiając, to znów budząc się i płacząc. W pokoju było ciemno, potem również zagasło światło w kuchni. Zasnęłam znów, a kiedy obudziłam się, odczułam pragnienie napicia się wody i pójścia na dwór. Wstałam i nie zapalając światła udałam się do wyjścia. W kuchni, bo noc była

deszczowa i ciemna, potknęłam się o przewalone krzesło i upadłam na potłuczone skorupy od talerzy. Januszek obudził się, powiedział brzydkie słowo i przekręcił na drugi bok. Do drzwi podeszłam na pamięć. Otwarłam zasuwę i wyszłam na dwór. Tu przystanęłam na chwilę, żeby nałapać się świeżego powietrza. Było już ono całkiem wiosenne i mocno pachnące ziemią. Teraz dopiero poczułam, że piecze mnie ręka. Podeszłam parę kroków za dom, gdzie świeciła lampa uliczna i było widniej. Zobaczyłam krew.

Wracając do mieszkania umyłam ręce w beczce pod rynną, a tą skaleczoną owinęłam sobie gazetą. Postępowałam bez rozumu, jakby mi mózg wywietrzał, ale nic na to nie mogłam poradzić. Po omacku, teraz już jak człowiek, rozebrałam się i położyłam spać.

Przebudzenie miałam ciężkie, jak po wielkim upiciu. Trochę jeszcze poleżałam, potem zwlokłam się, żeby naprawić to, co wczoraj zostało zrujnowane.

Januszek spał, bo zawsze mógł spać za dwóch — bardzo uzdolnionych do spania — a ja stojąc pośrodku kuchni dziwiłam się, skąd było we mnie tyle siły. Rondle pogięte, sagan z lanego żelaza z przeznaczeniem do barszczu rozbity na amen, jedno krzesło złamane, drugie poważnie naruszone, a talerze i szklanki tylko chrzęściły i dzwoniły pod nogami.

Płacząc na swój przeklęty los i na to, że tyle strat własnowolnie zrobiłam, wzięłam się do sprzątania. Bolało mnie skaleczenie oraz wyłamane przez syna ręce, a opuchnięte nogi nie chciały się zginać. Sprzątnęłam jednak wszystko, co jeszcze się dało ocalić, odstawiłam na bok, a resztę wyrzuciłam na śmietnik. Dopiero wtedy Janusz otworzył swoje zdziwione panującym porządkiem oczy i powiedział:

— No i widzi mamusia, jak to niedobrze jest z nerw wychodzić?

Zapłakałam i jak ta maszyna, która raz przyuczona do roboty nie może się w pędzie zatrzymać, rozpaliłam pod kuchnią.

Janusz wstał, wciągnął spodnie i siedząc na rozbabranym łóżku znów zwrócił się do mnie:

— Jeszcze jednej sprawy nie omówiliśmy dokładnie do samego końca. Zresztą mamusia sama zauważyła, że

nie mam pieniędzy, bo i skąd? A palić trzeba, a jakieś piwo czasem wypić też. Dużo, nie powiem, żeby na utrzymanie domu pozostało. Myślę, że mi te pięćdziesiąt na dzień wystarczy. Jak będzie nowy zespół, to mamusi oddam.

Serce podeszło mi aż do gardła i formalnie dusić się od tych słów zaczęłam.

— Ty prawdę mówisz — pytam — czy tylko żartujesz ze mnie?

— Mogę powiedzieć więcej — odzywa się Januszek — bo co to za pieniądze?

— Człowieku — mówię — przecież ja mam tysiąc osiemset na miesiąc i to nawet niecałe. A ty chcesz pięćdziesiąt dziennie. Co wtedy na przeżycie zostanie?

— To mamusia tak mało zarabia? — mówi mój syn. — To warto w ogóle za takie pieniądze do roboty chodzić?

— Nie dam nic — odzywam się do niego. — Ani grosza, ani nawet tyle co brudu za paznokciem.

— W porządku — mówi Januszek — opuszczam na trzydzieści. Ale żeby co rano, tutaj, na stole leżały.

— Nie dam, powtarzam ci to jeszcze raz.

Patrzę, a on zaczyna się ubierać do wyjścia. Później po wierzchu, aby zbyć, się myje i gwiżdżąc sobie wesoło idzie do pokoju. Za chwilę wraca i moją własną torebkę trzymając w ręku mówi:

— Nie, to nie! Sam sobie wezmę.

— Łajdaku! — krzyczę. — Łajzo! Zostaw to! — I podbiec chcę do niego, ale nie mogę. Brak mi siły.

— O rany Boga — odzywa się on wtedy — ale kino! — I śmiejąc się ciska mi torebkę na stół. — Na początek stówkę wziąłem. A dalej tak ma być, jak powiedziałem, bo ja też mam stanowczy charakter. W razie czego znów kipisz zrobię w mamusinych rzeczach. Więcej życzeń jak na razie nie mam. Wychodzę.

W drzwiach odwraca się i wymawia jeszcze to słowo najgorsze: — Wariatka.

Jeżeli nie ma pan tej siły, żeby mnie wysłuchać do końca, to mogę zaraz przerwać i dzisiaj już więcej do tematu nie wracać. Tylko że dzisiaj mam ten nastrój od-

powiedni, aby wszystko z siebie wyrzucić i nie mieć już żadnej tajemnicy przed panem, jako przed mecenasem. Zgadza się pan? Cieszy mnie to i bardzo zadawala. Ale proszę chwilkę poczekać, zanim podam filiżankę kawy. Ciasta też trzeba skosztować. Piekłam je przecież z myślą, że nie tylko sama jedna będę siedzieć przy tym stole.

Proszę cukier. Nie, ja nie słodzę. I tak gruba jestem, ze sto procent ponad normę. Dobrze. Powracam więc do tematu. Ja bym może dalej to wszystko wytrzymywała, ale moje zdrowie już nie. Trzęsłam się przy najmniejszych nerwach, przy byle czym płakałam. A nogi to mnie tak bolały, że ledwie zdolna byłam chodzić. Ten ból i te nerwy całkiem mi już sen odebrały, a jak tu żyć bez chwili odpoczynku? Ile się wtedy Januszka musiałam nabłagać, żeby mi chociaż ze dwa kubły wody na dzień nakręcił, bo ja bym sama już nie zdoliła. Wtedy tak na dobre zaczęłam bać się mojego syna. Ja, która nie bałam się w życiu niczego, ani roboty, ani ludzi. A tu masz. Taka sytuacja, że wyjścia żadnego z niej nie widać. Synowi kładłam co dzień te trzydzieści złotych, myśląc tylko o jednym, żeby mieć spokój, żeby mi nerwy trochę wypoczęły.

Ale nerwy w swojej postaci są małe i cienkie i nawet jak pękają, to tego nie widać. Jednak jak już pęknie żyła, to krew się leje i trudno ją zatrzymać. No i mnie tak właśnie żyła na nodze pękła. Działo się to w nocy, kiedy zapadałam w ciężkie drzemki człowieka zupełnie wykończonego. Nie czułam bólu, tylko tak mi się zaczęło dziwnie ciepło i mokro robić. Zapaliłam małą lampkę, patrzę, a tu krew ciemna i gęsta. Może to ten jad jaszczurczy, przeklęty, pomyślałam, który tyle mnie już lat morduje, znalazł sobie ujście i ucieka? Nabrałam z szafy gałganów, położyłam na nich nogę i patrzę, co będzie. Przecież takiego jadu, nawet jakby się bardzo rozmnożył, to za wiele w człowieku nie może być? Bo jaką ma wielkość jaszczurka? Tyle co palec. Ale krew wali i wali, i wcale się nie chce zatrzymać. Syna obudzić, a czy on będzie chciał mi pomóc? I po drugie, kogo tu teraz po nocy szukać, jak trzecia prawie jest już na zegarze? Owijam więc nogę, czym się da, ściskam szmatami, potem krzesło sobie podsuwam i kładę ją na oparciu, żeby wyżej. A krew

dalej przecieka przez szmaty i kapie na podłogę. To nic, myślę, podłoga malowana, plamę da się wytrzeć. Gorzej, że to krew zwykła ze mnie wypływa, nie ta z jadem, bo jej by tyle nie było. A może ja już cała zakażona jestem i krew wszystką trzeba mi wymienić? Tylko kto to zrobi i kiedy, jak ona do rana już zupełnie ze mnie wypłynie? Zresztą, myślę dalej, niechby nawet śmierć, to co? Komu ja jestem potrzebna na tym świecie? Syn ma mnie za nic, a innych bliskich mi osób już nie posiadam.

Robi mi się raz ciepło, raz zimno. Raz mam przytomność, a raz ona ode mnie ucieka. Więc co to będzie, kiedy umrę, a Januszek sam pozostanie? Podnoszę się, chcę krzyknąć na niego, a nuż ten widok krwi mojej poruszy go chociaż trochę, ale już głosu z siebie wydać nie mogę i za chwilę zupełnie nie wiem, co się ze mną dzieje.

Przytomność mi wraca po godzinie od wielkiego bólu w zesztywniałej nodze, ciągle leżącej na oparciu krzesła. Szmaty poczerniały od krwi, która przestała już przeciekać i zaschła. Chcę zdjąć nogę, nic z tego, ani ją podźwignąć, ani ruszyć. Szarpię więc, krzesło pada, ale obłożone szmatami nie robi hałasu. Udaje mi się podnieść i parę minut przy pomocy trzymania się łóżka ustać z tą gorszą nogą postawioną bardzo lekko. Po chwili w drętwej nodze zaczyna mi wracać czucie, krew porusza się szybciej, ale ja patrzę, czy wszystko w porządku, czy rana mi zaschła. Na razie mam spokój, bo może i nawet krew ciśnienie swoje pomniejszyła? Jest już widno, śpiewają ptaki, na ulicy dudni badylarska fura. Czuję dreszcze, ogarnia mnie zimno. Kładę się do łóżka nie patrząc, że cała pościel jest zbrudzona, że krwawe szmaty leżą na podłodze. Wymęczona, mając utrudzony cały organizm, nareszcie zasypiam, nie wiadomo kiedy.

Budzę się przy pełnym dniu po godzinie dziewiątej rano. Na dworze za oknem jest wesoły i słoneczny nastrój. Zakładam szlafrok i ledwie żywa idę do kuchni. Syna już nie ma, ale mnie nawet myśleć się o nim nie chce. Wiem tylko jedno, że sama nic nie poradzę i muszę iść do doktora. Gdyby Janusz był, toby sprowadził dla mnie taryfę. A tak trzeba będzie pójść na piechotę, o co bardzo się bałam, gdyż żyły mogły mi znowu puścić.

A wtedy doktór jak nic by się o tym dowiedział, każąc pewnie położyć mi się do szpitala. W tamtej sytuacji życiowej nawet dłuższe pójście na chorobowe nie było mi na rękę. Miałam tylko życzenie, żeby otrzymać coś na ogólne umocnienie i uspokojenie.

Jak doszłam do zakładu, tego przedstawić nie mogę, bo nawet sama dobrze nie pamiętam. Wiem, że trzymałam się płotów, że kula ziemska kręciła się razem ze mną, że ból nogi był ostry i przeszywający. Przed ambulatorium wzięłam się w garść, żeby trochę zdrowiej wyglądać i nie podpaść od pierwszego spojrzenia. Za bardzo dużej kolejki do doktora nie było, ludziom wiosną, kiedy wszystko wyrywa się do życia, też nie chce się chorować, wolą odłożyć to na dni jesienne i zimowe. Ja odkładać niestety nie mogłam, choć niczego bym więcej nie chciała.

Nasz doktór fabryczny, nie wiedzieć kiedy, zrobił się postarzały, już w dużym stopniu uciekła z niego ta siła i energia, która mówi o tym, że jest się jeszcze w młodszym wieku, niż się na to wygląda. Włos miał siwawy, na twarzy widoczne były zmarszczki. A może on tak wyglądał i dawniej, tylko ja tego nie widziałam zajęta swoją chorobą?

— Słucham — powiedział, patrząc na porozkładane przed sobą papiery i poruszając okularami. — Długo u mnie pani była nieobecna. To ze strachu przed moją osobą czy też wszystko jest już dobrze i medycyny pani nie potrzeba?

— Dobrze to nie jest — mówię do niego — a nawet teraz zauważyłam, że jest trochę gorzej, odnośnie ogólnego osłabienia i zawrotów w głowie.

— A z nogami — pyta dalej doktór — czy tam pani wyczuwa porządek? Nie puchną, nie bolą?

— Z nogami — mówię — tak najgorzej nie jest. Puchną co prawda, ale z wieczora, a rano znów powracają do swojej normalności.

To mówiąc nogi podciągam pod krzesło, żeby mu się nie chciało popatrzeć na nie, żeby nie pomyślał badania i oględzin robić. Taki doktór jak on od razu pozna, że

żyła mi pękła, a wtedy już żartów nie będzie. A on, jakby myśli moje odgadywał, jakby dobrze wiedział, czego się boję, mówi:

— Dziś pani przebadać nie zdążę, zapiszę tylko lekarstwa. A w ogóle to już niedługo chyba całkiem przestanę chorobami się zajmować, a wezmę za papiery. Dawniej papiery zajmowały mi tylko parę dni na miesiąc, a teraz jest odwrotność. Tylko parę dni w miesiącu mam na leczenie, a cała reszta idzie na papiery. Powracając jednak do pani, to trzeba będzie poleżeć. Dostanie pani odpowiednie lekarstwa i do łóżka. Maszyna również potrafi się popsuć, chociaż jest żelazna. Ma tu pani ode mnie pięć dni zwolnienia. Potem zaraz proszę się zgłosić, to zrobimy dokładniejsze przebadanie. Trzeba zobaczyć, czy te jaszczurki jeszcze panią gryzą, czy nie.

Jak to dobrze, pomyślałam sobie, że mamy tak dużo fabryk papieru i potem nie wiadomo, co z nim zrobić, choć przecież tyle go się niszczy, dajmy na to, na naszym zakładzie. To wszystko jednak za mało, zbyt wolno zniszczenie idzie, jak trzeba jeszcze podział między doktorów i innych poważnych ludzi robić. Ale dla mnie to tylko lepiej, a już zwłaszcza, co się dotyczy dzisiejszego dnia. Inaczej to już nie wiem, co by nastąpiło. Domu opuszczać nie mogłam, dopóki Januszek dochodów nie miał, a jedynie muzykę w głowie.

Teraz to mogę poleżeć sobie, wywczasować wedle życzenia. Ale wtedy całkiem inaczej przedstawiała się ta sprawa, chociaż nie było żartów z moim zdrowiem. Syn obiecał mi chodzić po zakupy, lecz jego słowa znaczyły tyle samo co zrobienie ze mnie balona. Te zakupy to prawie że śmiech, bo co mogłam zwojować przy tych pieniądzach, z których większą połowę on mi zabierał? A przy tym jeszcze Janusz nie miał głowy, żeby kupować do domu jedzenie, kiedy całkiem inne zakupy z Wątrobiakiem i pozostałością „Rybałtów 63" robił. Kupowali instrumenty do nowego zespołu i to im przeważnie czas zabierało. Skąd mieli pieniądze, nie chciałam pytać. Za dużo było we mnie tej rozpaczy z powodu choroby i nieudanego życia. W końcu jednak spytałam, a Janusz od-

powiedział, że to jedna duża spółdzielnia ich pod opiekę wzięła, przygarniając do swojej świetlicy.

Ciepło było coraz bardziej, kwitły już krzaki i drzewa. Ogródek miałam nie skopany, zielsko tylko tam rosło. Mniejsza o ogródek, myślałam, najważniejsze utrzymać zdrowie na takim poziomie, żeby chodzić do pracy i coś niecoś jeszcze w domu zrobić.

A oni jeździli, kupowali, przywozili coraz to coś nowego. Gitary na prąd, błyszczące kule z rączkami do trzymania i czymś brzęczącym w środku, nieduży bębenek do uderzania ręką. Nie wyrażałam się o nich ani słowem, za wyjątkiem tego jednego wypadku, kiedy Wątrobiak głupią mi propozycję zrobił.

— Czy pani wie — spytał — jaką zespół ma nazwę, o której niedługo będzie głośno wszędzie?

Przemilczałam zapytanie Wątrobiaka, ale mu to i tak nie przeszkadzało.

— „Rytmikole 66" — powiedział — chyba to dobre na nazwę. Krótkie do wymówienia i dużo oznacza.

Ja dalej przemilczam, a on dalej mówi:

— Proszę mi tą śmiałość wybaczyć, że Janusza wyręczam, ale tu rozchodzi się o taką rzecz, żeby tych „Rytmikoli 66" wyhaftować na koszulach, które będą w czarnym kolorze, dużą literą ze złotej nitki. Pani to by najlepiej zrobiła. Nikogo innego nie widzę.

— Słuchaj, Stasiek — mówię do niego — zrobić to ja ci mogę dziurę w tym głupim łbie tasakiem albo siekierą. A teraz odejdź ode mnie i w drogę postaraj mi się nie wchodzić.

Wybiegł na dwór, gdzie ich komplet siedział z Januszkiem na czele, a ja pozostałam sama, przy kuchni, zapatrzona w gary. Przez otwarte okno usłyszałam śmiech z młodych gardeł, a potem słowa mojego syna:

— Mówiłem ci, że ona jest już brakowa i rozum u niej wysiada.

A potem jeszcze jakieś szeptania, słowa, których rozpoznać nie mogłam, i znowu śmiech, jeszcze głośniejszy i większy.

Rozpacz, żal, samotność i opuszczenie, wszystko, co pan chce, odezwało się wtedy w mojej osobie.

Co to była za spółdzielnia i gdzie się mieściła, jak już mówiłam, nie chciałam wnikać. Zwolnienie mi się skończyło, znów jak każdego dnia zaczęłam chodzić do roboty, więc i inne sprawy pojawiły się obok domowych. Trochę było lepiej, ale tak ogólnie, to nie widziałam wesoło swojej przyszłości. Zdrowie wymagało leczenia, a ja się poważnie leczyć nie mogłam.

W końcu jednak, kiedy zobaczyłam, że w domu jest coraz weselej, że „Rytmikole 66" wcale nigdzie nie jeżdżą, a tylko trenują na podwórku, co prawda bez głośników na drzewach, tylko przy jednym małym głośniczku stojącym na ziemi z pełnym podłączeniem gitar do prądu, musiałam zapytać, co to jest, dlaczego oni są tu, a nie u swojego pana?

— Spółdzielnia jest w remoncie, a świetlica czynna będzie dopiero za dwa miesiące — odpowiedział Januszek. — Mamy pozwoleństwo odbywać próby w miejscu zamieszkania.

— Na papierze macie to pozwoleństwo? — pytam. — Jeżeli tak, to mam życzenie zobaczyć.

— Na papierze nie mamy — odpowiada Januszek — ale jak mamusia wyraża życzenie, to można załatwić. Tylko że ja takiego powodu nie widzę.

— Powiedz mi więc — mówię — jak się ta wasza spółdzielnia nazywa?

— „Radosna Przyszłość" — powiada Januszek — a robi kapcie filcowe dla starych nóg. Mamusi takie mogę przynieść.

— Dziękuję, synu — mówię — mam własne. A poza tym moje nogi jeszcze dużo wytrzymają, bo nie boją się ani chodzenia, ani roboty.

— W takim to razie — powiada Januszek — nie ma rozmowy.

— O nie, synu — odzywam się — jest rozmowa. I to o takim temacie, kto mi za ten prąd zwróci, który wasze gitary wypalą.

— Jak to kto — mówi Janusz — „Rytmikole 66", którzy są na uposażeniu spółdzielni. I nawet zaraz mamusi mogą zapłacić, jako że zarządzam pieniędzmi. — To mówiąc wyciąga pięćset złotych, dodając takie słowa: — Za więcej to i tak nie wypalimy z takiego powodu, że spół-

dzielnia dała nam zezwolenie wyjazdu nad morze, żeby trochę pograć pomiędzy ludźmi na wczasach. A za tą resztę, która się z prądu pozostanie, niech mamusia kupi sobie coś dla siebie.

Kolnęła mnie mocno ta łaskawość synowska, ale, jak to głupia kobieta i matka, pytam:

— Czy spółdzielnia, synu, żadnych wyliczeń ani innych rachunków wymagać nie będzie? Przecież pół tysiąca piechotą nie chodzi?

Był czwartek, akurat środek tygodnia. Janusz zaśmiał się i mówi:

— Mamusia się nie martwi. W sobotę jedziemy, więc jakby co, i tak zaraz będzie świeży grosz.

Spojrzałam na syna i pomyślałam: Charakter on ma nie bardzo, a jednak rozum w nim jest i to wymagane dzisiaj uzdolnienie, żeby pochodzić za swoim. Kto wie, może mu i ta muzyka na zdrowie wyjdzie?

— A czy Wątrobiak też jedzie? — zapytałam na koniec.

— Jedzie — odpowiedział Januszek — gdyż inaczej, kto by za wszystkim chodził, sprawy załatwiał i w ogóle?

Humor, który mi się na chwilę polepszył, znów powrócił do starej sytuacji z czarnym kolorem na wierzchu.

Pojechali, a ja, proszę pana, myślałam, czy on ma tam co jeść i czy go jakaś morska fala nie porwie do głębiny, chociaż, o ile mi wiadomo, na glinkach nauczył się pływać. Przy matce miał różnie, raz dobrze, raz trochę gorzej, ale chyba narzekać nie musiał na ogólną opiekę. Pojechali, a tu żadnej kartki, niczego, co by mój strach mogło uspokoić. Od innych „Rytmikoli", do których w całym komplecie przeszli „Rybałci 63", też nic. Mówiła mi o tym spotkana na mieście matka „Rytmikola", Brzozy Grześka, nadmieniając przy tym, że syn jej dobry, szoferski fach porzucił, za co ona do mnie też żal odczuwa, jako że jestem matką Januszka, który największy zamęt w kierunku muzyki w naszym mieście wprowadził.

— To nie Janusz — mówię do niej — ale Pęcicki Mariusz ten początek zrobił, a Wątrobiak rozkręcił. A poza tym czy syn pani nie jest dorosłym człowiekiem i do tego po wojsku?

— Szatan jakiś — powiedziała matka Brzozy — w na-

sze dzieci powchodził z tą muzyką. Za sanacji tego nie było. My z mężem już od zmysłów odchodzimy.

— Pani to chociaż ma męża — powiedziałam — a ja w takim wypadku co? Sama jak gwizdek.

Dopiero więcej niż po miesiącu od Januszka nadeszła kartka, w której zapytywał o moje zdrowie, pisząc jeszcze, że grają w jednej prywatnej restauracji w mieście Kołobrzegu i powodzi im się nieźle. Do domu powrócą, jak się sezon nad morzem zakończy.

Dobre i to, pomyślałam, że chociaż na tyle o matce swojej pamięta, że te niedobre przypuszczenia ode mnie odpędził, które nie mniej niż choroba dokuczać mi zaczynały.

Bo i w mojej chorobie też wszystko szło tak, że lepiej nie mówić. Wtedy to tego ostatecznego osłabienia nabrałam, które mnie już nigdy później nie opuściło. Zwiększało się tylko lub zmniejszało, siedząc na stałe w moim organizmie. Do pracy chodziłam, bo co to za życie bez pracy, kiedy żadnego innego funduszu nie ma. Ale nie było już to, co dawniej, kiedy robota mi się paliła, a wszystko w rękach fruwało. Robiłam tylko, co najważniejsze, do reszty nawet nie zaglądając. Bardziej ciągnęło mnie, żeby pójść na stołówkę i pogadać za przeproszeniem o dupie Marynie. Na dokładniejsze badanie do doktora się nie zgłosiłam, chociaż ten mi nakazy przysyłał przez telefon za pomocą pani Basi. Mówiłam „pójdę" i nie szłam. Żeby to był młody doktór, gapa, co życia nie zna, nowoczesną medycynę tylko mając ukończoną, tobym może i poszła, bo taki nawet nie bada, papiery poprzewraca i zaraz receptę pisze. Ale ten? Co się przed nim ukryje, kiedy popatrzy przez swoje grube okulary i uśmiechnie się pod wąsami. Ten rozpozna człowieka na wylot, jakby miał w oczach igły przechodzące przez ciało ludzkie.

Żyły mi się zasklepiły, ale pomimo tego ból w nogach odczuwałam dokuczliwy, a już najbardziej pod wieczór. Dużo więc w łóżku leżałam, myśląc przy tym nad swoimi losami. Ale cóż za pożytek z takiego myślenia, kiedy wszystko odwrotną drogę przybrało od tej, która mi się pojawiła na samym początku, kiedy mój Januszek po raz pierwszy oczy swoje otworzył. Pamiętam, jak już po

pierwszej kąpieli, taka maleńka odrobinka, że strach na niego było popatrzeć, leżał przy moim boku ruszając usteczkami jak rybka, a ja powiedziałam wtedy do akuszerki:

— Syn mój będzie pracował głową, a nie rękami. Ja to dzisiaj przysięgam, chociaż jest jeszcze niemiecki okupant na świecie. Przysięgam to również w imieniu męża, zanim go ujrzę wracającego z lagru.

Nieboszczyk Franciszek nie wrócił, lecz tamta przysięga wymówiona przed laty sprawdziła się niestety w nieszczęśliwy dla mnie sposób. Januszek rzeczywiście zapracował głową, a jak, to zaraz się pan dowie.

Idę sobie do roboty wolniutkim krokiem, żeby nóg nie umęczyć, patrząc na piękną zieleń drzew na naszej ulicy, aż tu nagle jakaś kobieta zatrzymuje mnie i zwraca się w takie słowa:

— Źle pani zrobiła wkład odbierając, bo dopiero teraz na dobre budowa się ruszy.

Patrzę, mrugam oczami i nic mi do umysłu nie dociera, niczego nie rozumiem.

— Przepraszam za to zapytanie — mówię wreszcie — ale kim pani jest?

— To pani nie pamięta? — odzywa się kobieta. — Pracuję w „Mazowszance", a synek pani cały wkład mieszkaniowy odebrał. Podstawy nie było, żeby nie dawać, bo pełnoletni i zapis był na niego.

Zachwiałam się, a twarz moja musiała nabrać strasznego wyglądu, bo urzędniczka podbiegła do mnie, chwyciła pod ramię i zapytała niespokojnym głosem:

— Co pani jest? Czy tu przypadkiem jakiegoś oszukaństwa nie ma?

Nie wiem, czy wróciła mi przytomność, czy też serce matczyne podpowiedziało, żeby iść na zaparte.

— Boże broń — wypowiedziałam z wielkim trudem — trochę się nam plany życiowe odwróciły, więc dlatego.

— Szkoda — powiedziała urzędniczka — bo teraz jest taka okazja jak rzadko. Potem całe lata trzeba będzie czekać, albo i dłużej.

Do pracy doszłam na ostatnich nogach. Serce mi w piersiach waliło jak oszalałe i jakaś duszność okropna i ciężka na mnie się uwaliła. Szłam jak wariatka różne

słowa mówiąc do siebie, aż ludzie zatrzymywali się i patrzyli. Więc to za moje pieniądze „Rytmikole" instrumenty kupili i to z nich, tymi oto rękami uciułanych, Januszek mi za prąd zapłacił. A ile mi zjedli przedtem, ilu ich wykarmiłam, nosząc ze stołówki żarcia a żarcia.

Wygląd musiałam mieć bardzo niedobry, bo strażnik na bramie zapytał, czy nie muszę udać się do przychodni, gdzie o tej porze już tylko siostra urzędowała, w celu pobrania jakichś lekarstw albo nawet zawezwania karetki. Nie zwróciłam uwagi na jego słowa, tylko udałam się prosto do biurowca. Pani Basia była jeszcze, pisała na maszynie urzędowe papiery. Popatrzyła na mnie, a później o nic nie zapytując podała mi krople wzmacniające na serce. Usiadłam w fotelu, spoglądając na wielki oleander rosnący w drewnianej donicy. W świetle słonecznym zobaczyłam na liściach kurz. Posiedziałam trochę, potem wzięłam ścierkę z zamiarem jego wytarcia. Ale zamiast robić to z jakimś pojęciem, tarłam jeden liść tak długo, aż zaczęła z niego złazić skóra. Wtedy pani Basia podeszła do mnie, wzięła pod rękę mówiąc, żebym udała się do domu, gdyż widocznie muszę mieć bardzo duże zmartwienie osobiste. A ona już, komu trzeba, wszystko wyjaśni. Podziękowałam jej, jednocześnie stanowczo odmawiając chęci odprowadzenie mnie. No bo i po co miałam mieszać do tego inne osoby? Ale żalu i płaczu powstrzymać już nie mogłam. Łzy płynęły ze mnie wielkim strumieniem, a pani Basia uspokajała mnie jak dziecko.

Niech pan naleje mi kieliszek wódki. Trudno. Zdrowie zdrowiem, ale i nerwy nerwami. Tyle czasu minęło od tamtych wydarzeń, a ja znów, kiedy tylko zaczynam o tym mówić, całe swoje nerwy odczuwam. Dziękuję. I niech pan sam też koniecznie wypije. Proszę mi nalać jeszcze jeden. Teraz dobrze. Teraz dopiero mogę mówić.

Tego chyba wyjaśniać nie muszę, jaki był mój stan i poczucie po ukradnięciu mi pieniędzy przez syna. Więcej niż dwa tygodnie chodziłam błędna i nieprzytomna, nie rozpoznająca znajomych ludzi. Ale, jak to powiadają, człowiek nie koń, wytrzyma wszystko. Tak i ja powoli powracałam po tym okropnym ciosie do siebie. Bo cóż

jako matka mogłam tutaj zrobić? Gdyby to był zwykły złodziej, tobym znalazła wyjście idąc na milicję i składając oskarżenie. Ale na własnego syna jaka to matka donos zrobi? Chyba tylko ta, która tej nazwy i słowa nie jest warta.

O przyszłości przestałam myśleć. Interesował mnie tylko dzień dzisiejszy, a jutro już nie obchodziło. Do ludzi też mało co się odzywałam, nie chcąc słyszeć zapytań odnośnie Januszka. Tak przeminęło lato, słoneczne, ale i przy tym nie pozbawione opadów. Nie dla mnie jednak były te przyjemne pogody. Ja w swoim sercu miałam brzydką jesień, która tylko deszczem zimnym kropi i wiatrem porywistym sypie w oczy.

Czekałam, aż syn do matki swojej powróci, a on przez ten czas, jak gdyby nigdy nic, przysłał mi jeszcze dwie kartki z pozdrowieniami i wiadomością, że nadal mu się dobrze powodzi. Mnie też, myślałam, nie najgorzej by się powodziło, gdybym miała tyle pieniędzy do własnego rozporządzenia. Ale czy on naprawdę jest taki głupi, pojawiała się myśl następna, i przypuszcza, że ja niczego nie wiem, czy tylko takiego udaje? Nie mogłam sobie wtedy, tak samo jak i teraz, odpowiedzieć na to pytanie. Widocznie nie mam do tego rozumu, żeby taką sytuację rozwiązać.

Czekałam jego powrotu, żeby mu wszystko wygarnąć, ale jednocześnie obawiałam się go widzieć. Może lepiej, żeby on tam pozostał i nie wymagał już niczego ode mnie? Prędzej bym chyba brylant znalazła, niż od nowa pieniądze na mieszkanie uskładała. I jakie to życie nas oczekiwało, w tym pokoju i kuchni w starym domu? Przed wojną, co prawda, ludzie w większej ciasnocie mieszkali, ale wtedy nie było tej pazerności pomiędzy biednymi, ażeby jak najszybciej stać się bogatym. Inna była miara na życie, mniejsza niż teraz.

Przyszedł wrzesień mgły ciągnąc po polach, na których urodzaj był tamtego roku, że nie przebrać. Tu rwą cebulę, tam znów marchew wyciągają z ziemi, dorodną i długą na pół ręki. A badylarskie fury tylko kołyszą się na gumowych kołach, tylko w te i nazad na skup jeżdżą. Nie wiadomo kiedy się to badylarstwo rozrosło, a pola

piękne futra kobietom i prywatne taksówki mężczyznom zaczęły rodzić.

Ale co tu myśleć, co tu nos wtykać do cudzej skarbonki? Zresztą po co mi było bogactwo, żeby synowskie wybryki opłacać? Goniąc resztkami zdrowia nie miałam chęci pracować na „Rytmikoli 66", choćby nie wiem jak ładnie grali.

Im więcej dni wrześniowych mijało, tym większa ogarniała mnie szarpanina nerwów, tym więcej pytań miałam do siebie. Gdzie on się tego złodziejstwa nauczył, przecież ja go tak nie chowałam, przecież tłumaczyłam mu zawsze, że uczciwy dwa razy wygrywa. A tu masz ci los. Całkiem co innego wyszło i jak ja teraz jego charakter odmienię?

„Rytmikole 66" powrócili niespodziewanie, tak samo jak wyjechali. Wyszłam na chwilę do Jeżewskiej, przychodzę, a tu podwórko pełne gwaru, krzyków i hałasów. Dzień był spokojny, słońce wyjrzało spoza rannej mgły. Stanęłam na środku podwórka jak zamurowana i nie mogę ani słowa wymówić, ani kroku dalej zrobić, tylko serce mi w piersiach tłucze, jakby chciało się stamtąd wyrwać. A Januszek już mnie zobaczył, już podbiega zadowolony z własnej osoby, jakby w kieszeń miał narobione lub jakby mu się szczęście na loterii państwowej trafiło. Chce mnie przywitać, ale za chwilę uśmiech z jego twarzy znika i pojawia się wyraz zadziwienia. Stoimy tak naprzeciw siebie nic nie mówiąc, w końcu syn mój pyta:

— Stało się coś, że mamusia jest taka milcząca i blada?

— Złodzieju — mówię do niego — oddaj mi moje pieniądze!

— Mamusine pieniądze — dziwi się Januszek — zupełnie nie wiem, o co się tutaj rozchodzi?

— A ze spółdzielni — mówię — kto pobrał, car ruski?

— Więc to jest ten powód niedobrego humoru na widok syna? Przecież sama mamusia dobrowolnie na moje imię i nazwisko cały wkład przekazała, a teraz mnie jeszcze obraża przy obcych ludziach.

— Przekazałam na mieszkanie, a nie na „Rytmikoli" i tą głupią muzykę dla wariatów.

— Czy głupią i czy dla wariatów — mówi Januszek — to się jeszcze okaże. Teraz za to widzę, że z mamusią po dobremu nie można. A jak po dobremu nie można, to

można na siłę — i w tym samym momencie odwraca się za siebie i woła: — Mariolka! Chodź tu!

Dopiero wtedy zobaczyłam, że „Rytmikoli" plus Wątrobiak jest nie siedmiu, ale ośmiu. Każdy długowłosy, każdy w obciśniętych spodniach z frędzlami na dole i kolorowej koszuli. Ani rozpoznać, który to chłopak, a która dziewczyna? Ale jak już jeden „Rytmikol" zaczął przybliżać się do nas, zobaczyłam, że koszulę z przodu ma trochę wypchniętą przez cycki.

— To jest Mariola, robi w zespole wokal. Zamieszka ze mną i z mamusią. A jak do lat swoich dojdzie, ślub weźmiemy.

— Precz z mojego domu — krzyknęłam — nie chcę tu już żadnych świństw oglądać ani o niczym takim słyszeć!

— Twoja mamusia mnie nie lubi — powiedziała wtedy dziewczyna — mówiłam ci od razu, że to nie wypali. Lepiej jakiegoś mieszkania poszukajmy na mieście.

— Co? — powiedział Janusz. — To już mi nie wolno zamieszkać z narzeczoną we własnym domu, w którym mam zameldowanie na stałe? Na milicję pójdę i wtedy już żadnej dyskusji i innej głupiej mowy nie będzie. Chodź do mieszkania, Mariolka!

Trudno mi sobie przypomnieć, co jeszcze wtedy mówiłam. Ale może być również tak, że nie wymówiłam żadnego słowa. Wiem, że podbiegłam do syna i zamachnęłam się torbą z zakupami, w której było pół kilo chleba, bułka i parę pomidorów. Janusz odskoczył, więc ja go jeszcze raz, a on znów w bok i śmieje mi się prosto w nos. Inni „Rytmikole" to już siedzą na ziemi ze śmiechu, a Wątrobiak tak ryczy, że wytrzymać nie można. Pozbierałam całą swoją siłę i zamachnęłam się jeszcze jeden raz. Ale wtedy coś mi się takiego zrobiło, że w jednej chwili odczułam ciemność w oczach i słabość w organizmie. Upadłam na ziemię, o niczym już nie wiedząc, niczego nie słysząc.

Kiedy przytomność mi powróciła, leżałam w domu na łóżku. Janusz siedział obok i spoglądał na moją twarz uważnym spojrzeniem. Było cicho, inni „Rytmikole 66" już sobie poszli. Otworzyłam oczy, a mój syn powiedział:

— Z mamusią to jak z dzieckiem. Kto to widział, żeby tyle nerwów było w jednym człowieku? I po co ten cały

gwałt, te krzyki i nieporozumienie? Mamusia chce w moim szczęściu jedynym przeszkadzać, a ja nie rozumiem dlaczego.

Słowa nie chciały mi przejść przez gardło, przełknęłam więc ślinę raz i drugi i wtedy jakimś cudzym, nie moim osobistym głosem spytałam:

— Ona jest?

— Jest — odrzekł Januszek — i nigdzie stąd nie odejdzie. Całe już życie będzie ze mną.

Znów mi się duszno zrobiło, znów ciarki jakieś przez organizm przebiegły.

— Bandyto ty jeden — powiedziałam — nie chcę cię więcej oglądać przy mojej osobie.

On podniósł się z łóżka, odszedł ze dwa kroki i odzywa się głosem posmutniałym:

— Czy tego naprawdę zapragnęłaś, kobieto, żebym odszedł i więcej nie pokazał ci się na oczy? Przecież to czysta głupota, te zarzuty i pretensje. Ja tutaj jestem na prawie, a nie mamusia.

— Bandyto — powtarzałam jak głupia — bandyto, po co ja cię rodziłam?

— I znów te słowa nieodpowiednie i obrażające — powiedział mój syn — ale rozumiem. Mamusi się trochę odpoczynku należy po omdleniu, przed udaniem się do roboty. Tu jednak mamusię zapewniam, że w mieszkaniu zrobimy, co potrzeba. Bo to chyba tłumaczy się samo, że mamusia teraz, w nowych warunkach życiowych, które ostatnio wynikły, przeniesie się do kuchni.

Pan ma pewnie teraz takie wrażenie, że ja ich całkiem wyrzuciłam, będąc taką samą stanowczą w uczynkach, jaką byłam w słowach. Nic podobnego, a wręcz przeciwnie, wszystko stało się tak, jak sobie to mój syn zaplanował. Oni, jako młoda para, zajęli cały pokój dla siebie, a ja, jako stara matka, potrzebna już tylko do gotowania i sprzątania, zamieszkałam w kuchni. Pan nawet tego wyobrażenia mieć nie może, co to za męka była dla mnie. To już nie dom się zrobił, ale poczekalnia na dworcu, tyle się tam ludzi przewalało. Bez przerwy na widoku, bez przerwy w hałasie, który odpocząć zupełnie nie dawał.

Ledwie coś zrobiłam i śniadanie przyszykowałam dla moich gołąbków, a już jest jedenasta i „Rytmikole” przychodzą na próbę, bo tą godzinę im Janusz wyznaczył. Już samo to życie robiło niemożliwym do zniesienia. Całe moje szczęście, że oni jeszcze tych wielkich głośników nie mieli, ale i tak dom aż podskakiwał i statki w kredensie dzwoniły od tej gry zespołu i wokalu Marioli.

Obok tych faktów, które wymieniłam, były też fakty inne, które gryzły moje odczucie wstydu i przyzwoitości. Sama święta nie byłam i wcale nie uważam, że każdy człowiek ma się zaraz za takiego nieżyciowego osobnika zostać. Ale to, co oni wyprawiali w moim mieszkaniu, to już była jedna Sodoma i Gomora. Przez parę pierwszych dni Mariola jeszcze miała te trochę skrępowania i skromności, ale później, zmiłuj się Boże. Tu już blisko godzina jedenasta, już za małe pół godzinki „Rytmikole” zaczną się schodzić, a ta w Januszkowej koszuli, co trochę jej za pępek sięga, po całym mieszkaniu łazi, nic więcej nie mając na sobie. To chleba kawałek ukroi, wędliny nakładzie i zje, to papierocha zapali, to znów nad kubłem kucnie i szczy, jakby już nikogo poza nią w domu nie było.

— Mariola — mówię do niej — wstydu nie masz. Takie zimna jeszcze nie zapanowały. Można się załatwić w ustępie.

— Nie przyzwyczajona jestem potrzebę naturalną załatwiać na podwórku — odzywa się Mariola — ale dla pani mogę to zrobić. — I z miejsca łapie za klamkę i na dwór chce wychodzić.

— Stój, ty cholero — mówię do niej — majtki chociaż oblecz na tyłek, co ludzie sobie o nas pomyślą? Z ulicy wszystko jest widoczne.

— Niech mamusia się do Marioli nie wyraża — zawołał z łóżka Januszek. — A ty, Mariola, też z gołym dupskiem po dworzu nie lataj. Wilka jeszcze możesz od powietrza załapać.

I myśli pan, że na tym koniec, że tylko takie wydarzenia tam odchodziły? Oni, proszę pana, żadnej pory nie potrafili uszanować, żaden dla nich czas nie istniał. Jak zwierzęta rwali się do siebie, kiedy im tylko ochota na to przyszła. A w pokoju przecież, w szafie, wszystkie

swoje rzeczy miałam poukładane i nieraz to i owo musiałam wziąć z ubrania, żeby założyć na siebie, bowiem trudno dookoła Wojtek chodzić w jednym i tym samym. Dzień już dawno jest biały, drzwi od pokoju uchylone, więc idę na śmiałego, a tam na łóżku takie poplątanie, że nie wiadomo, gdzie nogi, gdzie głowy, a gdzie jeszcze co innego. Dech mi ze zgrozy zapierało, bo co to za miłość teraz, taka bezwstydna i niezwyczajna? Pan myśli, że oni odskakiwali od siebie albo kołdrą się chociaż okryli na widok matki? Gdzie tam! Zupełnie, jakbym ze szkła się składała albo z powietrza. A przecież moje zdrowie wtedy nie zeszło jeszcze do tego poziomu co teraz, kiedy już tylko samą skorupę sobą przedstawia, i nie dla mnie, nie na moje nerwy były takie widoki. W końcu to już całkiem bałam się wejść do nich i tak długo waliłam w drzwi, dopóki pozwoleństwa od syna nie otrzymałam. Ale i wtedy też nie było tak, jak potrzeba. To Mariolka zupełnie goła na kołdrze leży i się studzi, to Janusz byle jak okryty, prawie ze wszystkim na wierzchu. Boże, myślałam sobie, czy oni to tak specjalnie robią, żeby moją śmierć przyspieszyć, czy to już taka moda teraz nastała, żeby wszystko było jawnie i bez wstydu?

— Synu — zwracałam się do niego — czy ty już tylko samym szatanem żyjesz? Czy ty matki swojej całkiem i zupełnie nie chcesz uszanować? Mnie nawet do sklepu wstyd jest chodzić, nie mówiąc już o tym, żeby z kimś parę słów zamienić.

— A co my znowu takiego złego robimy — odzywa się Janusz — czy miłość pomiędzy ludźmi jest już zabroniona? A w ogóle to od kogo ja takie słowa słyszę, od mamusi? Proponuję więc sięgnąć do niektórych faktów z dalekiej przeszłości. Czy to do mnie pan Zdzisio przychodził, czy do kogo innego? A ten Owocny, to chyba nie w warcaby, jak chłopaki pod celą, z mamusią grywał? Więc po co ta gadka, po co te słowa o wstydzie, kiedy wszystko odbywa się w rodzinie i taki akurat jest układ mieszkalny.

Zbladłam, trzęsę się, palcami skubię fartuch, co go miałam na sobie.

— Ty, Janusz — mówię — zostaw mnie w spokoju. Zdrowie mam już przez ciebie odebrane, pieniądze moje

przepuściłeś, żeby inaczej tego nie nazwać, a teraz honor mi depczesz. Ja niczego nie muszę się wstydzić. Wy za to bez żadnego umiarkowania, gorzej niż psy.

— Dosyć tego! — zawołał Januszek. — Mama daje śniadanie, jeść nam się chce!

Cała rozlatana w środku, nie swoimi rękami daję im jeść, a Mariola, ubrana jak na plażę, odzywa się w takie słowa:

— Czy to zawsze musi być ten czarny salceson? Co to już szynki czy innej wędliny w sklepach nie ma?

— Słyszy mamusia? — mówi mój syn. — Ja tu jeszcze tych parę słów też mogę dodać.

— Jest — mówię — jak dobrze pochodzić, ale za te lepsze pieniądze. Za te gorsze może być przeważnie salceson albo kaszanka. Jeszcze od was złotówki na życie nie dostałam. Jak ci, synu, parę groszy z tych tysięcy zostało, to daj mi. Narzeczoną masz widać z takiego domu, gdzie się prostego jedzenia nie uznaje.

— Ty, Januszku — odzywa się Mariola — nic mi o tych tysiącach nie mówiłeś. A przecież widzisz, że buty mi wysiadły. Teraz nic, a jak będzie występ? Na boso nie pójdę.

— Mamusia zawsze — mówi Janusz — w tym najlepszym momencie ze swoją gadką wychodzi. — I zwraca się do Marioli: — Aparatury nie mamy, wiesz sama. Więc wszystko na ten cel jest przeznaczone.

— Rozumiem — odzywa się do niego Mariola — ale przecież muszę w czymś chodzić. Chyba nie chcesz, żebym pojechała do domu po ciuchy, których mam ze dwie szafy. Jak koniec, to koniec.

Wtedy ja wyciągam z torebki portmonetkę, wysypuję, co tam jest, na stół i mówię:

— To wszystko, co pozostało mi z zaliczki, a do wypłaty jeszcze sporo dni. Może więc weźmiesz te moniaki i kupisz Marioli parę kilo szynki.

— W jedności siła — odzywa się mój syn i łubudu łyżeczką o stół, aż zadzwoniło. — Czy wy, kobiety, tego nie rozumiecie, że najpierw potrzebna jest podstawa do życia, a później dopiero idą inne wydatki?

Ale wstaje od stołu, idzie do pokoju, chwilę go nie ma, później przychodzi i doręcza mi siedemset złotych.

— To na początek — mówi — i niech mamusia dobrze się rządzi.

Nie rzuciłam mu pieniędzy w twarz, nie spytałam, czy są z tych ukradzionych. Schowałam je do torebki zastanawiając się, co kupić, żeby pańskie gusta Marioli były zadowolone i żeby kieszeń za bardzo nie ucierpiała. Ale jak tu się dziwić, kiedy sił coraz mniej. Nie byłam już sobą, nie byłam tą Smoliwąsową, która po piętrach z dywanami latała śpiewając piosenki albo w stołówce przy garach, czy to latem, czy zimą, nie odczuwała zmęczenia. Gdzie jest ten Januszek, myślałam, któremu czasem zimową porą, za jego dziecinnych lat, starodawne bajki opowiadałam? Tylko że ile razy takie coś mogło mieć miejsce? Nie pamiętam. Ale nie było tego za wiele. Ot, w jakieś święto dłuższe, bo przecież nawet w niedzielę roboty miałam po uszy.

Nie na długo jednak tej łaski synowskiej starczyło. Nie minął dzień, a on już stówkę wycofał ode mnie na papierosy. A potem jeszcze wziął dwieście. Czy miałam się stawiać, miałam mu tego zabronić? Przecież i tak sięgnąłby mi do torebki, gdybym mu „nie" powiedziała. Oddałam więc pieniądze bez oporu, mając tylko jedno zapytanie:

— A ta firma, co ją kiedyś Wątrobiak załatwił jako opiekuna dla „Rytmikoli", nie chce wam jakiejś zaliczki przydzielić? Bo chyba remont już się skończył?

Januszek z minutę nie mógł się połapać, w czym rzecz, wreszcie mówi:

— „Radosna Przyszłość", ta od kapci filcowych?

— Tak, chyba że jest już co innego w to miejsce?

A on się patrzy na mnie całkiem rozbawionym okiem i tak się odzywa: — Ale mamusię łatwo pod bajer złapać! To była tylko zagrywka polityczna.

Ile mi zdrowia odebrała ta bezwstydność i brak człowieczeństwa, co nad mym domem zapanowała, to już pan wie. A przecież jeszcze urzędowali w nim „Rytmikole", świetlicę sobie z mieszkania robiąc. I chociaż nie po-

winnam się już tym przejmować, chociaż powinnam przywyknąć, bo człowiek przywyknąć może do najgorszego, nie mogłam się w żaden sposób przyzwyczaić i ciągle lęk miałam, czy Mariola, nim przyjdą inni „Rytmikole", coś na dupinę oblecze, czy też taka goła paradować będzie przed obcymi chłopami. Widać świat już teraz jest inny, inne zapatrywanie na to zagadnienie. Janusz wielkiego halo z tego nie robił, a o Marioli to nawet lepiej nie mówić.

Nim się zeszli, nim gadkę wstępną ucięli, była dwunasta albo i dalej. Potem dopiero zaczynała się gra i śpiew, który podług „Rytmikoli" nazywał się wokal. Trochę pograli, potem znów zaczynała się gadka, a nawet głośne kłótnie. Ja tymczasem wychodziłam na dwór, żeby posłuchać, czy za bardzo ich gra się nie rozchodzi, czy aby nie przeszkadza to w ogólnym pożyciu z sąsiadami. Ale bez tych wielkich głośników można było wytrzymać.

Ile to wszystko trwało? Podług mnie więcej niż rok, ale podług kalendarza to nie dłużej niż dwa miesiące. Szła jesień, dnie coraz krótsze, coraz bardziej ciemne i zimne. A Mariolka ma tylko skórzaną kurteczkę, spódniczkę, trochę koszul i majtek, amerykańskie spodnie z łatami na kolanach i tyłku i zamszowe półbuty, które jej Janusz kupił. Czas dla orkiestry jest coraz lepszy, lecz „Rytmikolom" nie bardzo się układa, ledwo im jedno wesele wypadło, i to nie za bogate. A tu już nie tylko deszcz, ale śnieg zaczyna prószyć. Żal mi się Marioli zrobiło, więc mówię do niej:

— Weź, Mariolka, moją jesionkę, teraz już za ciasna jest na mnie, ale tobie, póki co, może się przydać. A tak, żeby czego tutaj nie skłamać — mówię dalej — to czy ty w ogóle posiadasz jakichś legalnych rodziców, czy też całkiem jesteś bezpańska?

— Nie mam już — mówi Mariola — i więcej ich znać nie chcę! Proszę mnie też o to nie pytać. Jak bardzo przeszkadzam, to sobie pójdę.

— A gdzie ty teraz, dziecko, chcesz odejść — mówię — na zimę? Jeszcze całkiem się na łajdactwo wykierujesz, a wtedy odwrotu nie będzie.

Mariola w płacz, jakbym to ja ją krzywdziła, a nie ona siebie.

— Niech pani tak nie mówi — odzywa się — ja Janusza kocham.

Słucham uważnie, czy syn, który po papierosy i gazetę sportową poszedł, nie wraca, i mając już pewność, że cicho jest tego wieczoru koło domu, mówię znów do niej:

— Trudności osobiście nie widzę. Ślub weźcie i sprawa załatwiona.

— Kiedy mi jeszcze parę miesięcy do osiemnastu lat brakuje. Jeszcze tyle muszę czekać. — I dalej płacze.

Na tą chwilę wraca Janusz z gazetą i widząc Mariolę całą we łzach, zapytuje, co tu się przydarzyło.

— Mamusia twoja — mówi Mariola — każe nam ślub brać, a ja jeszcze lat wymaganych nie mam.

Januszkowi dzikie oczy się robią i jednym skokiem podbiega do mnie.

— Mamusia zaraz na inną falę się przełączy — mówi — bo jeszcze co złego mogę zrobić w tej nerwowej chwili — i popycha mnie z całej siły, aż siadam na łóżku.

— Janusz — woła Mariola — ty zostaw swoją mamusię! Słyszysz? Co mamusia tutaj jest winna, że nic się nie układa?

— Jeszcze trochę, Mariolka — odzywa się Janusz. — Stasiek za tym chodzi, ja chodzę, każdy ma to na uwadze, żeby się polepszyło.

— Chodzisz — mówi Mariola — ale na stację po gazetę albo do Jeżewskiej na piwo...

Tak byłam skołowana, że nie wiedziałam już, czy smucić się, czy cieszyć z takiego obrotu sytuacji. Syn podniósł na mnie rękę, ale może nie wiedział, co uczynił, myśląc, że ja Marioli krzywdę robię? Z drugiej zaś strony widać było, że ona już długo nie utrzyma się w naszym domu, jeżeli Janusz od zaraz się nie odmieni i jakiejś roboty nie poszuka. Największa nawet latawica chce mieć również oparcie w swoim chłopie, nie tylko samą przyjemność. Tak czy inaczej, było mi to na rękę, bo albo Janusz do normalnych ludzi powróci, albo o jedną gębę mniej będę miała do wyżywienia.

Jeszcze parę dni przeleciało, podczas których wszystko szło po staremu, znaczy bez ładu i składu. Zauważyłam tylko, że Mariola coraz bardziej smutna chodzi i Janusza jakby rzadziej dopuszcza do siebie. Tak to przecież bywa nawet w małżeństwie, myślę sobie, tak to już wydarza się między ludźmi, że jeden drugiego chce pokonać, różną broń dobierając.

Mariola najpierw mojej jesionki nie chciała wziąć, ale potem wzięła i nawet parę razy po mieście się przeszła, żeby trochę popatrzeć na ludzi. Nie dziwiłam jej się, bo życie spędzać w łóżku z ukochanym to nawet przy jej młodych latach w końcu może się znudzić i opatrzeć.

Aż jednego dnia, około godziny dziewiątej rano, kiedy wybierałam się do spółdzielni za mlekiem, Mariola odzywa się w te słowa:

— Może ja pani przyniosę, taka brzydka pogoda dzisiaj, więc po co pani ta fatyga?

— Dobrze, Mariolu — mówię — jak masz takie życzenie. Przynajmniej moje nogi odpoczną.

Janusz, który już od wczoraj gitarę skręcał i rozkręcał, bo głosu mu nie chciała wydać, krzyknął:

— Kup, Mariolka, fajki i „Przegląd Sportowy", niech ci matka tą dychę dołoży.

— Dobrze, Januszku — odrzekła mu jeszcze — kupię na pewno.

Czekamy godzinę, czekamy dwie, nie ma Marioli. „Rytmikole" się już zeszli, nie grają, tylko wrzeszczą, bo to i jedna gitara zepsuta, i Marioli nie ma, a najgłośniej krzyczy Wątrobiak i Janusz. Jeszcze z jedna godzina przechodzi, już powoli zaczynam zbierać się do roboty, aż tu drzwi od pokoju z hukiem się otwierają, Janusz stamtąd wypada i mówiąc, że to wszystko przeze mnie, łapie kapotę i biegiem leci na dwór. Za nim wybiega Wątrobiak, a później po kolei wychodzą „Rytmikole". Nie mówią mi do widzenia, tak jakby odgadywali moje myśli, żeby ich tutaj więcej nie oglądać. Strach mnie oblatuje, bo co też synek zechce ze mną zrobić, jeżeli Mariola nie wróci? W głowie od tego mi się kołuje i ogólna niechęć do wszystkiego ogarnia. Ale nic na to nie poradzę, trzeba iść do roboty, bo tylko taka przyjaciółka mi pozostała.

Z powracaniem do domu się nie spieszę, a wprost przeciwnie, wracam jak mogę najpóźniej. Przychodzę, a syn mój już jest, siedzi przy stole w kuchni, patrzący dzikim wzrokiem, z twarzą czerwoną od wódki. Nie zdążyłam nawet zdjąć palta, a on już pyta złym i okrutnym głosem:

— Coś ty jej jeszcze powiedziała i jakim prawem? Zaraz to chcę usłyszeć.

— Nic, synku — mówię — tylko to, co ona sama ci mówiła. A zapytałam przez zwykłą ciekawość, nie żeby ci szkodzić.

— Kłamiesz! Doradzam po dobremu przyznać się do winy!

— Nie, synku — mówię — tobie bym na pewno nie kłamała.

A on zrywa się, dobiega i bije mnie mocno po twarzy, aż padam na podłogę. Tu dalej uderza rękami i nogami, gdzie popadnie, po całym ciele. W ustach czuję krew, wszędzie ból, ale jeszcze tyle mam przytomności, że chcę podnieść się na nogi, bo tak, na leżąco, może mnie zabić. Podnieść się jednak nie mogę, gdyż, co trochę się uniosę, to znów uderzona padam. W końcu udaje mi się stanąć na czworakach i w takiej pozycji, jak zwierz jakiś, przesuwam się do drzwi, ażeby z mieszkania uciec. Wtedy on drogę mi zastawia, czubek ubłoconego buta do twarzy przytyka i mówi:

— Masz! Powąchaj! Za to, żeś mi całe moje szczęście odebrała.

Potrzymał tak chwilę ten but, aż mu się krwią moją ubrudził, i już nowy rozkaz mi wydaje.

— Pod łóżko, jazda, bo zabiję. Na izolatce posiedzisz za to przewinienie.

Dobrze, że łóżko było żelazne, siatkowe, z dużą ilością miejsca pod spodem. Gdyby było takie jak w pokoju, meblowe, to wejść bym tam nie zdoliła, a Janusz chyba na śmierć by mnie zakatował.

Ze trzy godziny tam leżałam. Krew z nosa i ust jeszcze długo mi ciekła, zanim zastygła. Ząb jeden miałam wybity, ledwie co trzymał się dziąsła, więc go po cichu wyjęłam. Bałam się poruszyć, dopóki Janusz był w kuchni. A on palił jednego papierosa po drugim i dopiero kiedy

paczka mu się skończyła, rzucił ją, tak samo jak popiół i pety, na podłogę i poszedł spać. Odczekałam, aż zrobiło się zupełnie cicho. Wtedy cała sztywna z bólu, z zimna i od twardych desek wyczołgałam się stamtąd. Z dużym trudem wstałam i zataczając się, kiwając z boku na bok jak kaczka, zgasiłam światło i sama położyłam się spać.

W czasie snu przyszedł do mnie szatan. Miał wygląd niedużego mężczyzny o chytrym spojrzeniu. Mówił, żebym wstała, wzięła młotek i sama zabiła wyrodnego syna. Z całej siły go odepchnęłam, w tym samym momencie się budząc. Uklękłam na skrzypiącym materacu i zaczęłam się modlić. Odwykłam już od modlitwy, odwykłam od Boga. Słowa moje były koślawe. Rozlegały się pusto i głucho jak głos wołającego w studni, a obrzęknięte usta nie chciały tych słów wymawiać. Przemieniło się to nareszcie w straszny płacz, aż do samego rana. W tamtych chwilach już dobrze nie wiedziałam, czy żyję, czy jestem, czy już na zawsze odeszłam od ludzi. Może lepiej by było, żeby mnie zabił i uciekł w jakieś bezpieczne miejsce.

Panu pierwszemu powiedziałam o tym okropnym wydarzeniu. Jeszcze żaden człowiek o nim nie słyszał, jeszcze nikomu tego najgorszego wstydu nie objawiłam. Mogłam spodziewać się najgorszego, ale ten fakt, zanim nie nastąpił, nawet przez myśl mi nie przeleciał. Mówić można dużo, nawet najcięższych słów użyć, ale żeby rękę podnieść, i to na matkę? Nigdy już, jak długo będę żyła, nie zapomnę mu tego, jak nie zapomnę i tych dni, które później nastąpiły. Jeżeli komuś czasem przedstawi się piekło, to chyba w takim musi być kształcie i charakterze.

Nie liczyłam już czasu, nie patrzyłam na kalendarz, gdzie wypisane są daty pojedynczych dni. Dla mnie wszystko połączyło się w jedną całość, która nie chciała mieć końca. Dzień po dniu bałam się powracać z roboty do domu, gdyż wiedziałam, że tam czeka na mnie mój upity syn, który nadal mścić się będzie za to, czego nie zrobiłam.

Zaledwie trzęsącymi się od żalu, strachu i od okrop-

nych nerwów rękami podałam mu jeść, on mi znowu nakazywał włazić pod łóżko, powiadając, że tej zbrodni na jego szczęściu osobistym amnestia nie obejmuje, a izolatka jest bezterminowa. Zaklinałam się, że nic tu nie zawiniłam, prosiłam, żeby popatrzył na mnie sprawiedliwym okiem, ale on tylko śmiał się i obrzucał mnie najgorszymi wyrazami. W końcu zaczęłam go błagać, żeby mi darował, choć przecież nic do przebaczenia nie było, niczym nie zawiniłam.

Ale jaka to rozmowa z wariatem, z człowiekiem, który co dzień grzech śmiertelny popełnia, męcząc własną matkę? Takiemu to już wszystko jedno, skoro się diabłowi do cna zaprzedał. Chciałam umrzeć, chciałam, żeby mnie ziemia na amen pochłonęła. Przeziębiłam się, pożerała mnie od środka gorączka całego ciała, odczuwałam dreszcze i zawroty w głowie. Niech więc już będzie rzeczywisty koniec takiego życia połamanego. Ale człowiek tak łatwo nie umiera. W człowieku więcej jest siły do życia, niż nawet na to jego ciało bolące wskazuje.

W tych dniach Janusz „Rytmikoli 66" odstawił od siebie. Jeden Wątrobiak przychodził, ale tylko kiedy pili wódkę. Do południa syn mój leżał, potem dopiero ubierał się i szedł na miasto. Kiedy był na trzeźwo, odzywał się niedużo i prawie zawsze to samo.

— Sto mi potrzeba — mówił złym głosem — i to zaraz. Czekać nie będę!

Albo jeszcze gorzej:

— Dwieście mi dawaj! Bowiem izolatka cię czeka za białego dnia i do roboty już dzisiaj nie pójdziesz!

A skąd mi było brać te pieniądze dla niego na wódkę? W karty nie grałam, maszynki do ich robienia nie miałam. Ale on swojej matce nie wierzył, myślał pewnie, że oszustwem się tu wysługuję na jego krzywdę. Zabierał mi torebkę, lecz tam już pustka jedynie dno swoje pokazywała. Nie wierzył mi, więc zaraz zaczynał w szafie kontrol zaprowadzać. I tak odnalazł mój zegarek świąteczny na pozłacanej bransolecie, obrączkę po nieboszczyku, której też nie chciał uszanować, złoty pierścionek z wykruszonym oczkiem, co go okazyjnie od jednego Ruskiego kupiłam. Prześcieradeł ani też letniego płaszcza, w którym dopiero dwa sezony przelatałam, nie liczę. To

były przecież rzeczy do nabycia i nie wiązała się z nimi pamięć przeminionych lat. Nie dziwota więc, że miał za co pić, choć paserzy nie lubią dużo płacić.

To piekło na ziemi trwało pewnie z dziesięć dni. Później Janusz nie tylko pić przestał, ale i całkiem wychodzić z domu. Nie golił się ani prawie nie odzywał, leżąc na łóżku i kurząc papierosy, które mu Wątrobiak donosił. Nadal żyłam w ustawnym strachu, żeby mu się znów ta myśl o Marioli nie nakierowała na mnie.

Powoli jednak ten stan nienormalny przemijał. Już zaczynali przychodzić „Rytmikole", już i gra na instrumentach się zaczynała. Odetchnęłam i ja, widząc, że syn mój do muzyki powraca.

Ale uczucia wtedy żadnego dla niego nie miałam. W domu robiłam, co do mnie należało, niczego nie chcąc i nie pragnąc od niego. Sama wodę nosiłam, sama węgiel, a najchętniej to przy kuchni siadałam grzejąc kości i patrząc, jak buzuje pod blachą ogień. W kogo on się wdał, myślałam, z tym charakterem złym i bezlitosnym? Przecież ja ani mściwa nie jestem, ani też długo złości do innego człowieka w sobie nie chowam. U nieboszczyka też nic takiego nie występowało. Był to człowiek prędki, pełen nerwów, jak wszyscy w tamtych czasach, ale przy tym dobry i niepamiętliwy.

„Rytmikole" nic sobie teraz nie robili ze mnie. Chodzili tam i nazad po całym mieszkaniu, przeklinali przy mojej osobie najgorszymi słowami. I ja też postarałam się ich nie widzieć i nie słyszeć. Ale było to dużo trudniejsze do wykonania. Czasami ich wrzask i śmiech dziki, jak w jakiejś puszczy, aż podrzucał mnie do góry, a głowa moja bólu dostawała.

Człowiek jednak żyć musi, jak już jest pomiędzy żyjącymi. A pozbawiać się życia samemu, choćby było gorsze niż najciaśniejsze chomąto, to grzech niewybaczalny. Żyłam więc i ja, pomiędzy dniami odchodzącymi jeden po drugim. Mrozy się zaczęły, a później śniegi sypnęły akurat na święta. Dawniej to by mi radości dodało, ale wtedy nie w głowie było mi się cieszyć. Tylko smutek w sobie widziałam głęboki i ciemny jak najgłębsza studnia.

Święta wyprawiłam skromne bez dawnej ochoty i ra-

dości. Na dzień wigilijny dyrektor dał mi osobiście zwolnienie od pracy, mogłam więc o wczesnej godzinie udać się na cmentarz, pusty całkiem i na biało zasypany śniegiem. Wzięłam ze sobą opłatek, bo wolałam się nim przełamać z umarłymi niż z moim synem, który był dla mnie wężem jadowitym i gadem.

Położyłam kawałek opłatka na grobie teściów, postałam chwilę, a potem poszłam na grób Mariana. Jemu również położyłam opłatek, pomimo że był człowiekiem niewierzącym i partyjnym. Ale przed Panem Bogiem wszyscy po równo się liczą, nawet grzesznicy i zaprzańcy. A Marian przecież taki uczynek przed swoją śmiercią spełnił, że gdyby nawet życie największego grzesznika prowadził, Bóg i tak wszystko mu by odpuścił.

Długo stałam nad jego grobem, myśląc, jak mu tam jest obok tronu Pana naszego. Jego ziemskie ciało w mokrej glinie spoczywa, przez robaki stoczone i przez wodę podziemną rozmyte. I niepotrzebne jest mu już zupełnie, zbyteczne jak kula u nogi. Co innego ja. Ile mi jeszcze cierpień zostało, ile niegodziwości i smutku.

Nogi mi ziąb ogarniał, wiatr niósł tumany śniegu i zimne podmuchy. Jak to trudno po pierwszym spojrzeniu poznać się na człowieku i jak łatwo mu krzywdę zrobić. Przecież ja o Marianie w pierwszych początkach bardzo źle myślałam, kiedy był taki pazerny, żeby się przespać. A on do mnie miłość odczuł i to ja, a nie inna kobieta, miałam mu być najlepszą towarzyszką do dalszego życia.

Chociaż już zmrok zimowy na niebie zapadał, nie spieszyło mi się do domu. Mój syn już dla mnie, mówiłam sobie, nie istnieje jako człowiek i najbliższa rodzina, ale jako złoczyńca i przestępca. Idąc widziałam w oknach choinki i kolorowe lampki palące się na nich. Dla mnie nie były to lampki, lecz zimne igły, które wchodziły w moje ciało.

Co o tych świętach mogę panu jeszcze powiedzieć? Chyba tylko to, że przeszły, nie wiadomo kiedy. Januszek mało co bywał w domu, ale to tylko lepiej było dla mnie. A po świętach zaraz rozpoczął się karnawał i „Rytmikole" widać niezłą kartę wyciągnęli. Trafiło im się bowiem wesele, jeździli też grać na zabawach. Do ubioru sprawili sobie teraz srebrne kamizelki i zielone spodnie.

Ale względem zaopatrzenia domowego nic się nie zmieniło. Wszystko dalej stało na moich pieniądzach.

Przeminął styczeń i pierwszej lutowej niedzieli o południowej godzinie, kiedy siedziałam przy oknie patrząc na pustą, jak to przy święcie, ulicę, zobaczyłam piękną białą taksówkę, która zatrzymała się przed naszym domem. Z taksówki wysiadło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta w moich latach.

Odwróciłam na chwilę spojrzenie od okna, gdyż Januszek brzydko mnie nazwał z powodu, że nie mógł znaleźć pędzla do golenia. Po chwili ktoś zastukał do drzwi. Poszłam otworzyć i zobaczyłam tych państwa, co wysiedli z taksówki. Mężczyzna był w eleganckiej jesionce dyplomatce i w kapeluszu. Kobieta miała na sobie futro. Patrzyłam na nich zdziwiona nie wiedząc, jakim słowem otworzyć gębę. Wtedy mężczyzna zdjął kapelusz i zapytał mnie grzecznie:

— Bardzo przepraszamy szanowną panią, ale czy tu może zamieszkuje pan Janusz Smoliwąs?

— Owszem — odpowiedziałam — mieszka pod tym numerem i nawet jest w domu.

— A czy pani może — odezwała się do mnie kobieta — jest mamusią pana Janusza?

— Tak — odrzekłam już lekko zdenerwowanym głosem — a czy państwo tu pod względem muzyki?

— Szanowna pani pozwoli — odzywa się wtedy mężczyzna — ale nie jest to rozmowa do przeprowadzenia na powietrzu.

Otworzyłam szerzej drzwi, stanęłam bokiem i mówię:

— Proszę. Niech państwo wchodzą.

Weszli, stanęli pośrodku kuchni, a Janusz golenie przerywa, twarz z mydła za parawanem obciera i za chwilę jest przy niespodziewanych gościach z takimi słowami na ustach:

— Państwo, jak usłyszałem, mają jakieś życzenie do mnie? Dobrze się składa, bo to ja jestem kierownikiem muzycznym i artystycznym zespołu. Więc na jaki termin państwu potrzebna jest muzyka? Zamówień mamy dużo. Zespół cieszy się zasłużonym powodzeniem wśród ludności.

— Muzyka też może być potrzebna — mówi mężczyz-

na — ale najpierw trzeba uzgodnić parę spraw. Możemy usiąść?

Janusz podsuwa gościom krzesła, mężczyzna siada, kobieta obok niego. Chwilę milczą, potem mężczyzna mówi:

— Żeby dłużej nie obwijać w bawełnę, powiem od razu. Ściborek jestem, a to Ściborek Teresa, moja żona. Mariola jest naszą córką.

Januszek, widzę, blednie i odsuwa się o krok do tyłu.

— Tłumaczyć się nie będę — mówi — zerwałem z nią.

Na to Ściborek uśmiecha się szeroko pokazując dużo srebrnych zębów.

— Po co te nerwy, panie Januszu — mówi — my nie myślimy panu jakichś zarzutów robić jako mężczyźnie. Ale dziewczyna nam po całych dniach płacze, jeść nie chce, chociaż to już ostatnia klasa przed samą maturą. Janusza, powiada, mi zwróćcie, on jeden mnie rozumiał na tym świecie. To przez was nie wróciłam do niego, jak zamiarowałam po przybyciu do domu. Ale czy pan puściłby ukochane dziecko po czterech miesiącach nieobecności do nie znajomego bliżej mężczyzny? Wydałem więc jej stanowczy zakaz, przykazując równocześnie powrócenie do szkoły i pilną naukę.

Słucham tej mowy i już wiem, co się poza nią ukrywa. Potwierdzenie mi zresztą daje niedobry wygląd Ściborkowej Teresy, jej złe oczy i ściśnięte usta. Wreszcie i te usta się otwierają i mówią takie słowa:

— Jak dwa młode pępki się zejdą, to może być i trzeci, jeszcze młodszy. Mariolka spodziewa się dziecka.

— Tereniu — odzywa się jej mąż — po co tak ostro? Wiadomo przecież, że gdzie jest wielka miłość, tam muszą również rodzić się dzieci.

— Ja się bynajmniej nie poczuwam — mówi Janusz — to nie moje!

— Co? — mówi wtedy Ściborek Teresa. — Jak pan w ogóle może mieć takie zarzuty do mojej córki? — Po czym odwraca się w moją stronę. — A pani w tej poważnej sprawie — pyta — nie ma mi nic do powiedzenia? Przecież to wszystko odbyło się na pani oczach.

Czuję, jak się czerwienię z niezawinionego wstydu, i walę prosto z mostu:

— To nie ja Mariolkę chowałam i to nie w moim do-

mu rodzicielskim opiekę miała od młodych lat. Za to odpowiedzialności nie biorę.

— Stefan — mówi wtedy Ściborkowa do męża. — Obrażają nas. Widziałeś, jakie to chamstwo?

A on podnosi się z krzesła i ręce rozkłada szeroko, jak ksiądz do błogosławieństwa.

— Oj, kobiety, kobiety — mówi — jakie świat by posiadał brzydkie kolory i jakie życie byłoby szare i smutne bez tych słów waszych i złości? Czy pan Janusz musi się żenić z Mariolką? Nigdzie tak nie jest zapisane ani powiedziane. Jestem zwykłym krawcem, warsztacik mam nieduży, trzech uczniów zaledwie i dwóch czeladników, ale jakby co, to i trochę tych pieniędzy będzie, żeby męża dla Mariolki z porządnym fachem wynaleźć, chociaż tu wcale nie ubliżam fachowi muzycznemu. Ale swoje lata już mam i umysł przy tym wczorajszy, więc pomyślałem sobie, że dobrze jest, kiedy i zamiłowania wzajemne się połączą. Widzę jednak, że nic z tego, pan Janusz boi się przyznać do faktu, że będzie ojcem. Proszę bardzo. Ja tu nalegać nie będę. Dzieciątko świat ujrzy swoimi młodymi oczkami i zaraz zapyta samym ich tylko spojrzeniem: „Gdzie jest mój tatuś, w jakiej przebywa stronie świata?" Twój tatuś, wnusiu — odpowiem mu — nie poczuwa się do ciebie.

Łzy mi się w oczach zakręciły, Ściborkowa też, widzę, spojrzenie ma wilgotne, a Janusz blady się zrobił jak papier. Cisza w mieszkaniu jest taka, że słychać mysz, co pod podłogą życie prowadzi. Ściborek rękę żonie podaje, pewnie wyjść już chce, wsiąść do białego auta i odjechać.

Wtedy Januszek obcym, jakby nie przez siebie wypowiedzianym głosem pyta:

— Dlaczego ona sama nie przyjechała, jak jest taka sprawa?

— Albo to mało razy mówiłem jej — odpowiada nasz niespodziewany gość, widząc, że tu już nie o wybryk młodości się rozchodzi, ale o prawdziwe uczucie miłosne — zapoznaj nas z tym Januszem, przyprowadź go do domu. Ale ona tylko płakała, że już do pana Janusza nie pójdzie, jak sama odeszła, a jego mamusi zabrała jesionkę. — Tutaj Ściborek popatrzył na mnie i tak się

odzywa: — Pani jesionkę pozwoliłem sobie poprawić na tęższy rozmiar. Teraz nie wziąłem, ale przy najbliższej okoliczności podrzucę za pomocą ucznia.

Nie ma co, myślę sobie, to ludzie przyzwoici, chociaż córka latawiec. A zresztą to chyba okazja takiego teścia posiadać, którego pieniądz polubił? Czy Janusz nie rozumie, co tu mu się szykuje? Co on lepszego znajdzie? Chyba taką gołą jak on? Ale Janusz też nie w ciemię bity, też widzi, jaka to gratka.

— Mariolę muszę zobaczyć — mówi — kiedy więc będę mógł to uczynić?

— Kiedy? — odpowiedział Ściborek — a choćby i zaraz. Za małe pół godzinki, młody człowieku, możemy być u nas. Bryka czeka.

— Dzisiaj nie gramy — odpowiedział Janusz — więc w zasadzie pasuje.

— No to, na co pan czeka — zawołał Ściborek — ubieraj się pan! Niech mamusia też się podszykuje i wyruszamy. Mariolka bardzo się ucieszy.

— Nie za bardzo jestem przygotowana — powiedziałam — to tak nagle i niespodziewanie wypadło. Może niech Janusz sam jedzie?

— Pierwszy nasz dzień zapoznawczy — powiedział Ściborek — a pani się pieści? W żadnym wypadku nie mogę się na to zgodzić. My ludzie swoi. A Mariolka tyle nam dobrego o pani mówiła. Bardzo panią o to proszę w imieniu własnym i mojej żony.

Ściborkowa podniosła na mnie swoje jeszcze zwilgotniałe oczy i powiedziała łagodnym głosem:

— Pani nam nie odmówi, prawda?

Nie minęło dwadzieścia minut, jak się przyszykowałam, a Janusz ogolił. Podeszliśmy do samochodu. Przechodziło paru sąsiadów. Jeden aż kilka razy się obejrzał. Bo i było na co popatrzeć. Takie duże i eleganckie taksówki rzadko wtedy jeździły po naszej ulicy. A patrz sobie, dobry człowieku, pomyślałam, nawet i łeb swój z tej ciekawości ukręć. Bo kto wie, czy już niedługo Janusz takim samochodem na stałe nie będzie jeździł.

Było mi lekko na duszy, kiedy wyruszaliśmy spod naszego domu. Syn ze Ściborkiem na przednich fotelach, ja ze Ściborkową z tyłu.

Wszystko więc zdawało się tak układać, że lepiej nie trzeba. Nadziwić się nie mogłam, że Janusza taki zaszczyt spotkał. No bo i co syn mój sobą przedstawiał? Osobistość, co tylko po wierzchu lata, nie chcąc niczego na stałe się złapać. A takie życie daleko nie zaprowadzi. Ale Bóg z nim, myślałam, jeżeli ma mu być z Mariolą dobrze, przy jej tatusia pieniądzach.

Różne mieszkania widziałam, ale takiego jak u nich, to jeszcze nie miałam okazji. Może tylko dom doktora Żurka miałby tą szansę, żeby gorzej nie wypaść, ale tam ani takich mebli błyszczących nie było, ani obrazów z pięknymi widokami i końmi, bo przeważnie wisiały obrazy doktorowej, którym do piękności było daleko. Ściborek, jako zwykły krawiec, zajmował trzy wielkie pokoje z kuchnią, łazienką i korytarzem w starym, jeszcze kapitalistycznym domu, a do tego miał wynajęty na warsztat sklep z frontowym wejściem, też w tej samej kamienicy. Nie zdążyłam zapytać, ile go to kosztowało pieniędzy i chodzenia, bowiem tak szybko to wszystko się potoczyło, takiej prędkości od pierwszej chwili nabrało.

Przyjechaliśmy do nich w sam raz na obiad. Ja oglądałam mieszkanie, a Januszek z Mariolą jako zakochana para siedzieli w jej pokoju na kanapie. Jakbym jej nie znała od drugiej strony, to pewnie bym nigdy nie pomyślała, że to jest jedna i ta sama dziewczyna. Ubrana skromnie, w szarą suknię dobrego gatunku, nie rozczapirzona, ale uczesana na gładko z przedziałkiem. Przywitała mnie tak, jakby witała rodzoną swoją matkę. Czy ja śnię teraz, myślałam, czy śniłam wtedy, za tych okropnych dni? Żadnego obłapywania, żadnych bezwstydnych uchwytów. Siedzieli tylko obok siebie, trzymali się za ręce i spoglądali w oczy. Dopiero wtedy, widząc ją w tym kobiecym przebraniu, zobaczyłam, jaka jest ładna i jaką ma piękną i szczupłą figurę. Ciąża już troszkę zaznaczała się jej pod suknią, oczy miała jakby bardziej wpadnięte i podsinione, co tylko dodawało jej bardziej dorosłego i poważnego wyglądu.

Obiad jedliśmy na cienkiej białej porcelanie w kolorowe kwiatki. Noże, widelce i łyżki były ze srebra. W takim bogactwie człowiek nie przywykły nie czuje się najlepiej. Jadłam ze strachem, żeby czego nie upuścić

albo nie rozbić. Janusz też był zdenerwowany i widać bardzo uważał, żeby nie wystawić się na pośmiewisko. Uczyłam go od dziecka trzymania noża i widelca, ale nie za wiele go nauczyłam albo on już taki do tej nauki był trudny, że teraz w gościach ręce mu się bez przerwy plątały, a mięso biegało po talerzu, jakby było żywe. Ale i sam Ściborek, taki pan, o takim dużym posiadaniu majątkowym, też trzymał widelec w połowie wysokości, wbity w talerz jak dzida, a łokcie miał rozepchnięte na boki, jakby w tramwaju o popołudniowej godzinie przepychał się do wyjścia. Mlaskał przy tym a gadał, a opowiadał różne kawały i dowcipy. Usta mu się wprost nie zamykały przez tą bogatą wymowę. Do obiadu, na który była zupa pomidorowa, kotlet schabowy, a na deser kompot z gruszek i czekoladowy tort, wypiliśmy po kilka kieliszków gorzkiej pomarańczówki z kryształowej karafki. Zrobiło mnie to swobodniejszą, śmielej na boki patrzyłam, zapamiętując sobie ważniejsze szczegóły.

Pokój stołowy był duży, jak nic ze trzydzieści metrów, nad stołem żyrandol na sześć żarówek, pod ścianą kredens koloru ciemny orzech, a na ścianach parę mniejszych obrazów i jeden większy, na którym ułan przy studni trzyma konia za uzdę, a dziewczyna mu wodę podaje. Niedaleko okna przy białej firanie stał czarny fortepian na trzech nogach.

Ach, jak Mariola wtedy na Januszka spoglądała, jaka wierność i oddanie było w jej oczach. To do niego zagada, to mu musztardę, to ogórek albo grzybek w occie podsunie. A Januszek też rozkochany, też na nią tak patrzy, że mnie aż podziw ogarnia. Nie mogłam sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz widziałam takie dobre oczy u mojego syna.

Pod koniec obiadu byliśmy już wszyscy na per ty, a dzieci mówiły do nas „mamusiu i tatusiu". Przy kolacji młodzi dogadali się już co do ślubu, który ustalono, że ma się odbyć jak najprędzej. Tylko mnie się w pewnej chwili wydało, że to nie może być prawdą, takie nagłe szczęście dla mojego syna. Ale słowa tu przecież nie były rzucane na wiatr i w kierunku ślubu szło ich ogólne znaczenie.

— No i widzisz, Gieniu — mówi do mnie Ściborek

— jeszcze rano nic nie wiedzący byliśmy o sobie, a przynajmniej ty o nas, a teraz już jesteśmy rodziną połączoną węzłem przyjaźni. Kiedy spoglądam się na tych młodych, to zazdroszczę im sił i wieku, jak również i dzieciątka. Nam Bóg pożałował syna, dając w to miejsce udaną córkę, więc chętnie go zobaczę w osobie Janusza.

Tak już jest, że jedni nawet własnego nazwiska nie mogą po ludzku wypowiedzieć, drudzy zaś wyrzucają z siebie słowa bez żadnej trudności. Żyć przy Ściborku to żyć jak przy radiu. Niby człowiek go słucha, a myśli swoje albo robotą się jakąś zajmuje, żeby go to gadanie nie opanowało. Może więc, pomyślałam, syn mój za szybko do tej zgody przystał, można było przecież coś bardziej konkretnego obok Marioli utargować. Ale Janusz nawet nie słucha, co mu teść opowiada. Patrzy jedynie na swoją przyszłą żonę, przy której widzi dla siebie najlepsze miejsce na świecie. Wreszcie ja się odzywam w jego sprawie, żeby już było wiadomo co i jak.

— Chciałam tu przypomnieć — mówię — że Janusz zatrudniony jest przy muzyce i cały swój wolny czas oddaje zespołowi. Więc jak to teraz będzie przy tej nagłej zmianie sytuacji życiowej?

— Tatuś załatwi — wchodzi mi w tą myśl Mariola.

— A bo to mało jest restauracji, gdzie można grać i zarabiać na życie muzyką? W Kołobrzegu też graliśmy, a „Rytmikoli" znali wszyscy wczasowicze.

— Gieniu — odzywa się Ściborek — w czym tu zmartwienie? Przecież jak Janusz prowadzi orkiestrę, to chyba zaświadcza samo za siebie? Czy źle mówię, Januszku? Powiedz swojej matce, że ze mną nie zginiesz.

Janusz popatrzył na mnie, a oko mu znów stwardniało i złe się zrobiło.

— Mojej mamusi ciągle się wydaje, że ja jeszcze w trykotach i boso za wojskiem biegam.

— Takie są, mój synu, nasze matki — odezwał się Ściborek — a my, którzy jeszcze je posiadamy, powinniśmy się z tego cieszyć.

Nie przypominam sobie już dokładnie, jakie padły tam jeszcze zdania i wypowiedzi. Wiem tylko, że coraz bardziej robiło się pomiędzy nami rodzinnie, że jedno uprzejme słowo goniło drugie, wypędzając ze mnie nie-

dobre myśli. Pamiętałam jednak, żeby bliżej rozpatrzyć się pod względem mieszkaniowym.

— Stefan — powiedziałam do Ściborka — dużo spraw jest mi już znanych oprócz tej jednej. Jak z mieszkaniem? Bo ja tu wiele pomóc nie mogę. Warunki, jakie posiadam, nie będą odpowiadać młodej rodzinie z dzieckiem.

— To przecież jest jasne — odrzekł Ściborek — że dopóki nie odejdą na swoje, zamieszkają z nami. Miejsca tu tyle, że można się ganiać.

I nachyla się do mnie i odzywa cichym szeptem:

— Zostawmy młodych sam na sam i chodźmy do pokoju Mariolki, zobaczyć, jak by im to gniazdko uwić do szczęśliwego pożycia.

Stanęliśmy w pokoju Marioli, gdzie na tapczanie obok poduszek wielkie misie pluszowe i lalki leżały, gdzie jeszcze stała szafa i półka z książkami, a także biurko do nauki, fotel skórzany, krzesła obite pięknym materiałem i stół nie za duży z ukośnymi nogami.

— Nasza córeczka ciągle taka dziecinna — wyrzekła Ściborkowa — lalkami się bawi. A tu już patrzeć i własnego dzidziusia się doczeka, żywą laleczkę będzie miała.

No, pomyślałam, żebyście zobaczyli, jak ta wasza Mariolka na swego dzidziusia pracowała. Dwadzieścia cztery godziny bez mała na dobę i jeszcze ponad normę. Ale niech będzie, jak jest, niech już ten ślub nastąpi, bo to w końcu najlepsze.

A Ściborek znów, jak maszynka, ścierpieć nie mogący, że jego żona pierwsza usta otworzyła, zaczyna swoje, co już nie wiedzieć, czy prawdą jest, czy jakimś filmem.

— Te wszystkie meble — mówił — trzeba będzie odmienić. Nie wypada, żeby młoda para w starym zamieszkała. Albo ma się tą córkę, albo nie ma? Mieszkanie również zostanie odnowione całkowicie na sam ślub.

— I zwraca się do żony: — Prawda, Tereniu? Czy ty też podobnego charakteru i zdania jesteś?

— Ale czy to w terminie wypali — odpowiada Ściborkowa — czy malarze nadążą? Tych pięćdziesiąt osób w postaci gości trzeba nam liczyć.

— Co ma nie wypalić — powiedział Ściborek — tak mówisz, Tereniu, jakbyś swego męża jeszcze nie znała.

— Aż pięćdziesiąt — odzywam się — to już prawie wiejskie wesele, jak ma być tyle luda? Pieniędzy według mnie szkoda na takie uczty.

— Pieniądze są od tego — mówi Ściborek — żeby je wydawać. O dochody się nie martwię.

I zaraz opowiada, czego to on nie szyje jako krawiec męski, żeński i ogólny, znany w całej Warszawie, i jacy to ludzie do niego nie przychodzą, na bardzo ważnych stanowiskach. Jestem już zmęczona, już dawno chce mi się do domu, a ten gada i nie może się zatrzymać. Nagle słychać z dużego pokoju muzykę fortepianową i głos Marioli śpiewający starodawną piosenkę o chryzantemie złocistej. Wymowa Ściborka ustaje, na jego twarzy szeroki się uśmiech pojawia. Ściborkowa też cała w uśmiechu, aż głowę przechyliła, tak słucha.

— Czy to nie pięknie — odzywa się Ściborek — kiedy córka ma taki talent do gry i do śpiewu? Dobrały nam się dzieci pod każdym jednym względem.

Wracamy do dużego pokoju, a tam, aż oczom swoim nie wierzę, nie Mariola gra na fortepianie, a mój Januszek. Ona tylko stoi obok i śpiewa. Gdzie on się tego nauczył, pytam w myśli własnej osoby, tak przebierać palcami po tylu klawiszach i się nie omylić? Przez jedną krótką chwilę odczuwam dumę. Ale zaraz przypominam sobie, co się poza tymi zdolnościami kryje, jaki okrutny i zwierzęcy charakter.

Powoli mi ta wizyta zaczęła bokiem w postaci zmęczenia i znużenia wychodzić. Miałam dosyć tych wszystkich słów, których coraz więcej do ucha mi wpadało. Zaczęłam słyszeć tylko szum i hałas, i bębnienie fortepianu. W tym hałasie widziałam okrągłą jak dynia głowę Ściborka, bez jednej chwili przerwy poruszającą ustami. Zapragnęłam więc, żebyśmy już poszli, wsiedli do kolejki i pojechali do domu. Ale o tym nie było nawet mowy. Najpierw nastąpiła propozycja zanocowania, której zaraz grzecznie, ale stanowczo odmówiłam. Czy to już nie miałam własnego domu, aby tłuc się po obcych? Zaraz więc Ściborek nową propozycję wysunął, mówiąc, że w takim razie niech się Januszek zostanie. Wprawdzie to jeszcze nie są po ślubie, ale on nie należy do tych, co to jakieś tam aj-waj robią z byle czego. Pomyślałam, po co

on mnie w ogóle o to pyta, kiedy i tak już od dawna żadnego posłuchu u syna nie mam ani uważania.

Pomimo dosyć już późnej pory Ściborek podwiózł mnie do domu swoją taksówką. Przyjemnie było jechać przez wieczorowe miasto, a później pomiędzy pustymi polami, cokolwiek posypanymi śniegiem. Koła szumiały na szosie, czasem wymijał nas inny samochód błyskając światłami, a Ściborek gadał i gadał, co chwila doprowadzając mnie do zdrzemnięcia. Dowiedziałam się, że najlepiej dla niego jest szyć na bazar, bowiem bardziej mu odpowiada mieć hurtowego klienta niż pojedynczą osobę. Zaprosiłam go na herbatę, prosząc jednocześnie w myśli, żeby odmówił. Ściborek odmówił z powodu późnej pory. Pożegnaliśmy się, a ja po dawnemu zastanawiałam się, jak to właściwie jest? Jeden haruje jak głupi, zdziera do spodu samego ręce i ma tyle co nic. A drugi, proszę bardzo. Żyje jak sam minister albo i lepiej.

W następną niedzielę były już pierwsze zapowiedzi. Inne wypadki też potoczyły się szybko. Do Ściborków przyszli malarze i murarze, bo stary zaplanował, żeby dodatkowo jeden pokój murem przedzielić, tak aby młodzi mieli dwa pokoiki. Januszek ciągle do Warszawy jeździł, bo to albo miara na ślubny garnitur mu wypadała, albo inne sprawunki z tym powiązane. Tutaj muszę nadmienić o tej jesionce, co ją Marioli dałam. Ściborek faktycznie ją poprawił. Pasowała teraz na mnie jak ulał.

Jeżdżąc do Warszawy Januszek zabierał ze sobą Wątrobiaka, żeby mu przy trudniejszych sprawach pomógł. Widząc to, sama się z pomocą nie pchałam, bowiem gdzie kręcił się Wątrobiak, tam już nie było dla mnie miejsca. Planowałam tylko pomóc już przy samym weselu, bo, jak by nie było, miałam przecież zawód kucharki. Skąd mogłam wiedzieć, że moja pomoc i tak nie na wiele się przyda, bo wesele odbędzie się nie u Ściborków, ale w restauracji. Remont na tak długo się przeciągnie, że trzeba będzie na parę dni przed ślubem wszystko poodmieniać.

Nie minął miesiąc, a syn mój, ubrany całkowicie przez swego teścia, stanął na ślubnym kobiercu. Był już marzec, pierwsze dni, pogoda słoneczna i ładna. Wzięłam

na to konto trzy dni wolnego. Zrobiłyśmy ze Ściborkową i z najętą specjalnie sługą wielki kocioł bigosu i upiekłyśmy ze czterdzieści kurczaków. Bo chociaż w uspołecznionym lokalu miało niczego nie brakować, to jednak ważniejsze jedzenie lepiej mieć własne.

Ślub Januszka, jak wszystkie śluby bogate, wypadał w sobotę. We wczesnych godzinach południowych pojechaliśmy w pięć taksówek do stanu cywilnego, żeby papiery podpisać i odbyć ślub państwowy, a później, na godzinę pierwszą, do kościoła na placu Grzybowskim. Ten kościół wybrał sobie mój syn, gdyż jest on podobno najdłuższy w Warszawie. Chciał, żeby długo go było widać, kiedy z ukochaną będzie szedł do ołtarza.

Pomimo że świadkiem na obydwu ślubach był Wątrobiak, starałam się nie wpadać w nerwy. Powiedziałam sobie, że od tej chwili syn nic już mnie nie obchodzi. Inaczej przecież widziałam swoją przyszłość przy wnukach i inaczej przedstawiała mi się miłość syna do mojej osoby. Ale kiedy organy zagrały, a oni już klęczeli pod ołtarzem jako świeżo poślubiona para, łzy mi się w oczach pokazały i myśl taka nadeszła, że może wreszcie zacznie mu się układać, a ten dobry los, który wyciągnął, odmieni jego charakter.

Co tu panu powiedzieć o samym weselu? Gości ze sześćdziesiąt lub jeszcze więcej osób. Wynajęte dwie sale w restauracji na Starym Mieście, całkowicie do ich dyspozycji. Można śpiewać, tańczyć, pić, robić, co się podoba. Orkiestra też wynajęta, chociaż pod ręką byli „Rytmikole”. Ale i oni też przyszli ze swoimi instrumentami i ze strojami do gry na gitarach w torbach.

Przy stołach zdrowie państwa młodych odchodzi jedno po drugim. A ledwie goście za zdrowie państwa młodych z kieliszków wypiją, już krzyk się niesie, że gorzko. Janusz głowę Marioli przechyla, buzi jej funduje, ale czym więcej wódki wypite, tym tych zawołań przybywa.

Rodzina Ściborków przyszła cała. Ilu ich było, nie liczyłam, bo wszystkich nawet nie zdążyłam poznać. Siedziałam przy stole nie za wiele mówiąc i odczuwając spore skrępowanie. Nie miałam przecież za bardzo w co się na to wesele ubrać. Lepsze sukienki, które nosiłam

kiedyś, były już na mnie za ciasne, a nowej niestety przy moim synie nie miałam możności uszyć. Coś tam naprędce przerobiłam własną ręką, ale i tak wyglądałam na dziadówkę. Na prezent też nie miałam funduszu odpowiedniego. Parę złotych pożyczyłam od pani Basi, trochę udało mi się wykręcić z zaliczki i kupiłam młodym prodiż elektryczny i żelazko. Za to Janusz bardzo ładnie wyglądał w czarnym garniturze. Panna młoda również, co wspominam teraz ze smutkiem, pięknie się prezentowała w długiej białej sukni, która stan mając pod biust przeniesiony, ciążę Marioli ukrywała.

Muzyka rozlegała się prawie że bez przerwy. Bo kiedy legalna orkiestra się zmęczyła i szła pojeść i popić, na jej miejsce wskakiwali „Rytmikole" i zaczynali wydzierać się i grać po swojemu. Nawet Janusz, choć to przecież w takim dniu do niego nie należało, zdjął marynarkę, złapał gitarę i też grał i śpiewał. Za każdym razem wszyscy bili mu brawo i prosili o więcej.

Ściborek najpierw mowy różne trzymał przy stole, potem komendy wydawał młodym, że gorzko, a później jeszcze przyczepił się do mnie. Chyba ze dwadzieścia razy przepraszał mnie ten osobnik, że mieszkanko dla młodych jeszcze jest niegotowe i że Janusz przez tydzień albo tylko przez kilka dni pomieszkać będzie musiał na starych śmieciach, gdyż oni teraz wszyscy cisną się w jednym pokoju.

— Tych parę dni — odrzekłam — nikogo nie zbawi. A lepiej jest, jeżeli młodzi wchodzą do mieszkania urządzonego, wtedy im łatwiej rozpocząć nowe życie, aniżeli do bajzlu, w którym tam i nazad łażą malarze i inni robotnicy. Januszek też może przy remoncie pomóc, tym bardziej że „Rytmikoli 66" ma pod swoją ręką i robić już będzie na swoim, a nie u obcych.

— Boże broń — odpowiedział Ściborek — przecież Janusz jest muzykiem, więc jak może swoje ręce utrudzać fizyczną pracą? Poza tym nie mogę pozwolić, żeby mój zięć przy brudnych robotach się zatrudniał, co by ludzie wtedy powiedzieli? Że Ściborka już nie stać na wynajęcie robotnika i rodziną musi się wysługiwać? Pozwolisz więc, Gieniu, że powiem nie, jak już odrzekłem Januszowi, kiedy osobiście zdradził takie same chęci.

Krew mnie zalała, ale nic kontra nie powiedziałam, bo synek mój odwagę i charakter ze mnie wytrząsnął.

— W porządku, Stefan — odrzekłam mu tylko — jeżeli tak uważasz, to ja się wtrącać nie będę. Ostatecznie młodzi będą mieszkać u ciebie, a nie u mnie.

— Zatańczmy, Gieniu — odrzekł mi na to Ściborek, prosząc mnie do spokojnego tanga, bo ta prawidłowa orkiestra już się odżywiła i napiła, a „Rytmikole 66" zeszli ze sceny.

Przetańczyliśmy ten kawałek, potem jeszcze jeden, a Ściborek przez cały czas przesuwał przed moimi oczami wspaniałe życie, jakie oczekiwało młodych. Sama kiedyś o takim życiu dla Janusza myślałam. Tylko że miałam pragnienie, aby odbyło się to inną drogą, za pomocą uczciwej pracy.

Zmęczyły mnie w końcu te tańce, więc znów usiadłam za stołem, gdzie dalej odchodziły toasty i wódka się lała do coraz bardziej szerokich na nią gardeł. Już i mnie te gęby czerwone od napitku i żarcia do takiej złości doprowadziły, że trudno ją opowiedzieć, a co dopiero młodych, którzy musieli uśmiechać się do wszystkich. Siedziałam obok Ściborka, po drugiej jego ręce siedziała Teresa Ściborek, więc trudno mi było mieć umysł chociaż na chwilę wolny od jego słów i zapytań. A tu na dokładkę i ich rodzina, której tyle, że nie przebrać, a także bliżsi i dalsi Ściborków znajomi. Każdy ma te parę słów do wypowiedzenia, każdy poznać chce matkę pana młodego. Przy tym kelnerzy ciągle koło stołów krążą, ciągle coś dolewają, talerze podmieniają i potrawy donoszą.

W końcu już kołowacizny zaczęłam dostawać, głosy ludzkie przestałam odróżniać, duszność mnie ogarniała i coraz większe nerwy. Gdyby chociaż tych „Rytmikoli" nie było, toby jeszcze człowiek usiedział. Ale co oni grać rozpoczynali, to huk i wrzask robił się taki, jakby żelazne beczki z marcowymi kotami w środku ganiały się po blaszanej podłodze. Legalna orkiestra, widząc darmową podmiankę, do gry się bardzo nie rwała, a więcej do jedzenia i picia.

Nie wszystkim jednak „Rytmikole 66" szkodzili, nie dla każdego była to kara Boska za życia. Cała młodsza

część gości skakała, fikała, podrzucała się do góry. Mężczyźni pościągali marynarki, kobietom aż kiecki zadzierały się na głowy od tego tańca bez umiarkowania. Młodym można było to podarować, każdy przecież we wczesnych latach na podszepty głupoty jest wystawiony, ale pomiędzy drygającymi pokazywać się zaczęły kobiety będące już w swoich latach. Niektóre wcale nie były młodsze ode mnie i dobrze już sadłem na zadach i bokach obłożone. Ciągnęły ze sobą swoich mężów, żeby im w tym wygłupie pomogli, a ci jeszcze gorzej od żon wyglądali. Wprost żal było patrzeć na to widowisko, w środku którego podskakiwali Ściborkowie, zlani potem, podobni bardziej do wypchanych niedźwiedzi niż do żywych ludzi.

W tym zaduchu, krzyku i gorącu czas przemijał mi bardzo wolno. Czekałam tylko na tą chwilę, żeby stąd wyjść i powrócić do domu. Pijanych już coraz więcej, ubikacje zabrudzone tak, że nawet trudno się załatwić, na każdym kroku ściskają się i migdalą, tylko ja jestem trzeźwa i widzę wszystko zwyczajnym okiem.

Nareszcie jednak nadeszła odpowiednia godzina. Podniosłam się, przecisnęłam do młodych, którzy akurat siedzieli razem, bo i „Rytmikole" w końcu się zmęczyli, więc Janusz wrócił do żony, podziękowałam im i jeszcze raz złożyłam życzenia na dalszą życiową drogę. Ze Ściborkami pożegnałam się wcześniej, nadmieniając o silnym bólu głowy.

— Nie zatrzymuję — powiedział mój syn — ale uważam, że w tej tak ważnej dla mnie osobiście chwili mamusia mogłaby jeszcze te trochę pozostać na weselu.

— Januszku — odpowiedziałam mu — całe moje zdrowie lata we mnie na wszystkie strony. Więc do czego tu jeszcze mogę się przydać? Chyba tylko do tego, żeby położyć się gdzieś i utracić przytomność.

I poszłam, nie oglądając się już na to, co myślą i mówią o mnie.

Teraz chwilę odpocznę, nerwy uspokoję, a potem opowiem panu zakończenie, które już pan zna ze strony sądu. Herbaty albo kawy pan życzy? Ja też nie. Opiłam się dzisiaj różnych płynów jak żaba wody.

Więc było tak. Januszek jako szczęśliwy małżonek ukochanej żony oczekuje już tylko na dzień, kiedy mieszkanko u teścia będzie gotowe. Jeździ do Marioli, a jakże, coś tam pewnie pomaga, chociaż sobie tego Ściborek nie życzy. Według ostatniego planu wszystko miało być gotowe na czwartek, w tym pierwszym tygodniu, który nadszedł po weselu. Okazało się jednak, że jeszcze tak nie będzie, że to dopiero nastąpi na początku przyszłego tygodnia.

W sobotę Janusz wyjechał z „Rytmikolami" grać na weselu u zamożnych państwa, znajomych Ściborka, których zapoznał na własnym ślubie. Było to z pięćdziesiąt kilometrów od Warszawy, a ci państwo mieli duże badylarstwo. Graj sobie, synu, pomyślałam, bo to już i tak długo nie będzie trwało, już i tak nadchodzi koniec „Rytmikoli". Ściborek nie zezwoli, aby jego własny zięć taką głupotę dalej prowadził, bo ani żadnej podstawy pewnej do życia w tym nie ma, ani żadnego uważania u ludzi.

Powrócił w niedzielę o późnym wieczorze, wesoły jak szczygiełek, nucący i podskakujący. Przespał się, a z rana zapakował najpotrzebniejsze rzeczy i trochę bielizny do swojej podróżnej torby i mówi:

— Dzisiaj przeprowadzam się do Marioli i nie będę już mamusi więcej zawadzał. A po resztę moich rzeczy przyjadę samochodem.

Smutno mi się zrobiło, żal jakiś mnie ogarnął.

— Nigdy mi, synu, nie zawadzałeś — odrzekłam — — chyba że byłeś w swoim niedobrym transie.

— A jednak — odzywa się znowu Januszek — nie zawsze miałem miłe postępki wobec mamusi, ale taki już jestem i trudno mi nerwy utrzymać.

Poczułam, że zaraz łzy mi pociekną w chwili pożegnania, czego za nic nie chciałam po sobie okazać.

— Idź już, Januszku, do swojej żony — powiedziałam — nie wyjeżdżasz przecież do zagranicznych krajów, tylko te parę kilometrów. Nie warto pamiętać tego, co było. Ciesz się z życiowej odmiany i czasem przyjedź.

— Dzień, dwa, a przyjadę — odrzekł mi na pożegnanie.

Pozostałam sama, jeszcze nie bardzo zdając sobie z te-

go sprawę. Byłam znów panią w swoim osobistym mieszkaniu, z którego raz na zawsze zniknęli „Rytmikole". Nie chciało mi się nic robić, wypoczywałam tylko w wielkim spokoju i ciszy, spoglądając czasem na zegarek, żeby nie przegapić pójścia do roboty. Janusz już pewnie jest u żony, myślałam, już się z Mariolką ściska i całuje, a teściowa szybciutko śniadanie mu podaje, choć przecież głodny ze starego domu nie wyjechał.

Tak myślałam, ale tam było zupełnie inaczej. Janusz przyjechał, zachodzi pod mieszkanie, puka, ale cisza mu tylko odpowiada. Wychodzi na ulicę, zagląda do warsztatu, a w warsztacie też teścia Ściborka Stefana nie ma. Starszy czeladnik mówi, że Ściborek wyjechał samochodem z całą rodziną w ważnej sprawie. Janusz stawia bagaż, siada na krześle i czeka. Godziny mijają, dnia coraz więcej ubywa. Co i raz jednak syn pod mieszkanie teściów się udaje i naciska dzwonek. Ale tam nadal nic, nadal cicho. Powraca więc i znów siada na krześle, myśląc tylko o tym, kiedy wreszcie Mariolę swoją zobaczy. Lecz tu już ciemno się robi i godzina siódma wieczorem wybija. Koniec pracy w warsztacie, czas drzwi zamykać. Żegna się Janusz z czeladnikami i uczniami i znów pod mieszkanie sobie przeznaczone idzie. A tam w dalszym ciągu nikogo nie ma. Jakiś czas syn stoi na schodach, jeszcze zastanawia się, co ma uczynić. Potem złość go opanowuje, więc szybkim krokiem idzie na dworzec, żeby wsiąść do kolejki i powrócić do własnej matki. Tylko czy może to zrobić, jak się już ze mną pożegnał, czy to za dużym wstydem nie będzie dla niego?

Żeby nerwy opanować, wstępuje na małą wódkę i piwo. Doprowadza go to do lekkiego podchmielenia, bo przecież pije na pusty żołądek. Wtedy mu przychodzi do głowy taka myśl, że pójdzie tam i poczeka do oporu.

Czekać już jednak wcale nie musi. W oknach palą się światła, więc wszystko w porządku, jego żona już powróciła. Janusz lekkim krokiem wbiega po schodach i pewnie już po raz dwudziesty dzwonek u drzwi przyciska. Jeszcze oddech ma szybki, jeszcze zmęczenie po biegu z niego ucieka, ale to wszystko nic, bo ukochana już w domu jest i czeka na niego.

Drzwi otwiera mu sam Ściborek. Janusz chce wejść,

lecz ten ani myśli wpuścić go do środka. Z początku syn ma posądzenie, że to żarty, że jego teść zgrywy sobie robi, więc mówi:

— Niech tatuś się nie wygłupia. Chyba wystarczająco długo oczekiwałem na tym zimnie. Chcę wejść do domu.

— Wejść? — mówi Ściborek. — Tu dla ciebie wejścia nie było i nie będzie. Ja łajzy i muzykanta w rodzinie nie potrzebuję! Ślub był, to wystarczy. Mariolka panną już nie będzie, tylko rozwódką. — Zagradzając synowi drzwi wyciąga z kieszeni pieniądze i tak się odzywa: — Masz tu dziesięć tysięcy i popij sobie z kolegami.

Janusz trąca go w rękę, aż pieniądze się rozsypują, i pyta jeszcze:

— To jest już ostatnie tatusia słowo i czy takie jest słowo Marioli?

— Precz, gnojku! — woła Ściborek i chce syna od drzwi odepchnąć.

Ale syn nie panując już nad sobą uderza go głową raz i drugi, a potem zamroczonego wyciąga z drzwi, z których wypadać już zaczynają czeladnicy i uczniowie, a za nimi krzycząca okropnie Ściborek Teresa, a jeszcze za nią Mariola. Janusz widząc, co się szykuje, z całej siły spycha Ściborka ze schodów i woła do żony:

— Mariola! Czy ty też przeciwko swojemu mężowi?

Wtedy cała ta hosa zwala się na niego. Januszowi jest już wszystko jedno. Dopiero teraz pokazuje, co umie i w tym zakresie. Pięciu chłopa, a za nic go wziąć nie mogą. Co go złapią, to znów się wyrwie i znów rzuca w najgorszą gęstwinę. Wreszcie wszyscy w postaci kłębowiska staczają się pół piętra niżej, gdzie na podeście znajduje się Ściborek i unieść o własnych siłach nie może. Tu Januszka przytrzymują, nakrywają własnymi ciałami. Długo to nie trwa, bowiem pojawia się zawołana przez telefon władza w osobach dwóch milicjantów. Funkcjonariusze zaraz wykręcają synowi ręce do tyłu i zapinają kajdanki. Janusz ma twarz pobitą, całe ubranie podarte w kawałki. Tamci też wyglądają nie lepiej, chociaż ich tylu było na jednego.

Robi się cicho, tylko Ściborkowa i jej wyrodna córka płaczą niepowstrzymanie. Milicjanci dla formy wypytu-

ją o przebieg zajścia, o wydarzenia, które się tu rozegrały.

— Zięć — wypowiada się Ściborkowa — przyszedł pijany i bez dania racji uderzył córkę, która jest w poważnym stanie. A kiedy mąż wystąpił w obronie, zepchnął go ze schodów, a potem jeszcze rzucił się na naszych pracowników.

— Czy tak to wyglądało? — pyta milicjant Marioli.

— Tak — odpowiada Mariola. — Po co ja za tego łobuza i przestępcę wyszłam?

— A czy panowie potwierdzają — pyta z kolei milicja czeladników — taki przebieg zajścia?

— W całej rozciągłości tak było — odpowiadają czeladnicy.

Ściborek tymczasem unosi się na łokciach, wymyśla od najgorszych synowi i przy pomocy żony ma chęć wstać na nogi. Zajęci zapisywaniem danych milicjanci nie widzą, jak Januszek podbiega i kopie go. I w tej samej chwili jest już absolutnie za późno, aby ten zły los, który przez całe życie szedł za moim synem, mógł się jeszcze odwrócić. Nie mija trzy tygodnie, a Ściborek nie odzyskując przytomności umiera w szpitalu z powodu pęknięcia czaszki.

Co tu panu mam jeszcze mówić, kiedy wszystko zostało wyczerpane. Jakie tu fakty jeszcze przedstawić z życia mojego syna, który gnije w więzieniu? Za kratą wszystko ma inny rozmiar i choć lata idą, to odchodzą bez celu. A ja tego przyjąć nie mogę do swojej wiadomości. To mnie boli i spać nie daje. Bo gdyby najwyższy wyrok dostał, to niech tam. Ale tak? Być umarłym za życia?

Mnie samej nic nie potrzeba. Ot, żeby dzień przeszedł, przetoczył się od białego ranka do ciemnego wieczora. Dwie ciężkie operacje przeszłam na moje nogi i lepiej mi się po nich nie zrobiło. Tak to mały przypadek z lat dziecinnych, połączony z nieustającymi nerwami, doprowadził mnie do rujnacji zdrowotnej. Jedna komisja lekarska, potem jeszcze jedna i patrzeć, a Smoliwąsowa jest już na rencie, jako niezdolna do pracy. To umęcze-

nie robotą jeszcze ze mnie wychodzi. Dopiero teraz wiem, co to jest wątroba, co serce, co nerki, czym jest ból w stawach czy krzyżu.

Inni żyją, pracują, dorabiają się w zależności od szczęścia. Jeszcze inni, jak Kalisiak czy doktorowa Żurkowa, umarli. I niech im ziemia lekką będzie, a w szczególności Kalisiakowi. Młody Żurek został inżynierem i niedawno się ożenił. Pęcicki z muzyką zerwał zupełnie i też podobno na inżyniera się uczy wieczorowym trybem. Gnatkowscy przeprowadzili się do Warszawy. Wątrobiak przystał do takiej firmy, co to w dalekich krajach fabryki buduje. Dobrze mu się tam powodzi i pieniędzy ma podobno jak lodu. Przyszedł tu kiedyś, żeby Januszkowi parę złotych na wypiskę zostawić. Wyrzuciłam go za drzwi i od tej pory już nie widziałam.

Dawniej myślałam, że Januszek nie będzie mnie już obchodził. Bo jak ktoś jest zwierzem dla własnej matki, to niech go to samo spotka. Myśleć tak można w normalnej sytuacji, a nie wtedy, kiedy syn jest w nieszczęściu. Czas przemija i leczy rany, umysł coraz mniej pamięta dawnych przykrości. Ale to jeszcze mało, samym wybaczeniem nie pomoże się dziecku. Choćbym więc głodowała, to z tą jedną gołą rentą niczego nie zwojuję. Nawet na paczki dla Januszka nie starczy. Dlatego tą wódkę trzymam i sama się narażam.

Jedno mi tylko z umysłu nie chce wyjść i w mojej głowie bez przerwy mieszka. Dlaczego Mariola okazała się taka fałszywa? Gdyby twardą kontrę postawiła, na nic by się nie zdały kombinacje Ściborka. Ale i ją kiedyś sprawiedliwa kara dotknie. Modlę się o to do Boga i wiem, że mnie wysłucha.

Jeszcze nim sąd się odbył, już było po rozwodzie. A co zaś do dziecka, to urodziła córkę. Sama bym zainteresowania tym faktem nie okazała, gdyby nie syn. Prosił mnie i błagał w liście, żeby się dowiedzieć. Nie na moje to jednak zdrowie było, na taką Mariolę popatrzeć. Opisałam wszystko Mundkowi Karuzeli i prosiłam go, aby to on się do Warszawy udał i sprawę załatwił. Sporo mnie to wódki kosztowało, ale mogłam wypełnić synowską prośbę. Zresztą i teraz Mundek mi wszystko załatwia, cały towar po sklepach kupuje.

Ma więc pan przedstawione te trochę życia ludzkiego, w wielu szczegółach i sytuacjach. Co zapomniałam, to trudno, więcej powracać do tego nie będę.

Teraz patrzę już tylko naprzód w te dni, co nadchodzą, i myślę, czy to musi tak być, żeby Janusz tam jeszcze dwanaście lat przesiedział, niepotrzebny ani ludziom, ani światu, ani nawet samemu sobie? Moje sumienie na to zezwolić nie może, dopóki bije serce matki w tym schorowanym organizmie starej kobiety.

Proszę pana jako mecenasa o znalezienie w tym przypadku sprawiedliwości, bo ona zawsze uciekała z naszego domu do tych, którym nawet bez niej na świecie jest dobrze. Niech pan to pod swój wzgląd weźmie, niech całą swoją litość i rozum okaże...

Był późny wieczór. Mroźny wiatr zamiatał płatkami wirującego śniegu. Z małego domu, prawie niewidocznego pośród śnieżycy, wyszedł mężczyzna. W świetle latarni widać było masywne bloki osiedla mieszkaniowego. Tutaj jednak, gdzie stał ten mały, pokraczny dom, było ciemno i wydawać się mogło, że popędzane wiatrem bloki suną w jego stronę jak wielkie betonowe zwierzęta. W wielu oknach paliły się jeszcze światła. W najbliższym bloku jedno z okien na pierwszym piętrze było otwarte. Mimo wiatru dobiegała stamtąd natarczywa, głośna muzyka. Światło w oknie było przyćmione i stonowane. Ktoś stał tam i przechylony przez parapet wymiotował. Za nim, widoczne tylko do połowy, miotały się tańczące pary. Zagraniczny piosenkarz wył chrapliwie. Coraz szybciej i dokuczliwiej wirował śnieg.

Ulica znów była pusta.

marzec 1974 — grudzień 1977

Polska proza współczesna w Państwowym
Instytucie Wydawniczym w 1979 roku

Halina Auderska
Miecz Syreny
Roman Bratny
Czwartki ubogich
Zbigniew Brzozowski
W miasteczku, które jak ogród Andersena...
Eugeniusz Kabatc
Małgorzata, czyli requiem dla wojowniczki
Erwin Kruk
Łaknienie
Jerzy Krzysztoń
Obłęd
Andrzej Kuśniewicz
Witraż
Sławomir Łubiński
Ballada o Januszku
Jarosław Markiewicz
Chaos wita w tobie łotra i świętego
Zdzisław Morawski
Nie słuchajcie Alojzego Kotwy
Marek Nowakowski
Chłopak z gołębiem na głowie
Marek Nowakowski
Gdzie jest droga na Walne?
Kazimierz Truchanowski
Totenhorn
Piotr Wojciechowski
Wysokie pokoje
Witold Zalewski
Ostatni postój
Jerzy Żurek
Pościg

Fotografia autora
Józef Ziółkowski



Sławomir Łubiński urodził się
w Warszawie w 1934 roku.
Od kilkunastu lat jest dziennikarzem.
Przedtem pracował jako goniec,
laborant, zaopatrzeniowiec,
akwizytor, robotnik.
Powieść *Ballada o Januszku*
jest jego debiutem literackim.

40 zł